

The background of the cover is a dark, monochromatic landscape. A central path leads from the bottom towards a bright, glowing light source at the horizon. A small silhouette of a person stands on this path. The sky is filled with intricate, swirling patterns and several bright, jagged lightning bolts striking down. The overall mood is mysterious and dramatic.

BEZ NADZIEI

ZBIÓR OPOWIADAŃ

Uniwersytet Zielonogórski

Bez nadziei

Bez nadziei

(zbiór opowiadań)

Zielona Góra 2025

RADA WYDAWNICZA

Mariusz Naczek (przewodniczący), Paweł Andrzejewski,
Andrzej Bisztyga, Bogumiła Burda,
Joanna Dec-Pietrowska, Beata Gabrys, Mariusz Jenek,
Aleksandra Kruk, Franciszek Runiec (sekretarz)



RECENZJA

Katarzyna Grabias-Banaszewska

REDAKCJA

Kinga Dolczewska

REDAKCJA TECHNICZNA

Elżbieta Kościańska

PROJEKT OKŁADKI

Hanna Seleszczuk

© Copyright by Uniwersytet Zielonogórski
Zielona Góra 2025

ISBN 978-83-7842-576-2

DOI <https://doi.org/10.59444/uz.9788378425762>

OFICyna WYDAWNICZA UNIWERSYTETU ZIELONOGÓRSKIEGO

65-246 Zielona Góra, ul. Podgórna 50, tel. (68) 328 78 64
www.ow.uz.zgora.pl, sekretariat@ow.uz.zgora.pl

Non omnis moriar

Wakacje to dla nastolatków czas, gdy świat staje się nieograniczony, a dni płyną niczym rzeka bez końca. To chwile, kiedy poranki są długie i spokojne, a wieczory pachną przygodą, zwłaszcza w Amber Hill – małym, malowniczym miasteczku położonym nad morzem. Delikatnie tańczące fale sprawiają wrażenie, jakby czas płynął tu wolniej. Owo miejsce, choć skromne, skrywa w sobie coś tajemniczego. Założone w 1875 roku przez dwóch braci – Giovanniego i Antoniego Benedetti – od lat intryguje legendą o trzecim założycielu. Mówi się, że była nim kobieta, lecz jej imię i historia wciąż pozostają owiane tajemnicą czekającą na odkrycie. Ulice Amber Hill wiją się między białymi, przytulnymi domkami otoczonymi bujnymi ogrodami pełnymi kolorowych kwiatów. W jednym z takich domów mieszka niemal osiemnastoletnia Klara Davis wraz z rodzicami. Ciemnoooka brunetka o nieprzeciętnej urodzie przyjaźni się z dziewiętnastoletnim Liamem Benedetti i jego bratem Henrym, który jest w jej wieku. Bracia mieszkają w wyróżniającej się, majestatycznej posiadłości przy jednej z najbardziej rozpoznawalnych ulic Amber Hill. W końcu są potomkami założycieli miasta, więc ich dom jest jednym z najbardziej charakterystycznych budynków w okolicy. Rodziny Davis i Benedetti przyjaźnią się od zawsze. Rodzice nastolatków znają się jeszcze z czasów szkolnych, dlatego Klara, Henry i Liam są ze sobą związani niemal od urodzenia i co roku spędzają wspólnie wakacje. Braciom Benedetti nigdy niczego nie brakowało – luksusowe życie, jachty przy porcie czy własne skutery wodne są dla nich codziennością, o jakiej Klara może tylko marzyć. Mimo różnic między nimi przyjaciele nigdy się nie kłócą. Wręcz przeciwnie – od lat darzą Klarę szczególną sympatią. Liam i Henry są znudzeni życiem w przepychu. Codzienne obowiązki, takie jak

zrobienie śniadania, nie leżą w ich naturze, bo wszystkim zajmuje się służba. Przez pierwszą połowę wakacji prawie codziennie widywali się z Klarą – łowili ryby, grali w gry, surfowali na wysokich błękitnych falach, opalali się na piaszczystej plaży i pływali w basenie. Lubili te chwile, ale monotonia w końcu ich znużyła. Matka Henry’ego i Liama, dostrzegając w ich oczach oznaki znudzenia, z uśmiechem zaproponowała, by porzucili wygodne fotele i zajrzeli na strych. Tam na nich i ich przyjaciółkę czekała przygoda w postaci sprzątanania, które miało zamienić leniwe godziny w dni pełne odkryć i chaosu. Niechętnie spełnili prośbę matki i cała trójka w końcu udała się na ciemny, stary i zagracony strych. W jego zakamarkach spoczywało wiele rodzinnych pamiątek, obrazów autorstwa nieznanych artystów, map i mnóstwo innych szpargałów, które nosiły wyraźne ślady upływającego czasu.

– Przecież sprzątanie tego zajmie nam z miesiąc – stwierdził zniechęcony Liam.

– Albo i z dwa miesiące... – odpowiedział młodszy brat.

– Wasza mama chciała nam znaleźć jakieś produktywne zajęcie. Po prostu zaczniemy tu sprzątać: im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy. Najlepiej, jeśli się rozdzielimy. Ja zajmę się układaniem tych starych płyt winylowych, a wy... nie wiem. Znajdźcie sobie jakieś zajęcie – zaproponowała Klara.

– Ja poszperam w tych walizkach, może będzie w nich coś wartego mojego czasu – rzekł Liam.

Trzy godziny minęły niepostrzeżenie, choć na strychu czas zdawał się stać w miejscu. Wszystko wyglądało tak, jakby nikt nie podjął się sprzątanania – co więcej, wydawało się, że chaos jeszcze się pogłębił. Henry, Klara i Liam, wyczerpani, opadli na zakurzoną podłogę. Zaległa cisza, którą przerywało jedynie echo ich wcześniejszych śmiechów. Sprzątanie może nie było ich mocną stroną, ale to, co miało być mozołnym obowiązkiem, przemieniło się w chwilę pełne żartów i radości. Gdy leżeli tak, zmęczeni i pokryci kurzem, spojrzenie Klary spoczęło na niewielkiej szkatułce ukrytej na jednej z najwyższych półek. Promień zachodzącego słońca wpadający przez okno strychu odbijał się od jej wieka, jakby sama szkatułka zachęcała, by ją otworzyć. Za-

intrygowana Klara sięgnęła po znaleźisko. Gdy delikatnie uniosła wieczko, Henry i Liam, poruszeni jej milczeniem, podeszli, by również zajrzeć do środka. Tam, niczym skarb z dawnych czasów, znajdował się naszyjnik. Jego burgundowy kryształ lśnił subtelnie, sprawiając wrażenie, jakby skrywał w sobie dawno zapomnianą historię.

– Zapewne należał do naszej prababci – powiedział zaciekawiony Liam.

Zauroczony w Klarze Henry zauważył, jak wpatrzona w medalik była dziewczyna. Wpadł na pewien pomysł: naszyjnik będzie idealnym prezentem na jej osiemnaste urodziny, które wypadają nazajutrz. Najpierw jednak postanowił skonsultować to z matką. Być może to drogocenna pamiątka rodzinna. Zszedł ze strychu, by porozmawiać z rodzicielką, a pani Benedetti zgodziła się na podarowanie Klarze naszyjnika, tym bardziej że nigdy wcześniej go nie widziała, więc nie miała z nim żadnych wspomnień. Wiedziała, jak ważna jest Klara dla jej synów, więc nie miała nic przeciwko. Ucieszony Henry wrócił na strych po naszyjnik, aby spakować go na prezent, jednak jego oczom ukazał się widok, który sprawił, że chłopakowi pękło serce. Wyglądało na to, że Liam ma wobec Klary podobne plany. Obraz ukochanej dziewczyny, której starszy brat chce wręczyć błyskotkę, z nieco tajemniczą scenerią w tle, rozgniewał młodszego. Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał szyderycy i wyniosły śmiech Liama. W tej sekundzie Henry poczuł rywalizację o dziewczynę, co spowodowało go do wszczęcia awantury. Młodszy z chłopaków próbował zabrać naszyjnik Liamowi, ale on walczył o swoje. Zdezorientowana Klara nie zdążyła zareagować, gdy między braćmi wybuchła gwałtowna bójka. Usiłowała objąć spojrzeniem grad ciosów, aż nagle zauważyła, jak srebrny naszyjnik wymyka się z dłoni chłopaków i upada na drewnianą podłogę. W ciszy, która zapadła, wszyscy dostrzegli, jak pod wpływem upadku wisiołek zaczął się delikatnie otwierać. To wystarczyło, by bracia zamarli, a ich gniew ustąpił miejsca zaskoczeniu. Klara ostrożnie podeszła do naszyjnika. Wewnątrz, na skrawku pergaminu, znajdowały się słowa, które zdawały się niemal szeptać tajemnicę: „Między dwoma księżycami blask się rozprzestrzenia, biały strażnik w mroku czeka na odkrycie przeznaczenia”.

Klara podniosła wzrok na braci, a w ich oczach dostrzegła coś więcej niż gniew – cień wspólnego celu, który czeka na odkrycie. Zaintrygowani chłopcy doszli do wniosku, że nie mogą zatrzymać tej zagadki dla siebie. Postanowili zapytać rodziców, co może oznaczać tajemniczy napis znaleziony w starym wisioru. Państwo Benedetti, z lekkimi uśmiechami na twarzach, opowiedzieli im niezwykłą historię o Emmie Henderson – pięknej kobiecie, która dawno temu zamieszkiwała pierwszą posiadłość wybudowaną przez założycieli Amber Hill.

– To miejsce teraz stoi opuszczone głęboko w lesie, nieopodal pierwszego cmentarza w mieście – zaczęła matka tonem pełnym tajemnicy. – Ale mówię, że trzeciego dnia każdego miesiąca, dokładnie o trzeciej w nocy, z okolic domu słychać śmiechy i odgłosy bawiących się ludzi.

Trójka nastolatków wymieniła spojrzenia i wybuchnęła śmiechem, choć w oczach Henry’ego można było dostrzec cień negatywnych emocji – może smutku, może zazdrości o ukochaną, a może obu naraz. Mimo wesołości ciekawość nie pozwoliła im zlekceważyć opowieści, więc z uwagą słuchali dalej. Może to tylko legenda, ale czyż wszystkie tajemnice nie mają w sobie ziarna prawdy?

– Stary dom, cmentarz, jakieś duchy... Ale co to ma wspólnego z napisem w wisioru? Kim jest ta kobieta? Czy ona jeszcze żyje? – zapytał niecierpliwie Liam.

– Oczywiście, że już nie żyje, synu – odparł ojciec spokojnym głosem. – Została pochowana na cmentarzu obok swojego domu, a co do napisu, to...

– To same brednie. Nie zaprzątajcie sobie tym głowy – przerwała szybko mama, wyraźnie chcąc uciąć temat. – To tylko stare legendy i historyjki opowiadane dzieciom do poduszki. Lepiej połóżcie się już spać i wypijcie się przed jutrzejszą imprezą urodzinową przyjaciółki. Klaro, proszę, przekaz swoim rodzicom, żeby przyszli do nas o osiemnastej na kolację. Będziecie mieć wolny dom, ale proszę, zachowujcie się odpowiedzialnie.

– Dobrze, pani Benedetti. Przekażę. Pójdę już. Dobranoc! – powiedziała Klara, przytulając na pożegnanie Henry’ego i Liama.

KOLEJNEGO DNIA RANO

Rodzice Klary obudzili ją uściskami i prezentami, jednak urodzinowy nastrój dziewczyny przytłaczały miłosne rozterki. Miała wątpliwości co do swoich uczuć. Z jednej strony ceniła lojalność, spokój i wrażliwość Henry'ego, ale z drugiej coraz bardziej intrygowały ją nieprzewidywalność i pewność siebie Liama, a przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa, które przy nim czuła. Bracia byli zupełnymi przeciwieństwami. Liam – po tacie odważny, zaborczy, ale też egoistyczny i obojętny na ludzi, którzy nie są dla niego ważni. Natomiast Henry był żądny przygód, ale przy tym towarzyszyła mu wrażliwość, sentymentalność i momentami słodka niezdarność, która też podobała się dziewczynie. Te myśli tłumiły w niej chęć zabawy w dniu jej urodzin. Przysłaniały każdą chwilę tego dnia. Klara miała świadomość, że czeka ją ważny wybór, który wpłynie nie tylko na jej los, ale też na losy obu rodzin. Pochłonięta myślami, próbowała przystroić dom i przyszykować przekąski. Gdy goście zaczęli się schodzić, rozpoczęła się huczna zabawa, a Klara chociaż na chwilę zapomniała o swoich zmartwieniach, mimo że większość imprezy spędza na tańczeniu z Liamem. Zasmucony tym widokiem i zazdrosny Henry postanowił zająć głowę zagadką z naszyjnika. W tym zadaniu pomagała mu Lily, koleżanka z klasy jego i Klary. Nie potrafili doszukać się sensu zapisku, więc postanowili udać się do dawnego domu pani Henderson.

– Naprawdę wolisz iść ze mną do opuszczonego domu w środku lasu, zamiast spędzić czas z dziewczyną, którą kochasz? – zapytała Lily, a w jej głosie pobrzmiwał smutek.

Henry spojrział na nią z lekkim zdziwieniem.

– Skąd pomyśł, że ją kocham...?

– Żartujesz? Od zawsze byłeś w nią wpatrzony – odparła cicho, spuszczać wzrok. – Szkoda tylko, że Klara tego nie widzi i woli spędzać czas z twoim zarozumiałym, beczelnym bratem. Ja... na jej miejscu wybrałabym ciebie.

Jej słowa zawisły w powietrzu niczym niewidzialna granica, której nikt z nich nie miał odwagi przekroczyć. Cisza opadła na nich jak mgłą, ciężka i pełna niewypowiedzianych myśli. W oddali szum wiatru igrał w koronach drzew, jakby natura chciała wypełnić pustkę, która nastała. Nagle w martwej

ciszy wyrósł przed nimi widok starej, majestatycznej posiadłości. Blask księżyca nadawał budynkowi niezmiernie uroku, ale jednocześnie wzbudzał dziwny niepokój, jakby przeszłość wciąż krążyła w jego murach. Niespodziewanie rozległ się dzwonek telefonu.

– To Klara... – powiedział Henry z uśmiechem.

– Gdzie jesteś? – usłyszał niewyraźnie drżący głos, który był zniekształcony z powodu słabego zasięgu.

– W lesie, przed domem Emmy Henderson – odparł spokojnie.

– Co? Ale jak... to? Halo?

– Halo? Klara?

Połączenie nagle się przerwało, a Henry spojrzał na ekran. Brak zasięgu. Wokół znów zapanowała cisza, ale tym razem zdawała się cięższa, jakby las wiedział coś, czego oni jeszcze nie potrafili zrozumieć.

– Uważam, że to niebezpieczne, by wchodzić do środka. Ta rudera ledwo stoi – rzekła z niepokojem Lily.

– Masz rację. Chodź zobaczyć cmentarz, o którym tata mi opowiadał – odparł Henry.

Za posiadłością, w cieniu starych drzew, krył się mały cmentarz, miejsce cichego spoczynku dwunastu dusz, których imiona wryto na prostych kamiennych tabliczkach. Jednak pośród tej skromnej symetrii uwagę przyciągały trzy nagrobki, które wyróżniały się położeniem. Na samym przodzie, tuż pod posągami anioła o rozwartych skrzydłach, z jednej strony spoczywał Giovanni Benedetti, a z drugiej Antonio Benedetti. Między nimi, jakby na straży ich pamięci, znajdował się grób Emmy Henderson. Jej imię, wyryte na marmurowej tabliczce, zdawało się szeptać tajemnicę, której strzegł posąg anioła.

– Moi pradiadkowie... – szepnął zdezorientowany Henry. – Skoro trzecim, nieznanym założycielem Amber Hill jest kobieta, to oznaczałoby, że jest nią...

– Emma – dopowiedział Liam wylaniający się spośród drzew.

– Co wy tu robicie? – Henry był zdezorientowany.

– Myślisz, że przegapiłbym potańcówkę z duchami o trzeciej w nocy? – odpowiedział mu sarkastycznie starszy brat.

– Daj spokój, Liam... Chodźmy stąd. Tu jest strasznie – stwierdziła Klara, którą starszy z chłopaków namówił na przyjscie do posiadłości Emmy.

– Nie ma opcji. Musimy rozwiązać tę zagadkę, a gdzie znajdziemy odpowiedź albo chociaż podpowiedź, jak nie w trumnie samej zainteresowanej?

– Chyba postradałeś zmysły! – wykrzyknęła oburzona Lily.

– On ma rację – przyznał z niechęcią Henry.

Mimo sprzeciwu dziewczyn bracia zaczęli rozkopywać ziemię szpadlami znalezionymi w starej szopie. Kopali tak długo, aż usłyszeli głuchy dźwięk narzędzia uderzającego o trumnę. Zmieszani, niepewnie ją otworzyli. Obok resztek kości dostrzegli stary dziennik.

– Aha! Mówiłem, że coś tu znajdziemy – powiedział dumnie Liam.

Za pomocą szpadla Liam wy dobył dziennik. W drodze powrotnej Henry zaczytywał się w zdobyczy. Okazało się, że tak naprawdę nie jest to dziennik, a pamiętnik z czasów młodości Emmy. Szybko go przejrzał, aby zobaczyć, czy nie ma w nim nic poza miłosnymi rozterkami pani Henderson. Na ostatniej stronie był widoczny ten sam napis co w wisioru, ale było coś jeszcze.

Pod napisem widniał rysunek pięknego, okazałego i bogatego w kryształach pierścionka. Henry nie chciał o tym mówić przy Lily, bo jej nie ufał. Pytania koleżanki zbył słowami, że chciał zobaczyć pierwszy budynek postawiony w Amber Hill, a w dzienniku są tylko miłosne bazgroły. Na pytanie o zagadkę z naszyjnika odpowiedział, że Emma na starość pisała jakieś brednie. Lily nie rozumiała, dlaczego młodszy z braci zabrał ją w środku nocy do lasu, aby otworzyć trumnę jednej z założycieli miasta. Wiedziała, że jest drugie dno tej sytuacji, ale nikt nie chciał jej wtajemniczyć. Trójka przyjaciół pokłóciła się z Lily. Klara, Liam i Henry, zdezorientowani, ale i podekscytowani całą przygodą, wybrali się na plażę. Widok księżyca odbijającego się w tafli morza uspokajał ich umysły. Zrodziła się rozmowa o celu i chęci rozwiązania zagadki.

– Po co nam to wszystko? Nie możemy żyć jak normalni nastolatkwowie? – zapytała roztargniona Klara.

– Właśnie chodzi o to, że żyjemy jak normalni nastolatkwowie. Może to tylko brednie starej kobiety, a może kryje się za tym coś więcej. Nie chciałabyś przeżyć przygody, którą będziesz wspominać do końca życia? – odparł Liam.

– Nie wiem, czy chciałabym wspominać moje osiemnaste urodziny jako dzień, w który wyszłam z mojej imprezy urodzinowej, aby patrzeć, jak dwójka moich najlepszych przyjaciół rozkopuje grób, a w międzyczasie mój dom zostaje pod opieką pijanych nastolatków! – odpowiedziała zdruzgotana zaistniałą sytuacją Klara.

Rozmowa się urwała. Trójka przyjaciół była wręcz zahipnotyzowana widokiem spokojnego morza, które oświetlało pulsujące światło latarni. Klara wstała, aby zrobić zdjęcie. Dla braci był to podwójnie piękny obraz: Klara na tle piaszczystej, niebiesko-srebrnej plaży. Dziewczyna zrobiła zdjęcie białego, ale błyszczącego księżycy, który odbijał się w morskiej tafli.

– Między dwoma księżycami blask się rozprzestrzenia... – szepnęła pod nosem. – Hej! Chłopcy! Tu chodzi o odbicie księżycy w morzu!

Bracia zerwali się równo z blaskiem latarni.

– A latarnia jest tym blaskiem, który między nimi się rozprzestrzenia... No tak! – wykrzyknął Henry z zachwytem spowodowanym rozwiązaniem zagadki.

– No dobra, ale co z tym czarnym strażnikiem? – zapytał ignorancko starszy brat.

– Białym, Liam... – zaśmiała się Klara.

– Może powinniśmy to sprawdzić właśnie w latarni – oznajmił podekscytowany Henry.

– Zagadka rozwiązana, ale czy moglibyśmy pobawić się w poszukiwaczy skarbów jutro? Skoro przez kilkaset lat nikt tego nie sprawdził, to jeden dzień nas nie zbawi – odpowiedziała Klara z grymasem na twarzy.

– Klara ma rację. Zostawiliśmy jej dom bez nadzoru pijanym ludziom. Powinniśmy już wracać i sprawdzić to w dzień – poparł dziewczynę Liam.

– Nie! Musimy działać już teraz. Jesteśmy tak blisko... – błagałnym głosem powiadomił przyjaciół Henry.

– Nie rozumiesz, że to zbyt niebezpieczne, żeby w środku nocy wchodzić do starej, ledwo stojącej latarni? – zapytała retorycznie Klara.

– A czy ty zawsze musisz tak dramatyzować? Przecież nic nam nie będzie. Chcecie, to zostańcie. Ja idę.

Zaintrygowany Henry bez zastanowienia zaczął pośpiesznie wspinać się po spiralnych schodach.

– On myśli tylko o sobie... Nigdy nie brał pod uwagę tego, co ja czuję i myślę – powiedziała Klara, zdruzgotana nieczulością i obojętnością Henry’ego.

– To prawda. Henry to jeszcze dziecko, które stawia siebie na pierwszym miejscu – odpowiedział starszy brat, gładząc dziewczynę po ciepłym, rumianym policzku.

W tym momencie serce Klary zaczęło bić szybciej. Zrozumiała, że to właśnie Liam jest osobą, którą szczerze kocha.

– Dlatego wybieram ciebie, Liam... – powiedziała z niepewnością w głosie.

Oczy chłopaka rozbliły, odbijając Klarę na tle granatowego morza. Nie spodziewał się takiego wyznania, mimo że czekał na nie od dawna. Zakłopotany, ale jednocześnie uśmiechnięty, wziął dziewczynę w ramiona. Para wyznała sobie miłość, którą zwińczył pierwszy pocałunek. Idylliczną chwilę przerwał krzyk Henry’ego pomieszany ze śmiechem. Przejęci kochankowie zaczęli wbiegać na sam szczyt latarni, potykając się o własne nogi. Dziury w metalowych schodach nie pomagały w szybszym dotarciu do celu. Gdy już go osiągnęli, Henry pokazał zasapanym przyjaciółom „białego strażnika”, którym okazał się anioł na obrazie. Młodszy z braci zdjął ze ściany dzieło, za którym przez wiele lat ukrywał się metalowy kufer z wyłobionym miejscem na wisiołek, który Klara dostała od Liama. Dziewczyna zdjęła z szyi łańcuszek i przyłożyła ozdobę do skrzyni. Podarunek od Liama był tak naprawdę kluczem do kuferka. Oczom trójki przyjaciół ukazało się małe pudełeczko na tle pięknych i lśniących kryształów oraz monet. Liam otworzył je i znalazł pierścionek, o którym była mowa w pamiętniku Emmy Henderson. Starszy brat żartobliwie klęknął na kolano i spytał Klarę, czy zostanie jego dziewczyną. Zauroczona tym gestem dziewczyna oczywiście odpowiedziała twierdząco. Gdy para się przytuliła, w Henrym coś pękło. Dwaj bracia znowu zaczęli się między sobą awanturować. Przepychanka przerodziła się w bójkę, Klara nie wiedziała, jak załagodzić sytuację. Złamane serce Henry’ego dodawało mu sił. Mimo że młodszy, niższy i fizycznie słabszy od Liama, miał

znaczącą przewagę, gdyż targał nim gniew. Gdy dominacja starszego brata stała się widoczna, zdesperowany Henry popchnął Liama tak mocno, że ten wypadł za barierkę latarni. Głośny krzyk Klary rozprzestrzenił się niemal po całej plaży, a wiatr niósł dalej głos rozpacz. Oboje z Henrym zbiegli na dół, ale wiedzieli, że upadek z piętnastu metrów może oznaczać tylko jedno. Amber Hill stało się świadkiem tragedii, która wstrząsnęła jego mieszkańcami. Każda kolejna fala uderzająca o brzeg zdawała się szeptać o utracie, bólu i niemożności naprawienia błędów przeszłości. Henry, obarczony ciężarem winy, zrozumiał, że jego obsesja na punkcie skarbu i miłości zniszczyła nie tylko jego życie, ale także życie innych. Wspomnienia tamtej nocy pozostaną w ich sercach na zawsze.

40 LAT PÓŹNIEJ

Od dnia pogrzebu Klara i Henry nie zamienili więcej ani jednego słowa. Kobieta obwinała go za nieszczęście i żalobę, z którymi musiała codziennie się zmagać. Rodzina Benedetti nigdy nie pogodziła się ze stratą Liama. Młodszy brat każdego dnia budził się ze świadomością, że pozbawił życia najważniejszą i najbliższą sobie osobę w imię miłości do dziewczyny, która go odrzuciła. Starał się żyć z tą myślą. Założył rodzinę z Lily, ale wie, że jego życie nigdy nie będzie wolne od poczucia winy i skrajnych, wyniszczających emocji. Natomiast Klara nie potrafiła ruszyć dalej. Mimo że była już dojrzałą kobietą, owo zdarzenie odcisnęło trwale piętno na jej psychice. Każdego dnia myślała o ukochanym. Nigdy nie zdjęła pierścionka, który Liam podarował jej na chwilę przed śmiercią. Mimo że chłopak fizycznie umarł, to w jej pamięci i sercu pozostał na zawsze żywy. Klara wielokrotnie studiowała pamiętnik Emmy Henderson. Znała go na pamięć, a mimo to za każdym razem zaczytywała się w nim na nowo. Utożsamiała się z zapiskami z życia młodej Emmy, gdyż założycielka miasta miała taki sam problem jak ona – Klara. Nie była pewna, komu chce oddać swoje serce – Antoniemu Benedetti, młodszemu z braci, wrażliwemu marzycielowi, którego wyobraźnię pochłaniały zagadki i poszukiwanie skarbów, czy może jednak Giovanniemu, uosobieniu męskości i pewności siebie, choć chwilami zbyt aroganckiemu, jak zwykła pisać

w swoim pamiętniku pani Henderson. Emma, podobnie jak Klara, ostatecznie dokonała wyboru. Choć Klara nie mogła odczytać imienia zapisanego na pergaminie, przetartym właśnie w tym miejscu, w głębi duszy czuła, że serce Emmy należało do Giovanniego. To było tak oczywiste jak widok strumienia światła latarni pływającego po nocnym obrazie granatowego morza.

Wiadomość

Stalking (ang. podchody, nękanie i prześladowanie) to przestępstwo polegające na uporczywym nękaniu ofiary, wzbudzającym usprawiedliwione poczucie zagrożenia lub naruszenie jej strefy osobistej.

* * *

Dźwięk budzika wyrwał mnie ze snu, który prezentował się o niebo lepiej niż rzeczywistość, w której przyszło mi żyć. Szybko włożyłem ubrania rzucone przeze mnie zeszłej nocy na krzesło w pokoju. Wypiłem kawę, zapaliłem papierosa i wyszedłem z mieszkania.

Na uczelnię przeważnie jadę autobusem. Nie z powodu desperacji, ale mimo tego całego stereotypowego myślenia ludzi autobusy są o wiele lepsze. Na dworze temperatura jest na minusie, a ja sam idę kilka kilometrów, pociągając co chwila nosem, zakrywając przy tym twarz, aby jej nie odmrozić. W końcu docieram do dworca, który nocą zamienia się w swoisty klub walki. Każdy, kto wejdzie na jego teren po północy, wraca z rozwalonym nosem albo rozciętym łukiem brwiowym. Nie jest to okolica, w którą chciałbym się zapuścić późnym wieczorem. Z dworca jedziemy do centrum, które jest wypełnione na pozór niewinnymi twarzami. Sceneria wygląda jak jakaś symulacja, w której zaprogramowani ludzie powtarzają podstawowe czynności. To się nazywa rutyna i każdy ją ma.

Jedyne, co mnie powstrzymuje od zanudzenia się na śmierć podczas tej półgodzinnej przejażdżki, to wpatrywanie się przez okno i obserwowanie codziennego życia zwyczajnych ludzi. Nie będę ukazywał siebie jako geniusza, wręcz przeciwnie... Jestem zwyczajnym człowiekiem. Jak każdy wykonuję zwyczajne czynności, jem zwyczajne jedzenie i mam zwyczajne hobby.

* * *

Przecież każdy jest zwyczajny... Ale cały czas zadaję sobie pytanie: czemu ona wybrała właśnie mnie?

Wszystko było dobrze, zanim pojawiła się ona... Spoglądałam od kilku minut na powiadomienia w telefonie. Nie wiem, ile zostało mi czasu, zanim ona w końcu po mnie przyjdzie. Jednak nie zostawię tak tej sprawy... Może ktoś to odczyta za mnie, a może mi się uda kiedyś to przeczytać. Nie mam pojęcia, gdzie ona może być, ale na pewno jest niedaleko mnie. Za każdym razem, gdy próbuję udowodnić komuś jej istnienie, słyszę od znajomych teksty typu „idź się leczyć” czy też „wiem, że ci ciężko” – co swoją drogą jest najgorszym, co można powiedzieć komukolwiek.

* * *

Chłodny powiew zimowego powietrza wymieszany z płatkami śniegu zaczął ponownie owiewać moją twarz, kiedy drzwi autobusu się otworzyły. Zakryłem się szalikiem, poprawiając przy tym kaptur, aby śnieg nie wlatywał mi za kurtkę i ruszyłem w kierunku uczelni.

Tego dnia byłem pierwszym, który czekał na zajęcia. Jednak po zaledwie chwili zobaczyłem, jak schodzą się kolejne osoby – oczywiście witałem się z nimi, ale jedyne, co miałem w głowie, to te wiadomości. W końcu zobaczyłem dwójkę moich znajomych, których poznałem na rozpoczęciu roku. Tak się złożyło, że chodzimy na te same zajęcia. Przez chwilę staliśmy pod salą i dyskutowaliśmy o codziennych tematach. Po kolejnych pięciu minutach przyszedł profesor, równie niewyspany jak my. Drzwi sali się otworzyły i wszyscy zajęli miejsca, a prowadzący z początku, przekładając kartki z dzisiejszym tematem, wyciągnął notes, stłumił coś w sobie i zaczął czytać listę obecności:

- Tomasz Sienkiewicz.
- Jestem! – odezwał się z ostatniej ławki.
- Mateusz Majkowski.
- Jestem – odezwał się z pierwszej ławki.
- Michał Zamojski.

– Jestem! – odezwałem się ze środkowej ławki wiadomość tekstową ze zdjęciem, na którym widać, jak wchodzę do bloku, w którym mieszkam. Przed godziną wróciłem z zakupów. Opis zdjęcia mocno mnie zastanawia: „Kiedy mnie zaprosisz do siebie, bohaterze?”

Z początku myślałem, że to moi koledzy ze studiów robią sobie żarty, ale jedyne, co od nich słyszałem podczas rozmowy, to słowa zaprzeczenia... Żaden z nich nie wie, gdzie mieszkam. Zwykle spotykaliśmy się w centrum.

Jestem w takim potrzasku, że zwyczajny człowiek by tego nie zrozumiał. Dwie godziny po otrzymaniu ostatniej wiadomości dostaję kolejną.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale postanowiłem odpisać. Chwilę zwlekąłem, myśląc, co mógłbym przekazać osobie, która mnie przecież prześladuje.

„Kim ty, do cholery, jesteś?”

Odpisała po chwili.

„Nie pamiętasz mnie? Widocznie tyle dla ciebie znaczę, że nie potrafisz sobie przypomnieć. Będzie kara...”

„Prześlan! Kim ty jesteś?”

„Ta, którą uratowałeś, chce się odwdziaczyć...”

„Daj mi w końcu spokój i nie wypisuj do mnie!”

„Naprawdę?”

„Tak”.

„Nie zostawię cię... Kochanie...”

(Wiadomość nieprzeczytana).

Wyłączyłem telefon i odłożyłem go na biurko. Kładę się spać. Nie mogę zasnąć. Przez całą noc próbowałem rozwikłać jej słowa: „Ta, którą uratowałeś”.

Nie przypominam sobie, abym kogoś uratował. Zresztą brzmi to jak jakiś absurd, chociaż nie do końca... Jestem typem osoby, która łatwo nawiązuje kontakt z innymi, przez co wielu darzy mnie ogromnym zaufaniem. Dwa tygodnie temu mieliśmy inaugurację dla studentów pierwszego roku. Oczywiście świętowaliśmy też w klubie. Tam poznałem kilka osób. Zabawa trwała całą noc, a ja złapałem z nimi dobry kontakt na tej imprezie. Jednak

gdy próbuję sobie uzmysłowić, kim może być moja prześladowczyni, mam pustkę w głowie.

Było dość ciepło jak na październikową noc. Wszędzie był śmiech. Humory dopisywały. Śpiewane były hity lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

W pewnym momencie podszedł do mnie Tomek, zachęcając do powrotu do środka, bo rozgrywali kolejną partię makao i potrzebowali jednej osoby do zapelnienia luki w zespole. Gdy doszedłem do stołu, do gry dołączył jeden ze studentów medycyny, którego poznaliśmy tamtej nocy – wstawiony jak szpadel, co ledwo składał kroki.

Lekko znudzony udałem się na mały spacer po mieście, aby rozmyślać na temat swojej przyszłości. Kilkanaście metrów od klubu na ławce siedziała dziewczyna. Im byłem bliżej niej, tym wyraźniej było słycać jej płacz. Podszedłem do niej i wykorzystując swoje umiejętności komunikacyjne, starałem się ją pocieszyć, ale jedyne, co robiła, to kręciła przecząco głową. W pewnym momencie stwierdziłem, że dalsza rozmowa z nią nie ma sensu, i zacząłem kierować się w stronę klubu. Nagle poczułem, jak ktoś łapie mnie za kurtkę. Odwróciłem się i zobaczyłem dziewczynę, która trzymała się mnie drżącą ręką, wpatrując się we mnie. Na początku poczułem strach, lecz kiedy zobaczyłem jej czerwone od płaczu oczy, zrobiło mi się jej żal.

– Czekaj... – powiedziała chrypliwym głosem. – Posiedź ze mną, proszę...

Usiadłem lekko zestresowany, ale nie przerażony. Większość czasu mówiła o swojej trudnej sytuacji na uczelni i w pracy... Rozumiałem ją ze względu na podobne przeżycia zaraz po zdaniu matury. Też byłem zagubiony, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić... Podjąłem pracę, której nienawidziłem. Nie byłem szanowany przez innych jako pracownik i jako człowiek. Szydźili ze mnie, robiąc zdjęcia i rozsyłając znajomym. To wszystko oddziaływało na mnie, przez to stawałem się coraz bardziej oschły. Zdecydowałem się pójść na studia, aby uciec od środowiska, w którym nie czułem się dobrze. W październiku zacząłem nowe życie z dala od toksycznych ludzi.

– Naprawdę nie wiem, co powinnam dalej robić... Czuję, że moje życie nie ma sensu. – Z każdym słowem jej ton był coraz cięższy.

– Nie musisz być najlepsza we wszystkim. Spójrz. – Wskazałem palcem na tłumy studentów stojących przed klubem. – Myślisz, że każdy z nich ma łatwo w życiu? Oczywiście, że nie, ale nie pozwalają się ponosić złym myślom, idą do przodu, nie patrząc za siebie... Jaki ty masz cel?

– Ja... – Otarła oczy z łez. – Chcę być animatorką, ale boję się, że to nie dla mnie...

– Animacja? Ja się z tobą nie zgodzę... Jeśli jesteś na tyle ambitna, aby iść w tym kierunku, to szczerze... Podziwiam cię w tym momencie. Ja sam mam cel, aby zostać pisarzem, i choć wiem, że to będzie trudne, to i tak w to brnę... Bo to jest to, co lubię. Tobie radzę tak samo. Wierz w siebie.

– Dziękuję... Będę animatorką. – Wstała z ławki i wykrzyknęła: – Będę animatorką!

– I o to chodzi.

– Jesteś moim bohaterem... Naprawdę dziękuję za twoje słowa.

– Nie jestem żadnym bohaterem... Będę wracał do środka. Miło się rozmawiało.

– Do zobaczenia, bohaterze.

Wstałem z ławki i ruszyłem do środka. Kilka osób z kierunku, wśród nich Tomek, świętowało wygrane trzy partie bilarda.

* * *

Jedyne, co pamiętam, to obraz, gdy wbijała mi się w tętnicę szyjną nożem kuchennym, a drugą ręką zakrywała mi usta, żebym nie mógł krzyczeć. Zegarek stojący obok mojego łóżka wskazywał pierwszą trzydzieści siedem. Przebudziłem się uradowany, że to tylko sen. Wstałem z zamiarem pójścia po szklankę wody. Usłyszałem kroki dochodzące z kuchni, szybko wróciłem do pokoju i zabarykadowałem się, trzymając klamkę. Po chwili w całym mieszkaniu zapadła cisza. Uchyliłem trochę drzwi, żeby się upewnić. „To musiał być sen”, pomyślałem.

Usiadłem na łóżku. Serce zaczęło mi szybciej bić, gdy zza pleców usłyszałem jej głos...

– Mój bohater...

Przez cały ten czas to była ona – studentka animacji. Odwróciłem się na pięcie. Zegar wskazywał pierwszą trzydzieści sześć, a ona stała naprzeciwko mnie, trzymając nóż.

– Tęskniłeś, kochanie?...

Nie jej zbrodnia

Maj. Dla niektórych zwykły, nic nieznaczący miesiąc, lecz dla maturzystów to czas pełen stresów związanych z egzaminem dojrzałości. Ostatnie powtórki, przygotowania, myśli w głowie: „Co jeśli nie zdam?”, „Co jeżeli pójdzie mi okropnie?”. Aż w końcu nadchodzi ten dzień, dzień pierwszego egzaminu: drżenie rąk, nogi jak z waty, przyspieszony oddech. To wszystko towarzyszyło mi podczas tego wielkiego dnia – dnia egzaminu maturalnego. Jestem Maja, a to moja historia. Historia, przez którą wylałam wiele łez, a w głowie pojawiły się myśli nie do zrozumienia dla zwykłej nastolatki, takiej jak ja. Ale zaczynamy od początku – od dnia, w którym się to wszystko zaczęło. Od samego rana czułam ogromny stres związany z zaczynającymi się dziś maturami. Próbowałam zjeść śniadanie, lecz się nie udało, więc wyruszyłam w drogę. Na słuchawkach włączyłam ulubioną piosenkę, by chociaż ona trochę mnie uspokoiła. Gdy dotarłam pod szkołę, zobaczyłam moją przyjaciółkę Marikę. Stała uśmiechnięta pod budynkiem i zaczęła mi entuzjastycznie machać. Wyglądała, jakby niczym się nie przejmowała, zero stresu i nerwów. „Cała ona”, pomyślałam. Odmachałam i ruszyłam szybkim krokiem w jej kierunku. Nagle zauważyłam jadący wprost na mnie rower. Poruszał się tak szybko, że nie zdążyłam odskoczyć i oboje z rowerzystą znaleźliśmy się na ziemi.

– Jesteś cała? – Usłyszałam męski głos.

– Kuba? Jak mogłeś! Przez ciebie jestem cała brudna!

– Przepraszam, śpieszyłem się. Ale na pocieszenie powiem ci, że w tej rozdartej i brudnej marynarce również ci do twarzy.

– O nie, nie! Tylko nie to! Nie chcę znów słuchać tego twojego taniego podrywu! Jak ty w ogóle tak mogłeś, zabiję cię chyba! – Podniosłam się i otrzepałam, wrogo spoglądając na Kubę.

– Oj, nie złość się już tak, słodka, przecież oboje wiemy, że to żarty – odpowiedział, puszczając mi jednocześnie oczko.

– Nie wytrzymam dłużej z tobą! Marika, chodź ze mną. Musimy to jakoś szybko naprawić.

Razem z Mariką poszliśmy do toalety, by zmyć największe plamy z moich ubrań.

– Czemu on zawsze musi coś popsuć? – zapytałam Marikę.

– Oj, Maju, przecież obie wiemy, że podoba ci się on i jego styl bycia.

– Nieprawda! Denerwuje mnie to, że on zawsze musi coś popsuć, a sam ciągle ma szczęście.

– Pamiętaj, każde szczęście kiedyś się kończy, a my lepiej chodźmy, bo na pewno nie chcesz spóźnić się na maturę z polskiego.

Gdy dotarliśmy przed salę, wszyscy już siedzieli na swoich miejscach i czekali tylko na nas. Zajęliśmy wylosowany numer stolika i przystąpiliśmy do pisania. Zaczęłam przeglądać tegoroczne zadania, jednak coś nie pozwalało mi się na nich skupić. A może jednak to nie było coś. Przede mną siedział Kuba. Wszystkie moje aktualne myśli skupiły się wyłącznie na nim. Dołączył do naszej grupy całkiem niedawno i ciągle o nim myślę. Nie wiem sama, czy to dlatego, że jest taki arogancki i złośliwy, czy może Marika miała rację i zakochałam się w nim. Postanowiłam odłożyć to myślenie na później i w stu procentach skupić się na egzaminie. Po skończonym pisaniu wyszłam na korytarz, gdzie wszyscy już na mnie czekali.

– I jak ci poszło? – zapytała Marika.

– Całkiem w porządku, zrobiłam chyba wszystkie zadania – odparłam.

– Mówiłem, że jesteś zdolna i sobie poradzisz. Ten stres był ci zupełnie niepotrzebny – dodał kuzyn Mariki, Michał, który również się z nami przyjaźnił.

– A wam jak poszło?

– Całkiem dobrze. Myślę, że zdałam – odparła Marika.

Wtedy pojawił się też on.

– Nie gadajcie już na te nudne tematy. Mam lepszą informację! Rozmawiałem z tatą i powiedział, że wynajął nam domek nad jeziorem na tydzień – oznajmił Kuba.

– Ale jak? Kiedy? – odparłam zdziwiona.

– Od razu po maturach. Należy nam się taki wyjazd, odpoczniemy, poimprezujemy trochę. I nie chcę słyszeć słowa „nie”! Jesteście moimi przyjaciółmi i jedziemy tam razem. – oznajmił Kuba.

Wtedy oczy mi się zaświeciły. Była to dla mnie ogromna szansa, żeby zbliżyć się do niego i poznać go lepiej. Tydzień? Z nim? Nad jeziorem? Czy to nie brzmi jak najpiękniejszy sen? Dalej omawialiśmy szczegóły wyjazdu, który miał być już za tydzień. Każdy z nas ogromnie cieszył się na takie rozpoczęcie wakacji. Po dyskusji udaliśmy się do domów, by przygotować się do kolejnych egzaminów. Czas oczekiwania mijał spokojnie, każdy skupiał uwagę na powtórkach na przemian z pakowaniem ciuchów i robieniem listy rzeczy potrzebnych nad jeziorem. Aż wreszcie nadeszła chwila wyczekiwana przez wszystkich: moment wyjazdu. W nocy nie mogłam spać. Po głowie krążyła mi ciągle jedna myśl. Myśl o spędzeniu całego tygodnia z Kubą. Wywoływało to we mnie ogromną radość, ale także wielki stres, przez co nie mogłam spać. A przecież rano czekał mnie jeszcze ostatni egzamin. Ano tak – egzamin. Dziś była jeszcze matura ustna z języka angielskiego. Po przebudzeniu upewniłam się, że spakowałam wszystko, co potrzebne, ubrałam się i ruszyłam w drogę do szkoły. Spotkaliśmy się na parkingu, gdzie czekał na nas Kuba. Spakowaliśmy więc wszystko i ruszyliśmy do szkoły, lecz myślami byliśmy już na wymarzonych wakacjach. Na szczęście nie przeszkodziło nam to w zaliczeniu tak ważnego testu. Wszyscy zdaliśmy! Wywołało to w nas jeszcze większą radość i chęci do świętowania. Wyruszyliśmy więc w drogę. Naszym pierwszym celem był sklep. Brzmi dość zwyczajnie, ale co to za wakacje bez dobrych przekąsek i mocnych trunków. A więc po drodze zajechaliśmy na zakupy. Nie mogło jednak obyć się bez awantury. Oprócz mnie, Mariki, Kuby i Michała pojechał z nami Aleks. To chłopak Mariki, są już ze sobą naprawdę długo. Widać, że bardzo się kochają, ale jedno trzeba im przyznać: mają ogromny temperament, przez co ciągle się kłóć. Czasem to męczą, lecz Marika uparła się, by jechał z nami.

Dojechaliśmy do sklepu. Gdy reszta weszła do środka, Marika zatrzymała mnie, by mi coś pokazać.

– Zobacz, co specjalnego przygotowałam na wyjazd – powiedziała, machając woreczkiem z nieznaną mi substancją.

– Czy ja dobrze myślę? To coś nielegalnego? Natychmiast to wyrzuć! – odpowiedziałam.

– Nie ma opcji! Ten wyjazd będzie niezapomniany i mam nadzieję, że w końcu poznamy twoje inne, szalone oblicze – stwierdziła z rozbawieniem.

– Marika, co to ma znaczyć?! – odezwał się Aleks, który obserwował nas z ukrycia.

I wtedy zaczęła się ogromna kłótnia. Szybko dołączyłam do chłopaków będących w sklepie, bo na zewnątrz rozpętało się istne piekło. Z jednej strony nie dziwię się, że Aleks tak się zdenerwował – pomysł Mariki był naprawdę irracjonalny. Ale z drugiej Marika to moja przyjaciółka i wiem, że nie zrobiłaby nic złego. Gdy na dworze wciąż trwała awantura, ja i chłopacy kontynuowaliśmy zakupy. Gdy skończyliśmy, emocje trochę już opadły, lecz podczas drogi do domku w aucie panowała niezręczna cisza. Na miejsce dotarliśmy koło dziewiętnastej. Zapoznaliśmy się z ośrodkiem, rozpakowaliśmy wszystko i zabraliśmy się za szykowanie kolacji.

– Ej, Maja, zobacz tam – powiedział Kuba, smarując moją twarz sosem pomidorowym.

„Czy on właśnie dotknął mojego policzka?”, pomyślałam. Chciałam odwdziżyć się tym samym, jednak pomyślałam, że wyjdzie z tego scena niczym z taniego filmu romantycznego.

– Musisz to teraz wytrzeć – powiedziałam stanowczo. Cała grupa patrzyła na nas, jakby miała przecucie, że to nie będzie zwykłe przetarcie ręcznikiem.

– Dla ciebie wszystko, moja królowo – powiedział z uśmiechem Kuba i przyłożył język do mojego policzka, zlizując z niego sos.

Czułam, jak cała się czerwienię – takiego zwrotu akcji chyba nikt się nie spodziewał. Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, od tej chwili atmosfera się rozluźniła i w dobrych humorach kontynuowaliśmy robienie kolacji. Dość szybko poczuliśmy się zmęczeni. Dzień był pełen emocji i wrażeń. Po zjedzeniu kolacji i wypiciu kilku mocnych napojów poszliśmy się położyć, w końcu czekały nas jeszcze piękniejsze dni. Ale czy na pewno?

Kolejny dzień zaczął się zwyczajnie. Gdy wstałam, reszta domowników była jeszcze w fazie snu. Założyłam więc słuchawki i wzięłam się za sprzątanie. Oczywiście towarzyszył mi przy tym taniec, bo co to za sprzątanie bez małych wygibasów. Nagle na coś wpadłam.

– Kuba? Co ty tu robisz?

– Może mieszkam? – zaśmiał się.

– No tak. Jak minęła noc? – zapytałam, próbując zmienić bezmyślne pytanie.

– W porządku, ale czułem się trochę samotny w tak wielkim łóżku.

– Czy to zaproszenie? – Czułam, że znów zaczynam się rumienić.

– Tutaj już musisz sama sobie odpowiedzieć – rzekł Kuba, posyłając w moją stronę zalotne spojrzenie. – Chcesz kanapkę? – zapytał.

– Jasne – odpowiedziałam i wróciłam do sprzątania.

Gdy reszta grupy wstała, postanowiliśmy skorzystać z pięknej pogody i spędzić dzień nad pobliskim jeziorem. Spakowaliśmy więc przekąski i wyruszyliśmy. Gdy zaczęło robić się ciemno, wymyśliliśmy, że wrócimy do domku i rozpalamy przed nim ognisko. Od razu spodobał mi się ten pomysł. Uwielbiałam ogniska. Po powrocie podzieliliśmy się obowiązkami. Panowie wzięli się za szycowanie drewna i rozpalenie ognia, a my z Mariką przygotowywałyśmy kielbaski oraz drinki i inne przekąski na dzisiejszy wieczór.

– Muszę ci coś powiedzieć, Marika. Dziś rano Kuba powiedział, że czuje się samotny w swoim łóżku. To dość nietypowe. Myślisz, że dziś wieczorem powinnam pójść do niego? – zapytałam niepewnie.

– Oj, Maju, są wakacje! Na wakacjach jest dozwolone to, co jest zakazane w normalne dni. Obie wiemy, że od dawna podoba ci się Kuba, więc dlaczego miałabyś nie skorzystać z okazji? Nawet gdyby nic poważnego z tego nie wyszło, to spędzisz niezapomniane, piękne chwile, a przecież o to chodzi w życiu – odpowiedziała z przekonaniem Marika.

– Masz rację. Ten czas to moja szansa, i muszę ją wykorzystać.

– Dziewczyno, ognisko rozpalone! Zapraszamy! – zawołał nagle Michał.

– Już idziemy! – odkrzyknęła mu Marika. – Chodź, Maju, i pamiętaj: zrób wszystko, aby zbliżyć się do niego.

Zabrałyśmy potrzebne rzeczy i dołączyłyśmy do chłopaków. Ognisko było czymś pięknym! Szczere rozmowy, śpiewy przy gitarze, na której grał Michał, pyszne drinki. Wszystko szło super do momentu, w którym nie poczułam, że chyba za dużo wypiliśmy. Strasznie kręciło mi się w głowie i nie umiałam sobie z tym poradzić. Wstałam i próbowałam pójść do pokoju, ale niestety siła grawitacji w tamtym momencie mnie pokonała. Pomoc w odprowadzeniu mnie zaproponował Kuba. Oczywiście z niej skorzystałam. Wziął mnie wtedy na ręce i zaniósł na górę. Mało pamiętam, lecz potrafię sobie przypomnieć przebłyski, że gdy próbowałam zasnąć, to widziałam jego twarz. Nie wiem, czy naprawdę był obok, czy to tylko sen. Po godzinie wstałam, czując się już lepiej, a obok siedział on. Nic nie mówiąc, zaczął się do mnie zbliżać, tak jakby chciał mnie pocałować. Gdy do tego doszło, Kuba całkiem zmienił oblicze. Stał się stanowczy, tak jakby coś w niego wstąpiło. Zaczął coraz agresywniej mnie całować, dotykając przy tym mojego ciała. Nie chciałam tego.

– Kuba, koniec, zostaw mnie, proszę – powiedziałam wystraszona.

– Jesteś taka grzeczna, bądź tylko cicho, to będę delikatny – odpowiedział.

– Kuba, co ty mówisz? Ja niczego nie chcę, proszę, puść mnie. – Szamotałam się.

– Nigdy już cię nie puszcę. Oboje wiemy, że tego chciałaś – warknął.

Chłopak z każdą chwilą stawał się bardziej agresywny: przycisnął mi ręce do łóżka, całował po całym ciele. Próbowałam się wyrwać, ale był za silny. Jego oczy wyglądały niepokojąco, jakby był pod wpływem jakiejś substancji. Było coraz gorzej. Zaczął ściągać mi ubrania i kierował dłoń w moje miejsca intymne. Byłam przerażona. Jak to możliwe, że chłopak, który mi się podobał, był gwałcicielem? Mój świat się załamał, krzyczałam, błagałam, żeby przestał, ale on ciągle posuwał się dalej. Bolało mnie całe ciało, czułam wstręt do siebie i do niego. Kuba nie przestawał. Do moich oczu zaczęły napływać łzy strachu i bezradności, czułam, że nic już nie mogę z tym zrobić. Gdy Kuba zobaczył, że płaczę, wściekł się i stał się jeszcze groźniejszy. Uderzył mnie, powiedział, że mam być jego grzeczną dziewczynką i oddać mu się, a łzy tu w niczym nie pomogą. Wtedy usłyszałam ciche kroki na schodach.

Pomyślałam, że to moja szansa. Nagle zauważyłam, jak ktoś łapie za klamkę od pokoju. Drzwi się otworzyły i zobaczyłam Marikę. Jedyne, co miałam wtedy w głowie, to ucieczka.

– Nie przeszkadzajcie sobie, gołąbeczki – powiedziała z uśmiechem Marika, patrząc na nas.

Wtedy poczułam się jak w amoku. Wzięłam koc, który leżał na łóżku, i w samej bieliźnie wybiegłam z domku, nie tłumacząc nic nikomu. Wstydziłam się. Przez pewien czas biegłam przed siebie, nie zwracając na nic uwagi. Czułam ogromny strach, wstyd i miałam mnóstwo pytań w głowie. Gdy biegłam tak bez celu, nagle spostrzegłam, że znajduję się w środku jakiegoś lasu. Czy byłam przestraszona? Nie – czułam ulgę, że tutaj nikt mnie nie znajdzie. Byłam zalamana i roztrzęsiona, nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Maszerowałam więc tak po lesie, myśląc o tym wszystkim, co się stało. Nie chciałam wracać do domku, chociaż nic złego nie zrobiłam. Zziębnięta i skołowana szłam przed siebie z narzuconym na plecy kocem, myśląc, co powinnam zrobić. Gdy zaczęło robić się jasno, w oddali zobaczyłam jakiś dym. Pomyślałam, że to moja szansa, i w końcu znalazłam miasto i pomoc. Jednak myliłam się. Podchodząc coraz bliżej, zobaczyłam najpierw niebieskie mrugające światła, później zarysy samochodów i na koniec dom. Nasz wynajęty dom. Wtedy ogarnął mnie lęk. Stanęłam. Zamurowało mnie. Czy wszyscy już wiedzieli, co zrobił mi Kuba? Czy coś poważnego stało się w domu? Iść czy uciekać? Cała sytuacja mnie przerastała. Ja byłam tylko zwykłą dziewczyną, która miała proste życie. Gdy tak stałam, zauważyłam zapłakaną Marikę przed domem. Marika? Ona płacze? Moją głowę znów załapała masa pytań. Nagle w moją stronę ruszył policjant. Instynkt podpowiadał mi „uciekaj”, ale ja stałam jak wmurowana, nie potrafiłam wykonać żadnego ruchu.

– Pani Maja? Proszę ze mną – powiedział mundurowy, chwytając mnie za ramię i ciągnąc ze sobą.

Nie umiałam nic powiedzieć, w głowie płątały się myśli. Funkcjonariusz zabrał mnie do domku. W kuchni leżał Kuba, zapakowany w czarny worek. Policjant odsłonił go – chłopak był martwy. Wokoło było pełno krwi sączącej się z jego brzucha. Stałam niewzruszona. Poczułam ulgę. Już nic mi nie

zagrażało. Stałam wpatrzona w ciało i słyszałam tylko, jak malutka kropla z moich oczu rozbija się o czarny worek. Trwała cisza, po prostu cisza. Nagle do kuchni wpadł Michał, oskarżając mnie o zabicie Kubę. Ale mnie przecież tam nie było, to nie ja! Wzrok wszystkich obecnych był skierowany na mnie. Patrzyli tak, jakbym to naprawdę ja zabiła Kubę. Próbowалам się tłumaczyć, wyjaśnić, że to ja jestem pokrzywdzona. Pogorszyłam tym tylko swoją sytuację. Policja zabrała mnie na komendę. Byłam główną podejrzaną. Złożyłam zeznania, opowiedziałam historię o próbie gwałtu, ale nikt mi nie wierzył. Marika powiedziała, że mnie i Kubę coś łączyło, przez co nikt nie wierzył w gwałt. Z pokrzywdzonej stałam się mordercą. Zatrzymali mnie na czterdzieści osiem godzin, lecz nie mieli wystarczających dowodów i wypuścili mnie. Wróciłam więc do domu, lecz rodzice byli mocno zdenerwowani. Próbowалам wyjaśnić im całą sytuację, wytłumaczyć, że to ja byłam ofiarą i nic nie zrobiłam, jednak nawet oni nie chcieli mnie słuchać. Kazali mi się wynieść z domu. Nie chcieli mieć córki morderczyni. Moim jedynym ratunkiem była Marika. Poszłam więc z nią porozmawiać.

– Marika? Proszę, wpuść mnie, porozmawiajmy. Przecież widziałaś wszystko.

– Maju, odejdz, nasza przyjaźń jest skończona. Nie wiem, jak mogłaś zrobić coś takiego. Przecież go kochałaś! – wykrzyknęła zrozpaczona.

– Ale ja nic nie zrobiłam! Widziałaś przecież, że to Kuba próbował się do mnie dobrać. Ja naprawdę go nie zabiłam. Uwierz mi, proszę! – Próbowалам wszystko wyjaśnić.

– Odejdz stąd. Mam nadzieję, że za to odpowiesz – powiedziała załamana Marika, zatrzaskując mi drzwi przed nosem.

Załamalam się. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Do moich oczu ciągle napływały łzy, a w głowie miałam mętlik i wyrzuty sumienia. Pozostałam bez nadziei. Wszyscy we mnie zwątpili. Rodzina, przyjaciele. Przecież ja byłam ofiarą, a nie przestępcą. Dlaczego nikt nie chciał mi wierzyć? Pierwszą noc spędziłam na ławce w parku. Byłam głodna, spragniona i ogromnie przestraszona. Nie wiedziałam, co ze sobą poczuć. Gdy zaczęło robić się jasno, założyłam kaptur i chustkę, bo nie chciałam, by ktokolwiek mnie rozpoznał

i wytykał palcami. To, co wtedy przeżywałam, było nie do opisania. Myślałam, że ktoś się mną zainteresuje, będzie mnie szukał. Jedynie media wrzucały co chwile nowe artykuły, zawierając w nich, że jestem główną podejrzaną. W komentarzach aż roilo się od nienawiści skierowanej w moją stronę. Powodowało to we mnie jeszcze większą rozpacz i ból. Czując coraz większy strach, postanowiłam się ukryć w domku. W domku, w którym to wszystko się zaczęło. Podczas drogi nie wiedziałam, czy to dobra decyzja. Jednak nie miałam innego pomysłu. Gdy stanęłam przed drzwiami, poczułam chwilę zwątpienia. Wejść czy nie wejść? Weszłam i wtedy zaala mnie fala rozpaczy. Czulałam się porzucona, odtrącona, nikt nie chciał mnie słuchać. Dostałam ataku paniki. Postanowiłam pójść na górę, do miejsca, w którym dosłownie rozpoczął się ten dramat. Usiadłam na tym samym łóżku, na którym Kuba zaczął się do mnie dobierać. Obok stało jeszcze wino. Wzięłam łyk i drugi, i położyłam się. Popatrzyłam w górę i poczułam spokój. W mojej głowie zapanowały cisza i harmonia. Zaczęłam czuć, że w końcu staje się na nowo szczęśliwa. „Ale jak?” – zapytacie. Przed wejściem połknęłam dużą garść tabletek. Zaczęły działać. Chciałam zakończyć to w miejscu, gdzie się zaczęło. Nie dawałam już sobie rady. Nikt mnie nie chciał słuchać. Ja chciałam tylko być znów szczęśliwa. Czulałam, jak mój oddech słabnie. Serce biło coraz wolniej, aż w końcu przestało. Nie czulałam już smutku, strachu. Zaczęłam nowe życie. W nowym miejscu. „A co z zakończeniem śledztwa?” – zapytacie. Odpowiedź brzmi: nie wiem. Teraz jestem u aniołów. W niebie, które nie było sądem ani nagrodą – było domem. Miejscem, gdzie dusza odnajduje spokój, gdzie prawda staje się jasna i nikt nie pyta o winy. W nieskończonej przestrzeni światła odnalazłam to, czego tak długo szukałam na ziemi – ukojenie. A gdzieś w świecie, który zostawiłam za sobą, ktoś może spojrzeć w górę i zada pytanie, które nie zostało zadane wcześniej. Może prawda wyjdzie na jaw. Ale to już nie miało znaczenia. Byłam już wolna.

Tonąc w ciszy

– Jak rozumiesz słowo „cisza”? – To było pierwsze pytanie, które usłyszałam z ust Meredith.

– Cisza może być rozumiana na wiele sposobów, ale pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to brak dźwięków wokół nas. Jesteśmy tylko my w pustej, spokojnej przestrzeni – odpowiedziałam bez głębszego namysłu.

– Nie pytałam, czym cisza jest, tylko jak ty ją rozumiesz – powiedziała kobieta z delikatnym uśmiechem.

– Cisza to stan, kiedy mogę odetchnąć – wyznałam po chwilowym namyśle. – To chwila, gdy zostaję sama ze sobą, a żadne dźwięki mnie nie rozpraszają. Miejsce, gdzie mogę pomyśleć – odparłam, ścisząc głos. – Cisza to przestrzeń, w której mogę wsłuchać się w odgłosy otaczającego mnie świata bez obawy, że ktoś mnie skrzywdzi.

– Gdy byłam młodsza, myślałam, że cisza jest najlepszym, co może mnie spotkać. Ja nie tylko w niej trwałam, ja jej pragnęłam – powiedziała Meredith. – Była moim ratunkiem. Jedyną przyjaciółką w świecie pełnym śmierci. Tylko ona przy mnie była, gdy każdy, kogo kochałam, odchodził – wyznała, a z każdym jej słowem wyczuwałam, jak jej ton był przepełniony smutkiem. Jakby każde słowo, które wychodziło z jej ust, sprawiało ból. – Jednakże cisza potrafi być też pułapką, a ja stałam się więźniem w każdej jej tonacji.

Bez słowa przypatrywałam się Meredith. Staralam się pojąć znaczenie słów, które do mnie wypowiedziała, lecz na próżno. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego mówi mi to teraz. Co chciała tym osiągnąć? Jeszcze większy mętlik w mojej głowie? Jeśli tak, to jej się to udało. Czy Meredith mogła być więźniem ciszy? Co miała na myśli, określając świat jako miejsce

pełne śmierci? Ludzie rodzą się, trwają i umierają, tak samo jak natura. Jednak dlaczego pierwsze słowa, które od niej usłyszałam, były właśnie o tym?

Pomimo niezrozumienia nie zaprzętałam sobie głowy słowami kobiety. Może gdybym poświęciła im choć trochę więcej uwagi, zrozumiałabym i pojęła, w jakim więzieniu tkwiła Meredith.

* * *

Następnego dnia zastałam Meredith w ogrodzie. Siedziała na ławce, trzymając w dłoni czerwoną różę. Nie chciałam przerywać jej tego momentu, dlatego delikatnie stawiałam kroki, zbliżając się do kobiety. Meredith nie zareagowała, gdy stanęłam obok niej, jakby nie była świadoma mojej obecności. Nadal w ciszy obracała w dłoni kwiat.

– Moja matka uwielbiała kwiaty – wyznała po chwili, nie odrywając spojrzenia od rośliny. – Obok naszego domu było ich pełno. Całe dni spędzała w ogrodzie, plewiąc. Nie zliczę, ile razy wydlubywałam jej ziemię z włosów – wyszeptala z czułym uśmiechem, gładząc płatki kwiatu. – Na stole w salonie zawsze musiał stać świeżo zerwany bukiet. Pewnego dnia, gdy wróciłam ze szkoły, tata powiedział mi, że mama zasłabła w ogrodzie. Na początku się przeraziłam. Spytałam, czy to coś poważnego. Zapewnił mnie, że nie, i nie mam się czym martwić. Mama wróci następnego dnia, obiecywał – mówiła gorzko, podnosząc na mnie smutne zielone spojrzenie. – Gdy wróciłam ze szkoły, ich nadal nie było. Dla pewności przeszukałam cały dom, ale była w nim tylko cisza oraz ja, tkwiąca pośrodku salonu i wpatrująca się w zwiędłe kwiaty pośrodku jadalnianego stołu – powiedziała, wypuszczając z dłoni różę, która upadła na ziemię. – Cierpliwie czekałam na nich w salonie, z niepokojem wpatrując się w obwisłe główki kwiatów. Postanowiłam zerwać nowe, by mamę przywitał jej ulubiony widok. Wróciłam do środka z bukietem ośmiu czerwonych róż. W salonie czekał na mnie tata. Gdy tylko na niego spojrzałam, wiedziałam, co się stało. Mama odeszła, pozostawiając mnie z tatą pośrodku salonu, ze zwiędłym bukietem, złamanym sercem i garścią czerwonych róż.

Zakończyła, dokładnie lustrując wzrokiem moją twarz. Czułam, jak ta historia wbija bolesne kolce w moje serce. Nie mogąc ustać, usiadłam obok kobiety, kładąc rękę na jej dłoni.

– Nie mogliśmy z tatą znieść braku mamy. Każdy cal naszego domu emanował jej obecnością – kontynuowała. – Kwiaty w ogrodzie dalej kwitły, mimo że oczy, które tak bardzo je kochały, zamknęły się na zawsze. Dlatego po jej śmierci przeprowadziliśmy się do babci Jane, która mieszkała w małym miasteczku na obrzeżach Irlandii. Wraz z tatą mieliśmy nadzieję, że w nowym miejscu strata będzie boleć choć trochę mniej. – Westchnęła przeciągle. – Myliliśmy się.

– Brakuje ci jej? – spytałam szeptem.

– Jak nikogo innego – wyszeptwała. – Pomimo tylu lat ja nadal mam nadzieję, że wychodząc do ogrodu, spotkam ją z rozwianymi włosami i szerokim uśmiechem, plewiącą kwiaty.

Ścisnęłam delikatnie dłoń kobiety, pragnąc przekazać jej tym gestem całe moje wsparcie. Nie chciałam używać słów, które tylko rozwiałyby się na wietrze. Pragnęłam pokazać Meredith, że jestem obok i rozumiem jej ból.

Siedziałyśmy tak do wieczora – tylko ona i ja, pośrodku ogrodu, z czerwoną różą leżącą na ziemi. Dopiero gdy zaczął zapadać zmrok, odprowadziłam Meredith do jej pokoju.

Gdy wracałam do domu, przed oczami miałam obraz kobiety o długich włosach i z czerwoną różą zaciśniętą w drobnej dłoni.

* * *

Siedziałam na krześle naprzeciwko pokoju Meredith, niecierpliwie postukując nogą. Odkąd przyszłam, nie wpuszczono mnie do środka. Pielęgniarka poinformowała, że Meredith nie czuła się najlepiej, dlatego poddano ją rutynowym badaniom. Jednocześnie zapewniono mnie, że mogę chwilę poczekać, aż wszystko się skończy, i będę mogła ją zobaczyć. Owa „chwila” trwała już dwadzieścia trzy minuty. Z braku zajęcia rozglądałam się po korytarzu, przypatrując się nieznanym. Pewna siwa staruszka szła pod rękę z dziewczynką, która mogła mieć około dwunastu lat. Kobieta uśmiechała

się, słuchając słów wnuczki. Mimowolnie zastanawiałam się, czy Meredith również ma wnuczkę. A może wnuka?

Z letargu wyrwał mnie dźwięk otwieranych drzwi. Pielęgniarka bez słowa skinęła mi głową. Wiedziałam, co to oznaczało. Pozbierałam swoje rzeczy i weszłam do pokoju numer piętnaście.

Mój wzrok od razu powędrował do siwiejącej kobiety leżącej na szpitalnym łóżku. Wyglądała na przeraźliwie zmęczoną.

– Witaj, dziecko – odezwała się słabym głosem.

– Dzień dobry, Meredith – przywitałam się, siadając na krześle obok łóżka. – Jak się dziś czujesz? – spytałam zatroskana.

– Lepiej niż kilka godzin wcześniej, lecz gorzej niż wczoraj.

– Przykro mi – wymamrotałam, przyglądając się wyraźnym sińcom pod jej oczami.

– Nie twoja wina. Nie pozostało mi wiele czasu na tym świecie – odpowiedziała obojętnie. – Ale nie przyszedł tutaj po to, by słuchać narzekań starej kobiety. Pora rozpocząć naszą opowieść – mruknęła, przenosząc wzrok na mnie. Gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, Meredith rozpoczęła swoją historię:

– Na początku przeprowadzki było mi ciężko. Bez mamy u boku musiałam wkroczyć w obcy i nieznany mi świat. – Przerwała, zakrywając dłonią usta, by stłumić kaszel. – Z czasem się przyzwyczaiłam. Przywykłam do nowej rutyny bez niej u boku – kontynuowała. – Z tatą było gorzej. Widziałam jego cierpienie. Mama była jego słońcem, gdy nadchodziła burza. Teraz, gdy tego słońca zabrakło, żadne promienie nie były w stanie przebić się przez dojmujący smutek panujący w jego sercu – dokończyła, wbijając spojrzenie w sufit. – Widziałam każdą chwilę jego upadku – dodała z goryczą, zaciskając dłonie w pięści. – Zaczęło się dość niewinnie. Niewychodzenie z pokoju, ograniczenie kontaktów ze wszystkimi. Potem godziny wpatrywania się w sufit w absolutnej ciszy. Tylko praca wyciągała go z tej apatii, w której trwał. Miałam wrażenie, że mój ojciec wraz z odejściem mamy przestał żyć. On po prostu egzystował. Wykonywał te same codzienne, rutynowe czynności, lecz w jego oczach nie było tej iskry, która była w nim

kiedyś. Ona zgasła, a ja bałam się, że już nigdy go nie odzyskam. Byłam przerażona tym, że oprócz mamy straciłam też tatę – powiedziała, spoglądając w moje oczy. – Jedyne babcia była iskierką nadziei w mroku, który opanował naszą rodzinę. – kontynuowała, uśmiechając się ciepło na wspomnienie kobiety. – Gdy w domu rozbrzmiewała cisza, która swym tonem odbierała nam oddech, babcia przysiadła przy pianinie i grała. Potrafiłam godzinami wpatrywać się w jej palce, które z wdziękiem przesuwały się po klawiszach. Jane nie pozwalała mi i tacie utonąć w ciemności. Za każdym razem, gdy wygrywała nuty, czułam, że wszystko znów jest tak, jak powinno być. Nie było bólu po stracie mamy ani obawy przed stratą taty. Pośrodku salonu byłam tylko ja, babcia i melodia, która otulała nas swoimi dźwiękami, chroniąc przed smutkiem – powiedziała Meredith, a na mojej twarzy pojawił się mimowolny uśmiech. Niesamowite jest to, że gdy wszystko wokół pokrywa mrok, wystarczy odpowiednia melodia, by choć na moment móc znów odetchnąć. – Pamiętam, jak pewnego wieczoru tata znów zamknął się w swoim pokoju – podjęła wątek. – Nie wychodził przez wiele godzin. Przygnębiona nie mogłam znaleźć dla siebie miejsca. Wtedy Jane poprosiła, bym usiadła z nią przy pianinie. Położyła moje dłonie na swoich i zaczęła grać. To wtedy pierwszy raz nazwała mnie swoją melodią – powiedziała z czułym uśmiechem. Pierwszy raz zobaczyłam, jak jej oczy błyszczą. Tylko wspomnienie o babci wywoływało w niej jakiegokolwiek inne uczucie oprócz smutku.

– Czy Jane wypełniła pustkę, jaka powstała w twoim sercu po stracie mamy? – spytałam delikatnie.

– Och, nie. Oczywiście, że nie – odparła słabo. – Tej pustki nikt nigdy nie był w stanie zastąpić.

– Więc dlaczego nazwała cię swoją melodią? – dopytywałam zacięwie.

– Jane tonęła w smutku po stracie ukochanej osoby. Muzyka była dla niej wszystkim. Lubiła mawiać, że dźwięki docierają do najgłębszych, najbardziej skrytych kawałków ludzkiej duszy – zaśmiała się delikatnie na wspomnienie babci. – Jej melodią, inspiracją i pasją był jej ukochany. Po jego śmierci muzyka przestała sprawiać jej radość. Dźwięki były puste, bez

żadnego znaczenia. Dopiero gdy wprowadziłam się z tatą, znów to poczuła. Ciepło i znajome ukojenie, które dawały nuty wygrywane na pianinie. – Przerwała, spoglądając w moje oczy. – „Jesteś moją melodią”, lubiła mi mówić tuż przed snem – wyszeptwała. – „Najpiękniejszym darem, jaki zesłał mi los”.

W ciszy spoglądałam na Meredith. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Żadne słowa nie były w stanie wyrazić tego, co czułam w środku. To był podziw? Rozpacz? Smutek? Nie byłam pewna.

– Byłaś jej ratunkiem – powiedziałam cicho.

– Byłam kimś znacznie ważniejszym – odparła, a na jej twarzy zaczęła rozkwitać uśmiech. – Kotwicą, która wyciągnęła ją z ogłuszającej pustki, w jakiej tkwiła. Ratunkiem, który nie pozwalał jej utonąć. Melodią, która sprawiła, że świat stał się choć trochę mniej samotny. Byłam jej wszystkim, tak jak ona stała się wszystkim dla mnie.

– Ile czasu spędziłaś z Jane? – spytałam z ciekawością.

– Całe dwa lata, nim odeszła we śnie. Miałam wtedy siedemnaście lat, a mój świat po raz kolejny stracił wszystkie barwy – mruknęła smętnie.

– Jak zareagował twój tata? Czy po śmierci Jane obudził się z letargu, w którym trwał? – spytałam delikatnie.

– Mój ojciec nigdy nie pozbierał się po stracie mamy – wyjaśniła Meredith. – Pogrążył się w swojej rozpacz, trwając w zawieszaniu. Śmierć Jane złamała go jeszcze bardziej – powiedziała smutno, opuszczając wzrok na splecione dłonie. – Przez pierwszy rok jakoś dawał radę. Starał się dla mnie. Byłam niepełnoletnia, a on został moim jedynym prawnym opiekunem. Moją jedyną rodziną. Widziałam, jak próbował się przełamać. Czasami miałam wrażenie, że odzyskałam tatę. Nie widziałam tylko jednego. Nocami, gdy nikt nie patrzył, brał tabletki na uspokojenie. Nie zauważyłam żadnych symptomów. Byłam zaślepiona. Nie patrzyłam dość uważnie. Przecież tata znów zaczął ze mną rozmawiać, śmiać się, przytulać. Dlaczego miałby brać, skoro wszystko znów było dobrze? Otóż dobrze nie było, a ja zostałam zaślepiona przez radość z odzyskania choć części dawnego ojca – wypowiedziała z rozgoryczeniem. – On tylko grał. Udawał, że wszystko jest w porządku, a każdej nocy tęsknota go zabijała. Nie radził sobie z nią. Jednocześnie nie

chciał niczyjej pomocy. Nie uważał, że robi coś złego – zaśmiała się bez humoru. – To był jego sposób na zapomnienie. Z czasem jedna tabletką przestała mu wystarczać. Zwiększał dawkę. Oprócz nocy zaczął je zażywać również w dzień. Aż do tego feralnego dnia. Miałam dziewiętnaście lat. Wróciłam wyczerpana z kawiarni, w której dorabiałam na studia. Zauważyłam zapalone światło w pokoju taty. Zdziwiłam się, w końcu dochodziła północ. Zapukałam do drzwi, lecz nikt nie odpowiedział. Coraz bardziej zaniepokojona weszłam do środka. Tata leżał na środku łóżka. Nie ruszał się. Zadzwoiłam po pomoc, lecz było za późno. Jego organizm nie wytrzymał. Tata nie chciał się zabić – tego byłam pewna. Pomimo zabijającej tęsknoty wiedział, że nie może zostawić mnie samej. Ale jego uzależnienie okazało się zabójcze. Dokładnie dwudziestego trzeciego sierpnia straciłam swoją ostatnią rodzinę. Zostałam sama: w pustym domu, ze szklanymi oczami, mokrymi policzkami i sercem, które odczuwało tylko ból – zakończyła, ocierając pojedynczą łzę spływającą po jej policzku. Meredith wyglądała na zaskoczoną, gdy wpatrywała się w mokry ślad pozostawiony na jej dłoni.

– Jak poradziłaś sobie ze stratą ojca? – zapytałam.

– Staralam się o niej zapomnieć. Poświęciłam się pracy i nauce, by moja głowa nie miała czasu myśleć o jego śmierci – wyjaśniła.

– Czy to pomogło? Czy twoje myśli nadal wracały do tej sytuacji?

– Za każdym razem, gdy kładłam się spać, odczuwałam to wszystko. Cisza, która zalegała wokół mnie, nie pozwalała mi zapomnieć. Przypominała mi o wszystkim, co straciłam, a czego nigdy nie byłam w stanie już odzyskać. Jednocześnie tylko ona przy mnie była. Trwała u mojego boku, przynosząc mi zarówno udrękę, jak i ukojenie.

– Czy spotkałaś na swojej drodze kogoś, kto wyciągnął cię z ciszy?

– Był jeden chłopak. Studiował na moim kierunku. Przez przypadek zostaliśmy połączeni w parę na zajęciach. I tak zwykle koleżeństwo przerodziło się w coś znacznie poważniejszego – powiedziała z wyczuwalną w głosie melancholią. – Rozmawialiśmy codziennie. Wspólna nauka na uczelni i odrabianie zadań. Spędzaliśmy ze sobą każdą wolną chwilę naszego czasu. Z wytęsknieniem czekałam na jego wiadomości. I jak to powszechnie

wiadomo, przyjaźń przerodziła się w inne uczucie, którego nie rozumiałam. Nie w tamtym momencie. Za wszelką cenę nie chciałam go stracić, lecz jednocześnie nie mogłam z nim być. Wiedziałam, że mi na nim zależy, ale nie nadawałam się do związków. Byłam świeżo po stracie taty. Cisza była moim jedynym towarzyszem. Bałam się, że wchodząc w głębszą relację, stracę swoje oparcie. Stracę swoje tonacje ciszy – odparła smutno. – On tak nie mógł. Nie potrafił trwać w relacji przyjacielskiej, gdy wiedział, że czuje do mnie coś więcej. Wyznał mi uczucia, a ja stchórzyłam i tak straciłam go na zawsze. Nigdy nie chciałam być tą, która złamie mu serce, a się nią stałam. W dodatku łamiąc jego serce, zламаłam także swoje.

– Jak on się nazywał? – zapytałam, poprawiając się na krześle.

– Nathaniel – wymówiła czule, uśmiechając się szeroko na jego wspomnienie. – Po mojej odmowie wyrósł pomiędzy nami mur, którego żadne z nas nie potrafiło zburzyć.

– Czy po skończeniu studiów spotkałaś go jeszcze?

– Raz – odparła z nostalgią. – Ponad czterdzieści lat temu minęłam go w wejściu do kawiarni. On mnie nie zauważył. Uśmiechał się tak pięknie, jak zapamiętałam, do kobiety, którą trzymał za rękę – powiedziała, a ja wychwyciłam nutę rozpaczony w jej tonie. – Gdy wróciłam do domu i usiadłam na kanapie, uświadomiłam sobie, że to mogłam być ja. Mogłam być szczęśliwa, z miłością swojego życia u boku. Tymczasem pozostałam sama w salonie, otoczona przez ciszę. Po raz pierwszy od śmierci taty się popłakałam. Długie godziny spędziłam skulona na kanapie, a uczucie pustki nie odeszło ani rano, ani żadnego kolejnego dnia – zakończyła, wbijając we mnie spojrzenie. – Tak kończy się moja historia, dziecko. Nie ma żadnego szczęśliwego zakończenia. Pozostanie mi umrzeć w ciszy, która jedyna była, jest i będzie moją przyjaciółką. A teraz odejdz, muszę zostać sama.

Nie protestowałam. Kiwnęłam głową na słowa staruszki, pakując swoje rzeczy.

W drodze do domu wszystko zrozumiałam. Meredith to kobieta, która całe życie była samotna. Odnalazła ukojenie w ciszy, która stała się jej więzieniem. Nigdy nie była wolna. Uwięziona trwała w bólu, który nie opuszczał

jej przez całe życie. Kobieta tonęła w smutku, samotności i strachu. Tonęła w ciszy.

Następnego dnia już jej nie spotkałam. W nocy Meredith odeszła. Cicho i niespodziewanie, bez nikogo u swojego boku. Samotna i zapomniana. Porzucona tak, jak czerwona róża upuszczona przez nią w ogrodzie.

Głos

Drzwi wrocławskiego tramwaju zamykały się, gdy nagle zatrzymały się gwałtownie, przytrzasnąwszy spóźnionego pasażera. Mężczyzna z trudem uwolnił się z uścisku maszyny, rozrywając przy okazji brązową marynarkę i brudząc białą koszulę, przez którą przechodził teraz czarny pas pozostawiony przez brudne drzwi.

– Bardzo przepraszam, czy to miejsce jest wolne? – zapytał, przyciskając do piersi nieco już wytartą czarną aktówkę, którą próbował zakryć zniszczone ubranie.

– Ależ oczywiście, proszę, niech pan siada – odpowiedziała z uśmiechem kobieta w podeszłym wieku, przez chwilę przyglądając się swojemu rozmówcy. – Przepraszam pana, ale czy to nie pan jest tym dziennikarzem? Otto Glac, dobrze pamiętam? – zapytała z błyskiem w oczach.

– Tak, to ja. Miło usłyszeć, że ktoś jednak czyta moje artykuły – odpowiedział z wyraźną dumą w głosie. Staruszka kątem oka zauważyła podartą marynarkę swojego rozmówcy i zmarszczyła brwi w ciekawości, tak jakby próbowała zajrzeć do wnętrza człowieka, który siedział obok niej. Nagle tramwaj ruszył, a jego koła wytworzyły wysoki pisk. Otto momentalnie zakrył uszy, próbując je jak najbardziej ochronić przed dźwiękiem. Po chwili mężczyzna zaczął się nerwowo rozglądać dokoła, próbując jednocześnie nasłuchiwać odgłosów wydawanych przez otoczenie. Po krótkim upewnieniu się, że hałas nie odebrał mu słuchu, położył ręce z powrotem na aktówce.

– Panie Otto, czy wszystko w porządku? – zapytała zmartwiona kobieta.

– Tak, bardzo przepraszam, taki nawyk, którego nie mogę się pozbyć – zaśmiał się niezręcznie, próbując rozluźnić palce.

– Rozumiem, aczkolwiek pytałam bardziej o pańskie zniszczone ubranie – powiedziała głosem, który wyraźnie okazywał zakłopotanie stanem, w jakim znajdował się młody mężczyzna.

– Proszę mi wybaczyć mój niestosowny ubiór, ale miałem drobny wypadek podczas wsiadania – odrzekł z uśmiechem, odsłaniając umorusaną koszulę. Staruszka odwzajemniła jego uśmiech, a Otto odpowiedział jej najserdeczniejszym śmiechem, jaki tylko był w stanie z siebie wydobyć. Jego głos był donośny, lecz nie krzykliwy, usta miał szeroko otwarte, ale nie czuć po nich było, aby ich właściciel w choć najmniejszym stopniu starał się coś zamaskować, a oczy mu błyszczały, sprawiając wrażenie, jakby należały do osoby nie tylko inteligentnej, lecz przede wszystkim dobrej i o szczerych intencjach.

Wtem tramwaj zatrzymał się, Otto złapał aktówkę w dłoń i pożegnał się słowami:

– Cóż, ja wysiadam tutaj. – Wyciągnął dłoń, by uścisnąć rękę kobiety. – Dziękuję bardzo za miłą rozmowę i życzę wszystkiego dobrego.

Wysiadając, momentalnie poczuł ogarniający go zewsząd, przytłaczający niepokój. Serce gwałtownie mu przyspieszyło, a powietrze wokół stało się jakby cięższe. Zdezorientowany, ostatkiem sił usiadł na ławce, próbując desperacko nabrać powietrza w płuca.

– Weź się w garść, Otto – zadyszał, próbując wstać. – To wszystko wytwór twojej głowy. – Nagle wszystko wokół na chwilę zamilkło. – RAZ... DWA...TRZY... – zaczął liczyć w głowie kroki na swojej drodze.

Ledwo zdążył doliczyć do pięćdziesięciu, a już stał pod drzwiami redakcji.

Po chwili namysłu ze zwieszoną głową złapał za klamkę, jednocześnie odbijając swoją kartę pracowniczą. Teraz przyszła kolej na najtrudniejsze, czyli dostanie się do biura, jednocześnie pozostając niezauważonym.

– Glac! – wrzasnął ktoś za jego plecami. Otto wyprostował się ze strachu, doskonale znał ten głos. Był to jego szef, a zarazem redaktor naczelny: Krzysztof Nowak. W swojej głowie Otto widział już wypowiedzenie, które stojący za nim szef prawdopodobnie trzymał albo – co gorsza – mógł to być nóż, którym zaraz zostanie dźgnięty. W końcu nigdy nie przepadał za swoim

przełożonym, zresztą z wzajemnością. Mężczyzna odwrócił się, gotowy na najgorsze, lecz stojący za nim potencjalny oprawca wcale nie miał w rękę wypowiedzenia, z całą pewnością nie trzymał również noża, było to jedynie wczorajsze wydanie gazety.

– Witaj, Otto – zaczął Krzysztof. – Możesz mi wytłumaczyć, co się stało z twoim ubraniem?

Ottona w ułamku sekundy ogarnęło dziwne znajome poczucie niższości, które zawsze miał w obecności swojego szefa. Wydawało mu się to o tyle irracjonalne, o ile przecież to on był o ponad pół głowy wyższy i dominował nad nim aparycją. Lecz teraz, gdy stał twarzą w twarz z tym człowiekiem, różnica wzrostu nie wydawała się mieć żadnego znaczenia.

– Dzień dobry, panie Krzysztofie, b-b-bardzo przepraszam, ale miałem drobny wypadek i nie miałem niestety nic na przebranie – odpowiedział łamiącym się głosem Otto.

– Eh, wracaj do domu i przebierz się w coś czystego – mruknął nieco poirytowany redaktor.

– Dziękuję bardzo, postaram się wrócić jak najszybciej! – krzyknął szczerze zaskoczony obrotem sytuacji Otto.

– Tylko wracaj szybko, jesteś mi dzisiaj potrzebny! – odkrzyknął pan Krzysztof. Nie tracąc czasu, Otto wybiegł z redakcji i pognął na najbliższy tramwaj, który akurat stał na przystanku. Mając w pamięci wcześniejszy incydent, wskoczył do środka najszybciej, jak dał radę, tak by sytuacja się nie powtórzyła. Tym razem odniósł sukces w starciu z drzwiami, rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu miejsca i usiadł na pierwszym wolnym siedzeniu przy oknie. Było to jego ulubione miejsce, ponieważ obserwowanie dynamicznie zmieniającej się panoramy miasta miało w sobie coś uspokajającego. Uwielbiał wtedy słuchać muzyki i po prostu obserwować życie, które toczyło się na ulicy. Wszystko wokół wydawało się wtedy tak bliskie, a jednocześnie bardzo dalekie. Maszyna ruszyła, Otto otworzył aktówkę i wyciągnął z niej parę słuchawek, które dziś pewnie można by było określić mianem zabytkowych, lecz dla niego najważniejsze było to, że mimo swojego wieku wciąż działały. Zamyślony oparł głowę o szybę i zaczął rozmyślać o podejrzenie

miłym zachowaniu szefa, który to nie miał w zwyczaju tak łagodnie obchodzić się ze swoimi podwładnymi. Włosy na jego ręce zjeżyły się, a w głowie pojawiła się myśl: „Co jeśli ten stary dureń jest taki spokojny, bo rzeczywiście przygotował dla mnie wypowiedzenie i teraz tylko zabawia się mną, dając mi złudne poczucie zachowania pracy?”

Zagłębiony w rozważaniach zaczął nerwowo ścisnąć kciuki, a kojąca panorama miasta i muzyka grająca w słuchawkach przestały być zauważalne w natłoku myśli i emocji, które sprawiały wrażenie, jakby całkowicie nim zawładnęły. Przez resztę drogi nie był w stanie myśleć o niczym innym, próba wytłumaczenia samemu sobie, że może wcale nie straci pracy, okazała się w tej chwili niemożliwa do zrealizowania. Z natłoku rozważań wybił go dopiero gwałtownie hamujący tramwaj dojeżdżający na przystanek nieopodal jego domu. Otto wstał ciężko i wysiadł, udając się w stronę małego osiedla domków jednorodzinnych, na końcu którego stał jeden odosobniony od reszty mały, jednopiętrowy domek. Mężczyzna, wciąż w dużym stopniu pochłonięty rozważaniami na temat swojej posady, stanął w drzwiach samotnego domu, w którym panował przytłaczający półmrok i wręcz niekomfortowa cisza. Zanim zamknął za sobą drzwi, szybko zapalił światło, zupełnie tak, jakby wciąż był tym jednym małym chłopcem, który zostawia światło do snu. Pomieszczenie zajaśniało przyjemnym ciepłym blaskiem. Dopiero teraz Otto odżył i przypomniał sobie, w jakim celu w ogóle wrócił do domu.

– Koszula! – krzyknął, pędząc do sypialni. – Marynarka! Nie ma jej tu, do cholery! – Zatrzymał się po drodze przy szafie w przedpokoju.

– Ty żalorny skurwysynu – odezwał się nagle głos niewiadomego pochodzenia. Otto aż podskoczył ze strachu.

– Kim jesteś i gdzie się u-u-ukrywasz? – zapytał siny ze strachu, krążąc między pokojami w poszukiwaniu właściciela owego głosu.

– Spójrz na siebie, jesteś jego zwykłą dziwką, niczym więcej – parsknął nieznanymy.

– Gdzie jesteś? Czego chcesz? Pieniądzy? Proszę, zostaw mnie! – Otto zaczął wrzeszczeć. Wyczerpany z przerażenia usiadł na łóżku i wsunął głowę

między kolana. – RAZ... DWA... TRZY – zaczął znów liczyć, próbując opanować emocje.

– Ha, tym razem to ci nie pomoże. Dalej, dalej szukaj – zaśmiał się głos.

– Chwila. – Otto podniósł się z łóżka i na miękkich nogach podszedł do lustra, które wydawało się w niczym nie odstawać od norm przypisanym lustrom. Mężczyzna zamachał energicznie ręką przed meblem, lecz odbicie w nim wcale nie podążało za jego ruchami, tylko zmarszczyło brwi i zaczęło mu się przyglądać spod byka.

– Brawo, znalazłeś mnie – powiedziało odbicie.

Na skutek szoku, którego doznał Otto, osunął się na ziemię, tracąc przytomność. Nie trwało to jednak długo, bo zaledwie po kilku sekundach odzyskał świadomość i skołowany przyczołgał się pod ścianę. Przez chwilę miał wrażenie, że wszystko to mu się tylko przyśniło, jednak poczucie to zostało szybko rozwiane przez postać w lustrze. Osoba ta wyglądała zupełnie jak on, lecz we wszystkim innym nie przypominała go ani trochę. Jego oczy były przymrużone, sprawiając wrażenie, jakby zaglądały do wnętrza ofiary, a uśmiech wydawał się dodawać mu tyle samo pewności siebie co grozy, którą wprowadzał swoją obecnością.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał półżywy Otto, podchodząc do lustra, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Jestem tu, żeby ci pomóc. Ten chuj Nowak pogrywa tobą, musi zapłacić – przemówił stanowczo głos.

Otto złapał się za uszy, próbując je zatkać, jednak nie zdawało się to pomagać w żaden sposób głosu, który słyszał.

– Zamknij się, wypierdalaj z mojej głowy... Nie jesteś prawdziwy! – wrzasnął, uderzając rękoma o twarz w nadziei, że tym sposobem stłumi głos. Wyraźnie zirytowany sobowtór nieoczekiwanie wyciągnął rękę z lustra, łapiąc go za wciąż brudną koszulę, i przyciągnął go z impetem do siebie. Pierwszym, co uderzyło w lustro, była głowa Ottona, która roztrzaskała tafelę na kawałki, zostawiając czoło jej właściciela całe we krwi. Zamroczony Otto padł na ziemię, ledwo cokolwiek widząc przez krew spływającą mu co chwilę do oczu.

– Dalej jesteś taki pewny, że to dzieje się tylko w twojej głowie? – zapytał wciąż obecny głos. Mężczyzna zaczął się czołgać do łazienki w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby opatrzyć zranioną głowę. Nie zdążył minąć swojej sypialni, gdy poczuł, że ktoś próbuje go złapać za koszulę. Wciąż nerwowo walcząc o odzyskanie wzroku, zaczął się wyrwać swojemu oprawcy. Pod wpływem ogromnego wystrzału adrenaliny udało mu się uwolnić z ubrania, które zostawił w ręku napastnika, i półnagi rzucił się do łazienki, w której udało mu się zabarykadować. Zapadła cisza. Ze wciąż krwawiącą głową i dudniącym jak dzwon sercem podszedł do szafki, otworzył ją i po chwili poszukiwań wyciągnął stalowe pudełko z artykułami pierwszej pomocy. Stał nad umywalką, drżącymi rękoma obmył najpierw twarz i zabandażował zranioną głowę, potem dokładnie wyszorował dłonie brudne od krwi. Na chwilę zamyslił się, patrząc na lecącą z kranu wodę – rozmyślał o swoim krótkim, trzydziestoletnim życiu i o tym, w jak złej sytuacji zdrowotnej prawdopodobnie się znajduje. Powoli wszystko, co się przed chwilą wydarzyło, zaczęło do niego dochodzić: to, że słyszał głos brzmiący jak on, lecz niebędący jego głosem, oraz to, jak został zaatakowany przez mężczyznę wyglądającego jak on, ale również nim niebędącego.

– Przystań wreszcie stawiać opór – przemówił powracający głos. Otto momentalnie otrząsnął się i zdał sobie sprawę, że cały czas stał przed lustrem powieszonym nad umywalką, w którym teraz przebywał jego niechciany towarzysz. Bez chwili namysłu złapał za pudło leżące obok i cisnął nim przed siebie, rozbijając kolejne lustro. Głos znów zamilkł. Wciąż wyraźnie przestraszony opuścił pomieszczenie i zaczął zakrywać każdy przedmiot, który tylko mógłby ukazać jego odbicie, w nadziei, że pozwoli mu to zatrzymać wciąż powracającego dręczyciela. Gdy po dłuższym czasie połowa domu była już zakryta różnego rodzaju kocami i prześcieradłami, usiadł na kanapie, która wydawała się miększa niż zwykle.

Może to on po prostu stał się cięższy – kolejna myśl utkwiała w jego głowie. W innym przypadku zacząłby szukać odpowiedzi na to pytanie, ale teraz nie było na to czasu: w tej chwili jedynym, co się liczyło, był fakt, że w jego głowie mieszkała druga osoba. Najważniejsze było to, by pozbyć się

owego jegomościa jak najszybciej, i to za wszelką cenę. Próbę zebrania myśli przerwał mu wibrujący w kieszeni telefon. Był to pan Krzysztof, który na pewno był już mocno zdenerwowany tak długą nieobecnością pracownika. Otto spróbował najbardziej, jak tylko potrafił, zebrać się w sobie, aby nie pokazać nic niepokojącego.

– Halo – powiedział, odbierając telefon.

– No halo, Otto, żyjesz tam? Ile trwa dla ciebie zmiana ubrań? Wracaj, mówiłem ci, że jesteś mi dzisiaj potrzebny – odezwał się pan Nowak, a jego głos wskazywał na wyraźne zdenerwowanie.

Otto zamilkł na chwilę, próbując ułożyć w głowie odpowiednią wypowiedź.

– Przepraszam bardzo... – Zaczął się tłumaczyć. Wtedy właśnie dostrzegł spokojnie siedzącego obok niego sobowtóra, który oparty o kanapę rozglądał się po pomieszczeniu w taki sposób, jakby w tej chwili chciał pozostawić Ottona samego podczas rozmowy.

– Powiedz mu, żeby spierdalał – rzucił zniecierpliwiony. Otto wstał, jakby zdenerwowany.

– Chociaż wiesz co, Krzysiu? – odezwał się zawadiacko. – Spierdalał, nie mam teraz czasu! Rozłączył się w gniewie, który pochłonął go na ułamek sekundy.

– Dlaczego to zrobiłem? – Otrząsnął się, próbując zrozumieć targające nim emocje. Jeszcze przed chwilą czuł ogromną złość, teraz natomiast nie czuł już nic. – Ty, co mi zrobiłeś? – zapytał wciąż przesiadującego na kanapie osobnika.

– Co ja zrobiłem? – odparł, podchodząc do Ottona. – Nic, przecież sam mówiłeś, że jestem tylko w twojej głowie.

Zdenerwowany Otto w akcie szału rzucił się na wytwór swojej wyobraźni, lecz przeleciał przez niego jak przez mgłę i zderzył się z komodą.

– Dosyć! Zostaw mnie w spokoju! – wrzasnął, udając się do sypialni po czystą koszulę. Wsunął ją na siebie z wyraźnym trudem spowodowanym otrzymanymi ranami.

– Co robisz? – zapytał głos.

– Jadę do szpitala, może tam pomogą mi się ciebie pozbyć – oznajmił, łapiąc w rękę płaszcz i opuszczając budynek. Wyciągnął z kieszeni klucz, by zamknąć za sobą drzwi, niestety trafienie w małą dziurkę okazało się o wiele trudniejsze, gdy ledwo się stoi o własnych siłach. Po chwili udało mu się wsunąć klucz na właściwe miejsce – nie było to nic wyjątkowego, ale w tym momencie poczuł, jakby odniósł małe zwycięstwo. Nieco podbudowany tym drobnym osiągnięciem ruszył na przystanek tramwajowy. Po drodze wróciła do niego myśl o jego zachowaniu wobec szefa, jednak szybko doszedł do wniosku, że teraz już na pewno stracił pracę bez nadziei na jej odzyskanie, więc zaskakująco szybko porzucił te rozważania na rzecz zastanawiania się, co zrobić z coraz to bardziej uciążliwym mieszkańcem jego w jego głowie. Dochodząc do przystanku, zauważył, że zostało jeszcze kilka minut do przyjazdu jego tramwaju, postanowił więc odpocząć na ławce. Usiadł na niej z takim ciężarem, iż wydawało się, że jeszcze chwila, a podtrzymujące go deski pękną. Po chwili przeszył go chłód i poczuł wilgoć w stopach. Ze zdumieniem spojrzął pod nogi, zauważając kałużę rozlewającą się pod ławką. Sobowtór znów się ukazał – tym razem jako odbicie na niewielkiej tafli wody.

– Czego tak naprawdę ode mnie chcesz? – zapytał widocznie opadający już z sił Otto.

Nagły podmuch wiatru wzburzył kałużę, rozmazując obecną w niej postać. Mężczyzna instynktownie spojrzął w prawo, mając nadzieję, że jego rozmówca tak jak wcześniej pojawi się obok niego. Miał rację, cień znikąd ukazał się, siedząc ramię w ramię przy nim. Dało mu to poczucie, że zaczyna rozumieć, na jakich zasadach działa wytwór jego głowy. Cień pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i zbliżył się do swojego pierwowzoru.

– Widzisz tamtą staruszkę? – wyszeptał głos tak cicho, jakby obawiał się, że ktoś go usłyszy. Otto spojrzął na kobietę stojącą przy przejściu dla pieszych.

– Co z nią? – zapytał.

– Wepchnij ją pod auto – podsunął sobowtór.

– Chyba zwariowałeś! – krzyknął, odsuwając się na drugi koniec ławki, tym samym wyznaczając widoczną granicę między nimi. Nie czując strachu, lecz gniew, spoglądał w jego złowrogie oczy. – Posłuchaj, nie wiem, za

kogo mnie uważasz, ale na pewno nie jestem jakimś mordercą – zasyczał z pogardą. – Poza tym jedyną osobą, jakiej zamierzam się pozbyć, jesteś ty. – Wstał, zobaczywszy nadjeżdżający tramwaj. – I zamierzam to zrobić jak najszybciej – oznajmił, wsiadając do pojazdu.

– Trzymam cię za słowo, złościutki – zaśmiała się szyderczo wciąż jeszcze siedząca na ławce zjawia. Mężczyzna wybrał tym razem miejsce z daleka od okna w obawie przed kolejną wizytą wyimaginowanego natręta. Ku jego zaskoczeniu podróż do szpitala minęła bez żadnych przygód i już niecałe piętnaście minut później znajdował się na izbie przyjęć. Kolejka wydawała się ciągnąć aż do wyjścia, ale sytuacja była krytyczna, więc wymagała poświęcenia. Stał w niej niczym tresowany piesek oczekujący na nagrodę za dobre sprawowanie.

– Otto? – odezwał się ktoś stojący za nim. Z początku nie poznał głosu, który go zaczął, lecz gdy udało mu się przypisać go do konkretnej osoby, było już za późno, by udawać, że się go nie słyszy. Pech chciał, że drugi raz trafił na pan Nowaka.

– Przepraszam pana za tamten telefon – odpowiedział, odwracając się. – Rozumiem, jeśli mnie pan zwolni – kontynuował zalany potem.

– Daj spokój, po twojej głowie widzę, że masz ciężki dzień – odpowiedział Krzysztof. – Zresztą ja sam też nie mam łatwego, bo rodzi mi się dziecko. Zapomnijmy o całej sprawie.

– Tak, zapomnijmy o tym – przytaknął Otto.

– Świetnie, w takim razie do zobaczenia – zakończył rozmowę pan Nowak, zostawiając Ottona w tłumie osób czekających na przyjęcie. Gdy wreszcie udało mu się załatwić sprawę na recepcji, poczuł, że pilnie potrzebuje skorzystać z toalety. Po krótkim poszukiwaniu zastał pustą łazienkę. Wszedł do jednej z kabin, po czym zaczął się załatwiać. Przy okazji udało mu się zebrać myśli i szczerym uśmiechem zareagował na myśl, że jego szef w końcu doczeka się potomstwa. Po krótkiej zadumie wrócił do mrocznej rzeczywistości. Wyszedł z kabiny i stanął przed umywalką, nad którą wisiało lustro. O dziwo zobaczył w nim tylko siebie, po oprawcy nie było ani śladu. Nieoczekiwanie drzwi otworzyły się i przeszedł przez nie znów powracający duch.

– O, znowu się widzimy – powiedział, podchodząc do umywalki obok i myjąc w niej ręce.

– Czego znów ode mnie chcesz? – zapytał spoglądający spod byka Otto.

– Chciałem przeprosić za swoje wcześniejsze zachowania, nie byłem w porządku wobec ciebie – odparł, klepiąc Ottona po ramieniu. Ten zatrzymał się, uświadamiając sobie, że jest w stanie znów wejść w kontakt fizyczny z sobowtórem. Bez zastanowienia rzucił się w jego stronę, powalając go.

– Co robisz? – zapytał obalony sobowtór.

– Mówiłem ci, że się ciebie pozbędę – zaryczał niczym drapieżnik dopadający swoją ofiarę. Nie kontrolując się już zupełnie, owinał palce wokół jego szyi, dusząc go. Jego oczy z inteligentnych przemieniły się w szalone, a każdy mięsień w ciele skupiał się teraz na tylko jednym zadaniu. Zabić. Po dłuższej szamotaninie dawny oprawca w końcu przestał się ruszać. Teraz to Otto ze zwierzyny zmienił się w łowcę, pokonując potwora i odzyskując kontrolę. Wtem z ciała leżącej na ziemi zjawy zaczął unosić się dym odkrywający, że jego ofiarą tak naprawdę był martwy już redaktor naczelny Krzysztof Nowak.

Katastrofalne skutki

Tego poranka Ester wstała niemal zaraz po wybrzmieniu dźwięku budzika. Wiedziała, że czeka ją ciężki dzień. Poczucie wyczerpania towarzyszyło jej od dłuższego czasu. Ostatnie wieczory spędzała bowiem na nieustannej nauce. Uczyla się wzorowo, ponieważ w przyszłości chciała jako pierwsza w rodzinie zostać lekarzem. Zaledwie kilka tygodni wcześniej zaczęła ostatnią klasę szkoły średniej. Odliczała dni do egzaminów. Z dnia na dzień uczyla się coraz więcej, ponieważ ciągle uważała, że robi niewystarczająco dużo.

Włożyła swój ulubiony różowy szlafrok i zeszła na śniadanie.

– Dzień dobry, skarbie – przywitał ją ciepły głos mamy. – Do której tym razem siedziałas nad książkami?

– Nie mam pojęcia, musiałam zasnąć w trakcie nauki – odpowiedziała nastolatka.

– Ester, wiesz, że razem z tatą jesteśmy z ciebie dumni, niezależnie od tego, czy dostaniesz się na studia medyczne. Powinnaś trochę odpocząć, od paru dni ciągle wstajesz niewyspana.

– Nie mam ochoty kolejny raz dyskutować na ten temat, będę robić to, co uważam za słuszne. – Z wściekłością zamknęła lodówkę, z której wyciągnęła ulubiony jogurt. – Nie moja wina, że ty nie miałas ambicji i nie poszlas na studia! – wykrzyczała.

Na jej twarzy wyraźnie malowała się złość i zdenerwowanie.

Dziewczyna pospiesznie poszła do pokoju się przebrać, a następnie udała się do szkoły. Słowa córki zabolaly Marię Gonzalez – trzydziestosześcioletkę, która pracowała jako sprzątaczką w jednej z okolicznych firm. Nie było bowiem prawdą, że nie miała ambicji. Podobnie jak córka chciała pójść na

studia medyczne, jednak jej rodziców nie było na nie stać, dlatego porzuciła swoje marzenie. Niedługo później zaszła w ciążę i zaczęła pracę jako kelnerka w jednej z nowo otwartych restauracji. Nigdy nie powiedziała tego Ester. Robiła za to wszystko, by ta miała w życiu łatwiej. Razem z mężem odkładali oszczędności na studia córki. Kobieta wiedziała, że dziewczyna jest zdolna i w przyszłości uda jej się osiągnąć ogromny sukces.

* * *

Gdy Ester weszła do starego budynku liceum, ujrzała uśmiechniętą twarz najlepszej przyjaciółki. Znały się praktycznie od zawsze. Poznały się w przedszkolu i od tamtej pory były nierozłączne. Rosalia Rodriguez była kompletnym przeciwieństwem Ester, zarówno z wyglądu, jak i charakteru. Blondynka uwielbiała się malować i nosić kolorowe ubrania. Miała ogromny urok osobisty, który sprawiał, że nie dało się jej nie lubić.

Ester, równie piękna jak jej przyjaciółka, była brunetką o idealnej figurze. Starła się jednak nie wyróżniać wśród tłumów. Uwielbiała pomagać innym, jednak sama nie była dobra w budowaniu bliższych relacji, między innymi dlatego przyjaźniła się tylko z Rosalią.

– Ester! – zawołała przyjaciółka. – Słyszałaś o trzęsieniu ziemi w naszej okolicy?

– Nie – odpowiedziała zdziwiona nastolatka.

– Spójrz. – Pokazała dziewczynie ekran telefonu, na którym wyświetlał się artykuł dotyczący możliwej katastrofy naturalnej.

– Kiedy ma się to niby wydarzyć? – spytała z zaciekawieniem Ester.

– W artykule jest napisane, że spodziewają się trzęsienia w najbliższym czasie.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?!

– Podobno skala trzęsień nie będzie wysoka, pewnie dlatego niewiele o tym mówią.

– Może masz rację. Mam nadzieję, że w naszym mieście nic się nie wydarzy – powiedziała z wyraźną ulgą w głosie.

– Dobra, zbierajmy się, za trzy minuty mamy hiszpański.

* * *

Ester całe swoje dotychczasowe życie spędziła w pięknym, malowniczo położonym mieście znajdującym się na południu Hiszpanii. Mimo zaplanowanego wyjazdu na studia do Madrytu rodzinne miasto zawsze będzie miało specjalne miejsce w jej sercu. To w końcu tutaj spędziła dzieciństwo i dorastała. Uwielbiała chodzić wąskimi uliczkami i zachwycać się architekturą miasta.

* * *

Gdy po skończonych zajęciach wróciła do domu, zastała w nim swojego ojca.

– Dobry wieczór, tato – powiedziała, gdy weszła do jadalni. – Jest mama?

– Jeszcze w pracy – odpowiedział Pablo Gonzalez.

Mężczyzna był wysokim, wysportowanym mężczyzną pracującym w firmie budowlanej.

– To dobrze, nie mam ochoty się z nią dzisiaj więcej widzieć – powiedziała nastolatka.

– Dlaczego? Coś się wydarzyło? – zapytał zaniepokojony ojciec.

– Pokłóciłam się z nią rano, nie chcę o tym rozmawiać. Swoją drogą słyszałeś o tym możliwym trzęsieniu ziemi?

– Koledzy w pracy coś wspominali. Z ciekawości sprawdziłem później informacje w internecie, na szczęście naszego miasta to nie dotknie, możemy być spokojni.

– Obyś miał rację. No dobrze, idę się myć i kładę się spać. Dobranoc.

Ester wprawdzie udała się na górę, jednak nie poszła spać, a zaczęła uczyć się do egzaminów.

Następnego ranka zasnęła, dlatego wyszła do szkoły w pośpiechu. Nie zdążyła nawet zjeść śniadania z rodzicami. Pozostała część dnia przebiegała jej spokojnie – do czasu, aż na lekcji chemii przez głośniki w klasie usłyszała komunikat, który został wygłoszony przez dyrektora: „Drodzy uczniowie, dotarły do nas informacje, że w części miasta doszło do trzęsienia ziemi. Prosimy o zachowanie spokoju i ewentualne skontaktowanie się z bliskimi. Zostańcie, proszę, w budynku szkoły do czasu, aż nie dostanę informacji od odpowiednich służb, że zagrożenie minęło”.

Ester była przerażona. Była pewna, że trzęsienie nie obejmie jej miasta. Na domiar złego stało się to znacznie wcześniej, niż przypuszczali obserwatorzy sejsmiczni. Dziewczyna próbowała dzwonić do rodziców, jednak na próżno. Okazało się, że z powodu trzęsienia ziemi zepsuła się infrastruktura telekomunikacyjna, przez co w całym mieście brakowało zasięgu. Brak kontaktu z rodzicami spotęgował jej panikę. Liczyła jedynie na to, że jakimś cudem jej dom nie został zniszczony, a nikomu z jej bliskich nie stała się krzywda. Po ponad dwóch godzinach od poprzedniego komunikatu dyrektor przekazał uczniom, że zagrożenie minęło i mogą opuścić szkołę. Nastolatka jak najszybciej udała się do domu. Musiała jednak dwa razy zmieniać drogę, ponieważ część ulic została zablokowana. Nie mogła uwierzyć, w jakim stanie znajdowało się jej ukochane miasteczko. Gdy w końcu dotarła do miejsca jej zamieszkania, była zszokowana. W usytuowaniu, w którym jeszcze rano stał jej dom, zastała jedynie fundamenty, które mogły wskazywać na to, że wcześniej był tam jakiś budynek. Wokół ulicy krążyło pełno służb, które pomagały poszkodowanym i szukały ewentualnych ofiar. Ester sądziła, że w jej domu, a raczej jego resztkach, nikogo nie znajdą, ponieważ jej rodzice zawsze o tej porze byli w pracy. Podbiegła bliżej, gdy jeden ze strażaków zaczął krzyczeć, że chyba kogoś znalazł. W momencie, w którym zobaczyła, że wynoszą jej mamę, myślała, że się przewidziała.

– Przepraszam, znasz tę kobietę? – zapytał jeden ze strażaków.

– Tak, to moja mama – odpowiedziała nastolatka i zaczęła płakać. – Mamo, proszę, obudź się! – krzyczała zdesperowana.

Ratownicy przeprowadzili resuscytację, jednak było już za późno. Według zespołu medyków kobieta została przygnieciona przez wielką, pełną ciężkich elementów szafę, która spadła na nią w wyniku trzęsienia ziemi. Liczne obrażenia wewnętrzne spowodowały, że Marii Gonzalez nie udało się uratować.

Po tej bolesnej informacji Ester się załamała. Czowała przeszywający ból w całym ciele. Nie była w stanie oddychać, jej płuca płonęły. Chciała uciec, udawać, że nic się nie wydarzyło.

Chwilę później na miejsce dotarł Pablo Gonzalez, który wrócił z pracy. Zauważył córkę, a także stan, w jakim się znajdowała.

– Ester, skarbie, nie przejmuj się domem, jakoś sobie poradzimy – rzekł mężczyzna.

– Tato, nie w tym rzecz. – Z trudem oddychając, dziewczyna powiedziała: – Mama nie żyje.

Nastolatka wpadła w objęcia ojca i zaczęła rozpaczać jeszcze bardziej. Ratownicy podali jej silne leki uspokajające, ponieważ dziewczyna wręcz dławiła się łzami i nie była w stanie złapać tchu.

* * *

Dzień później Ester wraz z tatą tymczasowo zamieszkali u dziadków dziewczyny. Na nieustające pytanie „dlaczego jej mama była o tej porze w domu?” uzyskiwała odpowiedź, gdy zadzwoniła do szefowej matki. Okazało się, że rano Maria dostała od niej informację o tym, że wyjątkowo ma zastąpić jedną osobę i przyjść do pracy na późniejszą zmianę.

Parę dni później odbył się pogrzeb kobiety. Ester pojawiła się na nim, mimo że za wszelką cenę nie chciała żegnać się ze swoją mamą. Wiedziała bowiem, że oznaczało to pożegnanie się z nią na zawsze. Dziewczyna wciąż nie pogodziła się z jej śmiercią. Przede wszystkim nie opuszczały jej ciągle wyrzuty sumienia. Miała do siebie ogromny żal o to, że jej ostatnią rozmową z mamą była kłótnia, w dodatku zapoczątkowana przez nią.

Mijały tygodnie, a wspomnienia z tego dramatycznego dnia nie ustawały. Ester musiała wrócić do szkoły, jednak przestała przykładać się do nauki. Jej przyszłość bez obecności mamy nie miała już dla niej znaczenia. Co przerwę zamykała się w toalecie, by dać upust emocjom. Zasłaniała usta dłonią, żeby powstrzymać wrzask, który chciała z siebie wydobyć. Zawsze kończyło się to jednak płaczem.

Pewnego dnia przyłapała ją na tym Rosalia. Od czasu żaloby ich kontakt znacznie się pogorszył. Mimo długoletniej przyjaźni jeszcze nigdy nie było sytuacji, w której nie odzywały się do siebie przez tak długi czas. Rosalia starała się, jak mogła, by wesprzeć przyjaciółkę w żałobie, ta jednak za każdym razem odrzucała jej pomoc.

– Ester, co się dzieje? – zapytała tego dnia Rosalia.

- Idź sobie – odpowiedziała przyjaciółka.
- Proszę, porozmawiaj w końcu ze mną! – niemal wykrzyknęła zdesperowana dziewczyna.
- Nic nie rozumiesz – zaczęła powoli Ester. – Nie rozumiesz, jak to jest żyć z ciągłą świadomością, że twoja mama zginęła, myśląc, że jej córka jej nienawidzi. Nie masz pojęcia! – krzyknęła.
- Masz rację, nie rozumiem, ale chcę zrozumieć, proszę, daj sobie pomoc – powiedziała Rosalia.
- Prawda jest taka, że nie chcę już nigdy niczego czuć – wyznała Ester. – Straciłam mamę i dom. Wszystko, co miałam, zostało zniszczone w parę minut. Codziennie w szkole udaję, że jest w porządku, ale wcale tak nie jest. Chcę chociaż na przerwach zostać sama i czuć się tak, jak czuję się naprawdę.
- Masz prawo przeżywać żalobę na swój sposób – zaczęła Rosalia.
- Proszę, nie marnuj dłużej swojego czasu i zostaw mnie w spokoju – przerwała jej Ester. – Nie mam siły na kolejną poważną rozmowę.
- Rosalia nie wiedziała już, w jaki sposób ma dotrzeć do przyjaciółki. Postanowiła na jej własne życzenie zostawić ją w spokoju.

* * *

Dla dziewczyny była to kolejna nieprzespana noc, tym razem jednak nie ze względu na naukę. Ester ledwo mogła znieść chwilę z zamkniętymi oczami. Gdy jednak już udało jej się usnąć, budziła się z lękiem i niechęcią do wykonywania każdej najmniejszej czynności. Czuła się roztrzaskana na milion kawałków, gdy zostawała ze swoimi myślami sam na sam. Ze względu na jej tatę, który również nie najlepiej radził sobie ze śmiercią żony, starała się stwarzać pozory. Udawała przed nim, że jakoś sobie radzi, podczas gdy nawet widok miasta, które starano się odbudować po trzęsieniu, nie pomagał siedemnastolatce. Nieustannie przypominał o dniu katastrofy. Nie tylko w wyglądzie dziewczyny dało się zauważyć, że nie jest sobą. Jej kości policzkowe stały się mocniej zarysowane, oczy jakby większe. Wyraźnie straciła na wadze. Obwiniała ratowników, którzy nie zdążyli pomóc jej mamie, jej szefową za przydzielenie późniejszej zmiany, a pewnego razu nawet tatę – za

to, że zdecydował się wybudować dom na obszarze zagrożonym trzęsieniem ziemi. Przede wszystkim jednak obwiniała siebie za każde złe słowo wypowiedziane w kierunku mamy. Czuła ból na myśl, że już nigdy jej nie przeprosi.

Dziesięć lat później

Ester ze wzorowej uczennicy stała się nastolatką, która z trudem ukończyła liceum. Tym samym nigdy nie podjęła wymarzonych studiów. Pieniądze, za które miała je skończyć, zostały przeznaczone na odbudowę jej domu rodzinnego. Nigdy nie odzyskała swojej relacji z przyjaciółką. Do dziś potrafią ją dręczyć wyrzuty sumienia. Po latach dowiedziała się także o tym, jakie plany związane z wymarzoną pracą miała w przeszłości jej mama. Okazało się, że były do siebie podobne bardziej, niż myślała. Gdyby mogła cofnąć czas, nigdy nie wypowiedziałyby tych bolesnych słów w jej stronę. Mimo upływu lat Ester wcale nie powodziło się lepiej. Nigdy nie przypuszczałyby, że katastrofa naturalna będzie dla niej tak brutalna w skutkach.

Nadzieja matką głupich

Jako dziecko najbardziej na świecie bałam się potworów spod łóżka, jednak gdy dorosłam, zrozumiałam, że one nigdy nie istniały, a prawdziwe potwory nie siedzą na brudnej podłodze ani nie chowają się na dnie szafy. Nie natknemy się na nie pod łóżkiem, a w restauracjach, galeriach handlowych czy na ulicach, gdy przechadzają się bez skrupułów. Przestałam bać się wymyślonych demonów dość wcześnie, bo zrozumiałam, że to człowiek człowieka powinien obawiać się najbardziej.

Takie myślenie w pewien sposób pomogło mi przetrwać. W końcu musiałam przyjąć jakąś postawę. Nie dopuszczałam do siebie ludzi. Jednak czy mogłabym postępować inaczej, jeżeli dawniej wierzyłam we wszystkie piękne słowa wypowiedane przez brzydkich ludzi? Od momentu, do którego sięgała moja pamięć, skrupulatnie pozbawiano mnie nadziei, a teraz, kiedy popchnięta jej resztkami zrobiłam coś, co dawniej byłoby dla mnie abstrakcją, czułam się... zagubiona. Choć myślałam, że już od dawna nic nie czuję.

Każdy człowiek ma prawo oceniać, nie mając pełnej wiedzy dotyczące danej sytuacji albo mając zwyczajnie gdzieś powody, dla których ktoś dopuścił się karygodnego w jego mniemaniu czynu. Mnie zastanawiało to, co powiedziałyby osoby postronne. Stwierdziłyby, że jestem oszustką, złodziejką i nazwały szaloną? Czy spojrzałyby na mnie ze zrozumieniem, bo przecież człowiek, który nie ma nic do stracenia, chwytą się wszystkiego. Sama, gdy zrozumiałam, że straciłam wszystko, postanowiłam, że zrobię tyle samo, a nawet więcej, by wyrwać się z życia, którego nienawidziłam każdą cząstką swojego ciała. Dlatego siedziałam teraz w samolocie do innego kraju, z wiedzą, że ktoś mógłby nazwać mnie każdym z wyżej wymienionych określeń, a przy tym wcale nie mijając się z prawdą.

Usłyszałam głos stewardessy wydobywający się z głośników, po czym przyknełam oczy, opierając głowę o zagłówek fotela. Czułam, jak drżą mi dłonie, a zaraz po nich zaczęły też nogi. Starłam się oddychać równomiernie, powoli wciągając i wypuszczając powietrze. Zaraz mieliśmy lądować, więc musiałam się uspokoić, by nie zwracać na siebie niechcianej uwagi, która byłaby ostatnim, czego w tamtej chwili potrzebowałam. Miałam plan, którego za wszelką cenę musiałam się trzymać, a każda moja nieuwaga mogłaby go zaprzepaścić. Uciekałam. Uciekałam przed wszystkim i jedynym, co znałam, w nadziei, że nikt nie będzie zadawać pytań i przede wszystkim, że on nie będzie szukał. Choć przecież wiedziałam, że będzie. Chwyliłam za torebkę i na wciąż drżących nogach wstałam ze swojego miejsca, kierując się do wyjścia z samolotu. Owinęłam się ciasniej płaszczem, wpatrując się w zachodzące słońce, kiedy zimny wiatr zaczął rozwiewać mi włosy. Wyciągnęłam telefon, kupiony za gotówkę w jednym z kalifornijskich lombardów, po czym włączyłam go, wkładając kartę z nowym numerem.

Nienawiść, strach i niepewność krążyły wokół mnie od momentu, kiedy dzisiejszego ranka otworzyłam oczy, jednak nie miałam już skrupułów. Czy jest coś gorszego i bardziej nieprzewidywalnego niż człowiek, który upadł i nie ma już na czym się oprzeć ani nic, co można by mu było jeszcze odebrać? Zwróciłam się w stronę lotniska i zaczęłam wymijać ludzi, aby jak najszybciej dotrzeć do środka. Nie znosiłam zimna, a według tego, co zdążyłam przeczytać w internecie, Kanada w tym roku była wyjątkowo mroźna. Kierowana strzałkami informacyjnymi trafiłam do odpowiedniego pomieszczenia, aby odebrać bagaż, a gdy to zrobiłam, poczułam, jak kolejny mały ciężar spada z moich barków. Chwyliłam mocno rączkę walizki tak, jakby wszyscy wokół znali jej zawartość, a ktoś miał zaraz podejść i wyrwać mi ją z rąk. Z szybko bijącym sercem i całkowicie obojętną miną uniosłam głowę, po czym skierowałam się w stronę wyjścia z lotniska. Jedyne, co mnie jeszcze ograniczało, to emocje. Uczucia, które pojawiały się raz na jakiś czas, zastępując pustkę, tym samym przypominając o swojej obecności. Przypominały mi, że wcale nie byłam aż tak bardzo

wybrakowana, jak myślałam. A to wszystko po to, by i tak mnie znalazł? Przecież wiedziałam, że będzie szukał.

* * *

– Przygotowałam nam obiad! – krzyknęła moja współlokatorka, kiedy tylko znalazłam się w drzwiach mieszkania. – Zrobiłam makaron. Miałam się ciebie wczoraj zapytać, co byś chciała, ale zapomniałam to zrobić, a dzisiaj nie odpisywałam, więc postawiłam na makaron. – Wzruszyła ramionami, jedynie przelotnie odwracając się do mnie nad ramieniem. Uśmiechnęłam się lekko, a co dziwne, mój uśmiech był szczery. Od kilkunastu dni, spędzonych w tym miejscu, zaczęłam częściej szczerze się uśmiechać.

– Uwielbiam makaron! – odpowiedziałam, odstawiając torebkę na jedno z krzeseł przy małej wyspie kuchennej. – Przepraszam, nie widziałam wiadomości. Byłam zavalona studiami. Zapisalam się na zdecydowanie za dużo kół naukowych i jeszcze wzięłam jeden kurs więcej niż te wymagane. – Westchnęłam. Była to prawda, jednak skłamałam, jakkolwiek sugerując, że żałuję tej decyzji. Mogłabym dołożyć jeszcze więcej, gdyby to oznaczało, że zabraknie mi czasu na stres. Wciąż analizowałam słuszność swojej decyzji, a jej możliwe konsekwencje nie dawały mi spokoju.

– Boże... – zaśmiała się Sophia. – Chciałabym mieć takie ambicje jak ty. – Tyle że tu nigdy nie chodziło o ambicje. – Ja poprzestałam na tym, co obowiązkowe, a i tak ledwo wyrabiam – kontynuowała, nakładając makaron na talerze. Spojrzałam w dół na swoje dłonie, a potem mój wzrok mimowolnie zjechał na ręce, na których widoczne były zadrapania. Zerknęłam na Sophie, wciąż odwróconą do mnie plecami, i zsunęłam niżej rękawy bluzy, aby zakryć zaczerwienienia. – Gdybym miała jeszcze jakieś dodatkowe zajęcia, to chyba dostałabym szału. – Odwróciła się do mnie z uśmiechem i położyła obie porcje na blacie.

– Wiesz, zaley mi – skłamałam. – Dla tych studiów wyprowadziłam się do innego kraju, więc mam dodatkową motywację, żeby wziąć się za siebie i faktycznie poświęcać czas na naukę – łągałam dalej. W tamtym momencie po raz pierwszy miałam ochotę wykrzyknąć jej prawdę, i nie chodziło tu o nią,

bo nie stała się nagle moją przyjaciółką. Byłam zwyczajnie słaba, pragnąc po prostu w końcu komuś zaufać. Komukolwiek.

– Racja – przyznała Sophia, biorąc pierwszy kęs jedzenia. – To trochę daleko. – Dziewczyna przerwała na chwilę, marszcząc przy tym brwi. – Bo jesteś z Indiany nie? Dobrze pamiętam?

Nie dziwiło mnie to pytanie. Wspomniałam jej o tym jedynie raz, i to w SMS-ie, podczas dogadywania szczegółów odnośnie do mieszkania, jeszcze długo przed moim przylotem.

– Tak. – Następane kłamstwo wypadło z moich ust. – To niecałe pięć godzin samolotem, ale zawsze mogło być gorzej. – Wzruszyłam ramionami. – A czemu pytasz?

– A tak się zastanawiałam. Będziesz wracać na święta do domu? – zapytała, a jedzenie prawie stanęło mi w gardle. Sophia wydawała się niczego nie zauważyć, skupiając uwagę na makaronie i na leżącym przed nią telefonie, który co jakiś czas się podświetlał. Kiedy nie odpowiedziałam od razu, podniosła wzrok i zmarszczyła brwi, zapewne mylnie interpretując mój wyraz twarzy, jednak nie miałam nic przeciwko temu.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziałam ze zboląłą miną. – Jestem w trakcie szukania pracy. Jeśli nie znajdę jej w najbliższym czasie, nie będzie mnie stać na bilet, a jeśli jednak uda mi się coś znaleźć, wszystko będzie zależeć od grafiku, jaki dostanę – powiedziałam i zrobiłam krótką przerwę, kiedy Sophia położyła swoją dłoń na mojej, zapewne pragnąc wesprzeć mnie tym gestem, jednak sprawiła tylko, że starałam się nie wzdrygnąć przez jej dotyk. – Szczerze mówiąc, powoli nastawiam się już na to, że jednak nie uda mi się w tym roku spędzić świąt z rodziną, ale jest okej – kontynuowałam, spoglądając na dziewczynę. – Tak naprawdę brałam to pod uwagę, kiedy decydowałam się wyjechać.

– W takim razie pojedź ze mną na święta – powiedziała, a mnie nie udało się ukryć szoku malującego się na twarzy. Wpatrywałam się w nią przez chwilę, po raz pierwszy od dawna nie będąc pewna, co powiedzieć.

– Posłuchaj, ja... nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – odezwałam się w końcu, zabierając dłoń spod dotyku dziewczyny.

– Lily, nie pozwolę ci zostać tu samej w święta! Mam dużą rodzinę i zawsze jest u nas masa gości, więc jeśli powiem mojej mamie, że moja współlokatorka spędza ten dzień sama, nie wpuści mnie bez ciebie do domu. Serio. Ma bzika na punkcie świąt. – dodała, zapewne dostrzegając niedowierzanie malujące się na mojej twarzy. – Zabieram ze sobą w tym roku jeszcze chłopaka, więc nie będziesz moim jedynym gościem.

Wpatrywałam się w nią szoku. „Pojeżdż ze mną na święta” – te słowa uderzyły mnie bardziej, niż powinny, zapewne dlatego, że ostatnie święta spędzałam pięć lat temu z mamą, kiedy ta jeszcze żyła. Była cudownym, jednak zmanipulowanym człowiekiem, bo nie potrafiła odejść od mężczyzny, który z roku na rok stawał się coraz większym potworem.

Dziewczyna miała zawzięty wyraz twarzy i wierzyła w powodzenie planu, który mi przedstawiła, choć jeszcze chwilę temu była bliska płaczu. Widziałam to. Z Sophie można było czytać jak z otwartej książki, a takimi osobami najłatwiej było manipulować i jeszcze bardziej nienawidziłam się za to, że od początku sama to robiłam. Jednak czy potrafiłam jeszcze żyć inaczej? Od lat tonęłam w cudzych kłamstwach, a kiedy wyjechałam, zaczęłam robić to samo z własnymi, jedynie ponownie zataczając krąg.

– Posłuchaj, ja... niczego nie obiecuję, ale przemyślę to – powiedziałam wreszcie. Na twarzy dziewczyny pojawił się szeroki uśmiech, świadczący o pewności, jaką miała, że udało jej się mnie przekonać, jednak nie mogła bardziej się mylić.

– Świetnie, a skoro jesteśmy już przy takich tematach... – Patrzyła na mnie przez kilka sekund z dziwnym wyrazem twarzy, który zdążyłam już poznać. Wiedziałam, co zaraz padnie, więc odezwałam się pierwsza.

– Nie.

– Nawet nic jeszcze nie powiedziałam! Skąd ty...

– Nie musiałaś. – Przerwałam jej. – Domyśliłam się, co chciałaś zaproponować, i moja odpowiedź nadal brzmi: nie. – Zmrużyła oczy i na chwilę znów zamilkła. Wyglądała, jakby starała się mnie przeświecić. – Naprawdę to doceniam, ale muszę się teraz skupić na tych studiach. Dopiero zaczynam, a już mam wiele do roboty. Nie mogę tego zaprzepaścić – powiedziałam,

zmęczona zarówno tą rozmową, jak i wspomnieniami napływającymi do mojej głowy. Wierzyłam, że była dobrym człowiekiem. Zwyczajnie bała się od niego odejść...

– Ja się po prostu martwię, Lizy. Uważam, że wyjście z mieszkania dobrze by ci zrobiło. Dzisiaj idę z moimi przyjaciółmi na drinka, i uwierz, że każdy ucieszyłby się, gdybyś dołączyła. – Już otwierałam usta, aby coś powiedzieć, ale Sophia podniosła rękę, aby mnie uciszyć, i odezwała się pierwsza: – I zanim znów mi odmówisz – zaczęła, na co lekko się uśmiechnęłam – wiedz, że naprawdę cię polubiłam. Pamiętasz moich przyjaciół?

– Dziwne by było, gdybym nie pamiętała. Byli u ciebie w zeszłym tygodniu.

– U nas – zaznaczyła. – I tak samo jak ja, bardzo cię polubili. Posłuchaj, rozumiem, jak ważne są dla ciebie te studia, i podziwiam to, jak wiele robisz i poświęcasz, w końcu musiałaś zostawić rodzinę i przyjaciół, aby tu przylecieć, ale nie chcę, abyś zapomniała przy tym o sobie. Wiem, że nie znamy się długo, ale pamiętaj, że gdybyś potrzebowała na miejscu kogoś bliskiego, to jestem – kontynuowała, a ja nagle poczułam, jak zaczynają szczypać mnie oczy, bo mimo że w przeszłości miałam w swoim życiu bliskie osoby, nigdy nie poczułam, aby ktoś chciał dać mi tyle wsparcia. A Sophie próbowała mi je dać, mimo że nie znała mnie wcale. *Pojedź ze mną na święta.* – Więc jakbyś postanowiła odpocząć i zrobić sobie przerwę... to daj znać. Po prostu... nie wiem. Nie znamy się długo, ale zależy mi na tobie i na tym, byś czuła się tu dobrze.

Czuła się dobrze. Zależy mi, abyś czuła się dobrze. Poczułam na policzku pierwszą spływającą łzę. Martwię się. Choć nie rozpadłam się przy niej całkowicie, bo Sophia wciąż nie mogła dostrzec na mojej twarzy wszystkich uczuć panujących wewnątrz mnie, nie mogłam powstrzymać łez. I choć nienawidziłam dotyku prawie tak samo jak mężczyzn, podeszłam do dziewczyny, aby ją przytulić, po raz pierwszy od lat sama inicjując jakikolwiek fizyczny dotyk.

– Jejku, nie płacz. – Uśmiechnęła się i objęła mnie, kiedy ja nie mogłam stwierdzić, czy ten uścisk w jakiś sposób mi pomógł, czy zaburzył ostatni cień komfortu, który miałam. *Zależy mi na tobie.* Po pierwszej sekundzie pra-

gnęłam się odsunąć. Sophia gładziła uspokajająco moje plecy dłońmi, które wypalały dziury w moim ciele. Byłam spięta i czułam potrzebę odsunięcia się od dziewczyny, jednak ta bliskość jednocześnie w pewien sposób była dla mnie kojąca, tworząc w mojej głowie największy dysonans, jakiego od dawna doświadczyłam. Byłam obrzydliwym człowiekiem.

Odsunęłam się od dziewczyny, dziękując jej cicho. Otarłam z policzka kolejną łzę, która nigdy nie powinna się na nim znaleźć. Sophia posłała mi uśmiech, po czym zabrałyśmy się za sprzątanie kuchni w ciszy, której żadna już nie przerwała.

Po naszej rozmowie potrzebowałam побыć chwilę w samotności, więc kiedy tego wieczoru za Sophią zatrasnęły się drzwi mieszkania, odetchnęłam z ulgą. Po szybkim prysznicu od razu skierowałam się w stronę swojego pokoju. Nieduże pomieszczenie oświetlone było jedynie światłem księżycy a lamp ulicznych, przebijającym się przez spore okno.

Położyłam się na łóżku, a kiedy mój wzrok przyzwyczał się do panującej ciemności, podniosłam się, wychylając i podpierając na łokciach, by dosięgnąć do walizki leżącej obok. Wyciągnęłam powoli rękę, otwierając ją, a pierwszym, co rzuciło mi się w oczy, były pieniądze zajmujące znaczną część walizki. Przymknęłam oczy, wypuszczając drżący oddech, tym samym starając się zignorować pojawiający się we mnie niepokój. Przez nie i swoją skrajnie impulsywną decyzję mogłam spieprzyć cały plan już na starcie. Przerzuciłam wzrok na drugą stronę walizki. Wyjęłam bluzę i przykryłam nią wszystkie pieniądze, po czym znów się pochylilam, aby tym razem wyjąć koszulkę, w którą się przebrałam. Pociągnęłam bagaż tak, aby leżał pod łóżkiem, po czym sama się położyłam. Tamtej nocy nie spałam za wiele. Podobnie jak poprzedniej i chyba każdej następnej.

* * *

Oceanside, San Diego, California – czternaście dni i dwadzieścia godzin wcześniej
Stojąc w oknie swojego pokoju, przyglądałam się słabym kolorom rozpościerającym się na niebie. Było jeszcze dosyć ciemno, ale mogłam zobaczyć już zarysy lądu, a w oddali delikatny błysk promieni słonecznych odbijających

się od oceanu. Spojrzałam w lewo na ścianę z zegarem wskazującym godzinę czwartą nad ranem. Tego dnia mogłam zmienić swój los bądź już na zawsze zaprzepaścić resztki tłącej się we mnie nadziei.

Mimo że nie miałam już nikogo na tym świecie, starałam się pamiętać, że wciąż mogłam liczyć na siebie. Po latach wreszcie zrozumiałam, że to ja byłam swoją ostatnią deską ratunku i przestałam naiwnie wierzyć w dobrych ludzi, którzy wyciągnęliby mnie z mojego własnego piekła. Musiałam zrobić to sama mimo jego słów krążących nieustannie z tyłu mojej głowy, krzyczących, jak słaba jestem. Być może miał rację. W pewien sposób była słaba dlatego, że od pozostania w tym przeklętym miejscu dzień dłużej wolałam już poddać się całkowicie. Jedyne, co jeszcze trzymało mnie na nogach, to nadzieja, że jeśli wszyscy wokół zawiedli, może, ale tylko może, będę w stanie uratować się sama. Odwróciłam się powoli od okna, przekierowując wzrok na otwartą walizkę leżącą na środku małego pokoju. Przez słabe, szare światło wpadające przez okno ledwo ją widziałam. Nie była dużej, a raczej średniej wielkości, jednak była wystarczająca, bym mogła na spokojnie wpakować do niej swoje dotychczasowe życie. Podeszłam bliżej, a następnie przykucnęłam i drżącymi dłońmi zamknęłam suwak najciszej, jak umiałam. Musiałam być cicho, bo nie mogłam go obudzić. Chciałam wyjść jak najszybciej, w końcu nie pozostało mi wiele czasu, a prawdopodobnie była to moja jedyna szansa na ucieczkę. Wszystko było już zaplanowane i gdyby dziś coś poszło nie tak... myślę, że nie miałabym kolejnej szansy. Czulałam, jak moje serce powoli przyspiesza nierównym rytmem, a dłonie zaczynają drżeć, co tylko potęgowało moje przerażenie. Nie. Nie mogło się to teraz dzieć. Nie mogłam pozwolić sobie dziś na słabość, bo zwyczajnie nie miałam czasu. Przymknęłam oczy i robiłam powolne wdechy i wydechy, próbując się uspokoić, jednak na marne. Z każdym kolejnym trudniej było mi zagarnąć powietrze. Na drżących już mocniej od dłoni nogach podniosłam się i skierowałam w stronę drzwi. Otworzyłam je, stawiając powolne kroki w miejscach, w których podłoga skrzypiała najmniej. Lewą ręką trzymałam się ściany, a drugą dłonią wbiłam sobie paznokcie w skórę, za wszelką cenę starając się skupić umysł na bólu fizycznym. Nieskutecznie. Moje wdechy były coraz płytsze, a widok

zaczął się przede mną rozmywać. Kiedy dotarłam do konkretnych drzwi, podniosłam rękę, aby złapać za klamkę, jednak zamiast tego uderzyłam dłonią w twarde drewno obok niej, prawie się przy tym potykając. Wywołałam tym hałas, który wydawał mi się mocno przytłumiony, jakby dzieliła mnie od niego tafla wody. Przez cały czas jedną ręką podtrzymywałam się ścianą, która chroniła mnie przed upadkiem. Mrugałam coraz szybciej, starając się pozbyć mroczków przed oczami, które dodatkowo przysłaniały mi widok. Po upłynięciu kilku minut lub sekund ponowiłam próbę. Tym razem udało mi się chwycić za klamkę i otworzyłam drzwi do łazienki. Na miękkich nogach podeszłam do umywalki i oparłam się o nią całym ciężarem, bo czułam, że jeśli tego nie zrobię, to upadnę. Próbowalam chwycić za kran, jednak rozregulowany błędnie mi na to nie pozwalał i zamiast tego zrzuciłam leżące obok niego mydło w kostce. Przez cały czas starałam się unormować oddech, ale wciąż nie potrafiłam wziąć pełnego wdechu, jakby częściowo odcięto mi dopływ powietrza. Podjęłam się drugiej próby i odkręciłam lodowatą wodę, mocząc w niej dłonie, jednak dalej opierałam łokcie o kanty umywalki. Jedyne, co byłam w stanie usłyszeć, to serce bijące za szybko i nierównomiernie. Szum wody słyszałam jak z oddali. W pewnym momencie, nie będąc w stanie już się utrzymać, mimowolnie zrobiłam krok do tyłu, po czym straciłam równowagę, zderzając się plecami ze ścianą. Kiedy upadałam na podłogę, w pośpiechu starałam się złapać szafki stojącej obok, jednak bez skutku. Cicho. Musiałam być cicho. Upadłam na kafelki całym ciałem, wciąż wbijając sobie paznokcie w skórę dłoni i ud. Czas mijał, a ja zaczynałam być coraz mocniej świadoma sytuacji, do której doszło. Do której doprowadziłam, bo nawet dzisiaj nie umiałam się uspokoić.

Powoli zaczęłam odczuwać pieczenie zadrapań i ostry ból głowy, w którą musiałam się uderzyć. Wpatrywałam się w szary sufit pokryty kurzem, pajęczynami i gdzieś tam pleśnią, licząc w myślach. Nie miałam pojęcia, ile czasu spędziłam na podłodze, a nawet kiedy zaczęłam liczyć, ale wiem, że byłam przy osiemdziesiąt siedem, kiedy coś przykuło mój wzrok. Skończyłam na tej liczbie, wpatrując się we wlot wentylacyjny przy suficie. Światło lampy ulicznej i powoli wschodzącego słońca oświetlało pomieszczenie wystarczająco,

bym mogła dostrzec tam coś, czego zdecydowanie dostrzec nie powinnam. Coś, co ewidentnie nie było przeznaczone dla mnie i moich oczu. Po kolej chwili, kiedy udało mi się uspokoić i utrzymywać w miarę równomierny oddech, powoli podniosłam się z brudnej podłogi, wciąż obserwując wlot. Podeszłam bliżej. Musiałam się lepiej przyjrzeć, ponieważ mogłam się mylić. Chociaż czy to miałyby jakiegokolwiek znaczenie? Wiedziałam, że nic z tym przecież nie zrobię. Postawiłam lewą nogę na jednym końcu wanny, a drugą na umywalce, gdy rękami trzymałam się rury, by nie spaść. Podniosłam głowę i zobaczyłam banknot przytrzaśnięty przez białą kratę. Wyciągnęłam rękę w jego stronę i delikatnie szarpnęłam, wyjmując sto dolarów. Wpatrywałam się w nie jak oniemiała, a moje serce ponownie zaczęło przyspieszać, gdy zaczęłam nabierać coraz większej pewności tego, co właśnie znalazłam. Włożyłam banknot do kieszeni, po czym delikatnie dotknęłam białej kraty. Nie była zakurzona ani pokryta pajęczynami, co stanowiło dziwną odmianę. Kiedy się przyjrzałam, w dolnych rogach dostrzegłam dziury, w których brakowało śrub. Byłam w stanie ją lekko podważyć, a gdy to zrobiłam, serce na chwilę mi zamarło i wstrzymałam oddech. Poczulałam, jak ręce zaczynają mi się pocić i trząść. Przez słabe światło i padający na środek wlotu cień nie byłam w stanie dojrzeć wszystkiego. A dokładnie to wszystkich pieniędzy znajdujących się we wnęce. Przełykając ciężko ślinę, stanęłam z powrotem na podłodze. W pomieszczeniu z każdą chwilą było coraz jaśniej, więc wiedziałam, że nie mam za wiele czasu. Rozejrzałam się po łazience i podeszłam do umywalki, wyłączając wciąż odkręconą wodę. Otworzyłam szufladę niżej i zaczęłam przerzucać wszystko w środku. Mój umysł krzyczał, żebym uciekała, jednak coś mnie trzymało. W końcu przecież nie chciałam nic z tym robić. Chciałam jedynie... spojrzeć?

Przewracając wszystko, co znajdowało się w szufladzie, na samym dnie znalazłam stary śrubokręt z czarno-czerwoną rączką. Zanim się ruszyłam, zaczęłam obracać go w palcach i myśleć nad tym, jak bardzo chore i szalone jest to, co zamierzałam teraz zrobić. Nie zdziwił mnie widok narzędzia w tym miejscu. Już kiedyś go tu widziałam, ale nie przywiązałam do tego większej wagi, bo w tym domu wszystko wałało się w dziwnym i nieodpowiednim dla

danej rzeczy miejscu. Najwidoczniej popełniłam wielki błąd. Podniosłam się i z powrotem stanęłam pół na wannie i pół na umywalce. Za drugim razem czułam się w tej pozycji nieco pewniej. Spoconymi ze stresu i trzęsącymi się nieustannie dłońmi powoli zaczęłam wykręcać śrubki, po czym ostrożnie odciągnęłam białą kratę. Wnęka w ścianie była zapelniona pieniędzmi. Nie miałam zielonego pojęcia, ile ich tam było, ale widziałam głównie banknoty studolarowe. Minęła chwila, zanim się ruszyłam. Zanim przemyślałam cokolwiek. Minęła chwila, zanim poprawiłam stopy, aby stać pewniej. Zanim obiema rękami wyciągnęłam znaczną część pieniędzy, zostawiając w środku niewielkie ochłapy w porównaniu z tym, co trzymałam w rękach. Przez światło przebijające się przez okno mój stres się tylko wzmagał. Zdawałam sobie sprawę, że jest znacznie później, niż powinno. Nie miałam pojęcia, jak wiele czasu zmarnowałam, jednak byłam świadoma, że według planu już dawno powinnam była wyjść z budynku. Serce zaczęło mi bić jeszcze szybciej. Zeszłam i odłożyłam na podłogę znaną gotówkę. Przymocowałam z powrotem śrubki i odłożyłam śrubokręt na miejsce. Podeszłam do drzwi i otworzyłam je powoli, podnosząc je nieco, przez co nie skrzypiały tak mocno. Otworzyłam ponownie walizkę i wyrzuciłam część ubrań, a w zamian za nie włożyłam znalezione pieniądze. Boże. Miałam ochotę wyrwać sobie wszystkie włosy z głowy. Co ja robiłam?! Podeszłam do biurka, na którym leżał telefon, po czym spojrzałam na godzinę. Piąta trzydzieści dwie. Cholera. Włożyłam dresy, po czym chwyciłam torebkę, upewniając się, że mam klucze, dowód osobisty, paszport, portfel i wszystkie inne najpotrzebniejsze dokumenty. Włożyłam wyciszony telefon do torebki i skierowałam się w stronę drzwi. Zanim zamknęłam je za sobą, rozglądnęłam się po całym pokoju, aby upewnić się, że nie zostawiłam niczego potrzebnego. Zamknęłam drzwi. Skierowałam się w stronę schodów, idąc powoli z walizką w ręce. Staralam się iść przy samej ścianie, bo właśnie tam na schodach podłoga skrzypiała najciszej. Z sercem w gardle pokonywałam każdy kolejny stopień, a gdy znalazłam się na parterze, każdy jeden centymetr mojego ciała zamarł na kilkadziesiąt sekund. Zaczęłam powoli mrugać, jakbym liczyła, że obraz przede mną zaraz zniknie, jednak nic takiego się nie wydarzyło.

Poczułam się mała. *Słaba*. Zawsze się tak czułam, kiedy człowiek mający czelność nazywać się moim ojcem przebywał w pobliżu. Moje stopy wrosły w podłogę. Kiedy wreszcie oderwałam od niego oczy, spojrzałam na stół obok, wręcz przykryty białym proszkiem, tabletkami i pustymi puszkami po piwach i butelkami po wódce. Zdemolowany był cały pokój, jednak nie był to tak rzadki widok, jak mogłoby się wydawać. Worki z kokainą były jedyną rzeczą leżącą prosto, nie porozrzucane po całym salonie. Najpewniej był tym wszystkim naćpany, co tego ranka musiało mnie uratować. Gdyby nie to, zapewne usłyszałyby mnie już wcześniej. Nie miałam pojęcia, jaką dokładnie dawkę wziął, ale wciąż oddychał, co było wystarczającym powodem, przez który nie mogłam pozostać spokojna. Wreszcie oderwałam stopę od ziemi, stawiając pierwszy krok. Szłam tyłem, wciąż wpatrując się w potwora w ludzkiej skórze, przygotowana do biegu, gdyby jednak nagle otworzył oczy. Przecież *mógł zrobić to w każdej chwili*.

Kiedy dotarłam do drzwi, powolnymi ruchami odstawiłam walizkę. Wyjęłam klucze z torebki i zaczęłam przekręcać zamek w drzwiach, aż nagle poczułam krople padające mi na rękę. Zdezorientowana spojrzałam na dłoń, po czym przetarłam nią mokry policzek. Dopiero wtedy zorientowałam się, że płakałam. Nawet nie miałam pojęcia, w którym momencie zaczęłam. Kiedy zamek ustąpił, jeszcze ostatni raz spojrzałam przez ramię na mężczyznę, po czym zamknęłam za sobą drzwi. Odstawiłam walizkę i wyjęłam telefon z kieszeni, aby zerknąć na wyświetlacz. Szósta dwie.

* * *

Kolejne tygodnie miały względnie spokojnie. Było cicho. Nie miałam żadnych wieści z mojego poprzedniego życia, co mnie nie dziwiło, ale też nie napawało spokojem. Usunęłam wszystkie poprzednie social media i zmieniłam numer telefonu, więc ktokolwiek z Oceanside chciałby się ze mną skontaktować, nie wiedziałby, jak skutecznie to zrobić. Regularnie sprawdzałam wszystkie sprawy dotyczące zaginięć w tamtych rejonach, ale zdaje się, że o to mogłam być spokojna. Ojciec nie zgłosiłby zaginięcia. Mimo niekompetencji tamtejszej policji każdy kontakt z nią mógłby być dla niego ryzykowny. Od

ludzi, z którymi nigdy się zadawałam i których mogłam nazywać przyjaciółmi, już dawno skutecznie się odcięłam. Bolało, ale wiedziałam, że było to jedyne wyjście, jakie miałam, abym w przyszłości mogła stamtąd uciec. Nie miałam z nimi kontaktu już od ponad roku i nie sądziłam, aby interesowali się moją nieobecnością w mieście, tym bardziej w czasie studiów. Nie sądziłam, żeby nawet ją dostrzegli, a już na pewno nie tak szybko. Gdyby jednak się to stało, mogliby założyć, że wyjechałam, tym bardziej że nie raz w wielu naszych rozmowach wspominałam, że tego właśnie bym chciała. Ojciec mógłby nawet wymyślić własną, wygodną dla niego historię. Ambitna córka studiująca w stolicy naszego kraju – myślę, że brzmiałaby dobrze dla niego i wszystkich zainteresowanych. On za to odegrałby rolę dumnego ojca. Był dobrym aktorem. W końcu to od niego wszystkiego się nauczyłam.

– Lizy, idziesz? – zapytał Oliver. – Zaraz spóźnimy się na zajęcia.

Być może właśnie tak to wyglądało. Jest szansa, że po początkowym drażnieniu odpuściłby, ale czy zrobi to, kiedy zorientuje się, że ukradłam pieniądze w teorii należące właśnie do niego?

Być może ta decyzja przypieczętowała mój los, który miał przypomnieć o sobie szybciej, niż w rzeczywistości myślałam.

– Tak, jasne, przepraszam – powiedziałam, zabierając płaszcz z krzesła, po czym wyszliśmy z pobliskiej kawiarni.

Po wielu namowach Sophie zgodziłam się spotkać z jej przyjaciółmi, którzy tak jak się spodziewałam, byli zwyczajnie w porządku. Oliver studiował ze mną psychologię, więc czasami mijaliśmy się na kampusie lub tak jak dzisiaj, spędzaliśmy czas pomiędzy zajęciami, mimo że nigdy nie wyszło to z mojej inicjatywy. W pewien sposób dzięki temu pomagał mi się wtopić w grupę innych uczniów. Jednak nie chciałam zawierać nowych znajomości, tym bardziej teraz, kiedy z każdym dniem w mojej głowie pojawiała się myśl, że stąd w końcu też będę musiała uciec. Ta myśl z każdym rankiem była coraz głośniejsza.

Szliśmy przez dziedziniec w przyjemnej ciszy, wracając na ostatnie zajęcia tego dnia. Owinęłam się ciasniej płaszczem i założyłam dłonie na piersi, starając się ochronić przed zimnym wiatrem, który z każdym tygodniem był

znacznie bardziej odczuwalny. Powoli oswajałam się z tutejszym klimatem, jednak niezbyt ciepły płaszcz, który miałam, wciąż był głupim wyborem na tę pogodę.

– Alison? – Usłyszałam znajomy głos, a na dźwięk wypowiedanego imienia moje serce na chwilę przestało bić. Czulałam, jak każdy centymetr ciała paraliżuje strach, jednocześnie wciąż szłam przed siebie. Nie odwróciłam się. Spojrzałam jedynie w lewo na Olivera i uśmiechnęłam się w reakcji na słowa, których przez ogarniającą mnie panikę nawet nie zrozumiałam.

– Alison! – Usłyszałam ponownie, jednak tym razem głos był znacznie bliżej nas. Dalej nie planowałam reagować, jednak zrobił to Oliver, odwracając się i posyłając pytające spojrzenie mężczyźnie, który najwidoczniej musiał znajdować się już centralnie za nami. Wciąż uparcie wpatrywałam się w chłopaka po mojej lewej, bojąc się spojrzeć za siebie. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy, które tu spędziłam, chciałam jedynie zniknąć. Po kilku sekundach odwróciłam się wreszcie, przerywając niekomfortową ciszę. Dwa miesiące. Tyle trwała moja ucieczka, dopóki przeszłość mnie nie dogoniła...

– O, Luke! – powiedziałam, przybierając na twarz najszczęśliwszy ze wszystkich sztucznych uśmiechów. – Studiujesz tu? – zapytałam, modląc się, aby mój głos nie drżał. Miałam nadzieję, że zaprzeczy, choć właściwie to nie mam pojęcia po co. Nic przecież nie miało już znaczenia. Chłopak potwierdził, a ja, mimo że zdawałam sobie sprawę z przesądzenia mojego losu, poczułam się, jakbym w jednej sekundzie obudziła się i wyszła z bajki, która nigdy nie miała stać się moją.

Chłopak przeniósł wzrok na Olivera, zapewne czekając, aż ich sobie przedstawię.

– Poczekaś na mnie już w sali? Zaraz do ciebie przyjdę – zwróciłam się do Olivera, zanim zdążyliby choćby podać sobie ręce. Chłopak był ewidentnie skołowany, jednak przystał na moją prośbę, dzięki czemu już po kilku sekundach zostaliśmy sami. Chciałam rozegrać to jak najlepiej, jednak wątpiłam, że jest jeszcze jakakolwiek inna możliwość. Przegrałam. W pełni doszło to do mnie, gdy ponownie tego dnia podniosłam głowę, by spojrzeć mężczyźnie w oczy.

– Nie sądziłem, że cię tu spotkam. Nie sądziłem, że spotkam tu w ogóle kogokolwiek z naszego liceum.

– Prawda? Też się tego nie spodziewałam – odparłam, a te słowa były najszczerzszymi, jakie Luke kiedykolwiek ode mnie usłyszał. – Co studiujesz?

– Fizjoterapia. – Uśmiechnął się z dumą i zaczął opowiadać o kierunku, jednak nawet nie starałam się go słuchać. W głowie powoli układałam już plan na kolejne dni. Luke mnie znał. Jego rodzice znali mojego ojca. Nie mogłam ryzykować pozostania w tym miejscu nawet tydzień dłużej, co oznaczało, że ponownie moim jedynym wyjściem stała się ucieczka.

Jak mogłam choć przez chwilę pomyśleć, że to mogłoby być moje życie?

– Wiesz co, Luke, za pięć minut zaczynają mi się zajęcia, więc muszę iść – powiedziałam nagle, tym samym przerywając jego wywód. – Miło było cię zobaczyć.

– Tak, ciebie też – stwierdził i uśmiechnął się do mnie, jednak nie udało mu się ukryć rozczarowania. Sama również miło się uśmiechnęłam, jednocześnie chcąc zniknąć stąd jak najszybciej. – Może chciałabyś ze mną wyjść na kawę? Na przykład jutro? – powiedział, na co zareagowałam przewróceniem oczami.

– Wiesz co, jutro nie dam rady. Ogólnie nie mam teraz czasu.

– To może w następnym tygodniu? – zapytał, kiedy ja robiłam już drugi krok w tył, aby jak najszybciej od niego odejść.

– Może – powtórzyłam jego słowo, wciąż cofając się, tym samym odalając się od chłopaka.

– Środa ci pasuje? – Przy tym pytaniu Luke musiał już podnieść głos, bo zdążyłam odejść od niego kilka metrów.

– Może? – powiedziałam, choć wiedziałam, że już mnie tu nie będzie.

– Przyjadę po ciebie! Tylko powiedz mi, gdzie mieszkasz... – Zamknęłam za sobą drzwi budynku, przez co nie usłyszałam już dalszej części jego wypowiedzi.

Na drżących nogach skierowałam się w stronę auli, na której miał odbyć się wykład. Był ostatnim, o czym potrafiłam w tamtej chwili myśleć, jednak musiałam stwarzać pozory. Usiadłam obok Olivera, na miejscu, które

wcześniej musiał dla mnie zająć. Początkowo na mnie nie patrzył. Opierał się całym ciałem na blacie przed nami. W ten sposób jedyne, co mogłam zobaczyć, gdy na niego spoglądałam, to jasne, porzrzucone we wszystkie strony włosy. Podniósł się dopiero, kiedy do auli wszedł profesor. Poczulałam wtedy na sobie wzrok chłopaka, co spowodowało, że obróciłam głowę w jego stronę, posyłając mu pytające spojrzenie, choć dobrze zdawałam sobie sprawę z tego, jakie pytanie zaraz padnie.

– Alison? – powiedział wreszcie po chwili ciszy, a na dźwięk tego imienia spięłam się jeszcze mocniej. – Tamten chłopak zwrócił się do ciebie Alison. – Kiwnęłam jedynie głową, zgadzając się z jego słowami, choć dobrze wiedziałam, że nie oczekiwał potwierdzenia. Oliver wpatrywał się we mnie, czekając, aż dodam coś więcej i wyjaśnię mu niezrozumiałą dla niego sytuację, jednak nie potrafiłam się na to zdecydować. Czekałam, aż zapyta wprost bądź odpuści temat. Łudziłam się do ostatniej chwili. Przetarł rękami twarz i westchnął, zanim kontynuował: – Czuje się strasznie głupio. Przepraszam, ale... nie masz na imię Elizabeth?

– Mam. – Uśmiechnęłam się. – Luke chodził ze mną do jednego liceum... Kiedy byłam mała, nie lubiłam swojego imienia, więc kazałam wszystkim zwracać się do mnie moim drugim imieniem, czyli Alison. – Zaśmiałam się, udając lekko zażenowaną swoim zachowaniem, aby moje wymyślone na poczekaniu kłamstwo brzmiało lepiej. Udało mi się to, bo Oliver również zaśmiał się z moich słów.

– Byłaś dziwnym dzieckiem – stwierdził.

Byłam zniszczonym dzieckiem.

– Zgadzałam się. Do liceum chodziłam z wieloma osobami z mojej podstawówki, które dalej tak do mnie mówiły, więc tam też to się przyjęło. – Wzruszyłam ramionami, po czym zwróciłam się w stronę mównicy, na której profesor zaczął już wykład. Wyciągnęłam zeszyt i do końca zajęć udawałam, że słucham i notuję każde słowo, jednak nie potrafiłam skupić się na żadnym, gdy przez panikę rozchodzącą się po całym ciele miałam ochotę wymiotować.

Tego samego dnia, kiedy weszłam do pustego mieszkania, od razu skierowałam się w stronę szafy, wyrzucając na podłogę całą jej zawartość. Nie

miałam żadnego planu. Mimo że od zdarzenia przed uczelnią minęły jakieś trzy godziny, nie potrafiłam wymyślić przez ten czas nic sensownego. Jak mogłam tak po prostu wyjechać, kiedy za pierwszym razem planowałam to miesiącami? Skrupulatnie przez ponad rok odcinałam się od ludzi, aby nikt nie zainteresował się moją nieobecnością. Zmieniłam imię, aby Alison Harris według prawa nie istniała, więc jak teraz miałabym z dnia na dzień i bez słowa opuścić to miejsce? Usiadłam na łóżku, wplatając palce we włosy i ciągnąc się za kosmyki. Próbowалам unormować oddech – jednak bezskutecznie. Wariowałam.

Nagle przez cienkie ściany do moich uszu dobiegł szelest kluczy otwierających zamek. Zerwałam się na nogi, od razu wpychając ciuchy z powrotem do szafy.

– Wróciłam wcześniej! – Usłyszałam głos Sophie przebijający się przez drzwi, na co z ulgą wypuściłam wstrzymywane powietrze.

* * *

Nienawiść i chciwość napędzają przede wszystkim ludzi, którzy nie poznali w życiu wartości innych niż te materialne. Potrafiemy zabijać się o pieniądze i władzę, nie zważając na ruiny palących się za nami mostów. Świadomie burzymy je, niezainteresowani szkodami wywołanymi spadającymi – być może na ludzi – odłamkami. Potrafiemy kłamać i manipulować rzeczywistością tak, by mimo wyrządzonej za dnia krzywdy, gdy zapadnie zmrok, móc zasnąć w białych rękawiczkach.

„Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tutaj”. To zakorzenione od lat w mojej głowie zdanie ponownie przyszło mi na myśl, gdy po kilku dniach w progu moich drzwi dostrzegłam znajomą mi postać. W oczach mężczyzny nie było złości. Ona wydawałaby mi się zbyt pusta. Była to raczej furia wymieszana z obłędem, dziwnie kontrastująca z uśmiechem rozciągającym się na jego twarzy. Kiedy postawiłam krok w tył, mężczyzna zrobił dwa do przodu, a gdy po raz pierwszy tego dnia poczułam spowodowany uderzeniem ból, nie wiedzieć czemu, pomyślałam o miłości. Pół świata zgodnie jej nienawidzi, choć myślę, że tak naprawdę to nie ona jest problemem, a ludzie, którzy

tworzą ją na swój wzór. Problematiczną. Zniszczyłaś go! Zanim się pojawiłaś, On wcale tak się nie zachowywał. Usłyszałam w głowie słowa matki, wypowiedziane do mnie przed laty, o których dziwnym trafem zapomniałam. Może tak naprawdę nigdy nie doświadczyłam żadnej miłości?...

Gdy mężczyzna uderzył mnie po raz drugi, odważyłam się ponownie spojrzeć mu w oczy, których amok zdążył przysłonić już wszelkie emocje. Nie walczyłam, bo ze śmiercią pogodziłam się w momencie, gdy bezmyślnie otworzyłam drzwi. Choć może wcale tak nie było? Co jeśli otworzyłam je z pełną świadomością konsekwencji, bo ze śmiercią zdążyłam pogodzić się już wcześniej? Nie jestem pewna, w którym momencie zdecydowałam się przestać uciekać.

Mężczyzna pchnął mnie do tyłu. Zderzyłam się plecami z twardą ścianą i upadłam na podłogę, tracąc równowagę. Poczułam palący ból z tyłu głowy, a gdy dotknęłam zranionego miejsca, na palcach pozostała mi krew. Nie zdążyłam dłużej się nad tym zastanowić, kiedy mężczyzna podszedł do mnie bliżej, by następny cios wycelować w brzuch. A po nim nastąpił kolejny. Spojrzałam wyżej, dostrzegając telefon leżący na blacie. Może jednak miałam jeszcze szansę? I kolejny. Pozwoliłam opaść powiekom, kiedy na języku poczułam metaliczny posmak, a w uszach, prócz nierównego łomotu mojego serca, słyszałam jedynie pisk.

Po pewnym czasie poczułam, że mężczyzna odsuwa się ode mnie, więc mimo bólu zmusiłam się, by unieść powiekę. Minęła chwila, zanim mój wzrok był w stanie nieco się wyostriżyć. Skierowałam spojrzenie w górę, aby zobaczyć przeraźliwie wielki uśmiech człowieka stojącego nade mną. Wygrał.

Czy to nie jest tak, że największej władzy na tym świecie nie mają ci, których nie dosięgają konsekwencje ich działań?

– Myślałaś, że pozwolę tak po prostu ci uciec, Alison?

Apokalipsa

Tuż przed wschodem słońca zostałem wytrącony ze snu, otworzyłem przepęłnione łzami oczy i otarłem zimny pot z czoła. Już wiedziałem, że coś jest nie tak, jak powinno być. Bardzo dobrze znam to uczucie: wiercenie w okolicy splotu słonecznego i zamglony umysł.

Tak jakby moje ciało starało się mnie ostrzec, że dokładnie w tym momencie wydarza się coś złego, mimo że ja nie jestem jeszcze świadomy, czego to dotyczy. Sięgnąłem po telefon i wybrałem jej numer, jednak nikt nie odebrał. Tej nocy nie zmrużyłem już oka. Obserwowałem, jak w półmroku silny wiatr zrywa ostatnie liście z drzew. Głucha cisza wprawiała mnie w jeszcze większy dyskomfort. Około siódmej wypilem kubek czarnej kawy i spaliłem dwa papierosy. W gazecie przeczytałem wzmiankę o rosnącej skali samobójstw w kraju. Chyba nikogo to już nie dziwi. Nie czułem wobec samobójców żalu ani nawet współczucia, wypełniała mnie czysta zazdrość, bo sam nie mam odwagi strzelić sobie w głowę. Pomyślałem, że właściwie to przy życiu trzyma mnie jedynie resztką nadziei, której nie mogę się wyzbyć, jakkolwiek bym się na tym świecie nie męczył. Nie jestem w stanie dokładnie stwierdzić, od kiedy świat dookoła przestał mieć dla mnie znaczenie, bo zdaniem mojej matki zawsze byłem oschły. Dla mnie ona była po prostu głupia, jak większość ludzi, z którymi kiedykolwiek miałem do czynienia. Może to właśnie oni stanowią dla mnie największą udrękę, nienawidzę tego, jacy są małostkowi, jak dużo mówią, a mało wiedzą. Dawno temu postanowiłem przestać spierać się ze sobą i udawać kogoś, kim nie jestem. Wolalbym urodzić się idiotą, człowiekiem, który nie wysiliłby się nawet na tyle, by ruszyć własną głową, bo po co, skoro społeczeństwo subtelnie podsunęłoby mi plan na życie pod nos. Wszystkie wartości, przekonania wpajane od najmłodszych lat

i chore ambicje, które musiałbym zrealizować, by zadowolić innych. Gdyby się głębiej nad tym zastanowić, to żaden aspekt istnienia nie ma sensu ani znaczenia, a z tym stwierdzeniem ciężko się klócić. Kiedyś próbowałem terapii, ale koncepcja przeżywania bolesnych doświadczeń z przeszłości na nowo zwyczajnie mnie przerosła, faszzerować się ogłupiającymi lekami także nie miałem zamiaru, chociaż nie wykluczam istnienia zaburzeń w mojej głowie, które wymagałyby leczenia. Jak to jest, że nie ma nikogo lepszego ode mnie, mimo to – ja jestem nieszczęśliwy. Gdybym jednak to ja miał się oceniać, powiedziałbym, że nie zawsze byłem wrogiem otaczającego mnie świata.

Pamiętam tego towarzyskiego i dobrze wychowanego chłopaka. W liceum zawsze miałem dobre oceny, choć rzadko tam bywałem. Większość czasu spędzałem w garażu, grając z chłopakami na gitarze. Mieliśmy nawet w planach grać wspólnie koncerty, jednak do tego nigdy nie doszło. Nie narzekałem na brak kolegów i miałem pod dostatkiem zainteresowanych mną pięknych dziewczyn. Jednak mało kogo uważałem za wartego mojej uwagi. Z perspektywy czasu widzę, że byłem po prostu głupi, nie dostrzegając tego, że jest zbyt dobrze i za długo to nie potrwa. W klasie maturalnej, gdy większość moich rówieśników przygotowywała się do nadchodzących egzaminów i wyboru studiów czy pracy, ja miałem luz. Rodziców przestałem obchodzić, jak tylko skończyłem dwanaście lat. Uważali mnie za dojrzałego i rozsądnego młodego człowieka, co w rezultacie pozwalało mi na robienie, cokolwiek chciałem. Nikt mnie przecież nie pilnował, nikogo nie interesowało, co dokładnie robię. Nauczyciele także nie musieli się o mnie martwić. Nie lubiłem z nimi rozmawiać, bo zawsze słyszałem to samo: gdybym tylko nie był taki „leniwy”, to byłbym najlepszy... albo że miałem w sobie ogromny potencjał i to wielka szkoda, że nie zamierzałem go wykorzystać – czyli nie mówili nic, czego jeszcze nie słyszałem. Nie widzę sensu w obwinianiu moich rodziców za nieprzypilnowanie mnie w okresie dojrzewania. Trzymam się wersji, że jeśli coś w życiu się dzieje, to znaczy, że tak dokładnie miało się stać. Nie ucieknę przed tym, co jest dla mnie odgórnie zaplanowane. Niestety, ten młodszy ja myślał, że jeśli nikt go nie pilnuje, to nie ma sensu trzymanie się sztywnych moralnych granic. I tak nikogo nie obchodzi, co z nim będzie. Sam dawałem

sobie zarówno przyzwolenie, jak i usprawiedliwienie każdej podejmowanej przeze mnie decyzji. Myślałem, że przecież mam kontrolę nad swoim życiem. Gdybym tylko chciał z tym wszystkim skończyć, to przecież mógłbym to zrobić od zaraz. Nie ma w tym myśleniu nic wyjątkowego. Szybko wpadłem w złe towarzystwo, a z weekendowych wypadów zrobiła się codzienna impreza. Nowi koledzy pokazali mi haszysz i marihuanę. Na początku robiłem to dla zabawy, potem paliłem blanty jeszcze przed śniadaniem.

Z dnia na dzień staczałem się coraz bardziej. Skutki uboczne takiego stylu życia nie były widoczne na pierwszy rzut oka. Robiłem wszystko, co do mnie należało. Jednak proste rzeczy, które dotychczas wykonywałem z przyzwyczajenia, zaczęły sprawiać mi wiele trudności. Psychicznie opadałem z sił. Zwyczajnie próbowałem przetrwać dni, nie wymagając już od siebie nic więcej. Pomagała mi tylko myśl, że za parę godzin będę w zaciszu domowym, spalę gram i momentalnie zapomnę, jak wygląda brud otaczającego mnie świata. To miało być chwilowe, tłumaczyłem się przed sobą samym, że przecież jestem w takim wieku. To normalne... Jak tylko zdam maturę, pójdę na studia i nie będę miał już na to czasu – to się ogarnę. Jak można się domyślić – tak się nie stało. Im dalej w las, tym mniej przyjemności z tego czerpałem. Bycie na haju nie było już fajne, ale na pewno było lepsze niż życie na trzeźwo. Palenie stało się ucieczką przed dobijającą mnie rutyną dnia codziennego. Myślałem, że nie potrzebuję pomocy, wręcz jej nie chcę. Jednak prawda była taka, że po prostu nikt mi jej nigdy nie zaoferował. Nie obchodziłem nikogo na tyle, żeby ktoś zauważył, że coś jest nie tak. Dobięło mnie to tak bardzo, że nawet mi samemu kompletnie przestało zależeć, żeby się ratować. Żadne doświadczenie w moim życiu nie wyrządziło mi tyle szkód co narkotyki. Każdego dnia paliłem swój piękny umysł z nadzieją, że w końcu osiągnę ten stan na trzeźwo. Gdybym miał opisać to uczucie, powiedziałbym, że na początku czułem się jak superbohater. Nie obchodziły mnie wtedy błahostki przydarzające mi się w ciągu dnia. Czułem się lepszy, wyluzowany i roześmiany. Na haju dużo rozmyślałem. Miałem wrażenie, że mój światopogląd ewoluuje, a inni po prostu nie są w stanie tego ogarnąć i dzięki temu mam dostęp do wiedzy, która mnie uratuje i będę szczęśliwy.

To była moja indywidualna forma terapii. To nie jest tak, jak przedstawiają nam to dorośli, mówiąc, że po narkotykach świat jest „kolorowy”. To jest bardziej uczucie, w którym czujesz, że zyskujesz lepszą perspektywę na to, co dotychczas ci się przytrafiało. Mój własny wewnętrzny świat, do którego tylko ja mam dostęp. Czułem, że rozumiem wszystko bardziej i lepiej. Jest to tak groteskowe. Marihuana zaczęła podkradać moją osobowość. Po kilku miesiącach sam nie wiedziałem, kim jestem. Byłem dla siebie tak obcy. Spoglądając w lustro, nie wiem, kogo widziałem, ale to na pewno nie byłem ja. Stworzyłem potwora bez uczuć, bo zwyczajnie przestałem mieć do nich dostęp. Satysfakcjonowało mnie manipulowanie ludźmi wedle moich upodobań. Dawało mi to poczucie wyższości nad resztą i sprawiało, że w ogóle cokolwiek czułem. Po czasie pojawiły się epizody psychozy, stąd też moja insomnia i wycofanie ze społeczeństwa. Choć zawsze miałem spory problem z okazywaniem uczuć innym, na myśl o przytuleniu jakiegokolwiek członka mojej rodziny czułem odrzucenie. Nikt mnie nie nauczył bezwarunkowej miłości i nie okazał mi ciepła, gdy byłem mały. Właściwie to nie wiem tego na pewno, bo z całego dzieciństwa zachowałem zaledwie kilka wybiórczych wspomnień, z których najlepiej pamiętam te z czasów, gdy moi rodzice się rozwodzili. Pamiętam, jak tato płakał, wtulając się we mnie. W tamtym momencie myślałem, że muszę mu pomóc, bo przecież on nie ma nikogo poza mną. Dobijało mnie to, że po odejściu mamy on spędzał całe dni w pracy, by wieczorem wrócić do ogromnego, przerażająco pustego domu, zjeść kolację i w samotności zasypiać. Potem obudzić się i tak bez końca... Odwiedzałem go, jak tylko byłem w stanie. Czułem, że to mój obowiązek. Chciałem mu zaimponować – pokazać, że jestem wart zaufania. Ojciec przez lata był dla mnie wzorem do naśladowania. Był stanowczy i wymagający. Miał żelazne zasady i nie okazywał słabości na zewnątrz. W moich oczach to właśnie uczyniło go takim spełnionym biznesmenem. Mieszkanie z moją mamą, swoją drogą, było dużo gorsze. Często czułem się, jakbym był dla niej tylko dodatkową porcją zmartwień. Nigdy nie interesowało jej moje życie. Nie chodziła na wywiadówki, mimo że sprawiałem sporo problemów wychowawczych. Miałem wrażenie, jakby się mnie wręcz wstydzila. Kochałem ją, jednak nigdy

nie potrafiłem jej zrozumieć. Bardzo możliwe, że ona nigdy nie chciała mieć dzieci. Była piękną kobietą. Kochała imprezować i często wyjeżdżała, nie uprzedzając mnie wcześniej. Jej formą opieki było położenie na kuchennym blacie kilku banknotów, za które docelowo miałem zrobić zakupy. Całe kieszonkowe wydawałem u dilerów. Nigdy nie brakowało mi niczego materialnego. Wszystkiego mieliśmy pod dostatkiem. Na egzotyczne wakacje rodzice zabierali mnie dwa razy do roku. Zawsze miałem najlepszy telefon i ciuchy, ale co z tego, skoro jedyne, czego pragnąłem, to poczucie, że choć jedna osoba będzie w stanie mnie pokochać i co więcej – ze mną wytrzymać. Wydawało mi się to niemożliwe, najprawdopodobniej dlatego, że w takim przekonaniu utwierdzili mnie rodzice. Wykreowałem sobie piękną maskę, niestety pod spodem byłem zwykłym tchórzem z niskim poczuciem własnej wartości. Przez cały czas jestem przekonany, że te trudne doświadczenia znacznie mnie ukształtowały i przez wiele lat byłem bardzo dumny z ciężaru, który nosiłem na barkach. Jednak złość była dominującą mnie emocją – tą jedyną, której nie potrafiłem przykryć. Nie całe moje życie było tak przykre, jak mogłoby się zdawać. Był czas, kiedy byłem szczęśliwszy niż zazwyczaj. Oddałbym wszystko, żeby tylko wyprzeć to z pamięci. Pokochałem wtedy dziewczynę, w moich oczach była wyjątkowa. Nie była najpiękniejsza, najmądrzejsza też nie, ale miała w sobie coś, czego nie widziałem w nikim innym – emanowała ciepłem i dobrocią. Była jedyną osobą, wobec której czułem miłość, chociaż nigdy nie byłem w niej zakochany, i jedyną, wobec której byłem w stanie się otworzyć. Poznaliśmy się w pierwszej klasie liceum. Od samego początku tej relacji wiedziałem, że dziewczyna coś do mnie czuje. Była dobrą przyjaciółką i jedyną prawdziwą, którą miałem. Wiele razy odprowadzała mnie do domu, gdy nie byłem w stanie wrócić o własnych siłach z imprezy, i opiekowała się mną, gdy tylko tego potrzebowałem. Zastanawiam się czasem, co takiego motywowało ją, by trwać koło mnie, skoro nie otrzymywała nic w zamian. Zaczęliśmy być oficjalnie razem na jednej z imprez, gdy po wypiciu sporej ilości alkoholu i pod presją namawiających mnie znajomych ją pocałowałem. Po niecałym roku czułem się zbyt osaczony, by kontynuować tę relację, przynajmniej wtedy tak mi się zdawało. Teraz wiem, że nie potrafiłem żyć

w zdrowym i szczęśliwym środowisku zbyt długo, skoro za dzieciaka nauczyło mnie tylko toksycznej miłości. Być może bałem się, że mnie uprzedzi – przejrzy na oczy i zrozumie, że zasługuje na kogoś lepszego. Spokój ducha i szczęście to normalność, do której nigdy nie umiałem się przyzwyczaić. Tak więc zostawiłem ją pod pretekstem, że to ja znalazłem kogoś lepszego. Nigdy więcej nie miałem zamiaru się przed nikim otwierać, dochodząc do wniosku, że jedyne, co potrafię robić dobrze, to się klócić i niszczyć każdą oznakę dobra przejawiającą się w moim życiu. Gdybym wtedy jej nie rzucił, z pewnością nie spadłbym na samo dno. Możliwe jednak, że pociągnąłbym ją ze sobą. Nie pamiętam dnia, w którym nie przeszłaby mi przez myśl, kilka razy próbowałem nawiązać z nią kontakt – jednak nieskutecznie. Zresztą sam nie wiem, co powiedziałbym, gdyby jednak podniosła słuchawkę...

Wyrok losu

Część 1 – W objęciach szatana

8 czerwca 1975 roku. Lucien Boudreaux, siedząc w samolocie powrotnym z Wietnamu, spogląda na lazuruowe wybrzeże zatoki Ha Long i po raz ostatni rozmyśla nad swoimi czynami popełnionymi w imię kraju, który nie znaczył dla niego nic. Urodził się we Francji w Tuluzie w 1951 roku. Wraz z matką uciekł do Stanów Zjednoczonych przed despotycznym ojcem. Niedługo później statek dobił do mitycznej „Krainy Wolności”. Nowy Jork, miasto marzeń. W marcu 1964 roku ujrzeli drapacze chmur, które w ich wyobrażeniu były tylko wytworem propagandy, która podczas zimnej wojny miała wpływ na nastroje na całym świecie. Rodziny imigrantów nigdy nie mają łatwo. Różnice kulturowe wykluczały oboje uciekinierów z angażowania się w życie publiczne miasta. Przytłoczeni życiem w ogromnej metropolii, postanowili wsiąść w autobus i ruszyć na południe. W kwietniu tego samego roku autobus stanął na przystanku w Carrollton w Nowym Orleanie. Lucien odnalazł się lepiej w mniejszym mieście, w którym pracował dorywczo. Jego edukacja była ograniczona ze względu na imigranckie pochodzenie, przez co w okresie segregacji rasowej uczęszczał do szkoły dla osób pochodzenia afrykańskiego. Na szczęście rówieśnicy go zaakceptowali. Radził sobie bardzo dobrze. Kiedy myślał o rozwinięciu kariery w kierunku bankowości, jeden dzień zmienił wszystkie jego plany. Nadszedł listopad. Chłopak jak co dzień wstał i szedł na dół, aby zjeść śniadanie przygotowane przez matkę, która wyszła do pracy, zanim wstał. Gdy zajadał się jambon-beurre, usłyszał głośne pukanie do drzwi. Gdy je otworzył, jego oczom ukazało się dwóch postawnych dzentelmenów w mundurach oraz kaskach przyozdobionych literami „MP”. Żandarmeria. Lucien wiedział, że prędzej czy później ten

dzień nadejście. Był rok 1969. Wojna w Wietnamie trwała już od ponad czternastu lat. Nikt nie spodziewał się, że skończy się w najbliższym czasie. Młodzian nie stawiał oporu. Zgodził się pójść z policjantami, nie zostawiając nawet listu pożegnalnego dla swojej matki. Dopiero na lotnisku poczuł prawdziwy stres – jego szkolenie obejmowało tylko podstawy. Spotkał tam innych nastolatków, których kraj wysyłał na pewną śmierć. Pierwszą osobą, którą poznał, był Wendel. Chłopak wyróżniał się muskularną posturą, ale też delikatnym i wyrazistym spojrzeniem. Od razu zyskał miano „Przyjaznego Giganta”. Trudno było jakkolwiek opisać jego charakter, gdyż przez większość czasu siedział z boku i starał się nie angażować w żadne dyskusje. Kolejnym napotkanym pechowcem był Kirk. Był niskim niebieskookim blondynem, który ciągle szukał powodu do bójki. Jednakże zazwyczaj nie wychodził z nich obronną ręką. Ostatnim z przyszłego kwartetu przyjaciół był pochodzący z Haiti czarnoskóry Travis. Nie można było o nim powiedzieć zbyt wiele poza tym, że jego całe ciało zdobiły specyficzne tatuaże. Przez swój wygląd często był traktowany z pogardą. Z tego powodu Lucien niejednokrotnie słyszał, jak jego przyjaciel szlochał w poduszkę do snu. Cała czwórka trenowała, a później również walczyli razem przez trzy lata. W 1972 roku podczas nalotów napalmem siły powietrzne USA nie ostrzegły swoich żołnierzy na lądzie przed planowanym atakiem, przez co wielu nie zdążyło się ewakuować. Jednym z nich był Wendel. „Przyjazny Gigant” był zbyt wolny i nie zdążył uciec z terenów objętych zagrożeniem ataków. Znajomi patrzyli, jak ich towarzysz płonie żywcem. Ogień oddzielał mięso od kości, a z gardła chłopaka dobiegał agonálny krzyk. Widok spopielonego przyjaciela odmienił nie tylko podejście żołnierzy do wojny, lecz także ich osobowości. Kirk stał się bardziej wyrozumiały i ugodowy. Travis przestał co noc płakać w poduszkę, lecz również stał się zimny i oziębły dla innych przyjaciół. Natomiast Lucien zrozumiał, że prawdziwe piekło zaczyna się dopiero tutaj. Całe życie przed czymś uciekał, ale dopiero w tym miejscu czuł się jak szczur w potrzasku. Nie ma gdzie już się schować przed niebezpieczeństwem. Wraz ze znajomymi musieli stawić czoła dzięki dżungli w centrum Sajgonu, gdzie czyhały na nich nie tylko siły Wietkongu, ale także zwodnicza fauna i flora surowego

lasu deszczowego. Przez kolejne lata przyjaciele wstawali rano z poczuciem strachu, ale jednocześnie odczuwali spokój, który zawdzięczali wrazeniu, że każdego dnia mogą umrzeć. Budzenie się ze świadomością, iż jakikolwiek świt mógłby być ich ostatnim, było pewnym komfortem. Człowiek, który wie, kiedy umrze, nie boi się jutra, tylko ze świadomością upływającego czasu chce docenić każdą chwilę, póki jest żywy. Kiedy Lucien ponownie otworzył oczy, wrócił do helikoptera, który zmierzał w kierunku domu. Wszystkie sytuacje, z którymi zmierzył się w tej brutalnej dżungli, zostały w jego mózgu pamięć o wydarzeniach wyrzyła skazę. Wielu ludzi tak naprawdę nigdy nie wraca z wojny. Ciało jest tylko pustą skorupą dla zniszczonego człowieka, który nie radzi sobie z nagłą zmianą otoczenia. A to, co najgorsze, miało dopiero nadejść. Kiedy w końcu dotarli na lotniskowiec, który był umiejscowiony blisko wyspy Palau, żołnierze poczuli emocje, których nie sposób było opisać słowami. Duma, nadzieja, ulga, ale również lęk, wstyd a także strach przed powrotem. Po tylu latach ze zwykłych chłopców stali się mężczyznami. Ale za jaką cenę! Przed dotarciem na kontynent amerykański panowie ostatni raz za grali w pokera, pośmiali się oraz powspominali znajomych, których stracili na obcej ziemi ku czci niczym nie popartej idei zwycięstwa demokracji nad komunizmem. Mimo strachu przed powrotem do cywilizacji Lucien nie mógł doczekać się, by znów ujrzeć matkę.

Część 2 – Progi, które zawsze wiodły do domu

– Nie, proszę, zostawcie ją! – krzyczał oficer Wietkongu przyszpilony do podłogi przez dwóch amerykańskich żołnierzy. Sierżant Hollingsworth niewzruszony błagalnym krzykiem wroga spojrzeniem nakazał swojemu podwładnemu podnieść maczetę. – Dalej, żołnierzu! Do roboty! – krzyczał dowódca plutonu. Lucien bardzo niepewnie podniósł ostrą broń z ziemi i zrobił dwa kroki do przodu, by znów stanąć jak wryty. – Co ty, u licha, wyprawiasz! To był rozkaz, kapralu! – wrzasnęła do młodego chłopaka. Kiedy Boudreaux zamachnął się nożem, nagle ze snu wyrwała go starsza kobieta.

– Przepraszam, to chyba pana przystanek – oznajmiła.

– Tak, tak, oczywiście, dziękuję bardzo – odpowiedział chłopak, wziął w dłoń pas od torby i udając się w kierunku wyjścia, pokiwał staruszcze. Na przystanku autobusowym nie spotkał żadnego innego weterana. Prawdopodobnie wszyscy inni zostali w Wietnamie.

Poniekąd sam Lucien czuł się, jakby został w tamtym nieokielznanym zielonym labiryncie, a jego umysł próbował się wydostać na wszelkie możliwe sposoby. Gdy młody wojak siedział na ławce i rozmyślał, nagle dosiadł się do niego starszy pan. Siwe włosy oraz koszula, która już dawno wyszła z mody, wskazywały na sędziwy wiek owego mężczyzny, który postanowił zabrać głos.

– Oni nie wiedzą... – oznajmił emeryt, lekko krzywiąc się i spoglądając z pogardą na ludzi, którzy ich mijali. W jego słowach było ukryte znaczenie, o które Lucien musiał dopytać:

– Słucham? Czego ludzie nie wiedzą? – zapytał z zaciekawieniem.

– Ci ludzie są ulepieni z innej gliny, nie wiedzą, jak to jest odebrać komuś życie... patrzeć, jak twoi najbliżsi umierają. Zresztą tobie nie muszą chyba tego tłumaczyć, prawda? – zakończył, a chwila ciszy dała młodemu czas, aby przypomnieć sobie lekcje historii.

– Pan też walczył? Podczas drugiej wojny światowej, prawda? – Musiał się upewnić.

– Niestety, patrzyłem, jak najbliższe mi osoby były rozrywane na kawałki. Zresztą mój przyjaciel już do śmierci będzie ze mną. – Zakończywszy odpowiedź, emeryt odsunął fragment koszuli, by pokazać ślad po pocisku umiejscowiony nad lewym obojczykiem. – Kiedy mój druh stracił nogi po wdepnięciu na minę, próbowałem go ratować, odciągnąć go, aby spróbować jeszcze uratować mu życie. Niestety, chwilę później dostał kulę w serce, a nabój przeszedł na wylot i utkwiał w moim ciele. Miałem wiele okazji, żeby się go pozbyć, ale przypomina mi on o nim. Nie chcę, aby pamięć o moim bracie przepadła – zakończył monolog, po czym po chwili niezręcznej ciszy dodał: – Jego ciało pozostało we Włoszech, natomiast fragment jego serca jest tutaj. – Wskazał palcem na bliźnę, po czym wstał i podziękował

za towarzystwo. Po tej rozmowie Lucien był całkowicie zmieszany; nie do końca wiedział, co ma czuć. Sam stracił bliskiego przyjaciela, ale nie chciał żyć w ciągłej żalobie po nim, tylko chciał iść naprzód z własnym życiem. Rozmyślanie przerwała jego matka, która od razu poznała swojego syna pomimo lat rozłąki. Natomiast ona mimo upływu czasu nie zmieniła się ani trochę. Jej długie kręcone włosy w kolorze cynamonu oraz błękitne oczy, w których można by ujrzeć mewy latające po niebie nad wybrzeżem w Nicei, przypomniały mu o ciepłym rodzinnym domu.

– Lucien! Lucien! Mój synu kochany! Chodź szybko tutaj! – Z daleka krzyczała rodzicielka, która w końcu mogła ponownie zobaczyć swoje dziecko. Szybko wzięła go w ramiona i nawet nie myślała o tym, żeby go puścić. Chłopak poczuł na szyi łzy matki, która przez tyle lat nie miała pojęcia o tym, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy swojego syna.

– Cześć, mamo... – Lucien starał się wyrazić emocje, jednak w głębi duszy było mu wstyd. Dopuszczał się okropnych czynów, które cały czas przesładowały jego myśli.

– Tylko tyle!?! Tyle lat rozłąki i nie stęskniłeś się za mną!?! – Matka wyraziła niezadowolenie z powodu braku ekscytacji syna. Były wojak starał się pokazać emocje, ale już nie potrafił w żaden sposób okazywać uczuć. Wrócił z Wietnamu, jednak pewna jego część wciąż tkwiła tam. Przez większość czasu starał się zapomnieć, a jego matka starała się nie wspominać o jego przeszłości. Wróciła do starych nawyków, mimo że jej mały syn stał się dorosłym mężczyzną.

Minęło parę tygodni. Lucien znalazł pracę jako dostawca wina do lokalnych barów. Pewnego wieczoru, kiedy dostarczał wino w niebezpiecznej dzielnicy, wprowadzając beczkę z napojem do środka, złapał kontakt wzrokowy z przepiękną blondynką. Oboje nie mogli oderwać od siebie oczu.

– Młody! Pomóż mi! – krzyknął starszy kierowca ciężarówki, który nie mógł poradzić sobie z ciężarem baryłki. Lucien od razu oderwał spojrzenie od ślicznej kobiety i postanowił zająć się obowiązkami. Razem zanieśli beczkę do piwnicy. Po powrocie po schodach do góry zauważył, że pięknej damy nie było już przy stoliku. Gdy razem ze współpracownikiem

zbierali się do wyjścia, w zgiełku miasta usłyszał krzyk. Lucien zadziałał instynktownie. Ruszył w kierunku hałasu, aby pomóc w potrzebie. Tuż za rogiem dwóch bandytów groziło nożem kobiecie z baru. Młody weteran miał doświadczenie w skradaniu się. Jego plan polegał na podkradnięciu się do łotrów i rozbrojeniu ich. Jeden w prawej ręce trzymał rewolwer, a w lewej torebkę kobiety, natomiast drugi z nich miał nóż, którym niebezpiecznie manewrował przy krtani kobiety, lekko ją kalecząc. Nagle padł strzał. Mężczyzna, który zabawiał się z blondynką, odwrócił się, aby zobaczyć, co sprawiło, że broń wystrzeliła, lecz nie zdążył tego zrobić, gdyż Boudreaux wyprowadził potężny cios w potylicę, jednocześnie unieszkodliwił niedoszłego zabójcę.

– No w końcu! Myślałam, że nigdy nie zwrócę twojej uwagi – oznajmiła niewzruszona kobieta. – Szybko, daj mi rękę! – Lucien, nie myśląc w ogóle, chwycił ją za rękę i szybko zabrał z powrotem na ulicę. Zszokowany postanowił zadać pytanie:

– Czemu... czemu... nie jesteś przerażona? – zapytał zdyszany, jak gdyby właśnie przebiegł maraton.

– Wiedziałam, że sobie poradzisz, Lucien. Już nie z takich tarapatów wychodziłeś, prawda? – Roześmiała się, patrząc chłopakowi głęboko w oczy i podziwiając, jak łatwo wprowadziła go w zakłopotanie.

– Czy my się znamy? – zapytał francuski wojak, załamując nawet amerykański akcent, nad którym ciężko pracował, aby poczuć się akceptowanym.

Kobieta, słysząc to, skomentowała wpadkę młodego kaprała:

– Jak długo jeszcze możesz udawać kogoś, kim nie jesteś? – Z minuty na minutę wydawała się coraz bardziej przerażająca, a jednocześnie intrygująca dla młodego człowieka.

– Nic nie rozumiem... kim ty jesteś... i jakim cudem mnie znasz? – pytał.

Kobieta z ogromną pewnością siebie zbliżyła się do swojego wybawiciela, położyła dłoń na jego prawym policzku i pocałowała go w drugi, jednocześnie patrząc mu prosto w oczy.

– Jestem Lucy. Wierzę, że jeszcze się spotkamy. – Mówiąc to, zrobiła parę kroków w tył.

Lucien stał jak wryty. Mógł jedynie patrzeć, jak ocalona przez niego znajoma odchodzi. Gdy zniknęła za rogiem, młodzieniec poczuł potrzebę ruszenia za nią, lecz gdy dotarł do zakrętu, nigdzie jej nie zauważył. Wrócił więc do swojego współpracownika i w drodze powrotnej do winiarni opowiedział mu całą historię. Po pracy, gdy wrócił do domu, zauważył, że jego matka zasnęła na kanapie z Biblią w ręce. Podszedł, żeby ją ucałować i przykryć kocem, zabrać lekturę, przy której mama zasnęła. Gdy podnosił książkę, w oczy rzucił mu się fragment Apokalipsy Świętego Jana: „Bestia, którą widziałeś, była i nie ma jej, a wyjdzie z otchłani i pójdzie na zagładę. I zdumieją się mieszkańcy ziemi, których imiona nie są zapisane w księdze życia od założenia świata, widząc tę bestię, że była i nie ma jej, a pojawi się”*. Francuz poczuł tylko, jak chłodny podmuch przebiegł po jego skórze, sprawiając, że na ręce pojawiła się gęsia skórka. Zaraz po tym ruszył do swojego pokoju i od razu wskoczył do łóżka, jednak zanim zasnął, jeszcze raz próbował sobie przypomnieć twarz dziewczyny. Przez brak światła w skąpanym w cieniu miesście trudno było jej się przyjrzeć na tyle, aby wygląd jej twarzy wyrzył się w głowie młodego chłopaka. Pierwszy raz poczuł w sobie emocje, których nigdy wcześniej nie miał okazji poznać. Jedyne, co miał w głowie, to jej śliczne blond włosy, które kolorem przypominały mu blask wiosennego słońca w południowej Francji. Lucien, zanim oddał się w objęcia Morfeusza, wymarzył sobie jeszcze jedno spotkanie z przepiękną kobietą.

Część 3 – Brama do otchłani

– Hej, oddawaj to! – krzyknął Travis do żołnierza, próbując wyrwać się z uścisku.

– Powiedz mi, brudasio, co to w ogóle jest. Wiesz, że nie tolerujemy tutaj żadnej czarnej magii – odpowiedział dręczyciel, trzymając w ręce czarne koraliki, ewidentnie wywodzące się z kultury voodoo. Lucien przyglądał się całej sytuacji z daleka. Bardzo zależało mu na pomocy druhowi, lecz jednocześnie bał się przekazać oprawcom swojego kumpla.

* Apokalipsa św. Jana (Objawienia Jana) 17:8 Biblia.

– Zajeb skurwielowi! – dopingowali inni żołnierze. Dręczyciel chwilę się wahał, jednak postanowił wyprowadzić cios. Po uderzeniu po twarzy Haitańczyka zaczęła spływać krew, której smak poczuł w ustach. Gdy podniósł głowę, udało mu się złapać kontakt wzrokowy z przyjacielem. Boudreaux jednak szybko odwrócił wzrok i ruszył w kierunku stołówki, pokazując znajomemu, jak bardzo ludzie potrafią być nielojalni. Chłopcy nigdy później nie rozmawiali o tamtej sytuacji, natomiast po zachowaniu Trvisa było widać, że ma żal do swojego towarzysza.

– Przystojniaku, pobudka! – Ze snu Francuza wyrwała matka, po której było widać, że od rana pracuje. Miała na sobie ogrodniczki, a we włosach czerwone ślady po pomidorach, które hodowała na oknie. – Masz gościa – oznajmiła i udała się do kuchni, by zająć się uprawą warzyw. Chłopak szybko włożył najbardziej eleganckie ubranie, jakie miał, oczekując, że spotka dziewczynę z baru. Ku jego zdziwieniu kiedy udał się do drzwi, zobaczył osobę, której w ogóle się nie spodziewał.

– O! Wstałeś w końcu. Kopę lat! – oznajmił niski blondyn stojący przed drzwiami.

– Kirk? Co ty tu robisz!? – krzyknął Lucien, jednocześnie podchodząc do przyjaciela, aby go uścisnąć. Znajomi chwilę powspominali stare czasy, a później ruszyli w kierunku najbliższej restauracji. Gdy dotarli na miejsce i zajęli miejsca, porywczy Amerykanin przeszedł do meritum.

– Wiesz, co odpierdala nasz rząd w tym momencie? Po tych wszystkich wydarzeniach próbują uciszyć świadków.

– O czym ty gadasz, do cholery? – spytał Boudreaux, jednocześnie drapiąc się po głowie.

– Chodzą plotki, że oferują weteranom wysokie odszkodowania za uszczerbek na zdrowiu psychicznym czy jakoś tak. W każdym razie to pic na wodę. Nie ufaj skurwielom!

– Jesteś pewny? Skąd w ogóle to wiesz? – dopytywał swojego druha.

– Pamiętasz tego chuja Bena?

– Ben Fitzgerald? Tak, pamiętam go. Co z nim? – Lucien dobrze znał Fitzgeralda, między innymi z tego, że nienawidził Trvisa i zawsze się nad

nim znącał. Francuz doskonale wiedział, że nie warto było stawać pomiędzy nim a jego ofiarą. Z potoku myśli wyrwał go Kirk:

– Jakoś miesiąc temu wsadzili zjeba w taksówkę i wysłali do Kalifornii, a gdy wrócił, zachowywał się jak pizda.

– Co masz na myśli?

– Myśl, Francuzik, myśl! – powiedział blondyn, a po chwili kontynuował: – Naćpali idiotę jakimś narkotykiem i wypuścili na miasto, aby każdy miał go za świra. Ponoć wszystko się łączy z rozkazami, jakie dostaliśmy w Wietnamie – wytłumaczył.

Lucien chwilę główkował nad tym, co usłyszał, po czym odpowiedział:

– Co będzie teraz z nami?

– Ja znikam z miasta i tobie proponuję zrobić to samo – oznajmił Kirk, po czym wstał i udał się w kierunku wyjścia.

Boudreaux nie wiedział, co ma zrobić. Nie mógł tak po prostu wyjechać, zostawiając znowu swoją matkę. „Nie czas na to!”, pomyślał i udał się do winiarni, gdyż za chwilę miała rozpocząć się jego zmiana. Gdy odpracował swoje i późną nocą wracał do domu, natknął się ponownie na Lucy. Stała pod lampą na przystanku autobusowym. W pełnym świetle wyglądała jeszcze piękniej. Lucien, zauroczony kobietą, udał się w jej kierunku.

– Cześć, Lucy! Marzyłem, żeby cię znowu spotkać! – oznajmił z pewnością siebie.

– Chyba jesteś jedynym, który kiedykolwiek to powiedział – odparła niewzruszona na zaloty Francuza. Nie spodziewając się tak oschłej reakcji, chłopak zaniemówił. – Przepraszam, nie zasługujesz na to wszystko – dodała kobieta, po czym się odwróciła. Młodzieniec, nie chcąc pozwolić jej znowu zniknąć, szybko złapał ją za rękę. Tajemnicza dama, zdziwiona zachowaniem adoratora, położyła rękę na jego klatce piersiowej i odepchnęła go na tyle mocno, by ten wylądował plecami w kałuży.

– Jak!? Skąd masz tyle siły!? – Lucien zaczął kwestionować zdolności fizyczne drobnej kobiety z baru. Lucy nie odpowiedziała, tylko znów zniknęła, upuszczając wyrwaną kartkę z książki. Gdy młody weteran podniósł ją, jego oczy zamieniły się w pustą otchłań, pogrążoną w strachu. Czuł, jakby

słowa, które właśnie wyczytał, wyrastały pod jego skórą. Nie myśląc o niczym, ruszył biegiem w kierunku domu. W pełnym sprincie poczuł, jak kule znów świszczą mu tuż koło uszu. Próbując wyrwać się z transu, odnalazł siebie na środku korytarza w swoim domu. Cisza. Jedynie z kuchni było słychać dźwięki jazzu z radioodbiornika. – Mamo? Mamo!? – zaczął nerwowo krzyczeć. Obszedł całe mieszkanie w poszukiwaniu matki. Jedynym pomieszczeniem, którego nie odwiedził, była łazienka. Ruszył w jej kierunku i nagle poczuł mroźny wiatr, który penetrował cały jego organizm. Otworzył drzwi i ujrzał swoją rodzicielkę. Leżała cała biała w wannie wypełnionej krwią. Mężczyzna po raz pierwszy od dłuższego czasu rozplakał się jak dziecko, zbliżając się do jej ciała. Zauważył ślady walki na szyi i rękach, krtań kobiety była przecięta, a jej krwią na podłodze namalowano symbol przypominający wagę. Weteran ostatni raz przytulił matkę, jednocześnie upuszczając kartkę. Teraz już wiedział, co oznaczają zapisane na niej słowa.

„Owieczka czuła już swój czas, Matka spojrzała w przeszłość, w dal, Oczy pełne nadziei i snów, Wiedziała, że to koniec minionych dróg. Jak opadający liść na ziemię, Serce biło w rytmie zegara, Z każdym oddechem szła ku bramom nieba, Czymże zawiniła, że dopadła ją taka kara?”

Część 4 – Kain i Abel

Travis po powrocie do Stanów Zjednoczonych nie potrafił się odnaleźć. Nigdy nie był specjalnie towarzyski, ale na wojnie ta wada nie była zauważalna. Tutaj, w cywilizacji, ciężko czuć się normalnym, gdy wszyscy wokół ciebie wydają się zniesmaczeni twoją osobą. Chłopak miał szczęście. Wiceadmirał Stockdale uwielbiał Haitańczyka za to, jaki był posłuszny. Dopóki wykonywał rozkazy, dowódca uważał go za skarb. Zaraz po zejściu na ląd po powrocie do domu panowie spotkali się w barze. Przełożony zamówił najdroższy burbon dostępny w Luizjanie.

– Częstuj się, już nie jesteśmy na wojnie – zażartował w kierunku podwładnego.

– Nie piję alkoholu – odparł zagadnięty śmiertelnie poważnie, marszcząc przy tym czoło.

– Przejdźmy od razu do interesów. Potrzebujemy siebie nawzajem. Ty chcesz stąd wyjechać, ja potrzebuję twoich umiejętności – powiedział Stockdale, wpatrując się w opętane szaleństwem Wietnamu czy Trávisa.

– Czego jeszcze ode mnie chcecie? – odpyskował tamten.

– Musisz przekonać parę osób do przyjazdu do siedziby FBI w Kalifornii, a jeśli się nie zgodzą... Cóż, będziesz musiał się ich pozbyć.

– Co będę z tego mieć? – dopytywał Haitańczyk.

– Wolną rękę do wyjazdu, gdzie chcesz na świecie! Europa? Chiny? Czy może kręci cię powrót do Haiti? Co ty na to?

– Ostatni raz?

– Ostatni.

Minęło trochę czasu. Travis, stojąc na ulicy, zauważył dwóch mężczyzn wchodzących do restauracji. Po paru minutach jeden z nich wyszedł. Haitańczyk śledził go aż do mieszkania. Gdy w końcu obserwowany chłopak zauważył podążającego za nim czarnoskórego mężczyznę, wywiązała się między nimi krótka wymiana uprzejmości.

– Jebany śmieciu, zgodziłeś się na to? – zapytał osaczony człowiek, który wpadł prosto w zastawioną na niego pułapkę.

– Kirk, ty nie rozumiesz, jak to jest. Gdy masz taki kolor skóry, ludzie tutaj traktują cię jak popychadło.

– Jeśli myślisz, że pojedę z tobą dobrowolnie, to jesteś bardziej pierdolnięty, niż mi się wydawało.

– Wiesz, co to oznacza? – zapytał Travis, po czym wyjął z kurtki rewolwer.

– Będziesz się smażyć w piekle, Judaszu! – wykrzyczał blondyn i zaczął biec na samą górę budynku. Haitańczyk ruszył za nim. Podczas pogoni oprawca wystrzelił parę razy w kierunku uciekiniera, jednocześnie alarmując mieszkańców bloku o wydarzeniach z klatki schodowej. Oboje dotarli na dach.

– Nie chcę tego robić – oznajmił niedoszły zabójca.

– Spierdalaj! – odpyskował Kirk i rzucił się w kierunku Trávisa, próbując go obezwładnić, lecz wtedy broń wystrzeliła, zostawiając w głowie

Amerikanina ogromną dziurę w miejscu oczodołu. Jego krew zaczęła spływać w kierunku schodów, którymi oboje dostali się na dach bloku. Haitańczyk, przeszukując ciało ofiary w celu zabrania nieśmiertelnika, znalazł kartkę z adresem i imieniem pewnej osoby: Lucien Boudreaux.

Čzęść 5 – Po piąte: nie zabijaj

Travis, naładowany adrenaliną, od razu udał się pod adres z kartki. Pech chciał, że nie spotkał tam swojego byłego przyjaciela, lecz jego matkę. Gdy chłopak przeszukał mieszkanie i udał się do łazienki, kobieta od razu zaczęła krzyczeć. Haitańczyk pod wpływem impulsu chwycił kobietę i próbował ją utopić w wannie. Ona dzielnie się broniła i wtedy została ugodzona nożem. Wanna szybko wypełniła się krwią, a przestraszony morderca uciekł z mieszkania. Chwilę później na miejscu zjawił się Lucien. Po chwili ochłonął i wezwał pogotowie. Następnie udał się do przedpokoju, by odsapnąć i usiąść w fotelu. Wtedy na ziemi odnalazł nóż, którym zamordowano jego matkę. Na nieszczęście Trávisa Boudreaux doskonale wiedział, do kogo należy ów sztylet. Doskonale wiedział również, gdzie szukać pomocy w odnalezieniu zabójcy. Momentalnie wybiegł z domu, nie czekając nawet na przyjazd służb. Udał się do baru, w którym pierwszy raz ujrział Lucy. Wbiegł przez frontowe drzwi i zaczął poszukiwać wzrokiem kobiety. Zauważył ją siedzącą w samym rogu.

– Lucy! Lucy! Potrzebuję pomocy.

– Wiem, ale ja nie mogę ci pomóc – odpowiedziała.

– Zwróciłem uwagę, że nie jesteś zwykłym człowiekiem. Nie mam pojęcia, kim jesteś, ale błagam cię, pomóż mi znaleźć mordercę mojej matki! Błagam!

– Chcesz się zemścić. A ja nie przepadam za mściwymi ludźmi – powiedziała blondynka, po czym wstała i postanowiła udać się w kierunku wyjścia. Lucien instynktownie chciał złapać ją za rękę, lecz jakaś niewytłumaczalna siła go powstrzymała.

– Co się dzieje? Kim ty jesteś?

– Powinieneś się już dawno domyślić – odparła, po czym wyszła z baru, zostawiając po sobie niedopite wino.

Chłopak wstał, wyszedł z lokalu i postanowił udać się w jedyne miejsce, w jakim mógł się spodziewać Trávisa. Opuszczony szpital to idealna kryjówka dla nieprzystosowanego społecznie odrzutka, który przelewa swoje żale w formie morderstw na zlecenie. Przed bramą wjazdową stał stary pontiac. Francuz nie miał pojęcia, jakim autem jeździł były kolega, lecz intuicja podpowiada mu, że w tym miejscu znajduje się zabójca jego matki. Dostał się do środka przez główne wejście, a jego jedynym źródłem światła był księżyc. Budynek był opuszczony od trzydziestu lat. Dach był dziurawy, ściany zniszczone, a smród, który wydobywał się spod podłogi, odstraszał nawet bezdomnych przed spaniem w takim miejscu. Krążąc po korytarzach, parę razy miał wrażenie, że widzi jakąś postać przebiegającą w cieniu.

– Wiesz, że to był wypadek? – usłyszał nagle, jednak nigdzie nie widział żywej duszy. – Kirk sam się o to prosił. – Kolejny szept usłyszany przez Boudreaux na schodach. – Pójdiesz po dobroci, czy będę cię musiał zmusić? – Następny demoniczny tekst zasłyszany w sali operacyjnej.

– Pokaż się, tchórze! – krzyknął Lucien, jednocześnie szarpiąc broń, której nie mógł wyciągnąć z kieszeni. I wtedy Travis postanowił wyjść z cienia. Widząc, jak jego przyjaciel wyciąga rewolwer, rzucił się na niego, powalając na ziemię. Przyszpił go do podłogi i zaczął okładać pięściami po twarzy. Francuz zdołał jednak wyprowadzić celny cios i zdjąć z siebie Haitańczyka. Wtedy Boudreaux przejął inicjatywę. Był naprawdę blisko tego, aby sprowadzić przeciwnika do parteru. Na nieszczęście mężczyzny jego oponent zdołał dosięgnąć rewolweru oraz wyprowadzić cios kolbą broni w skroń. Gdy ten niemalże stracił przytomność, przeciwnik wstał i zaczął do niego mierzyć.

– Wybacz, przyjacielu, to już koniec – oznajmił Travis.

– Dlaczego to robisz? Nic dla ciebie nie znaczyliśmy? Myślałem, że byliśmy przyjaciółmi, a okazałeś się podstępny szcurem. – Lucien, dalej leżąc na podłodze, zaczął szperać w tylnej kieszeni spodni, podczas gdy Haitańczyk podchodził coraz bliżej.

– Mogę ci zapewnić szybką śmierć, tylko powiedz. – Wypowiadając te słowa, przyłożył zimną lufę do czoła Francuza. Gdy już miał pociągnąć za

spust, Boudreaux ostatnim zrywem poderwał się i wyprowadził cios nożem. Jednocześnie rewolwer, którym posługiwał się Travis, wystrzelił.

Część 6 – Stała się wola jej

Dokonało się. Lucien wyjął nóż z krtani byłego przyjaciela, poczuł ogromny ból w klatce piersiowej. Rewolwer zdążył strzelić. Kula trafiła go prosto w płuco. Gdy ciało Haitańczyka traciło krew, on za wszelką cenę próbował złapać oddech. Wtedy przez drzwi do sali operacyjnej weszła Lucy.

– Wiedziałaś, że to się tak skończy. A wiesz, to właściwie zabawne, że ze wszystkich żołnierzy akurat ty miałeś przeżyć – powiedziała, patrząc na zdziwioną minę mężczyzny.

– K... kim... ty... jest... – ledwo zdołał wydusić weteran.

– Teraz to już nie ma znaczenia. Ważne jest to, że morderca nie żyje. A ty... no cóż, możesz za chwilę spotkać się ze swoją matką – odpowiedziała zupełnie bez emocji.

Żadne z jej słów od początku znajomości nie miało w sobie wartości emocjonalnej. Do wszystkiego podchodziła z dystansem. W oczach umierającego chłopaka była najpiękniejszym aniołem, jaki kiedykolwiek zstąpił na ziemię, lecz tak naprawdę była demonem prześladowającym śmiertelników i pilnującym, by przeznaczenie się dopełniło.

– Wiesz co? Tak naprawdę nawet ja nie znam do końca losu zwykłych ludzi. Potrafię ocenić ich szanse, jednakże w życiu spotyka nas tyle czynników zewnętrznych, że trudno jest cokolwiek przewidzieć – powiedziała.

– Lucy... ja... nie... chcę...

– Nikt nie chce, ale na każdego przyjdzie pora. Na samym początku myślałam, że Wietnam cię pokona, a tu proszę, zrobiłeś mi niespodziankę – zazartowała.

– Czy... is... tnie... je... nie... bo? – zapytał Lucien, już ledwo łapiąc oddech.

– Teraz się tym nie przejmuj. Zamknij oczy i pozwól sobie odpłynąć – oznajmiła piękna blondynka z baru. Jej delikatne dłonie lekkim gestem zamknęły powieki francuskiemu weteranowi. Każdy żołnierz zasługuje na

odpoczynek. Boudreaux w końcu odpuścił. Odszedł z przekonaniem, że pomścił swoją matkę – jedyną osobę, na której mu zależało.

Parę godzin później. Deszczowy ranek w Nowym Orleanie. Śmierć czterech osób nie zmieniła zupełnie nic. Morderstwa jedynie ukazały to, że niezależnie, czy człowiek znajduje się w dzikiej dżungli, czy w cywilizowanym mieście, prymitywne instynkty dalej będą brały czynny udział w naszym życiu. Człowiek jest na szczycie łańcucha pokarmowego. Jednak tym, kto go może wyrzucić z tej hierarchii, jest inny człowiek, a śmierć prędzej czy później zabierze każdego.

Ja, ty i oni. Nasz świat

Nieświatło

Jedyne, co czuję, to Jej zimne palce ściskające moje ramiona. Mimo strachu podziwiam Jej piękno. Przeszywa mnie pustym wzrokiem i piękną twarzą. W mroku Jej oczy lśnią tajemniczo, prowadząc mnie ku nieznanemu. Ta chwila staje się dłuższa, jakby czas stanął w miejscu.

Pozwala mi zanurzyć się w świadomości moich błędów. Czuję się marnie jak zwierzę, po którym nikt nie będzie płakać i nikt nie będzie go wspominać. Największa obawa stała się faktem, tracę wszystko, co miałem.

Jest okrutna, szczuje mnie świadomością mojej własnej porażki. Daje mi do zrozumienia, że umieram i nic z tym nie mogę zrobić, jedynie wpatrywać się w Jej twarz. Chcę wrócić, nie pozwala mi wrócić. Nikomu nie pozwoliła i nikomu nie pozwoli.

Nie ma nic, tylko ja i Ona. Wpatrzeni w siebie nawzajem, jak zakochani w piękną noc, ale tylko ja tak naprawdę patrzę i nie mogę przestać. Ona jest nieobecna, jakby nigdy nie istniała, jakby była jedynie wytworem mojego mózgu. Nigdy wcześniej Jej nie spotkałem, nie znam Jej i już nigdy Jej więcej nie spotkam.

Chcę zadawać pytania, nie jestem w stanie. W momencie, w którym ją zobaczyłem, każda najmniejsza cząstka mojego ciała przestała istnieć. Widziałem tylko ją, nie miała wyrazu twarzy. Był to moment, w którym poczułem, co się stało, zdałem sobie sprawę, że życie wszystkich moich bliskich będzie toczyć się dalej, już beze mnie.

Wszystko minęło. Nie ma ani Jej, ani mnie. Krzyczę, płaczę, boję się jak małe dziecko.

Nie ma drugiego życia ani piekła, ani nieba. Nie ma już niczego, co było mi obiecane.

Umarłem dziś.

W ciemności narastało uczucie zimna. Czulem, jak przemyka mi przez ramiona, jakby lodowaty wiatr przeszył moje ciało od środka. Nie mogłem się ruszyć – coś, a może ktoś, trzymał mnie w mocnym uścisku. I wtedy ją zobaczyłem.

Była piękna. Wyraziste rysy twarzy, chłodne, wręcz marmurowe, a oczy... lśniły w mroku, choć nie emanowały życiem. Te oczy wpatrywały się we mnie bez cienia emocji, a jednak miały w sobie coś głęboko przyciągającego. Poczulem się mały, bezbronny jak dziecko przyłapano na gorącym uczynku. Czulem, że cokolwiek jej powiem – choćby próbował się tłumaczyć – nic to nie zmieni. Nie byłoby zrozumienia ani litości. To była ona – Śmierć.

– Dlaczego ja? – próbowałem zapytać, ale z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Wydawało mi się, że jej spojrzenie wyostrzyło się na moment, jakby знаła moje pytanie, ale nie zamierzała na nie odpowiedzieć. Wiedziała, że już rozumiem. Odpowiedź tkwiła we mnie – ona jedynie odrywała kolejne warstwy, ukazując mi prawdę, którą starałem się zakopać przez całe życie. Oglądałem obrazy przelatujące przed moimi oczami jak urywki filmów – wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, wszystko, czego zaniechałem. Każdy błahy wybór, zaniechanie, każdy błąd. Czulem się jak zwierzę, którego nikt nie będzie wspominać, zapomniane, bez śladu w pamięci bliskich.

– To niemożliwe... – wyszeptalem. – Przecież nie mogę tak po prostu... odejść.

Śmierć pochyliła głowę, choć bez wyrazu, jakby chciała powiedzieć: „Już za późno”. Zrozumiałem, że to nie negocjacje, że jej obecność nie jest zachętą do rozmowy. Była tu, by mnie zabrać, i tylko na to pozwalała. Tylko tyle, ile potrzeba.

– Wiesz, mam jeszcze tyle do zrobienia – próbowałem tłumaczyć, czując narastający żal, choć wiedziałem, że to nie ma znaczenia. – Wiem, że

popelnilem błędy, ale wszyscy zasługują na szansę, by coś naprawić. Jedną chwilę, jeden dzień.

Uśmiechnęła się leciutko – uśmiech niepewny, jakby rozbawiony moją ludzką desperacją, moją próżnością. Nagle jej uścisk stał się jeszcze silniejszy, a ja poczułem, że z mojej duszy uchodzi ostatni cień nadziei. Wszystko to było nieistotne, bez znaczenia. Byłem jednym z wielu, którzy płonęli przez chwilę i znikali w ciemności. Niczego nie mogłem zmienić.

Wiedziałem już, że ona mnie nie słucha – bo nie musiała. Nasze spotkanie było jednostronne. Jak mroczne odbicie zakochanych w piękną noc – patrzyłem w jej twarz, ale jedynie ja mogłem to robić. Była tu, ale i nie była. Przebijala się przez moją świadomość, ale była tylko pustką, pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, jakby była nie tyle osobą, ile ideałem śmierci, jakimś pustym odbiciem, które nigdy nie żyło i nigdy nie ożyje.

W końcu zebrałem resztki sił, by zadać pytanie, choć wiedziałem, że odpowiedzi nie otrzymam:

– Czy ktoś będzie o mnie pamiętał?

Nie odezwała się. Ale odpowiedź była we mnie. Wiedziałem, że życie bliskich potoczy się dalej, że pamięć o mnie zaniknie, że moje błędy będą ledwie wspomnieniem. Jak echo słabnące w ciemnym, pustym pokoju. Na jej twarzy nie pojawiło się nic – ani wyraz współczucia, ani triumfu. Była tylko chłodną ciszą.

Pogrążony w nicości stałem się częścią nieskończonej pustki, tak głębokiej i obcej, że nawet moje myśli zdawały się rozplýwać w tej bezdennej ciszy. Każda próba wspomnienia dawnego życia, każda próba przypomnienia sobie własnego imienia, rozpuszczała się w ciemności jak kropla wody spadająca w otchłań.

Nie było ani mnie, ani jej – tylko nicość, absolutne nieświatło, przestrzeń, w której czas nie miał władzy, a przestrzeń nie miała znaczenia. Stałem się częścią tej bezgranicznej pustki, kroplą w oceanie nieskończonej ciszy. W tej otchłani po raz pierwszy zrozumiałem, co to znaczy przestać istnieć.

I wtedy, kiedy już sądziłem, że moja świadomość zgaśnie na zawsze, dostrzegłem coś w oddali. Ledwie widoczny blask – niejasny, subtelny jak mglisty świt migoczący na krawędzi mojego postrzegania. Był to odblask

mojego dawnego życia, zgaszona iskra, wciąż trwająca gdzieś na granicy pomiędzy światami.

Wyciągnąłem w jego stronę myśl, pragnienie, rozpaczliwą tęsknotę. I wówczas, choć w tej pustce nie było słów, usłyszałem cichy, niemal bezdźwięczny szept – był to głos Śmierci, której twarz widziałem przed chwilą. Był łagodny, inny, niż oczekiwałem, i mówił:

„Nie lękaj się. Nic nie ginie całkowicie, choć przestaje być takie, jakie znałeś. Wszystko staje się częścią czegoś większego, choćby było to tylko jedno wspomnienie w świadomości tych, którzy cię pamiętają. Wracaj do światła w ich pamięci. To, co naprawdę się liczy, nigdy nie umiera”.

Ten szept, choć słaby, pozostawił we mnie nieoczekiwane uczucie. Pojąłem, że to, czego się lękałem – to nie tyle koniec, ile zapomnienie. Nieświatło mogło być końcem ciała, życia takiego, jakim je znałem, ale wciąż coś pozostawało. Moje wybory, wspomnienia, fragmenty, które zapisałem w życiu innych.

Ciemność zaczęła rozpuszczać się w słabym, mlecznym świetle, a ja poczułem, że się unoszę, nie do nowego świata, lecz gdzieś, gdzie trwać miała esencja moich wspomnień. Niezauważalna, a jednak wieczna, jak szept trwający przez nieskończoność.

Gdy światło stawało się coraz bardziej wyraziste, poczułem dziwną lekkość, jakbym uwalniał się od wszystkiego, co ciążyło mi przez całe życie – od trosk, żalu, winy, a nawet od samej świadomości czasu. To, co było dotychczas pełne ciemności, teraz jaśniało, wypełniając mnie poczuciem, jakiego nigdy wcześniej nie znałem: spokojem.

Zauważyłem, że światło to nie było zimne ani oszłamiająco jasne. Było łagodne jak blask o poranku. Poczułem, że to nie jest coś obcego – to światło tliło się w głębi mojej duszy przez całe życie. Było nim wszystko, co kiedykolwiek kochałem, i wszystko, co udało mi się dać innym.

W tej jasności pojawiały się obrazy. Nie były to przypadkowe wizje, ale wspomnienia pełne ciepła i znaczenia. Ujrzałem twarze bliskich: rodzinę, przyjaciół, nawet ludzi, których spotkałem tylko raz, a jednak, jakby na chwilę, wnieśli coś do mojego życia. Każda twarz, każda chwila była teraz wyraźna i intensywna, jakby nabierała nowego znaczenia.

Zrozumiałem, że to jest odpowiedź. Że nie umieramy w pełni, gdy zostawiamy coś po sobie – choćby tylko wspomnienia, uczucia, gesty, ciche dowody naszego istnienia, którymi dotknęliśmy życia innych. Choć ciało znika, echo tego, kim byliśmy, trwa nadal. To nie było może wieczne życie, jakiego się spodziewałem, ale było czymś więcej, niż kiedykolwiek mogłem sobie wyobrazić.

Głos Śmierci, szept, który wcześniej brzmiał tak nieubлагanie, teraz przemówił z innej strony, łagodny i pełen zrozumienia:

– Widzisz teraz prawdę. Każde życie, nawet najkrótsze i najprostsze, zostawia ślad. Nie ma końca takiego, jakim go sobie wyobrażałeś. Jest tylko przemiana, przejście z jednego światła w inne.

To, co mówiła, zdawało się nie być groźbą ani obietnicą. Po prostu było faktem. Przemijanie to tylko most – nasze istnienie zmienia postać, przechodzi w coś większego, coś poza nami. Każde życie, każdy moment zapisuje się w kosmicznym splocie, pozostawiając tam swój ślad.

Przyszła mi do głowy ostatnia myśl, pytanie, które wcześniej wydawało mi się desperackie, ale teraz, z perspektywy tego nowego światła, było proste, czyste.

– Czy będę jeszcze kiedyś... pamiętał? Czy będę częścią tego wszystkiego, gdy przeminę?

Cisza trwała przez chwilę, zanim głos odpowiedział:

– Wszystko, co potrzebne, pozostanie. Pamięć, w której jesteś częścią, jest wieczna, lecz nie należy do nikogo indywidualnie. Przekracza czas, bo istnieje w każdym, kto jej dotknie. Teraz i w przyszłości.

Słowa Śmierci nie przyniosły ukojenia, tylko nowe fale sprzecznych emocji. Jak można było zaakceptować taką przemianę? Jak zgodzić się na to, że już nigdy nie poczuję, nigdy nie zobaczę twarzy tych, których kochałem? Rozumiałem, że śmierć jest nieuchronna, ale świadomość tego tylko bardziej wypełniała mnie smutkiem. Czulem, jak ten smutek wzbiera we mnie jak sztorm, jak zalewa moją świadomość, sprawiając, że przenikliwe zimno wydawało się jeszcze dotkliwsze.

Z każdą chwilą narastał we mnie strach – wręcz pierwotny, głęboko zakorzeniony lęk przed całkowitym unicestwieniem, przed rozplynięciem

się w czymś, czego nie rozumiałem. Strach przybierał kształt cieni w głębi umysłu, przesłaniając ten błysk światła, które wcześniej wydawało się tak jasne i bliskie. To nie była już tylko obawa przed samą śmiercią – to był lęk przed wieczną samotnością, przed wiecznym trwaniem w niebycie, przed tym, że zniknę bez śladu.

Czułem, że Śmierć to dostrzega, że widzi, jak się miotam. Z jej ust nie padały jednak żadne słowa pocieszenia – była tylko nieobecna, jakby mówiła: „Takie jest prawo istnienia. Tego nie możesz zmienić”.

Im dłużej trwała ta cisza, tym bardziej narastała we mnie złość. Narodziła się z poczucia niesprawiedliwości. Jak można było żyć, jak można było tyle kochać, czuć, walczyć – tylko po to, by potem tak po prostu odejść? Nie miałem wpływu na nic. Na to, że się urodziłem, że byłem, kim byłem, a teraz nie miałem wpływu na to, jak odejdę. Ta bezsilność rozdzierała mnie od środka, sprawiając, że chciałem krzyczeć. Jakby moja wściekłość mogła rozbić ten niekończący się mrok, jakby mogła przebić mur nicości, który nagle stał się duszącą pułapką.

– To niesprawiedliwe – wyszeptałem, a może tylko pomyślałem. – Czym zasłużyłem, by teraz po prostu... zniknąć?

W odpowiedzi usłyszałem tylko głuchą ciszę. Śmierć nie zamierzała się tłumaczyć. Zrozumiałem, że jest czymś znacznie starszym, czymś, co nie podlega żadnym zasadom sprawiedliwości, jaką znałem. Dla niej moje życie, moje żale, moja miłość – wszystko to było chwilą, ulotnym pyłkiem. Jak mogłem oczekiwać, że to zrozumie? Jak mogłem pragnąć współczucia od czegoś, co istnieje od zawsze, co jest ponad uczuciami, ponad wszelkim zrozumieniem?

Narastający żal mieszał się z goryczą. Przecież całe życie uczyłem się, że jest jakiś sens, że każde cierpienie coś znaczy, że miłość i dobro zostają, trwają w czymś większym. A teraz to wszystko rozmywało się przed moimi oczami. Piekło, niebo, wieczność – to były tylko słowa, tylko idee stworzone przez umysł próbujące uchwycić coś, czego nie mogły pojąć. Byłem niczym, tylko kropką w nieświadomości wszechświata.

– Gdzie jest to wszystko, co obiecywano? – zapytałem, a słowa te odbiły się jak echo wewnątrz mnie, choć Śmierć znów pozostała milcząca. Byłem

wścickły na siebie, na nią, na cały ten świat, który wypełniał mnie tyle razy nadzieją tylko po to, by teraz okazać się pustym.

Złość jednak, podobnie jak strach i smutek, w końcu ustępowała. Zrozumiałem, że nawet ona nie miała siły przebić się przez ten mrok. Gdy wszystko zaczynało się wyciszać, poczułem, jak moje uczucia gasną jedno po drugim, ustępując chłodnej rezygnacji. Stałem się tylko obserwatorem, niemal pozbawionym emocji – jakby nawet moje najgłębsze przeżycia zaczynały się rozmywać, tracąc znaczenie.

Ale w tym momencie, gdy pozostał tylko cień mojego istnienia, poczułem coś delikatnego i ulotnego – jak dotyk wspomnienia, które wraca po latach. Było ciepłe, nieśmiałe, jak małe światło wylaniające się zza zasłony nocy. Najpierw nie mogłem pojąć, czym jest, skąd pochodzi. Ale to uczucie wciąż we mnie rosło, powoli wypełniając pustkę, z której już niemal całkowicie się wyzbyłem.

Była to miłość – ta najprostsza, cicha miłość, którą przez całe życie próbowałem dawać innym, choćby w najdrobniejszych gestach. Miłość, którą sam otrzymywałem od tych, którzy mnie otaczali. Każde ciepłe spojrzenie, każda pomocna dłoń, każde dobro, którym dzieliłem się z ludźmi wokół mnie, teraz wracały jak echo, które nigdy nie zanikło. Ta miłość była trwała, silniejsza niż smutek, mocniejsza niż strach i bardziej wyrazista niż złość. Była czymś, czego nie mogła zabrać ani Śmierć, ani pustka.

I rozumiałem coś, co wcześniej wydawało mi się niemożliwe. Może naprawdę nie było raju ani piekła, ale to, co we mnie pozostało – te iskry miłości, dobra i ciepła – miały znaczenie. Nie musiały prowadzić mnie ku wieczności. Były częścią czegoś większego, co trwać będzie w innych, w ich pamięci, w ich życiu. Ta świadomość przyniosła mi ukojenie, jakiego dotąd nie znałem. Była jak powrót do domu, którego nigdy wcześniej nie widziałem, ale za którym tęskniłem przez całe życie.

Śmierć zbliżyła się jeszcze raz, już nie tak nieuchwytna i przerażająca. Była teraz po prostu cieniem, granicą, przez którą miałem przejść, jakby zamykała dla mnie drzwi do innego wymiaru istnienia. A ja, w końcu gotowy, bez lęku i bez żalu, przekroczyłem próg, zostawiając za sobą mrok i pustkę.

Umarłem dziś.

Cisza po pierwszym płaczu

7 sierpnia 2021

Drogi Antosiu!

Witaj, mój aniołku. Tutaj Anastazja, Twoja mama. Nie radzę sobie z tym, co się stało. Mój psycholog mówi, że powinnam pisać listy, aby pomóc sobie w żałobie. Więc piszę do Ciebie. Nie wiem, od czego zacząć, dlatego może opowiem Ci o naszym pierwszym spotkaniu. Minął właśnie rok od chwili, gdy pierwszy raz trzymałam Cię w ramionach. Byłeś taki malutki. Tak bezbronny. A świat zabrał Cię ode mnie. Nie pozwolił Ci dorosnąć. Nigdy tego nie zrozumieć. Wciąż pamiętam Twój płacz, gdy wyciągnęli Cię z mojego brzucha. Lekarz mówił, że masz zdrowe płuca, skoro potrafisz tak głośno krzyknąć. Pięć godzin później wszystko ucichło. Zamilkłeś na zawsze. Nie potrafię w to uwierzyć. Leżeliśmy razem na sali pooperacyjnej, a ja nie mogłam oderwać od Ciebie wzroku. Byłeś tak piękny. Kilka jasnych, niesfornych włosków okalało Twoją główkę. Twoje krótkie, ale gęste rzęsy, małe, delikatne usta, lekko zadarty nosek... Zapamiętałam każdy szczegół Twojej twarzy, która teraz śni mi się co noc. Twój spokój, gdy spałeś, dawał mi chwilowe ukojenie. Ale czułam też tak wiele innych emocji. Szczęście, że w końcu jesteś ze mną. Strach, czy dam sobie radę jako mama. Ulga, że już niedługo wrócimy razem do domu. Jakie to były złudne marzenia... Wszystko uleciało wraz z Twoim ostatnim oddechem. A ja – razem z Tobą – nie mogłam złapać tchu.

Wciąż pamiętam moment, gdy położna weszła do sali, by sprawdzić Twój stan. Pamiętam, jak szybko wybiegła, wracając z lekarzami. Ten szok i przeżucie, że stało się coś złego, nie opuszczają mnie do dziś. Chaos i krzyki...

To jedyne, co zostało mi w pamięci. Później mi powiedziano, że to ja krzy-
czałam. „Co się dzieje? Co z moim synem?” Powtarzałam to bez końca, nie
wiem nawet jak długo.

Teraz, gdy o tym piszę, moje dłonie drżą. Nie mogę dalej o tym myśleć.
Przepraszam.

Kocham Cię – mama.

* * *

29 sierpnia 2021

Drogi Antosiu,
minęło kilka dni od mojego pierwszego listu. W międzyczasie byliśmy z Two-
im tatą na krótkim wyjeździe nad jezioro, do letniskowego domku Twoich
dziadków. Nikodem uznał, że dobrze mi to robi. I miał rację.

Uwielbiam czas spędzony nad wodą. Ten specyficzny zapach, który zdaje
się zarezerwowany tylko dla tego miejsca. Ciepłe promienie słońca muskające
skórę. Jednak najbardziej kocham te wieczory, gdy po całym dniu spędzonym
na plaży słońce zaczyna chować się za koronami drzew, malując na niebie
cudowne barwy. Wszystko odbija się w spokojnej tafli jeziora, a powietrze
staje się chłodniejsze, delikatnie mieszając się z ciepłym wiatrem. Siedzieliśmy
wtedy z Twoim tatą, wtuleni w siebie pod kocem, rozmawiając o drobia-
zgach i patrząc na ten majestatyczny widok. Mogłabym tak spędzać każdy
wieczór. Pierwszy dzień rzeczywiście był idealny. Jednak kolejnego dnia na
plażę przyszły rodziny z dziećmi. Rodzice, dziadkowie, maluchy, starsze
dzieci i grupki nastolatków, które cieszyły się wakacjami. Patrzyłam na nich
wszystkich i w mojej głowie pojawił się obraz – jak trzymam Cię w ramio-
nach, delikatnie zanurzając Twoje małe stópki w wodzie, żebyś pokochał to
miejsce tak jak ja.

Te wyobrażenia pochłonęły mnie całkowicie. Nawet nie zauważyłam,
kiedy po moich policzkach zaczęły płynąć łzy. Były jak wodospad, którego
nie mogłam powstrzymać. Twój tata zauważył, co się dzieje, i zabrał mnie
z powrotem do domku. Resztę wyjazdu spędziliśmy tam, w ciszy. Nikodem
miał do mnie żal. Powiedział, że nie potrafię odpuścić. Wiem, że chciał dobrze

i stara się poprawić mi humor, za co jestem mu wdzięczna. Ale kiedy mówi, że minął rok i powinnam już przestać tak reagować, czuję się niezrozumiana. On przecież stracił dokładnie to samo co ja. Stracił Ciebie. Może po prostu lepiej maskuje swój ból. W pierwszych miesiącach słyszałam, jak płakał nocami, gdy myślał, że śpię. Nie potrafiłam mu pomóc, bo sama tonęłam w smutku. Teraz, gdy minął rok, wydaje się silniejszy. Próbuję wierzyć, że tak jest, ale widzę, jak ta siła go wyczerpuje. Próbuję być silny za nas oboje. A ja? Ja wciąż nie wiem, jak poradzić sobie z tym wszystkim. Z każdą chwilą, która mogła należeć do Ciebie. Z każdą wizją, która nigdy nie stanie się rzeczywistością.

Wiesz, Antosiu, nad jeziorem, gdy patrzyłam na te wszystkie rodziny, dotarło do mnie coś jeszcze. Może to, co teraz robię – pisanie do Ciebie, dzielenie się moimi myślami – jest jedynym sposobem, by poczuć się bliżej Ciebie. By pielęgnować naszą więź, której nie zdążyliśmy stworzyć w pełni. Ale dziś, mój kochany synku, chciałabym spróbować czegoś nowego. Zamiast płakać za Tobą, zacznę szukać sposobów, by zachować Cię w moim życiu. Może to będzie sadzenie drzew, może wolontariat w hospicjum dziecięcym. Coś, co uczyni Twoje krótkie życie pełnym znaczenia.

Kocham Cię – mama.

* * *

10 listopada 2021

Drogi Antosiu,
nadeszła jesień. Liście zmieniły kolor na brązowy i pomarańczowy, a noc przychodzi szybciej. Uwielbiam tę porę roku – za jej piękno, za możliwość otulenia się ciepłym kocem i spędzania wieczorów z gorącą herbatą w rękę. Twój tata i ja mamy taki mały rytuał – wspólnie oglądamy komedie romantyczne. Nikodem zawsze narzeka, że to nie dla niego, ale po chwili fabuła wciąga go bardziej niż mnie. Zawsze mnie to bawi. Dziś podczas naszego wieczoru zasnęłam. Muszę się przyznać, że zdarza mi się to często, co bywa dla niego frustrujące. Ale tym razem obudziłam się z krzykiem. Śnił mi się tamten dzień – dzień, w którym mi Cię odebrano. Od dawna nie miałam tak bolesnego snu. Znowu przypomniałam sobie każdy szczegół, każdą minutę

spędzoną w sali poporodowej bez Ciebie. I wtedy uświadomiłam sobie, że jeszcze nie opowiedziałam Ci wszystkiego.

Ciężko mi o tym pisać, ale czuję, że muszę. Może to pomoże mi lepiej się z tym zmierzyć. Pozwól, że opowiem Ci, jak nastąpiła cisza po Twoim pierwszym płaczu. Ostatnio skończyłam na momencie, gdy lekarze próbowali Cię reanimować. W końcu padło słowo, którego bałam się najbardziej – „brak tętna”. Wiedziałam, co to znaczy, ale nie mogłam w to uwierzyć. Chciałam im powiedzieć, że się mylą. Że mój syn żyje, że tylko śpi. Ale zamiast tego siedziałam oniemiała.

Najgorsza była cisza. Gdy wszyscy wyszli z sali, a oni zabrali Twoje małe ciało, zostawiając mnie samą. Nie wyjaśnili niczego. Leżałam na łóżku, zbyt obolała po porodzie, by wstać, i czułam, jak łzy płyną strumieniami po moich policzkach. Chciałam, żeby to był jakiś koszmar, z którego zaraz się obudzę. Kiedy w końcu przyszła pielęgniarka, jej słowa były jak uderzenie. „Pani syn... nie żyje. Przyczyną było gwałtowne uduszenie – zatkanie dróg oddechowych. Był niedotleniony przez co najmniej pół godziny. Bardzo mi przykro. Czy mamy kogoś powiadomić?” Jej ton był spokojny, niemal obojętny. Nie mogłam uwierzyć, jak łatwo te słowa przeszły jej przez gardło. Chciałam krzyczeć, protestować, ale nie miałam siły.

Poprosiłam, by zadzwoniła po Twojego tatę. Kiedy się zjawił, jego twarz mówiła wszystko. Wtedy zrozumiałam, że to dzieje się naprawdę. Słowa, pytania, krzyki – nie mogłam tego wytrzymać. Potem pielęgniarka poinformowała, że rozpoczynają tak zwaną toaletę ciała. Powiedziała, że to trudne dla rodziców i zwykle tego nie robią w ich obecności. Ale ja nie chciałam, żeby robił to ktoś obcy. Czułam, że to mój obowiązek. Zapytałam, czy mogę to zrobić sama. Nikodem trzymał Cię w ramionach, a ja delikatnie myłam Twoje małe ciało. Każdy dotyk był pełen troski, choć wiedziałam, że nie możesz już nic poczuć. Łzy spadały na Twoją główkę, rączki, nóżki. Gdy skończyłam, nie chciałam Cię oddać. Twój tata próbował mnie przekonać, że to już czas. Że zaraz przyjedzie firma, która zabierze Cię dalej. Ale ja nie mogłam się z tym pogodzić. Tulilałam Cię i całowałam, bo wiedziałam, że to ostatni raz, kiedy jesteśmy razem tak, jak powinno być.

Antosiu, ten dzień na zawsze pozostanie w mojej pamięci – najboleśniej-
szy i najpiękniejszy zarazem. Straciłam Cię, ale w tym jednym momencie
mogłam być przy Tobie w najczulszy sposób, jaki zna matka. Teraz, kiedy
o tym piszę, wiem, że żadne wspomnienie, nawet najbardziej bolesne, nie jest
w stanie zabrać mi miłości, jaką do Ciebie czuję. Kocham Cię każdego dnia,
bez względu na czas i przestrzeń, które nas dzielą. Jesteś i zawsze będziesz
moim synem, moim aniołkiem.

Kocham Cię – mama.

* * *

17 grudnia 2022

Drogi Antosiu,
minął ponad rok od mojego ostatniego listu do Ciebie. Mój psycholog mówi,
że radzę sobie coraz lepiej. Nie czuję już potrzeby, aby tak często rozmawiać
o tym, co się stało. Moje myśli nadal krążą wokół tamtego dnia, ale nie z ta-
kim ciężarem jak dawniej. Nawet relacje z Twoim tatą, Nikodemem, uległy
poprawie. Przetrwaliśmy trudne chwile, które nas oddaliły, i teraz powoli
odnajdujemy drogę do siebie.

Twoja twarz wciąż pojawia się w moich snach. Co noc widzę Cię w mar-
zeniach, ale teraz są one inne – nie są już pełne bólu i rozpacz. Widzę, jak
rośniesz, jak idziesz do przedszkola i z fascynacją poznajesz świat. Świat,
który miał tak wiele do zaoferowania. Świat, którego – muszę to przy-
znać – przez długi czas nienawidziłam za to, że odebrał mi Ciebie. Zbliżają
się święta. Wiesz, co robiłam ostatnio? Zastanawiałam się, jaki prezent byłby
dla Ciebie idealny. Czy interesowałbyś się autkami, czy może dinozaurami?
A może chciałbyś maskotkę z ulubionej bajki? Czy byłbyś grzeczny, gdy-
bym powiedziała Ci, że Święty Mikołaj patrzy i zapisuje wszystko w swoim
notesie? Tak bardzo chciałabym to wiedzieć... Nie mogłam jednak niczego
dla Ciebie wybrać, więc postanowiłam kupić coś symbolicznego. Kupiłam
Ci pięknego pluszowego misia. Umieściłam go w szklanej szkatułce, żeby nie
zmókł od śniegu ani nie stracił miękkości. Misia położymy razem z tatą obok
wieńca, który zamówiliśmy specjalnie dla Ciebie. Jest naprawdę piękny –

pelen kolorowych kwiatów. Myślę, że bardzo by Ci się spodobał. Wierzę, że lubiłbyś kolory, jak każde dziecko.

W tym roku jednak postanowiliśmy nie przygotowywać dla Ciebie miejsca przy wigilijnym stole. Twój tata powiedział, że to już czas, abyśmy zaczęli odpuszczać. Że takie gesty nie przywrócą Ci życia. Może ma rację. Może powinnam w końcu pozwolić sobie żyć dalej. Ale dla mnie to wciąż mała isierka nadziei. Nadziei, że choć fizycznie Cię z nami nie ma, to gdzieś tam jesteś – czuwasz, patrzysz na nas, uśmiechasz się. A może to tylko moja głupia, naiwna wiara, która pozwala mi trwać każdego dnia.

Kocham Cię – mama.

* * *

29 kwietnia 2023

Drogi Antosiu,

nadeszła wiosna. Pąki drzew nieśmiało rozkwitają, jakby próbowały przypomnieć światu, że życie toczy się dalej. Trawy odzyskują zieleni, a powietrze staje się coraz cieplejsze, przynosząc ze sobą zapach nowego początku. Jednak ta pora roku, która dla większości oznacza odrodzenie i nadzieję, we mnie wywołuje jedynie złość. Złość na naturę, na jej hipokryzję. Jak to możliwe, że potrafi tak lekko porzucać zimowy mrok i wracać do życia, jak gdyby nigdy nic? Czy to nie ironia, że wszystko, co umarło, ma szansę rozkwitnąć na nowo, a ja wciąż trwam w zimie, z której nie potrafię się wydostać?

Niektórzy mówią, że wiosna niesie przesłanie – że po najgorszym zawsze przychodzi światło. Ale ja tego nie czuję. Dla mnie każda odrobina ciepła jest tylko złudzeniem, obietnicą, która nigdy się nie spełnia. Myślałam, że jest lepiej. Przez chwilę naprawdę w to wierzyłam. Ale teraz widzę, że to była tylko maska. Zmęczenie, które noszę w sobie od miesięcy, jest jak ciężar nie do uniesienia. Walczyłam. Naprawdę walczyłam, ale jestem wyczerpana. Każdego dnia coraz bardziej czuję, że się poddaję.

Te myśli o Tobie, Antosiu, wracają nieustannie. Są jak echo, które rozbrzmiewa w mojej głowie, bezlitośnie przypominając mi, co straciłam. Próbuję je uciszyć, ale one nie milkną. Są wszędzie – w zapachu wiosennego

wiatru, w śpiewie ptaków, w widoku matki spacerującej z dzieckiem. Świat nie pozwala mi zapomnieć, choć tak bardzo bym chciała.

Nikodem... kiedyś był moją ostoją, moją siłą. Ale teraz? Teraz nawet on wydaje się tak odległy, jakby stał za szybą, której nie mogę przebić. Jego obecność, kiedyś dająca mi pocieszenie, teraz jest mi obojętna. Czuję się winna za to, że już nie potrafię go docenić. Za to, że moje serce jest puste i chłodne.

Rodzina, przyjaciele – wszyscy wokół mnie starają się być obecni, ale ja widzę w ich oczach tylko współczucie. Czuję ich litość, choć nikt nie mówi tego na głos. A ja tego nie chcę. Nie chcę ich troski, ich pocieszających słów, ich milczenia pełnego żalu. Czuję się jak cień samej siebie, a oni zdają się widzieć tylko tę pustą skorupę.

Wiosna przyszła, ale nie do mnie. Dla mnie czas się zatrzymał tamtego dnia, gdy Cię straciłam. I choć świat budzi się do życia, ja wciąż tkwię w zimie, której nie potrafię opuścić. Dlatego zdecydowałam się dołączyć do ciebie. Wydaje mi się to jedynym rozwiązaniem, które da mi wolność i spokój. Już niedługo będziemy razem, aniołku.

Kocham cię – mama.

* * *

7 sierpnia 2023

Droga Anastazjo!

Witaj, kochanie. Tutaj Nikodem, Twój mąż. Znalazłem Twoje listy. Leżały w szufladzie, ukryte jak Twoje myśli, które nigdy nie ujrzały światła dziennego. Nie miałem o nich pojęcia. Nigdy mi o nich nie wspomniałaś. A może mówiłaś, tylko ja nie słuchałem? Teraz to już nieważne. Teraz wszystko jest nieważne, bo Ciebie już nie ma, a ja zostałem sam z tym ciężarem, który nas oboje przygniótł. Minął rok od Twojego odejścia i trzy lata od śmierci naszego Antosia. Ale mimo tego czasu rany wciąż są świeże, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj.

Nie zdajesz sobie sprawy, co czułem, gdy wszedłem do łazienki tamtego dnia. Zobaczyłem Cię leżącą w plamie krwi, tak cichą, tak nieruchomą. Ten obraz wypalił się w mojej pamięci i prześladowuje mnie każdej nocy, jakby

chciał przypominać mi, że Cię zawiodłem. Najpierw czułem rozpacz – przeżywającą, nie do opisania. Ale teraz? Teraz w moim sercu rodzi się złość. Złość na Ciebie. Jak mogłaś mi to zrobić, Anastazjo? Jak mogłaś mnie zostawić, wiedząc, że bez Ciebie jestem nikim? Dlaczego kazałaś mi na to patrzeć?

Nie ma dnia, w którym moje myśli nie wróciłyby do Ciebie. Wszystko, co robię, przypomina mi o Twojej obecności – w drobnych gestach, w miejscach, które kochaliśmy, w ulubionych książkach, które leżą na półce, zakurzone i nieruszone. Byłaś częścią mojego życia, mojej codzienności. Byłaś moim powietrzem. Teraz, gdy Ciebie nie ma, moje dni wydają się puste, jakby straciły sens.

Chcesz wiedzieć, dlaczego poradziłem sobie po śmierci naszego syna? Bo miałem Ciebie. Bo byłaś przy mnie, choć i wtedy widziałem, jak powoli się ode mnie oddalasz. Myślałem, że uda mi się Cię zatrzymać, że wystarczy moja obecność, moje wsparcie, abyśmy przetrwali tę tragedię razem. Ale się myliłem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabyś się poddać. Ty, moja Anastazja, która zawsze byłaś tak silna. Ty, która stawiałaś czoło wszystkiemu, co rzucał nam los. Twoje odejście było dla mnie ciosem. Myślałem, że razem możemy przetrwać wszystko. Ale zostawiłaś mnie samego. Zrobiłaś to, czego oboje najbardziej się baliśmy – poddałaś się. I teraz nie wiem, jak dalej żyć. Chciałbym powiedzieć, że czuję tylko złość, ale to nieprawda. Bo w głębi serca wciąż Cię kocham. Kocham Cię tak samo, jak wtedy, gdy pierwszy raz powiedziałaś, że chcesz ze mną spędzić resztę życia. I może właśnie dlatego nie potrafię Ci wybaczyć.

Ale ja nie będę taki jak Ty, Anastazjo. Nie poddam się. Przeżyję. Dla Ciebie. Dla naszego Antosia. Bo wiem, że gdziekolwiek jesteście, chcecie, żebym próbował. Nie wiem, kiedy w końcu się pozbieram. Może to zajmie miesiące, a może lata. Może nigdy nie będę taki jak kiedyś. Ale spróbuję. Nie dla siebie, bo nie mam już dla siebie żadnych marzeń. Spróbuję dla Was – bo to jedyne, co mi pozostało. Wiem, że tego byś ode mnie chciała. A ja obiecałem, że zawsze będę Cię kochał. I dotrzymam tej obietnicy, nawet jeśli Cię tu nie ma.

Kocham Cię – Nikodem.

Kaplica śmierci

Wieczór spowijał miasto mrokiem i gęstą mgłą, która tłumila światła latarni, czyniąc je niemal niewidocznymi. W komisariacie, w pokoju archiwum X, dwóch policjantów wciąż siedziało przy biurkach. Większość ich kolegów już dawno opuściła swoje stanowiska, ale oni nie mogli oderwać się od pewnego dochodzenia, które zdawało się żyć w ich myślach nawet nocami. Sprawa morderstwa dwudziestoletniej Małgorzaty z Krakowa, ofiary brutalnego ataku, burzyła wszelkie schematy, podważając ich doświadczenie i wyczucie.

Łukasz Wiśniewski, doświadczony śledczy, znany z nieugiętego charakteru i analitycznego umysłu, siedział głęboko w fotelu, pochłonięty aktami. Koledzy żartowali, że miał „instynkt psa tropiącego” – potrafił godzinami analizować każdy szczegół, dostrzegając powiązania, które umykały innym. Jego surowa twarz naznaczona latami służby i uważne, przenikliwe spojrzenie zdradzały niezłomność i determinację. Praca była jego życiem, a potrzeba domykania śledztw graniczyła z obsesją. Kiedy inni się poddawali, on wertował akta, przekonany, że klucz do rozwiązania zawsze gdzieś tam jest, wystarczy tylko go znaleźć.

Jego młodszy partner, Andrzej Dąbrowski, był jego zupełnym przeciwieństwem. Pełen energii, ale dopiero oswajał się z ponurą codziennością archiwum X. Choć jego żywiołowość nie zawsze znajdowała ujście w żmudnych analizach i raportach, to podziwiał Wiśniewskiego, jednak czasem irytowała go jego nieustępliwość i skłonność do grzebania w szczegółach.

– Na pewno coś przeoczyliśmy – powiedział Wiśniewski, wciąż wpatrując się w dokumenty.

– Łukasz, przeglądaliśmy to już dziesięć razy. Nic nowego tam nie znajdziemy. Chodźmy do domu, dzisiaj i tak nic nie wymyślimy – odparł Andrzej.

– Idź, jeśli chcesz, ja jeszcze chwilę zostanę.

Dąbrowski westchnął – wiedział, że starszego kolegi nie przekona, choćby mówił godzinę. Pożegnał się i wyszedł, zostawiając Łukasza samego w cichym, niemal dusznym wnętrzu archiwum. Wiśniewski zdawał sobie sprawę, że bezsenność i tak by go dopadła, gdyby wrócił do domu z poczuciem, że czegoś nie sprawdził. Coś w aktach sprawy Małgorzaty wywoływało w nim niepokój – intuicja podpowiadała, że przeoczył ważny trop.

Brutalność tego morderstwa była szokująca. Małgorzata została zaatakowana, gdy wracała nocą z imprezy – sprawca najpierw ogłuszył ją, potem zgwałcił, a następnie zadał dwanaście ciosów maczetą, na koniec odciął jej dłoń i zabrał ją, jakby chciał zatrzymać makabryczne trofeum. Taka brutalność nie była przypadkowa. Wskazywała na wyrachowane, sadyistyczne działanie.

Przyglądając się aktom po raz kolejny, Wiśniewski dostrzegł wzmianki o dwóch wcześniejszych napaściach na młode kobiety, które mogły być powiązane. Sprawy te jednak z niewiadomych przyczyn zostały pozostawione bez dokładniejszej analizy. To był dla niego punkt zaczepienia – postanowił, że nazajutrz przyjrzy się im bliżej.

Następnego dnia Wiśniewski zjawił się w biurze później niż zwykle. Gdy wszedł do pokoju, zauważył Dąbrowskiego, który już siedział przy biurku, przeglądając dokumenty z lekko szyderczym uśmiechem.

– Wypałeś się chociaż? – rzucił z ironią, unosząc wzrok na Łukasza.

– Przepraszam za spóźnienie. Po tym, jak wyszedłeś, zostałem jeszcze chwilę, żeby ponownie przejrzeć te akta, wróciłem naprawdę późno.

– I co? Znalazłeś coś, czy to kolejna noc spędzona na przeglądaniu tych samych papierów? – zapytał Andrzej.

– Znalazłem. W aktach pojawiły się dwie sprawy przed morderstwem Małgorzaty. Dwa inne przypadki napaści na kobiety. Z jakiegoś powodu nigdy ich nie powiązano z tą sprawą, ale moim zdaniem to nasz punkt zaczepienia. Musimy dzisiaj to sprawdzić.

– O co chodzi w tych sprawach? – dopytywał Andrzej.

– Na razie znam tylko ogólniki. Musimy poprosić naczelnika o dostęp do akt, żeby przejrzeć je dokładniej. Wczoraj było za późno, żeby to załatwić.

– To dzwoni do niego, a ja pójdę po kawę – rzucił Dąbrowski, wstając.

Wiśniewski kiwnął głową i zaczął załatwiać formalności. Po chwili naczelnik udostępnił im potrzebne dokumenty, a już po godzinie obaj pochylali się nad aktami, z uwagą analizując szczegóły.

Pierwsza sprawa dotyczyła Anity, młodej kobiety zaatakowanej podczas wieczornego spaceru. Napastnik zranił ją maczetą w ramię, ale dzięki interwencji przechodniów został zmuszony do ucieczki. Anita opisała go jako mężczyznę średniego wzrostu, około czterdziestki, ubranego na ciemno i lekko utykającego na lewą nogę.

Drugi przypadek to napaść na Paulinę, która wracała z pracy późnym wieczorem. Zauważyła mężczyznę z maczetą, który zablokował jej drogę. Udało jej się uciec dzięki szczęśliwemu przypadkowi – spotkała znajomych, którzy odprowadzili ją do domu. Paulina również opisała napastnika, a jej relacja pasowała do opisu Anity.

– Wygląda na to, że nasz sprawca stopniowo się rozkręcał – zauważył Wiśniewski. – Najpierw nieskuteczne ataki, potem brutalne morderstwo.

Andrzej pokiwał głową, ale jego spojrzenie stało się nieco nieobecne.

– To nie wszystko – dodał Łukasz. – W aktach wspomniano o jeszcze jednym zdarzeniu. Do mieszkania pewnej kobiety zapukała młoda dziewczyna z raną na nodze. Twierdziła, że została zaatakowana przez nieznanego mężczyznę, nie chciała jednak wezwać policji. Kobieta pomogła jej opatrzyć ranę, a potem dziewczyna po prostu odeszła. Śledczy, którzy zajęli się tą sprawą, nigdy jej nie odnaleźli.

– A co, jeśli ta dziewczyna bała się czegoś więcej? Może знаła sprawcę? – zastanawiał się Dąbrowski.

– To możliwe. Może bała się go wydać albo nie ufała policji. Ale jeśli udałoby się ją odnaleźć, jej zeznania mogłyby rzucić nowe światło na tę sprawę.

– Jak zamierzasz do niej dotrzeć? Przecież nie mamy żadnych danych.

– Musimy nagłośnić sprawę, dać ogłoszenia w telewizji, radiu, prasie. To jedyna szansa, żeby do niej dotrzeć.

– A co, jeśli nasz sprawca to zobaczy? – zapytał Dąbrowski nieco napiętym tonem. – Może postanowi się ukryć albo, co gorsza, zaatakuje znowu, żeby odwrócić uwagę.

– Każdy ruch sprawcy to dodatkowy trop dla nas, a ta kobieta to nasza największa szansa. Musimy zaryzykować.

Dąbrowski wzruszył ramionami, jakby nie do końca przekonany, ale ostatecznie nie zaprotestował.

Wiśniewski udał się do rzecznika prasowego komisariatu, aby omówić nagłośnienie sprawy. Rzecznik obiecał, że jeszcze tego wieczoru informacja pojawi się w mediach. Gdy wrócił do biura, zastał Dąbrowskiego przy komputerze. Andrzej był bardziej milczący niż zwykle, co Wiśniewski uznał za efekt zmęczenia i napięcia związanego ze śledztwem. Nie miał powodu, by podejrzewać partnera – napięcia w pracy były normą, a oboje czuli presję, by rozwiązać sprawę. Resztę dnia spędzili na mniej wymagających obowiązkach, czekając na reakcje na ich apel w mediach.

Następnego ranka na policjantów czekała niespodzianka.

– Zgłosiła się poszukiwana kobieta, chętna do współpracy. Pochodzi z okolic Krakowa i ma być na komendzie za trzy godziny – oznajmił rzecznik z zadowoleniem.

– Wspaniale! – powiedział uradowany Wiśniewski.

– Ale czy pytaliście ją o szczegóły? Skąd mamy pewność, że to właściwa osoba? Może to jakiś żart? – rzucił z niepokojem Dąbrowski.

– Podała swoje dane, to wy przeprowadzicie resztę weryfikacji. Nazywa się Aniela Bogusz – odpowiedział rzecznik.

Dąbrowski zamarł, zbladł, a jego oczy nagle się powiększyły. Wiśniewski, który bacznie go obserwował, natychmiast zauważył tę reakcję. Coś było na rzeczy, a imię kobiety z pewnością miało związek ze sprawą.

– Dobrze, dzięki za to, że udało ci się to zorganizować. Idziemy się przygotować do przesłuchania, mam przeczucie, że po nim sprawa wreszcie się rozwiąże – powiedział Łukasz, starając się zignorować niepokojącą reakcję partnera.

Obaj policjanci udali się do swojego pokoju, ale tuż przed wejściem Andrzej, wyraźnie zdenerwowany, poinformował kolegę, że idzie na papierosa. Wiśniewski, zostając sam, wciąż analizował zachowanie partnera – jego mowę ciała, gesty, ton głosu. Wciąż nie potrafił wyjaśnić tego dziwnego momentu, gdy usłyszeli imię kobiety. Może to przypadek, ale coś w tym wszystkim nie pasowało. Być może Andrzej coś ukrywał, a może tylko był zestresowany, myślał o innych rzeczach? Wiśniewski nie potrafił tego rozgryźć, ale postanowił, że po przesłuchaniu na pewno wróci do tego tematu.

Czas mijał, a wkrótce nadszedł moment, na który liczyli obaj policjanci. Udali się już do pokoju przesłuchań i czekali na kobietę. Dąbrowski starał się udawać zaangażowanego, ale widać było, że coś go dręczy. Choć starał się nie okazywać tego po sobie, jego napięcie było wyczuwalne.

Chwile po dwunastej, gdy kobieta się nie pojawiła, Andrzej nie wytrzymał i powiedział:

– Widzisz? Mówiłem, że to jakiś żart, nie przyjdzie.

– Spokojnie, może się spóźni – próbował go uspokoić Wiśniewski.

Czas mijał, a kobieta wciąż nie nadchodziła. Po kolejnej półgodzinie Dąbrowski znowu się odezwał, wyraźnie zdenerwowany:

– Bez sensu jest to czekanie, powinniśmy już wrócić do swojego pokoju i szukać innych tropów.

– Idź, jeśli chcesz, ja jeszcze poczekam – odpowiedział spokojnie Wiśniewski, choć w jego głowie kłębiły się wątpliwości.

Kolejne pół godziny minęło, a Wiśniewski, mimo narastającej frustracji, nie dał za wygraną. Coś w tej całej sytuacji nie pasowało. Nie wierzył, że kobieta zrobiłaby im taki żart. Wszystko wskazywało na to, że Aniela Bogusz była kluczowa. Może coś jej się stało? Jakby rozplynęła się w powietrzu? A może to, co się wydarzyło, miało związek z kimś bliskim Andrzejowi? I, co najgorsze, może Dąbrowski miał coś z tym wspólnego? To wydawało się niemożliwe – przecież był na komendzie, ale myśli o tym nie opuszczały Łukasza. Postanowił wrócić do partnera i spróbować dalej szukać tropów.

Gdy wrócił do pokoju, zastał Dąbrowskiego przy biurku. Andrzej wydawał się zamyślony, przeglądał akta, a wyraz jego twarzy zdradzał, że nie był w najlepszym humorze.

– No i co, doczekałeś się, panie naiwny? – rzucił z kpiącym uśmiechem.

– Daruj sobie, miałaś rację.

– Jak zwykle – odpowiedział z zadowoleniem Andrzej, nie kryjąc uśmiechu.

– Zajmijmy się lepiej szukaniem kolejnych tropów – mruknął Wiśniewski, starając się skupić na śledztwie.

W pokoju panowała napięta cisza. Wiśniewski starał się nie myśleć o dziwnej reakcji Andrzeja, ale nie mógł się powstrzymać. Czuł, że coś było nie tak, miał wrażenie, że jego partner unikał spojrzeń. Z każdą chwilą Wiśniewski czuł, że coś się dzieje, ale wciąż nie potrafił tego rozgryźć. Chciał wierzyć, że cała ta sytuacja jest tylko przypadkową dekoncentracją i że nie ma związku z poważnymi wydarzeniami. Większość z nich nigdy nie chciała wierzyć w takie scenariusze, ale... coś w tej sprawie ciągle mu nie pasowało.

Nagle ciszę przerwał młodszy policjant Paweł, wpadając do pokoju z impetem.

– Panowie, szybko! Musicie jechać do Wieliczki! Przechodzień znalazł ciało kobiety w krzakach. Została zamordowana, a sprawca odciął jej palce. Na miejscu znaleziono jej dokumenty, to ta kobieta, która miała dziś przyjechać na przesłuchanie!

– Cholera jasna! Dawaj, jedziemy! – krzyknął Wiśniewski, spoglądając na Dąbrowskiego.

Obaj natychmiast wybiegli z budynku, kierując się w stronę radiowozu. Po niecałej półgodzinie dotarli na miejsce zbrodni, gdzie technicy policyjni już zabezpieczali teren. Widok, który ich tam zastał, był makabryczny.

– Dobrze, że jesteście. Zabezpieczyliśmy już miejsce i przesłuchaliśmy świadka – powiedział jeden z techników, podchodząc do policjantów.

– Co wiadomo? – zapytał Wiśniewski, od razu przechodząc do rzeczy.

– Niezbyt wiele. Kobieta została zamordowana około jedenastej trzydzięci. Najpierw ogłuszono ją, a potem przeciągnięto w to miejsce i dobito ostrym narzędziem, prawdopodobnie maczetą. Następnie odcięto jej trzy

palce. Świadców praktycznie brak. Mężczyzna, który znalazł ciało, trafił tu długo po fakcie.

– Czyli schemat działania rzeźnika... A do tego to ta kobieta, która miała dziś u nas zeznawać. Ale skąd mógł wiedzieć, że zamierzaliśmy ją przesłuchać? – Wiśniewski myślał na głos.

– Tego nie wiemy. Znaleźliśmy jednak rękawiczki poplamione krwią. Mogą należeć do sprawcy. Przekazaliśmy je już do badań, wyniki będą dziś wieczorem.

– Dobra robota. Rozejrzymy się jeszcze po okolicy, może coś znajdziemy – odpowiedział Wiśniewski.

Przeszukiwali teren, rozmawiali z innymi funkcjonariuszami, a także raz jeszcze przesłuchali świadka, ale żadne nowe informacje nie wyszły na jaw. Po kilku godzinach wrócili na komendę, by spisać raport. Dąbrowski, wyraźnie zmęczony, zdecydował się wcześniej skończyć dzień i wrócić do domu. Wiśniewski postanowił zostać dłużej i odwiedzić Annę w laboratorium, mając nadzieję na jakieś nowe informacje.

„Morderstwo popełniono o jedenastej trzydzieści, a o tej godzinie Andrzej był na komendzie. Nie mógł tego zrobić osobiście... Ale co, jeśli kogoś wynajął? Czy naprawdę zleciłby komuś odcięcie palców w taki sposób?“, myślał Wiśniewski, idąc do laboratorium.

Anna spojrzała na niego, gdy tylko wszedł, jakby od razu wiedziała, po co się zjawiał.

– Mam wyniki badań, ale niestety nie mamy nic konkretnego. Na rękawiczkach brak odcisków, a krew należy do ofiary.

– Cholera, szkoda. Ale dzięki za info – odparł Wiśniewski, rozczarowany.

– Zaczekaj! – dodała Anna, przypominając sobie coś. – Po waszym wyjeździe na miejscu znaleziono jeszcze kartkę z adresem. Przeanalizowałam ją, ale nie ma na niej żadnych śladów. Masz, to dla ciebie.

Wiśniewski wziął kartkę, na której widniał adres: Bursztynowa 16. Zastygł na chwilę, wpatrując się w nią. Co to miało oznaczać? Czy to miejsce, w którym przebywa psychopata? A może trop, który zostawił celowo, by zwabić ich w pułapkę?

Wracając do domu, Łukasz nie mógł wyrzucić tego adresu z głowy. W końcu podjął decyzję: jutro z samego rana pojedzie na Bursztynową 16, ale sam. Nie chciał nikomu zdradzić, o co podejrzewa Andrzeja. Czuł, że tam znajdzie odpowiedzi na swoje pytania.

Wyszedł z domu już o siódmej trzydzieści, mimo że w pracy miał być dopiero o dziesiątej. Tym razem nie zamierzał czekać. Wziął ze sobą tylko broń i pojechał pod wskazany adres. Droga prowadziła przez las, a gdy dotarł na miejsce, zobaczył jedynie zrujnowany dom, wyglądający na opuszczony. Stał wśród gęstwiny drzew, niemalże wtopiony w krajobraz. Mimo wątpliwości nie zawahał się – wyjął broń i ruszył w stronę budynku.

Drzwi wejściowe skrzypiały tak głośno, że dźwięk rozbrzmiał po okolicy. W środku panowała martwa cisza, która zdawała się przytłaczać. Wnętrze domu wyglądało równie źle co jego fasada – zawilgocone ściany, ślady pleśni, wszędzie unosił się intensywny, trudny do zidentyfikowania zapach. Wiśniewski poczuł mdłości, ale kontynuował. Dom miał dwa piętra, a on zamierzał przeszukać każde pomieszczenie. Trzymając broń w gotowości, otwierał kolejne drzwi. Każdy pokój wyglądał niemal identycznie – porzucane śmieci, zniszczone meble i odchody, zapewne szczurze. Było jednak coś jeszcze: dziwny, wszechobecny klimat grozy, jakby dom krył jakąś mroczną tajemnicę. Gdy nadszedł czas, by wejść na górę, schody zaczęły skrzypieć pod jego stopami. Stawiał kroki powoli, próbując nie robić hałasu, choć wiedział, że to na nic. Z każdym stopniem zapach stawał się bardziej intensywny – słodkawy, gnijący, trudny do zniesienia. W pierwszych dwóch pomieszczeniach na piętrze nie znalazł niczego godnego uwagi. Jednak trzeci pokój od razu wzmógł jego czujność. Drzwi były zamknięte, a zza nich wydobywał się odór, który niemal ściał go z nóg. Przelknął ślinę, zebrał się na odwagę i nacisnął klamkę. Zobaczył coś, co na zawsze wypaliło się w jego pamięci. Pokój przypominał coś na kształt groteskowej kaplicy śmierci. Na ścianach wisiały zdjęcia ofiar, wycinki z gazet, fragmenty ubrań, a także części ciała. W rogu pokoju znajdowała się dłoń wraz z wycinkami z gazet informujących o sprawie Małgorzaty. Obok widniało coś, co wyglądało jak trofeum z zamordowanej wczoraj Anieli Bogusz. W pomieszczeniu znajdowało się

pięć fragmentów ciała, ale tylko dwa były powiązane z konkretnymi sprawami. Pozostałe zdawały się dowodem na zbrodnie, które nigdy nie zostały odkryte. Na środku pokoju, wśród zapalonych świec, stała makabryczna ozdoba – odcięta głowa. Wiśniewski czuł, jak świat wiruje mu przed oczami. Był wstrząśnięty do tego stopnia, że nie zauważył, kiedy schował broń. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ścianę, próbując pojąć, z czym ma do czynienia. Nagle usłyszał za sobą kroki, obrócił się gwałtownie, a przed nim ukazał się mężczyzna z wycelowaną w niego strzelbą. Wiśniewski wstrzymał oddech. Nieznajomy był uderzająco podobny do Andrzeja, ale to nie był on.

– Nie wyjmuj broni, nawet nie próbuj, bo skończysz jak one – powiedział chłodno.

– Jesteś bratem Andrzeja, prawda? – zapytał Wiśniewski, czując, jak krople potu spływają mu po skroni.

– Aż tak jesteśmy do siebie podobni? – spytał mężczyzna z ironicznym uśmiechem.

Wiśniewski wszystko zrozumiał.

– Andrzej cię chronił, zachowywał się dziwnie, bo wiedział, co zrobiłeś. I to dlatego Aniela zginęła: ostrzegł cię, że jedzie na przesłuchanie.

– Brawo. Naprawdę bystry jesteś.

– Andrzej wie o tym miejscu? O pozostałych ofiarach? – Wiśniewski spojrzał na niego ostro.

– Nic nie wie, myśli, że zabiłem tylko Małgorzatę. Opowiedziałem mu cikliwą historię o tym, że to był błąd i więcej się nie powtórzy.

– Po co to robisz? Czym ci te kobiety zawiniły?

– Niczym – odparł z chłodnym spokojem. – Ludzkie życie nie różni się niczym od życia komara. Zabijanie ich sprawia mi przyjemność. Możesz myśleć, że jestem potworem, ale dla mnie to zabawa. Wiesz, jakie to uczucie? Moment, w którym ktoś błaga o litość, patrzy na ciebie z takim przerażeniem, jakbyś był bogiem? To uczucie wszechwładzy.

– A odcinanie części ciała? – spytał, grając na czas, choć w środku czuł coraz większy gniew.

Mężczyzna zaśmiał się.

– To najlepsze. To mój podpis, rozumiesz? Mogę zrobić, co chcę, i zostawić coś po sobie. A kiedy patrzę na te części ciała, to jakby przypomnienie – każda z nich była moim dziełem. Zbieram je, żeby pamiętać, że to ja rządzą ich życiem i śmiercią.

Wiśniewski zacisnął zęby, próbując opanować emocje.

– Jesteś chory. Myślisz, że to cię czyni wyjątkowym? Zabijasz, bo jesteś słaby. Nic więcej.

Morderca przystanął na chwilę, jakby te słowa go ubodły. Potem jednak pokręcił głową z udawanym rozczarowaniem.

– Słaby? Może, ale ja żyję, a ty zaraz przestaniesz. I wiesz co? Twoja śmierć będzie równie zabawna co tamte.

Wiśniewski próbował działać, ale mężczyzna był szybszy. Rozległ się huk strzału, policjant upadł na zimną, wilgotną podłogę, czując, jak gorąca krew wypływa z rany na jego piersi. Ból był przytłaczający, każdy oddech zdawał się rozdzierać wnętrzności. Próbował się poruszyć, sięgnąć po broń, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Oprawca stał nad nim, wciąż trzymając w rękach strzelbę. Na jego twarzy malował się triumfalny uśmiech, niemal dziecięca radość.

– Patrz na siebie – powiedział do Wiśniewskiego, pochylając się nad nim. – Tak się kończy nadgorliwość. Myślałeś, że możesz mnie pokonać? Że dasz radę mnie przechrzyć?

Policjant próbował coś powiedzieć, ale zamiast słów z jego ust wydobył się jedynie charkot. Krew wypełniała mu gardło, dławił się nią.

– Coś mówisz? – Mężczyzna wybuchnął śmiechem. – Ojej, zapomniałem. Teraz jesteś tylko kolejną zabawką, niczym więcej. Ale spokojnie, nie będziesz się długo męczył.

Wiśniewski wpatrywał się w jego twarz, która wydawała się coraz bardziej odległa. Z trudem poruszył ręką, jakby próbując jeszcze raz sięgnąć po broń, ale nie miał siły. Morderca zauważył ten gest i ponownie zaśmiał się, tym razem głośniej.

– Naprawdę myślisz, że możesz coś zrobić? Popatrz na siebie. Ale wiesz co? – Pochylił się jeszcze bliżej, niemal szepcząc: – Lubię to. Te ostatnie

chwile, kiedy w myślach błagacie o życie, kiedy w waszych oczach widzę strach. To dla mnie jak narkotyki. Ale muszę ci coś przyznać, Wiśniewski: byleś wyzwaniem. Naprawdę mnie zaintrygowałeś. Może dlatego pozwolę ci patrzeć jeszcze przez chwilę. Zobaczysz, jak pięknie wszystko przygotuję.

Kiedy Wiśniewski poczuł, że jego oddech staje się coraz słabszy, morderca wybuchnął kolejnym głośnym, triumfalnym śmiechem. Dźwięk ten rozbrzmiewał w jego uszach, nawet gdy świat wokół stawał się mroczniejszy i cichszy.

– To, co robisz, nie ma sensu. – Chciał powiedzieć, ale jedynym, co wydobyło się z jego ust, był kolejny charkot.

Ostatnią rzeczą, jaką zarejestrował, zanim całkowicie stracił przytomność, była twarz oprawcy – przepelniona czystą, nieskrywaną rozkoszą.

Ułomny mikroświat

„21 października 2024 roku burmistrz Błaszek został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu. Komendant zielonogórskiego wydziału zabójstw zamierza podzielić się pierwszymi objaśnieniami z mediami odnośnie do tej sprawy” – mówi nic nieznaczący głos z radia, mieszczącego się gdzieś pod barem.

– Jesteśmy wielce zdruzgotani tą sprawą. W dniu dzisiejszym zginął wzorowy obywatel, filantrop i działacz społeczny, a także mój osobisty przyjaciel.

Oczywiście, w tym mieście każdy jest przyjacielem każdego, zwłaszcza jeśli bierze się łapówki od tych samych ludzi, prawda, komendancie?

– Na tak wczesnym etapie nie mogę zdradzić szczegółów śledztwa. Mogę jedynie potwierdzić, że mamy do czynienia z morderstwem. Chciałbym też wypowiedzieć komunikat do sprawcy: Gdziekolwiek jesteś, kimkolwiek jesteś, musisz liczyć się z tym, że sprawiedliwość cię dosięgnie.

Z twojej ręki? Gratulacje, panie komendancie, prawie wywołał pan uśmiech na mojej twarzy.

Nazywam się Paweł Starzyński. Jestem... Na ten moment wiem, że jestem, bo czuję smród błazkiego mikroświata, bo czuję ból w głowie, bo czuję nieustanne, ciągle, potworne zmęczenie. Na pytanie, kim jestem, nie umiem odpowiedzieć. Najprościej by to ująć, jestem nikim istotnym na razie. Jestem dokładnie jak ten pajac z radia czy nasz jaśnie panujący komendant. Nikim istotnym. Różnię się od tych debili tylko tym, że ja mam tego świadomość. Od małego miałem problem z innymi ludźmi, od zawsze mnie oni irytowali. Z tym podejściem zostałem policjantem. Byłem niezły, ale też strasznie naiwny. Za szybko zobaczyłem, jak to wszystko wygląda. Tu może kiedyś chodziło o ochronę obywateli, teraz chodzi o grzeczne wypełnianie statystyk

przy aresztowaniach, upajanie się pozorem władzy czy lawirowanie między światem prawa a światem tych, którzy mogliby nawet o nim nie słyszeć, a ich życie by się nawet nie zmieniło. Mimo wszystko praca w policji nie była czasem straconym, bo dowiedziałem się kilka prawd o tym mieście. Tu każdy chce każdego wydymać i na każdego można coś znaleźć. Takie koncepcje jak dobro i zło są nieistotne. W tym zapomnianym przez Boga miejscu, zrodzonym w chaosie żyjącego nieszczęściami, są one nie tyle abstrakcyjne, ile po prostu, kurwa, głupie.

Po odejściu z policji naturalnym krokiem była praca prywatnego detektywa. Podczas mojej pięcioletniej kariery rozwikłałem parę zaginięć. Głównie zaginięcia przestraszonych dzieci, które uciekały, bo miały dość setnej kłótni swoich rodziców, nastolatk, które zwały w formie buntu przeciwko bogatemu tatusiowi, ponieważ w tym miesiącu nie wydał dwóch stów na jej paznokcie. Czasem zaginięcia przekształcały się w porwania, jak w przypadku małego Tomusia. Jest to historia, o której nie lubię myśleć. Czasem, gdy nie mogę spać, widzę twarz tego chłopca. Jego małe, piwne oczy pełne bólu, kontrastujące z blond włoskami i rysami przeciętnego dziesięciolatka. Podobną sprawą, która odcisnęła się na mnie piętnem, było jak dotąd jedyne rozwikłane przeze mnie zabójstwo. Dokładniej – samobójstwo. Najdokładniej – samobójstwo mego ojca. Biorę łyk piwa. Na dalsze moje losy wpłynęła Maria – jedyna osoba niemająca mnie gdzieś. Stanowiliśmy parę wyjątkowo dysfunkcyjną. Nie z jej winy, tylko z mojej. W pewnym momencie czar zauroczenia prysł, za to pojawiła się obawa, wiecznie trwająca obawa, że ją stracę, a tak naprawdę tylko ją miałem, że przestanie być w końcu ze mną szczęśliwa. Staralem się z całych moich sił, a to procentowało. Maria przy mnie była, pomogła mi dojść do siebie po sprawie Tomusia i po śmierci ojca. Jednak teraz wiem, że się dusiłem. Różnica charakterów zwyciężyła. Ona wiecznie żywa, niczym skowronek, który wita nowy dzień, a ja byłem przy niej jak ten zdychający kundel, który za wszelką cenę chce pokazać panu, że przed uspieniem da radę wyjść na jeszcze jeden spacer. Według Marii powodem było to, że nie umiałem się otworzyć. Wychodząc i krzycząc, stwierdziła, że mam depresję i inne zaburzenia, że jeśli nie przestanę być przy niej pustą powło-

ką, która albo żartuje, albo zmienia temat, to mam gdzieś szukać pomocy. Mimo że była ze mną w ciężkich chwilach, nigdy o nich nie rozmawialiśmy. Maria odeszła, ja pomocy nie szukałem, bo gdyby moje problemy wyszły na jaw w moim środowisku, ktoś mógłby zszargać moją reputację, którą sam doskonale niweluję. Po zerwaniu nie spałem chyba tydzień, popełniłem parę drastycznych błędów w sprawach wpływowych klientów. Teraz jestem na marginesie tego interesu. Jedyne, co mi zostało, to picie za pieniądze rozwodników, starych zdradzanych żon i bogatych rogaczy. Dziś się to zmienia. To morderstwo za dużo namiesza. Zabójcy nie złapią, byłem na miejscu zbrodni, perfekcyjna robota, policja nie ma szans, ale wiem, że dużo rzeczy wyjdzie, narobi się sporo smrodu, przez który nic nieznaczący ja wrócę do gry.

Jestem w podrzędnym barze. Jego środek jest wypalony od mandarynkowego światła, krańce są w półmroku. Lubię to miejsce, choć nie pamiętam nazwy. Lubię je, bo jest w nim cały ułomny mikroświat Błaszek. Na skraju pomiędzy oświetloną i ciemną częścią siedzą studenci lub późni licealiści. Śmieją się, śpiewają, piją piwo. Myślą, że są przyszłymi zbawcami świata. Naiwniacy. Od razu przy wejściu, w formie paskudnej reprezentacji tego przybytku, siedzą, jak to mam zwyczaju ich nazywać, zwyczajni robole. Bez ambicji, za to z wonią potu i taniego alkoholu, z typowymi polskimi przechlanymi mordami, z których jakiegokolwiek ślady inteligencji dawno się przetarły. W zacienionej części siedzą wszyscy urzędaszy, którzy sprawiają wrażenie, jakby wstydzili się tu być. Do nich przez podobną manierę zaliczam ludzi kultury. Na oczach innych intelektualistów, sami z sobą, siedzą w tanich barach, wracają do domów i biją żony. Oczywiście z największą kulturą, którą tak mocno cenią. Koło mnie, mniej więcej dwa stoliki dalej, jest komisarz naszej błaszyńskiej policji. Znam go, ma na imię Patryk. Pracowaliśmy razem parę razy w kilku sprawach. Porządny człowiek, jeszcze lepszy gliniarz. Uczesany z przedziałkiem na prawo. Użył dziś za dużo żelu. Cały czas maca się po zuchwie i rudym wąsie. Jeśli on musi rozwiązać tę sprawę, to zostało mu parę tygodni pracy.

– Piękny dzień, detektywie – mówię, unosząc kufel, z najbardziej wymuszonym uśmiechem, jaki jestem w stanie wykonać.

– Chcesz mnie wkurzyć, Starzyński? – odpowiada delikatnie, unosząc brwi. – Dobrze, że się widzimy, bo mam do ciebie sprawę. Co ty robiłeś w mieszkaniu burmistrza?

– Sugeruję zmianę tonu, komisarzu. Nie będę owijał w bawełnę. Jesteś w potrzasku.

– A ty oferujesz mi pomoc?

– Nie.

– Czemu? Myślałem, że chcesz sobie odbić złą passę.

Chcę, ale wiem, że lepiej poczekać, aż się potkniecie. A uwierz mi, kolego, na pewno się potkniecie. Morderca jest nie do złapania. Ja to wiem, ty się dowiesz, ludzie – nie. Stracą do was zaufanie, przez co wrócę do interesu.

– Powrót jest warty życia niewinnego człowieka?

– Po pierwsze: ja go nie wskrzeszę, co najwyżej pomszczę, po drugie: Patryk, do cholery, wiesz przecież, że ten buc za niewinnością nawet nie stał w kolejce.

Chyba trafiłem w sedno, sam środek tarczy. Komisarz spuścił głowę i zaczęła tępo wpatrywać się w granicę między ścianą a podłogą, brał powolnie łyki piwa, po których teatralnie zaciskał usta.

– Gdy cię poznałem, uważałeś się za tutejszego Sherlocka Holmesa. – Oho, Patryś zaczął przemowę. – Bardzo mnie tym wkurzałeś, ale byłeś, prawdopodobnie dalej jesteś, w tym dobry, wiesz dlaczego? – kontynuował, zadając pytanie, daj Boże retoryczne. – Bo masz wręcz obsesję. – Zakłada, że dalej mam. – Na mieniu racji, na byciu mądrzejszym od policji i tych, których łapiesz. Co się z nią podziało?

Skończył zbyt długi wywód, który był zaskakująco skuteczny. Zmusił mnie do szybkiej refleksji. To nie jest obsesja, to lek na moją rzeczywistość. Kiedy rozwiązuje sprawy, czuję sprawczość, która działa na mnie jak narkotyk. Uzależnia od razu, chce się jej coraz więcej, bo gdy się jej nie ma, zjazd jest czymś bolesnym.

– Maciejewski! – wypalam. – Jeśli nie maczał w tym palców, to z pewnością coś wie. Od niego bym zaczął.

– To jest trop, ale boję się, że poza zasięgiem – powiedział smutno.

– Musi się pokazywać czy kontrolować biznesy. Nie ma tu naturalnych wrogów, więc oszczędza na ochronie. Gdy będzie sam, porozmawiamy sobie.

Jak na zawołanie wchodzi sam Marcin Maciejewski. Umarł burmistrz, król trzyma się dobrze. Mimo że posiadanie kręgosłupa moralnego nigdy nie było moją cechą charakterystyczną, to jestem świadom, że gość jest po drugiej stronie barykady. Ale jest człowiekiem, do którego czuję ogromny szacunek. Jest to spowodowane tym, że on coś znaczy. Całe Błaszki jedzą mu z ręki, a on, niczym spasiony hodowca gołębi, dopuszcza tylko te, które są mu posłuszne. Te, które nie są – szybko wędrują do gołębiego nieba.

– Komisarz Chodyna, pan Starzyński. Nawet się cieszę, że was widzę – mówi wolno z wyuczonym, wręcz przesadnie sztucznym włoskim akcentem.

Niedobrze: zna moje nazwisko. Takie osoby jak nasz błaszyński ojciec chrzestny nie powinny go znać.

– Słuchaj, wiem, że cię to boli, ale w końcu mam ważniejsze sprawy od ciebie – wypala komisarz.

– Nie przyszedłem tu wojować. Przyszedłem opić śmierć przyjaciela. – Dosiada się i zamawia nam po szklance whisky.

Już mówiłem: tu każdy przyjaźni się z każdym. A to on jest źródłem wszystkich więzi. Teraz tylko ja i Patryk się z nim nie kolegujemy. Mam nadzieję, że gołębie Bóg już trzyma na nasze miejsce.

– Wiem, o co chcesz zapytać. Nie miałem z tym nic wspólnego.

– Nie miałeś, bo byśmy nie rozmawiali, ale jesteś odpowiedzialny za to, że morderca się wywinie, bo tak zatrueś miejscową policję, że jest niezdolna do czegokolwiek poza grzebaniem w twojej kieszeni. Jesteś zakalą, trucizną, pieprzonym rakiem tego miasta – oznajmił mistrz negocjacji.

– Gdybyśmy połączyli siły, nie sądzisz, że byłoby ci łatwiej? Może nawet zachowałbyś pracę. Co sądzisz o takiej fuzji, Pawle Starzyński? – Podczas wypowiedzania mojego imienia uśmiechnął się wręcz diabelsko.

– Na moje oko wyglądamy jak bohaterowie nieśmiesznego dowcipu. Mafioso, policjant i cywil siedzą w barze i piją whisky. To miejsce i tak jest na tyle absurdatne, że fuzja wydaje się czymś naturalnym – powiedziałem,

kryjąc chęć zabicia go tu i teraz. Nie dlatego, że jest złym człowiekiem, tylko że nie powinien o mnie wiedzieć.

– Słuchaj, nie będę się z tobą układać, nie ma mowy – rzekł Patryk z wściekłością w niebieskich oczach.

Jest naprawdę zdenerwowany. Nigdy go takiego nie widziałem, a pracowaliśmy kiedyś nad zaginięciem małego Tomka: gdy obleśny pedofil trzymał dzieciakowi nóż na gardle, ja go chciałem zabić. Z wściekłości za to, że zniszczył dzieciakowi spokojną przyszłość. Patryk chciał postąpić właściwie i zgodnie z prawem, więc chłodno negocjował. Teraz wybuchł. W jego mniemaniu wystarczyła zła personifikacja.

– Szkoda, bo moglibyśmy wiele wskórać. Młody, chodź tutaj. – Maciejewski woła wychudzonego studenta i gestem każe mu włączyć komputer.

Pewnie jeden z jego dilerów. Początek pięknej kariery, młody człowieku.

– Chodyna, podaj hasło do akt policyjnych. Mam w końcu przy sobie dwa najlepsze umysły Błaszek – powiedział.

– Nie jesteśmy partnerami.

– Ciii – uciszam go. – Jaki masz plan, Corleone?

– Zdam się na ciebie, detektywie. – Mówi to, podając laptopa Patrykowi.

Wpisuje, poddał się, przestanie zwlekać z podpisaniem tego sojuszu. Policjant, bandyta i ja. Trójka ludzi, która nie powinna siedzieć przy jednym stole, rozpoczyna dochodzenie. Sojusz w tej sytuacji jest czymś naturalnym. Każdy przy tym stole chce coś ugrać. Ja – powrót do starej renomy. Patryk – awans lub idealistyczne wymierzenie sprawiedliwości. Jedynie Maciejewski... Co on chce pozyskać? Śmierć burmistrza powinna być mu na rękę albo przynajmniej być dla niego neutralna. Co on może zyskać na znalezieniu sprawy? Nieważne, to problem dnia następnego. Komisarz podaje mi laptop. Widzę zdjęcia w wykonaniu bardzo dobrego technika, są szczegółowe, widzę wszystko, co potrzebne. W myślach przenoszę się tam, na miejsce zbrodni, mojego pałacu myśli. W tle nieśmiało grają cztery pory Vivaldiego. Domostwo jest pełne zbędnych obrazów i rzeźb greckich filozofów, jak na współczesną arystokrację przystało. Widzę też martwe ciało burmistrza, podnoszę je, widzę, że został postrzelony. To już wiem, zakradłem się już tutaj,

ale nie miałem zbyt wiele czasu. Teraz widzę efekty pracy policyjnych techników. Zdążyli zrobić to, czego ja nie mogłem. Zrobili ze sceny morderstwa dzieło sztuki. Teraz na podstawie zdjęć muszę złożyć układankę. Postrzał, duży i intensywny krwotok, dziura wylotowa, ułożenie ciała i trajektoria. Wniosek – oberwał z bliskiej odległości, mniej więcej pół metra, pod kątem pięćdziesięciu stopni. O tym wszystkim za chwilę każdy dowie się z raportu patologa. Tu wszystko jest zbyt sterylne. Zabił go zawodowiec albo ktoś, kto umie po sobie sprzątać. Potrzebuję czegoś nowego, jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Mam! Doniczka pod oknem, a w niej ukryta kamera pod postacją plastikowej pszczołki schowanej między liśćmi nieznannej mi rośliny. W momencie robienia zdjęcia padała jej kamera. Możliwe, że pierwszy to wyłapałem. Jeden ledwo widoczny czerwony piksel.

– Paweł!? Co z tobą? – mówi szturchający mnie Patryk.

– Musimy porozmawiać z żoną – oznajmiam.

– Da się załatwić – odpowiada Maciejewski.

Wyciąga telefon i do kogoś dzwoni. Jego ludzie ją zgarną i tu przywiozą. Policjant z początku protestuje, ale osobiście wolę, żeby to zrobili nieumundurowani ludzie Maciejewskiego – w tym mieście budzą trochę większe zaufanie. Zamawiam kolejne piwo, tym razem smakowe i słabsze. Zasycham w ustach i potrzebuję otępienia, ale nie mogę być pijany, mimo iż chciałbym. Żona jest kluczowym i zarazem jedynym naszym świadkiem. Czy to ona zabiła burmistrza? Wątpię, jest pewnie niczego nieświadomą, zdruzgotaną wdową. Rzecz jasna nie mogę wykluczyć, że będzie udawać. Skoro Maciejewski wysłał swoich ludzi, to wie o powiązaniach męża. Znaczy, że wie o wszystkim lub sporej większości, czyli mogę założyć, że wie o kamerce. Dobra hipoteza, lecz trochę zbyt optymistyczna jak na moje standardy. Muszę wziąć łyk i uzbroić się w cierpliwość. Siedzimy w milczeniu, rozglądamy się po mandarynkowym barze, czekamy na jakieś odpowiedzi. Przyjeżdża elegancka blondynka. Wygląda na dużo młodszą, niż jest w rzeczywistości. Wysoka i ubrana w ciemnozieloną suknię ozdobioną cekinami lub innym błyszczącym materiałem. Wygląda, jakby nie przechodziła żałoby. Nie dziwi się. Świętej pamięci burmistrz to wysokiej klasy krety.

– Aniu, przepraszam, że musiałem cię tu sprowadzić, ale zrozum, sprawa niecierpiąca zwłoki – zaczął Maciejewski teatralnie, wstając przy tym i gestykulując.

– Marcin, kurwa! Co oni tu robią? – Prawie wykrzyczała, miała jakiś dziwny strach w oczach.

Boi się czegoś. Dobrze, nie da się bać czegoś, o czym się nie ma pojęcia, pomoże nam. Obserwuję ją. Szybko oddycha, ma atak paniki. Za nią jest dwójka ludzi Maciejewskiego z pistoletami na wierzchu. Ania kopie jednego w krocze i wyrывa mu spluwę. Drugi nawet nie zdążył drgnąć. Ku mojemu zdziwieniu mierzy w Chodynę, a nie w Maciejewskiego.

– Wiedziałaś, że ty nas zdradziłaś! Wielki gangster, a pieprzona gnida. Mój mąż nie był ideałem, ale nie zasługiwał na śmierć. Co, Marcin, sprowadziłaś mnie tu tylko po to, by odstrzelić? – mówi, mierząc dalej w Patryka, ale spoglądając na Maciejewskiego.

W międzyczasie klienci baru uciekają. Pozostaje barman, który nieustępliwie wyciera kufel. Zgaduję, że nie pierwsza taka sytuacja dla niego.

– A ty? To twój szef zabił mi męża, skurwielu! – krzyczy już ewidentnie do Patryka.

To jest cała zagadka? Dawno nie byłem tak rozczarowany. Rewolucyjne morderstwo popełnił skorumpowany komendant. Żaden przewrót, tylko pionki u władzy rzuciły się sobie do gardeł. To tłumaczy, dlaczego zabójca tak perfekcyjnie zatarł ślady po sobie: bo wiedział, jak będziemy ich szukać. Tożsamość sprawcy tłumaczy też idiotyczny błąd, który popełnił. Gdy zabijasz kogoś powiązanego z sobą, trzeba zabić jego bliskich. Nie z okrucieństwa czy psychopatii, ale dla bezpieczeństwa. Na szczęście komendant to debil, który podarował nam świadka. Uśmiecham się, a Patryk po tych rewelacjach blednie. Maciejewski sprawia wrażenie osoby, która zjadła cały popcorn w kinie na reklamach i na nowym filmie z Limem Nelsonem musi siedzieć głodna.

– Jak to: mój szef? – szepcze w jej kierunku komisarz.

– Chwila! Aniu, czy możemy mówić sobie po imieniu? – Wstaje. – Mam na imię Paweł. Wnioskuje, że wiesz o wszystkim z nagrzań z ukrytej kamery. Spokojnie: jesteśmy trójką nieistotnych ludzi, którzy z nieważnych powo-

dów chcą złapać zabójcę twojego męża. Potrzebujemy nagrania i najlepiej motywu, dla którego został zabity. Proszę, pomóż nam, Aniu.

– Naprawdę złapiecie tego drania? Nagranie mam z sobą na pendrivie. Motywu, dlaczego zabili mojego Grzesia, nie znam.

– To powiedz coś, co mogłoby nas nakierować.

– Parę tygodni temu przyniósł ze sobą dużo gotówki.

– Była wypłata, panie Maciejewski? – pytam, zmieniając adresata.

– Nie, ale faktycznie jakoś miesiąc temu wygrał w pokera sporą sumkę od Andrzeja, a że komendant jest kokainistą, to może potrzebował straconego szmalu.

– Czyli zabił dla pieniędzy?

– Ty, Paweł, nie zabiłbyś dla pieniędzy?

Niedobrze. Zaczyna mnie mierzyć swoją miarą. Tak, byłbym zdolny do zabójstwa, ale tylko w obronie swojej bądź cudzej. To, że nie jestem takim samym ideowcem jak Patryk, nie znaczy, że może nas do siebie upodobać. Mandarynkowe światło miesza się z niebieskim. Może ktoś zgłosił szaloną kobietę z bronią w barze. Niech nas zabiorą na komendę, mamy dla nich parę ciekawych informacji. Żałuję, że nie zdążę przesłuchać rozmowy mordercy i ofiary. Trudno. Ważne, że ta zmija się nie wywinie. Wyrok już zapadł, a z niezrozumiałego powodu przyczynił się do tego król Marcin Maciejewski.

– Jak się czujesz? – pytam Chodynę.

– Wiedziałem, że jest umoczony, ale Chryste, nie wiedziałem, że aż tak! Niech go skazą i dojadą w mamrze. Splamił mundur. Pora na pewną zmianę, Starzyński. O tym jeszcze pogadamy.

– Rozumiem – odpowiadam. – Maciejewski, w ogóle po co nam pomagasz?

– Zginął jeden z moich najbardziej oddanych żołnierzy. Jako generał mam prawo pomóc swoich ludzi – odpowiada niepokojąco szczerze.

Wpadają do baru. Zakuwają w kajdanki całą naszą czwórkę. To nieważne, to nieistotne. Za nie więcej niż pół godziny Ania wstrząśnie tym ułomnym mikroświatkiem. Zegar zmian ruszy. Rewolucja rozkwitnie. Tak myślałem...

Dwudziesty pierwszy listopada. Ja, Paweł Starzyński, dalej siedzę w barze. Błaszki dalej są ułomnym mikroświatem. Nic się nie zmieniło. Zgodnie z przewidywaniami Ania ujawniła dowody, które pozwoliły na skazanie komendanta Andrzeja. Popęłił samobójstwo trzy dni po wyładowaniu w areszcie. Nowym szefem błaszyńskiej policji został Patryk. Zniwelował korupcję i wziął się za działalność Maciejewskiego. Zorganizował parę nalotów na jego kasyna, burdele, fabryki dragów. Był na tyle skuteczny, że Maciejewski zaczął z nim negocjować. Ktoś taki jak on nie negocjuje, ale z szacunku do Chodiny zrobił wyjątek. Patryk bohaterko odrzucał każdą możliwą ofertę. Dwa tygodnie temu rozmawialiśmy na ten temat. Sugerowałem, żeby się poddał, zaakceptował stan rzeczy i nie strugał bohatera. Odpowiedział w patetycznym stylu, że za wiele wie, za wiele się zmieniło, że w końcu ma szansę zmienić Błaszki, wyeliminować truciznę, jaką jest Maciejewski. W końcu sprawi, że to miasto będzie dobrym miejscem do życia. Zginął zastrzelony w swoim mieszkaniu. Sprawca – czy raczej zleceniodawca – jest oczywisty. Stare, dobre *plata o plomo*. Mieszkańcy Błazek dalej żyją w błogiej nieświadomości. Po prostu ostatnio mieli o czym rozmawiać.

Jeśli chodzi o mnie, to się zmieniłem. Nie czekam już na cud. Nie liczę na niego, bo zamierzam go wywołać. Zamierzam skończyć to, czego Patryk Chodyna skończyć nie zdołał. Obalę samozwańczego króla Błazek. Naprawię ten ułomny mikroświat. Choćby to była ostatnia rzecz, którą dane będzie mi zrobić.

Wilk z Grape Street

Prolog: Los Angeles na krawędzi chaosu

Los Angeles w latach dziewięćdziesiątych było miejscem, które stało się symbolem nierówności społecznych, brutalności policji i rosnącej wrogości między rasami. W tej rzeczywistości dorastał Darnell Wright, znany na ulicach jako Wilk. Urodził się w Grape Street w dzielnicy Watts, jednym z najmniejbezpiecznych i najbardziej zaniedbanych rejonów miasta, gdzie życie codziennie balansowało na krawędzi przemocy i biedy. Z ulic rozbrzmiewały dźwięki hip-hopu i gangsterskich śpiewów, które były dla młodych mężczyzn jedynym wyjściem, by przetrwać, by wyjść na szczyt, niezależnie od ceny, jaką trzeba zapłacić.

To miasto, to życie, miało własne reguły. Przetrwanie nie było kwestią szczęścia, lecz odpowiednich wyborów. Wilk od najmłodszych lat poznawał brutalność tej rzeczywistości. Wiedział, że nie ma przyszłości, jeśli nie wejdzie w to, co oferowały mu ulice – przemoc, narkotyki i gangi. Choć jego serce, jak wielu osób dorastających w takich warunkach, pragnęło czegoś innego, nie miał wyboru. Pojedyncze chwile nadziei przysłaniała ściana zła, która wydawała się nie do pokonania.

Część I: Wśród betonu i winorośli

Wilk dorastał w Grape Street – dzielnicy, gdzie przemoc i gangi były częścią codzienności. Już jako chłopiec musiał szybko nauczyć się zasad ulicy – tu nie było miejsca na wątpliwości ani na strach. „Wszyscy chcieli tylko przetrwać. Nie myślało się o przyszłości, bo ona nie istniała” – mówił.

W brutalnej rzeczywistości znalazł jednak coś, co dawało mu wytchnienie – muzykę. Już jako dziecko tworzył pierwsze rymy, zainspirowany historiami

ulicy, ale też marzeniami o lepszym życiu. Rap stał się jego azylem, sposobem na wyrażenie siebie i odnalezienie spokoju w chaosie, który go otaczał.

Z czasem Darnell zaczął zyskiwać szacunek na ulicach. Jego zdolność do przetrwania, spryt i charyzma sprawiły, że szybko wspinał się w hierarchii. Im bardziej angażował się w gangsterskie życie, tym mniej miejsca było w jego świecie na cokolwiek innego. A jednak los postawił na jego drodze Marię.

Spotkał ją przypadkiem, gdy pewnego wieczoru wracał z nielegalnego spotkania. Była córką pastora i pracowała jako wolontariuszka w lokalnym ośrodku młodzieżowym. W momencie, gdy ich spojrzenia się spotkały, Wilk poczuł coś, czego nie czuł od dawna – spokój.

Maria była przeciwieństwem jego świata. Ciepła, pełna nadziei, wierzyła w lepsze życie i w to, że każdy ma szansę na zmianę. Choć wiedziała, kim jest Darnell i co sobą reprezentuje, widziała w nim coś więcej.

To ona jako pierwsza usłyszała jego teksty. Kiedyś, podczas ich spotkania, Wilk zebrał się na odwagę i zagrał jej jedną ze swoich piosenek. Maria była zachwycona. „To twoje prawdziwe ja, Darnell. To coś, co może zmienić twoje życie” – powiedziała z uśmiechem.

Ale Wilk wiedział, że odejście od życia, które znał, nie jest takie proste. Gangsterski świat, w którym żył, nie wybaczał zdrady ani słabości.

Część II: Krwawe przeznaczenie

Wilk stawał się coraz bardziej szanowanym graczem w tym brutalnym świecie. Jego kontrola nad gangiem rosła, a wraz z nią coraz bardziej zanurzał się w życie pełne przemocy, narkotyków i handlu bronią. Poznawał nowe twarze, zawierał układy, stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Gangsterska droga, choć nie miała przyszłości, dawała mu poczucie władzy, szacunku i przynależności.

„Pieniądze, władza, kontrola – to były rzeczy, które dawały mi siłę. Chciałem więcej. Im więcej miałem, tym więcej chciałem. A kiedy już miałem wszystko, co mogłem zdobyć na ulicach, zaczęły się pojawiać pytania” – mówił Wilk.

Z każdą godziną, z każdą transakcją, z każdym krokiem Wilk coraz bardziej oddalał się od swojej miłości i wartości, które kiedyś wyznawał. Z jednej

strony wiedział, że jeśli nie opuści tego świata, stanie się jednym z wielu – martwych, zamordowanych lub zniszczonych przez system. Z drugiej jednak nie potrafił porzucić tego, co dawało mu poczucie bezpieczeństwa.

„Czułem, że jestem jak więzień tego świata. Próbowałem się wyrwać, ale to było jak pułapka. Kiedy próbujesz uciec, ten świat nie pozwala ci odejść” – mówił Wilk.

Kilka dni później dowiedział się, że Maria zginęła w strzelaninie. Było to zabójstwo, które stało się kolejnym przykładem bezsensownej przemocy rządzącej ich światem. Strzały padały w Grape Street, a jej życie zostało brutalnie przerwane przez gang, który uznał, że nie warto oszczędzać nikogo – nawet kobiet.

Ta tragedia zmieniła go na zawsze. Wilk nie miał już żadnych wątpliwości. W tym momencie przestał być tylko częścią gangsterskiej gry, a stał się kimś, kto nie miał już nic do stracenia. Gniew, który czuł, był nie do opanowania. Mordercy Marii byli w rękach innych ludzi, gangów, które kontrolowały cały teren. Jego umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach, a każda myśl koncentrowała się na jednym – zemście.

To był początek jego nowego życia. Wilk postanowił, że nie pozwoli nikomu uciec przed odpowiedzialnością za to, co się stało. Wiedział, że musi to zrobić po swojemu. Zemsta stała się jego celem, a zabijanie – jedyną drogą do zrozumienia własnej straty. Zło, które na niego spadło, rozwinęło jego ciemniejszą stronę.

„Jeśli nie zabiję ich, zabiją mnie. To będzie koniec” – mówił do siebie, przywdziewając maskę gangstera, dla którego nie było już niczego, co mogłoby go powstrzymać. Kroki Darnella były coraz bardziej zdeterminowane. Wiedział, że musi wejść w sam środek niebezpiecznej walki. Zaczynał układać plan, który wymagał odwagi, ale i absolutnej brutalności. Nie liczyło się, kto stanął na jego drodze. Jedynym celem była zemsta.

Część III: Zemsta w cieniu śmierci

Śmierć Marii była punktem zwrotnym w życiu Wilka, lecz nie takim, jakiego można by się spodziewać. Gniew, który rozpałił w jego sercu, szybko ustąpił

miejsca pustce. Przez wiele tygodni po jej pogrzebie wędrował po ulicach Watts, unikając ludzi, wspomnień i przede wszystkim samego siebie. Gdy patrzył na graffiti na murach, które wykrzykiwało hasła przeciwko systemowi, widział w nich odbicie własnej porażki.

Nie potrafił przestać myśleć o jej śmierci – o tej jednej tragicznej chwili, która odebrała mu wszystko. Maria była jego nadzieją na lepsze życie, jego motywacją, by wyjść z mroku. A teraz, gdy jej zabrakło, Wilk utknął na rozdrożu: między pragnieniem zemsty a dążeniem do ucieczki od dotychczasowego życia. Postanowił jednak działać. Ostatecznie odnalazł tych, którzy byli odpowiedzialni za tragedię. Wiedział, gdzie ich szukać – w jednym z opuszczonych magazynów na obrzeżach miasta.

Gangsterzy, którzy stali za atakiem, mieli kontrolę nad lokalnym handlem bronią. Darnell uniósł pistolet i oddał serię precyzyjnych strzałów, eliminując dwóch z morderców Marii. Padli na ziemię z hukiem, a ich ciała leżały nieruchomo w kałużach krwi. Trzeci został trafiony w brzuch, wił się na ziemi, próbując zatrzymać krew płynącą z rany. Wilk podszedł do niego powoli, celując z broni. W jego oczach nie było już gniewu, tylko zmęczenie i pustka. Przykucnął obok mężczyzny, patrząc mu prosto w oczy, w których tliła się panika.

– Wiedziałeś, co robisz, kiedy ją zabijałeś – wysyczał, chwytając mordercę za kołnierz. – Myślałeś, że mnie złamiesz? Że to cokolwiek zmieni?

Ranny mężczyzna kaszlnął, plując krwią. Jego oddech był płytki, a głos słaby, ale mimo to zdobył się na słowa:

– Ty... Ty też przegrałeś... – wysapał, spoglądając na Wilka. – Myślisz, że to coś dało? Że wygrałeś? Nigdy... Nie wygrasz... To miejsce... Pochłania wszystkich...

Darnell zacisnął zęby. Morderca miał rację, a te słowa uderzyły go jak cios. Pochłonięty przez pragnienie zemsty, stał się częścią tej samej spirali przemocy, od której chciał uciec. Maria zginęła, a on, zamiast walczyć o coś lepszego, wrócił do mroku, który ją zabił. Ranny mężczyzna wydał z siebie ostatni oddech, a jego ciało zwiotczało. Wilk wstał, spoglądając na scenę, którą stworzył. Słyszał w oddali dźwięk syren policyjnych, które z każdą

chwilą stawały się głośniejsze. Bez chwili wahania rzucił się do wyjścia, porzucając broń na miejscu. Musiał uciekać, zanim stróże prawa dopadną go na miejscu zbrodni.

Biegając przez ciemne uliczki Los Angeles, Darnell czuł, jak jego serce wali z każdym krokiem coraz mocniej. W głowie miał tylko jedno – musi zniknąć, musi znaleźć sposób, by odciąć się od wszystkiego, co go otacza. Ale słowa mordercy wciąż brzmiały w jego głowie: „Nigdy nie wygrasz”.

Gdy w końcu dotarł do bezpiecznego miejsca, osunął się na ziemię, wyczerpany zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Patrzył na drżące ręce, na ślady krwi na ubraniach, i nie potrafił uwierzyć, jak daleko zaszedł w swojej desperacji. W tamtej chwili zdał sobie sprawę, że w tej grze nigdy nie chodziło o wygraną. Wszystko było tylko grą o przetrwanie – grą, w której nie było zwycięzców.

Część IV: Zmierzch nadziei

Darnell postanowił zakończyć związek z Grape Street i wszystkim, co ten świat reprezentował. Wiedział jednak, że wyjście z gangów to proces niemal niemożliwy. Ludzie, którzy kiedyś byli jego braćmi, teraz widzieli w nim zdrajcę. W ich oczach zdradził nie tylko gang, ale i przysięgę.

Wilk wrócił do swojej pasji – muzyki. Nagrywał w domowym studiu utwory, którymi dzielił się z innymi młodymi artystami. Każda linijka jego tekstów była manifestem przeciwko życiu, jakie wiódł. Opowiadał o brutalności policji, zdradzie, o utracie Marii. Jego rap nie był już tylko muzyką – stał się aktem buntu.

Jeden z jego kawałków, zatytułowany *Echo Marii*, szybko zyskał rozgłos w lokalnej społeczności. Piosenka poruszała temat nierówności społecznych, bólu po stracie i bezsensownej przemocy, która niszczyła pokolenia.

Ludzie zaczęli słuchać Wilka, a jego historia stała się symbolem walki o lepsze jutro. Wkrótce zainteresowały się nim wytwórnie, które widziały w nim nie tylko artystę, ale i lidera nowego ruchu. Jednak życie na ulicach nie pozwalało o sobie zapomnieć. W trakcie sesji nagraniowej Wilk otrzymał wiadomość – jeden z członków jego dawnego gangu został zabity, a morderstwo

przypisano jemu. Choć był niewinny, dla jego dawnych „braci” był to wystarczający powód, by wydać na niego wyrok. Tego wieczoru, gdy Wilk wracał do domu po kolejnej sesji w studiu, przeszłość w końcu go dopadła. W zaułku nieopodal swojego mieszkania został zaatakowany przez dawnych członków Grape Street. Było ich trzech – wszyscy uzbrojeni i pozbawieni litości.

Wilk walczył z całych sił, lecz był sam przeciwko zorganizowanej grupie. Gdy jego plecy przeszył pierwszy strzał, upadł na kolana. W tamtej chwili nie czuł bólu – jedynie żał, że nigdy nie udało mu się uciec z tego piekła.

Gdy padły kolejne strzały, życie przemknęło mu przed oczami. Maria, jej uśmiech, jej śmiech. Chwile, które mogłyby się wydarzyć, gdyby wszystko potoczyło się inaczej.

Epilog

Historia Darnella „Wilka” Wrighta zakończyła się tam, gdzie wszystko się zaczęło – na ulicach Grape Street.

Jego śmierć była dla niektórych przypomnieniem, że świat gangów nie daje drugich szans. Dla innych była przestroga, że życie w tej rzeczywistości kończy się zawsze tak samo – w ciemnym zaułku z kulą w plecach.

Jednak Wilk pozostawił po sobie coś więcej niż tylko tragiczny los. Jego muzyka, jego teksty stały się inspiracją dla młodych ludzi, którzy pragnęli uciec z tego świata. Wydany pośmiertnie album nosił tytuł *Droga Wilka* i był nie tylko świadectwem życia na ulicach Los Angeles, ale też aktem oskarżenia wobec systemu, który stworzył te warunki.

Mimo że Darnell nie zdołał uciec, jego historia przypomina, że walka o lepsze życie zawsze jest warta wysiłku.

Czarna róża

„Osoba, którą obdarzyła miłością, systematycznie ją niszczyła, pozbawiała energii, wprowadzała chaos, powodując, że z czasem zamykała się na świat, na innych ludzi, a w końcu nie wierzyła już nawet sobie” – Dorota Milli, *Kobieta w deszczu*

Poznałam go i myślałam, że trafiłam na ideał. Każdy jego gest i słowo sprawiały, że czułam się wyjątkowa. Początek naszego związku można by porównać do tych, które są kreowane na potrzeby filmów czy książek. Wspólne spacerunki, wyjazdy, a w którymś momencie wspólne marzenia oraz plany na przyszłość. Nigdy wcześniej nie poznałam osoby, z którą aż tak dobrze się rozumiałam. Byliśmy jak dwa elementy jednej układanki, które dopiero teraz udało się odnaleźć. Po roku bycia w związku postanowiliśmy razem zamieszkać. Niektórzy stwierdziliby, że to dość odważna decyzja. Dla nas miał to być krok w kierunku budowania wspólnej przyszłości. To właśnie wtedy po raz pierwszy otrzymałam od niego kwiat – czerwoną różę, będącą symbolem pięknej, szczerzej i prawdziwej miłości. Kolejne tygodnie były równie udane – zapewniał mi wsparcie i bezpieczeństwo. Dopiero po dwóch miesiącach wspólnego zamieszkiwania okazało się, że tak naprawdę w ogóle nie znam jego prawdziwej, ciemniejszej strony charakteru.

Był zazdrosny, kontrolujący i często wybuchał gniewem, czego na początku relacji nie zauważałam albo po prostu nie chciałam zauważyć. W rozmowach bardzo często pojawiały się drobne ukłucia – niewinne komentarze, które z czasem zaczęły ranić moje serce i krytycznie zmniejszać poczucie wartości oraz pewności siebie. Wielokrotnie, gdy próbowałam wyrazić swoje uczucia i zacząć rozmowę na ten temat, reagował gniewem, oskarżając mnie o brak zrozumienia. Miałam wrażenie, że z każdym dniem kolce tej pamiętnej

róży, którą od niego dostałam, stawały się coraz bardziej wyraźne, a miłość, mająca być moim schronieniem, zaczęła przekształcać się w pułapkę, z której nie mogłam uciec.

* * *

– Dlaczego nie możesz mnie po prostu wspierać?! Czy proszę cię o tak wiele?! – krzyknęłam. Byłam naprawdę wściekła na mojego chłopaka.

Nie był to pierwszy raz, gdy nie otrzymałam wsparcia w ważnym dla mnie momencie. Przez ostatnie tygodnie w moim życiu pojawiło się bardzo dużo stresu. Było to związane z pracą. W firmie, w której pracowałam, następowała redukcja etatów, a pracownicy – w tym także ja – obawiali się zwolnień.

Każdy dzień był dla mnie wielką niewiadomą. Nie byłam pewna, czy uda mi się zachować stanowisko grafika komputerowego. Przez osiem godzin, które spędzałam w przeszklonym budynku biura, byłam zestresowana tym, co może mnie czekać. Miałam cichą nadzieję, że gdy wrócę do mieszkania, uda mi się o wszystkim zapomnieć, poczuć się swobodnie i bezpiecznie. Niestety w tej kwestii nie mogłam liczyć na mojego chłopaka.

– Nie musisz już tak przesadzać – powiedział, siedząc na kanapie. – Z pewnością nie będziesz pierwszą osobą, którą zwolnią. W sumie jesteś jedną z kilkunastu tysięcy osób, które przewinęły się przez tę firmę, a i tak nie zrobiłaś dla nich nic nadzwyczajnego. Tak poważnie to nawet nie wiem, po co cię tam zatrudnili. Te twoje bazgroły są paskudne, nikt nawet nie wie, czym one są.

Mocno zacisnęłam zęby, odwracając się w kierunku zlewu, by nie musieć na niego patrzeć. Ostatnio właśnie tak wyglądała nasza codzienność – ja chcąca rozmawiać i on niechcący tego robić.

Czułam się samotna w mieszkaniu, w którym żyliśmy we dwoje. Najgorsze było to, że on nawet nie starał się mnie pocieszać. Może zdaniem niektórych brzmiałam jak łaknący uwagi dzieciak, jednak nie za bardzo mnie to interesowało. Chciałam doświadczyć od niego choć odrobiny wsparcia, a jedyne, co dostawałam, to nieprzyjemne komentarze, które kłuły moje serce jak najostrzejsze kolce. Przeniosłam wzrok na wazon czerwonych róż, które

wręczył mi wczoraj wieczorem. Było ich piętnaście – idealnie na przeprosiny za naszą ostatnią kłótnię. Zamknęłam oczy, jeszcze mocniej zaciskając zęby. Nie mogłam na nie patrzeć. Przypominały mi coś, czego z pewnością nie powinien – krzyki, nieporozumienia i złość.

Niewiele myśląc, wyciągnęłam dłoń, zrzucając wazon z blatu. Szkło rozbiło się na podłodze, a kwiaty wylądowały w rozlanej wodzie. Od razu pożałowałam tego, co zrobiłam. Wiedziałam, że wstał z kanapy. Czułam to. Powoli otworzyłam oczy, zauważając sylwetkę chłopaka odbijającą się w wypolerowanych na błysk kuchennych płytkach. Przelknęłam głośno ślinę, gdy stanowczym ruchem odwrócił mnie przodem do siebie, nie pozwalając na ucieczkę.

– To był duży błąd – powiedział powoli, przerażająco kręcąc głową.

Zadrżałam. Szczerze wołałam, gdy krzyczał, bo kiedy mówił tak spokojnie, bałam się go zdecydowanie bardziej.

– Naprawdę duży błąd, kochanie. – Przybliżył usta do mojego policzka, przez co gwałtownie odwróciłam głowę.

Szarpnęłam się, chcąc go kopnąć, ale niestety nic z tego nie wyszło, ponieważ zgrabnie mnie przed tym powstrzymał.

– Twój popis z rozbiciem wazonu był naprawdę imponujący – przyznał, zbliżając się tuż do mojego policzka. – Ale chyba lepiej będzie, jeśli zdradzę ci pewien sekret. – Pochylił się jeszcze bardziej, a ja poczułam ciepły oddech przy moim uchu. – Grzeczne dziewczynki dostają nagrodę, a niegrzeczne karę. Zapewniam cię, że nie chcesz, żebym cię ukarał.

Chciałam krzyknąć z przerażenia, naprawdę chciałam, ale nagle zabrakło mi słów. Wiedziałam, jak porywczy potrafił być, ale nie sądziłam, że kiedykolwiek zacznie mi grozić.

– Chyba nie mówisz poważnie – wycedziłam, drżąc z nerwów i zamykając oczy.

– Miałaś wystarczająco dużo czasu, żeby dowiedzieć się, że ja nigdy nie żartuję – zaśmiał się cicho, odsuwając się na moment. – Popatrz na mnie.

Nie zareagowałam. Nie mogłam na niego patrzeć. Miałam wrażenie, że jeśli teraz otworzę oczy, zobaczę przed sobą potwora, z którym nie miałam siły walczyć.

Gdy nie wykonałam jego polecenia, poczułam, jak bierze w dłoń moją zuchwę, zmuszając do spojrzenia w jego stronę. Początkowo chciałam mu się oprzeć – wyrwać się i uciec – jednak szybko uległam. Siła jego uścisku była większa niż moja wola walki.

– Powiedziałem, że masz na mnie spojrzeć – powtórzył twardo. – Której części zdania nie rozumiałaś? – dodał, mocniej zaciskając palce na mojej zuchwie.

Nie mając wyjścia, rozchyliłam powieki.

– Będiesz już grzeczna? – zapytał, a potem wzmocnił uścisk, sprawiając, że z moich ust wydobył się cichy jęk bólu.

Skinęłam głową, chcąc wreszcie się od niego uwolnić. Jednak to mu nie wystarczyło.

– Odpowiedz – zażądał. – Na głos. Muszę wiedzieć, że rozumiałaś, jak należy.

Nagle poczułam, jak po moim policzku toczy się pojedyncza łza – łza strachu, bólu i bezsilności. Musiałam mu odpowiedzieć. Nie miałam innego wyjścia.

– Będę grzeczna – przyznałam.

Poczułam wszechogarniającą ulgę, gdy zabrał dłoń. Już teraz wiedziałam, że w tym miejscu powstanie paskudnie wyglądający siniak. Niestety nie mogło być tak pięknie, gdyż wciąż wężził mnie między ramionami. Najwyraźniej chciał mi coś jeszcze powiedzieć. Szczerze nie wiedziałam, czy jestem na to gotowa.

– Nigdy więcej nie rób takich głupstw – powiedział, poważnie wskazując otwartą dłonią na rozbity wazon. – I nie niszczy kwiatów, które dla ciebie kupuję. Następnym razem moje ostrzeżenie będzie wyglądało inaczej. Rozumiesz?

– Tak – wymamrotałam.

Poczułam, jak kładzie dłoń na moim policzku, by zetrzeć z niego tę samotną łzę. Wzdrygnęłam się pod wpływem dotyku. Po tym, co tutaj zaszło, chciałam pobiec jak najdalej od niego.

– Posprzątam to wszystko – powiedział, nagle całkowicie się ode mnie odsuwając. – A ty idź już do łóżka.

Czułam na sobie jego wzrok, gdy wychodziłam z kuchni, mijając po drodze roztrzaskany wazon i porozrzucane na podłodze kwiaty. Gdy weszłam do sypialni, od razu wsunęłam się w pościel. Miałam wrażenie, że coś opuściło moje ciało – czułam się tak, jakby wszystkie emocje zniknęły, pozostawiając po sobie pustkę i uczucie odrętwienia. Skuliłam się więc na łóżku, przyciągając do siebie kolana i obejmując je drżącymi ramionami. Nawet nie wiedziałam, kiedy z moich oczu zaczęły wypływać łzy.

Na szczęście potwór, z którym pierwszy raz stanęłam twarzą w twarz, nie przyszedł mnie ponownie straszyc.

* * *

Obudziłam się gwałtownie w środku nocy zlaną potem, z paraliżującym uczuciem, że ktoś trzyma moją zuchwę w mocnym uścisku. Gwałtownie usiadłam na materacu, wplatając drżące palce we włosy. Mocno wbiłam paznokcie w skórę głowy, mając nadzieję, że dzięki temu zapomnę o tym, co mi się przyśniło. Niestety to nic nie dało. Przed oczami wciąż miałam sytuację, gdzie byłam w pułapce z powodu rozbicia głupiego wazonu. Staralam się brać głębokie oddechy, licząc, że w końcu zdołam jakoś zapanować nad galopującym sercem. Wyraz jego twarzy, gdy z chorą satysfakcją zaciskał dłoń na mojej szczęce, sprawiając mi ból, nawiedzał mnie w koszmarach. Mimo tego wszystkiego miałam trochę szczęścia – człowiek, którego zaczęłam nazywać moim osobistym potworem, coraz więcej czasu spędzał poza mieszkaniem – czy to na domówkach u przyjaciół, czy to w pracy na nocnych zmianach.

Odgarnęłam ze spoconej twarzy splątane kosmyki włosów i postanowiłam wstać z łóżka. Chciałam się przewietrzyć, ponieważ świeże powietrze było jedynym, co pomagało mi się uspokoić. Szybko chwyciłam leżący na podłodze sweter, a następnie podeszłam do drzwi prowadzących na balkon. Od razu buchnęło we mnie lodowate powietrze, ale nie miałam zamiaru wracać do środka. Szczelniej owinęłam się swetrem, biorąc głęboki wdech. Naprawdę miałam nadzieję, że ta sytuacja już się nie powtórzy, ale oczywiście życie zdecydowało inaczej. Nie zliczę, ile od tamtego czasu dostałam bukietów piętnastu czerwonych róż, na które uparcie starałam się nie patrzeć.

Kwiaty, które zawsze były dla mnie symbolem prawdziwej miłości i idealnego związku, za sprawą tego jednego człowieka straciły jakąkolwiek wartość i sprawiały, że coś we mnie nieustannie umierało. Czułam się pusta – jakby w moim sercu nagle pojawiła się czarna dziura pochłaniająca całe szczęście.

Spojrzałam w rozgwieżdżone niebo i stwierdziłam, że chętnie zostałabym na tym balkonie na dłużej, i naprawdę chciałam to zrobić, jednak coś mnie zatrzymało – ogarniającą mnie ciszę przerwał trzask drzwi wejściowych. Wstrzymałam oddech. Naprawdę nie chciałam wracać do środka – nie, gdy on tam będzie. Jednak ostatnie wydarzenia utwierdziły mnie w jednym – nie chciałam wiedzieć, co w jego słowniku znaczy słowo kara.

Po cichu wycofałam się z balkonu, zamykając drzwi. Szybko zdjęłam sweter, a następnie położyłam się do łóżka. Praktycznie nie oddychałam, gdy słyszałam skrzypnięcia podłogi pod naciskiem jego butów. Kiedy wszedł do sypialni, udawałam, że śpię. Wolałam unikać wszystkiego, co z nim związane. Całą siłą woli powstrzymywałam się, aby nie skrzywić się na pocałunek w czoło, jakim mnie właśnie obdarzył. Jeszcze jakiś czas temu miałabym w sobie wystarczająco dużo siły i chęci do walki, ale teraz to wszystko zdawało się gdzieś zniknąć.

* * *

Z każdym kolejnym dniem czułam się coraz bardziej zagubiona. Po każdym uszczypliwym komentarzu i każdej kłótni mój wieczór kończył się w jeden sposób – płaczem na balkonie naszego mieszkania.

Czasami, gdy spoglądałam w lustro, miałam wrażenie, że nie poznaję samej siebie – moja twarz była czerwona od płaczu, ręce wychudzone z nadmiernego stresu, a oczy puste i martwe. Cały świat był dla mnie zamknięty przez to, co rozgrywało się w czterech ścianach niczym niewyróżniającego się mieszkania.

Właśnie wychodziłam z pracy, gdy dotarło do mnie, że zaraz ponownie znajdę się w tym koszmarze. Kiedy zamknęły się za mną drzwi biurowca, czułam się wyczerpana – nie tylko fizycznie, ale też emocjonalnie. W głowie miałam jeszcze słowa chłopaka z dzisiejszego poranka – pełne krytyki i złośliwości. Czu-

łam, że coś we mnie umiera, coś cennego, co kiedyś pozwalało mi wierzyć, że mam siłę i wolność. Jednak to uczucie, poczucie bezpieczeństwa, które dawała mi miłość, już od dawna nie istniało. Jego miejsce zajęło poczucie pustki i lęku.

W ciszy ruszyłam w kierunku przystanku autobusowego, gdy nagle mój wzrok przyciągnęła witryna kwiaciarni. Tuż za szybą znajdował się jeden jedyny kwiat – czarna róża. Była samotna. „Zupełnie jak ja”, pomyślałam.

Nie zastanawiając się długo, pchnęłam drzwi, a chłodne listopadowe powietrze wdarło się do pomieszczenia. Wnętrze kwiaciarni było pełne tego, czego w moim życiu od dawna brakowało – ciepła i bezpieczeństwa. Za ladą zobaczyłam starszą kobietę, która przywitała mnie lekkim uśmiechem.

– Co dla ciebie, moja droga? – zapytała kwiaciarka układająca bukiet w wazonie. Jej głos był spokojny, jakby miała czas i chęci, by ze mną porozmawiać. Jednak ja nie miałam na to ochoty.

– Poproszę tę jedną czarną różę – odpowiedziałam cicho.

Kwiaciarka spojrzała na mnie, a potem na różę. Miałam wrażenie, że starsza kobieta zauważyła w nas coś na wzór podobieństwa.

– Czarne różę... Ich kolor może znaczyć więcej, niż nam się wydaje – zaczęła kwiaciarka, a jej głos brzmiał ciepło i mądrze. – Nie są tylko symbolem śmierci, bólu i cierpienia, jak niektórzy mogą myśleć. Oznaczają też zakończenie pewnego etapu, zamknięcie jakiejś części życia, by móc otworzyć drzwi do nowego początku. Są znakiem przemiany, a także siły woli, by zakończyć to, co już nie służy.

Milczałam, ponieważ jej słowa nie za bardzo do mnie docierały... Zatrzymałam wzrok na czarnej róży, a moje serce nagle zamarło w piersi. Zakończenie etapu... Zamknięcie jakiejś części życia. Zatrzymałam się w miejscu, jakby wszystko w tej chwili przestało istnieć. Na mojej twarzy pojawił się cień smutku, a oczy zaszkliły się od niechcianych łez. Czulałam, że te słowa trafiają w sam środek bólu, z którym przez ten cały czas zmagало się moje serce. Zakończenie etapu... ale czy jest jeszcze szansa na nowy początek?

– Na rozpoczęcie nowego etapu w moim życiu jest już od dawna za późno – odpowiedziałam cicho, a obraz czarnej róży w rękach kwiaciarki zaczął mi się rozmazywać.

Kobieta spojrzała na mnie, jakby moje słowa wszystko jej wyjaśniły. W jej spojrzeniu zobaczyłam tylko współczucie. Skinęła głową, a chwilę później podała mi owiniętą w brązowy papier różę.

– To wszystko? – zapytała, kładąc pakunek na blacie.

– Tak. Dziękuję.

Zapłaciłam, a następnie wyszłam na ulicę. Trzymałam w dłoniach symbol tego, czego przez ostatni czas nieustannie doświadczałam – bólu, cierpienia i umierania mojego serca. Kobieta w kwaciarni mówiła, że nie jest jeszcze za późno na odwrócenie losu, ale ja wiedziałam swoje.

Po prostu nie zawsze mamy wybór, by zacząć od nowa. Czasami, bez względu na to, jak bardzo chcielibyśmy zmiany, nasza przeszłość staje się cieniem, który uniemożliwia jakikolwiek ruch do przodu. Tak właśnie było w moim przypadku.

Szept w mchu

Rok 1352

Jesień, czas przygotowań do przetrwania najbliższej zimy

Gęsta mgła objęła wielki ciemny las i całą polanę, na której stała samotna drewniana chata. Dom był prosty, przystosowany do podstawowych funkcji, sprawiał wrażenie budowanego w pośpiechu, lecz solidnego. Wokół biegało parę kaczek i było mniejsze pole uprawne położone przy malej rzeczce.

– Chwali, gdzie jesteś? – zawołał przed chatą Racimir do swojego syna, rozglądając się wokół, ale mgła nie pomagała w jego znalezieniu.

– Chwalisław jeszcze śpi, przecież wiesz, że on ceni sobie długi sen – odpowiedziała spokojnym głosem Ludomiła.

Racimir wszedł do izby, kulejąc, podszedł do łóżka, gwałtownym ruchem ściągnął koldrę i zdziwił się, ponieważ nie zastał tam swojego piętnastoletniego syna.

– Racimir! – krzyknęła sprzed domu Ludomiła. – Zobacz, Czosnka też nie ma. Pewnie Chwalisław poszedł z nim na spacer.

Czosnek był psem przybłądą, który kręcił się wokół Racimira, kiedy on osiedlał się w tej okolicy. Imię nawiązywało do pojawienia się psa znikąd – jakby wyrósł spod ziemi. Racimir nie był zwolennikiem posiadania psa. Uważał, że nie dadzą rady go wykarmić, ale też było mu szkoda zwierzaka, kiedy myślał, że pies miałby się dalej błąkać.

„Pewnie poszli obok starego dębu”, pomyślał Racimir, ponieważ to właśnie tam najczęściej chodził Chwalisław z psem. To miejsce wyznaczało również granicę, do której syn mógł dojść w lesie. Ojciec ruszył więc w tamtym kierunku i po chwili spostrzegł wracającego syna, który zawołał:

– Tato, nie męcz się z nogą, już idę! Chciałem nauczyć Czosnka sztuczek.

Ojciec w tym czasie zrównał się ze swoją pociechą i odezwał się:

– Synu, zima za pasem. Wiesz, że gdyby nie moja kulawa noga, to bym ciebie nie prosił o pomoc. Nie mamy czasu na zabawę. Zawołaj Czosnka i wracajmy.

Chwalisław kiwnął głową i zaczął przywoływać psa.

– Czosnek! Czosnek! – krzyczał i gwizdał na czworonoga, ale ten się nie zjawiał.

– Pewnie pobiegł za sarną do lasu. Jak się wybiega, to wróci. Wracajmy do pracy – powiedział stanowczo Racimir, chwytając syna za rękę. Nagle z lasu dały się słyszeć głośnie jęki i piszczenie.

– To Czosnek! – krzyknął Chwalisław i wyrrywając rękę z dłoni ojca, pobiegł z powrotem do lasu.

Racimir naturalnie podążył za nim. Na początku próbował powstrzymać syna, by ten nie biegł przed siebie bez namysłu. Nie chciał, aby Chwalisław wchodził w głąb lasu, ponieważ od momentu pobierania drzew na budowę domu las paradoksalnie stawał się gęstszy. Zaś w nocy, podczas pełni, spośród drzew dochodziły przerażające dźwięki.

– Chwalisław! – zawołał drżącym głosem Racimir po tym, jak stracił syna z oczu.

Myśl o możliwej utracie młodego spowodowała, że po policzkach mężczyzny popłynęły łzy, ale Racimir powtarzał sobie, że go znajdzie. Szedł do momentu, aż zabrakło mu tchu i noga dała o sobie znać. Zatrzymał się. Cały czas się rozglądał i ciężko oddychał. Zauważył bruzdy w ściółce, jakby ciągnięto tędy coś ciężkiego. Poszedł po tych śladach i dotarł do kamiennych posągów w kształcie drzew, ułożonych w okręgu. Racimir się zdziwił – myślał, że zna ten las i raczej zapamiętałby takie budowle. Oglądając posągi, zauważył, że pośrodku nich rośnie grzyb. Chciał podejść bliżej niego, ale usłyszał głos.

– Tato... – To odezwał się półzywy Chwalisław, jednocześnie pokazując palcem przed siebie.

– Synu, co ci się stało? Na co pokazujesz? – Po tych słowach Racimir odwrócił się i zobaczył za sobą olbrzymią postać.

Środek lata, popołudnie. Racimir wraz ze swoimi pracownikami i kilkoma uczniami, których miał pod opieką, pracował na zrębie drewna obok drogi prowadzącej do Wielkogordu. Drogą przejeżdżało wielu kupców – tak było i tym razem, gdy konno przemierzał ją mężczyzna kierujący się do miasta. Zauważył znajomego i zawołał:

– O proszę! Wiosny lecą, a ty dalej bawisz się w lesie! – wykrzyknął, a na te słowa wszyscy pracujący przy drewnie zwrócili głowy w jego kierunku.

– Luboradz? – odpowiedział z uśmiechem Racimir i od razu dodał: – Co cię sprowadza do Wielkogordu? Przecież za dzieciaka mówiłeś, że jak dorośniesz, to wyjedziesz i będziesz świat zdobywał.

– By zdobywać świat, trzeba mieć fundusze. Wracam właśnie ze Srebrnej Wody. Tam wszystko tańsze niż u nas. Tak zarobię na łódź, a później już świat otworem stoi – powiedział Luboradz. W międzyczasie zsiadł z konia i dodał z westchnieniem: – Ścinacie drzewa, pod którymi się wychowaliśmy. Ty nigdy nie wiedziałeś, co to sentyment.

– Emocje trzeba odłożyć na bok. Drzewa odrosną, a pieniądze same nie przyjdą – odpowiedział Racimir, siadając na pieńku i pokazując gestem na Luboradza, by ten też usiadł.

– Jak zależy ci na pieniądzach, to dlaczego nie pójdziesz pracować w grodzie? Jesteś tam szanowany. Kilka razy ci proponowali, nie rozumiem cię – zaczął Luboradz.

– To nie dla mnie. Tam są inni ludzie, którzy się uważają za królów bez korony. Dobrze mi w mojej chacie, blisko mam do lasu i do moich współpracowników, przez co czujemy się jak rodzina. Boję się, że stracę ich zaufanie, gdy pójdę za mury.

– No dobrze. To powiedz, kiedy będziesz dzisiaj wolny, pójdziemy razem do karczmy – zaproponował Luboradz, wstając z pieńka.

– Późniejszy wieczór. Mamy jeszcze trochę roboty, ale powinienem się wyrobić – odpowiedział Racimir, również wstając.

Podali sobie rękę na pożegnanie i każdy poszedł w swoją stronę. Luboradz dosiadł konia i pojechał do miasta, a Racimir wziął swoją Iustitię, bo tak nazywał siekierę, i poszedł w głąb zrębu. Po dłuższej chwili usłyszał przeraźliwy krzyk. Zaniepokojony podbiegł jak najszybciej, myśląc, że któryś z uczniów źle uderzył siekierą i mocno się zranił. Tymczasem zdziwił się, kiedy zobaczył wronę wbitą w brzuch jednego z pracowników.

– Zły duch musi to być – zawyrokował jeden ze starszych drwali.

– Może ptakowi się pomyliło, może wiatr go zmylił i dlatego tak wleciał – zastanawiali się uczniowie. Słuchając tych rozmów, starszy drwal dodał:

– Z taką prędkością to niemożliwe. On leciał jak pocisk...

Gdy mężczyzna kończył mówić, z dużą siłą uderzył w niego kolejny ptak.

– Uciekajcie! – krzyknął jeden z uczniów, wybiegając z lasu. Zanim zdążył dobiec do zrębu, złapała go długa elastyczna gałąź i wciągnęła między drzewa.

– To Borowy! Szybko do miasta! – wrzasnął Racimir.

W tym czasie chłopci pracujący na polach również zaczęli uciekać w stronę miasta, ponieważ z lasu wybiegły wilki, nad którymi panował Borowy. Różnie go nazywali, zależnie od regionu. Borowy, zwany też Leszym, był uznawany za pana lasu, opiekuna drzew i zwierząt, nad którymi miał władzę – tak samo jak nad wiatrem. Przeważnie miał neutralny stosunek do ludzi: dopóty, dopóki ktoś nie wszedł na jego ziemię lub nie ściał drzew z jego lasu. Mówiło się, że Borowy to postać, która ma parę metrów wzrostu, długie ręce i nogi. Jest pokryty mchem lub skórami zwierząt. Jego twarz zasłania zarost albo maska zrobiona z kości.

Dzwony na murach były na alarm, by poinformować mieszkańców o niebezpieczeństwie. Każdy, kto mieszkał przed murami, próbował się dostać za bramy, by ująć z życiem. Wrota zostały zamknięte, zanim chłopci weszli do grodu, a jeszcze inni biegli w tym kierunku. Paru chłopów zostało na polach i próbowało powstrzymać rozwścieczone zwierzęta. Na próżno. Ich ciała szybko zostały rozszarpane. Racimirowi udało się dobiec do domu.

– Ludomila, gdzie jesteś?! – Mężczyzna nerwowo rozglądał się po chacie.

– Myślałam, że nie żyjesz! – Kobieta rzuciła się w ramiona Racimira.
– Nic ci nie jest? Jak się czujesz? – spytał zaniepokojony. – Zamknęli bramy do grodu. Ludzie stoją pod murami. Raczej ich już nie wpuszczą – dodał.

– Zginiemy... Co z nami będzie? – Ludomiła się rozplakała. Racimir próbował ją uspokoić:

– Schowamy się w starej chacie kowala. On miał piwnice. Tam przeczekamy atak.

Dom kowala jako jedno z nielicznych zabudowań otaczających gród był zbudowany z kamienia. Był tylko jeden problem – by się dostać do tego miejsca, Racimir z Ludomiłą musieli przejść obok zwierząt niezauważeni. Nie mogli też zostać w swojej chacie, ponieważ Borowi niszczyli wszystko, co było zrobione z drewna pochodzącego z pobliskiego lasu.

– Zdejmujemy buty – zdecydowała Ludomiła. – Tym pokażemy Leszemu, że pochodzimy z natury, chodząc naga stopą po jego ziemi. Wiem, Racimirze, że nie wierzysz w moc bóstw, ale według religii naszych ojców to powinno pomóc.

Jak powiedziała, tak zrobili. Zwierzęta nie zwróciły na nich uwagi. Doszli do chaty kowala, w której schowało się też kilku innych chłopów. Atak trwał do północy. Zgromadzeni w kamiennej chatce ludzie zasnęli, ale z nastaniem dnia opuścili domek. Poszli pod mury i zaczęli krzyczeć. Strażnicy zobaczyli, że jest bezpiecznie, i otworzyli im bramę. Podenerwowany Racimir podbiegł do kasztelana strażnicy, próbując go powstrzymać, ale on był na tyle zdeterminowany, że dostał się do głównej sali i krzyczał:

– Mordercy! Jak mogliście zamknąć bramy, gdy matki z dziećmi na rękach prosiły o wpuszczenie...!?

– Uspokój się. Nie wiesz, co zrobiłbyś na naszym miejscu – odpowiedział jeden z rady. To jeszcze bardziej rozjuszyło Racimira, który rzekł:

– I to jest wasze usprawiedliwienie? Dbacie tylko o swoje interesy, zawsze tak było. Wy tam powinniście umierać...

Racimir nie zdążył dokończyć, gdy do sali z prędkością wystrzelonego pocisku wleciał kruk, przebijając się przez szyję kasztelana i rozbijając witraż.

– Coś ty zrobił! – wykrzyknął stojący obok kapłan. Racimir również się przestraszył. Był przekonany, że atak ptaków się skończył.

– To... To nie ja – odpowiedział wystraszony, próbując wyjść z sali.

W tej chwili odezwał się jeden z kapłanów:

– To magia! On jest czarodziejem. Na stos z nim!

Straże próbowały schwycić Racimira, ale on się nie dawał. Na grodzie znowu rozbrzmiały dzwony, tym razem oznajmiając śmierć kasztelana. Racimir, uciekając schodami, potknął się i upadł. Uszkodził nogę, ale mimo to zdołał uciec. Wiedział, że musi jak najszybciej opuścić miasto. Umknął strażnikom, wrócił do domu, spakował się, za pasek włożył Lustitie. Z bagażami pobiegł do piwnicy domu kowala po Ludomiłę.

– Musimy uciekać. Ludzie myślą, że zabiłem kasztelana – zrelacjonował zdenerwowany.

Ludomiła nie dopytywała. Wiedziała, że mają mało czasu. Gdy wyszli z piwnicy, zauważyli wolno stojącego, już osiodłanego konia. Bez zastanowienia dosiedli go i odjechali. Bali się, bo wiedzieli, że uciekają do lasu, z którego wyszło całe zło. Byli jednak zdeterminowani.

Zdziwił ich spokój panujący w lesie. Nie było śladu po rozszalałych zwierzętach. Jechali konno do wieczora. Przed nocą rozpalili ogień i zrobili małe obozowisko.

– Tu będzie nasza chata. Jest równo, a tam dalej widać rzekę – powiedział Racimir. – Lepszego miejsca nie znajdziemy.

Pomógł jeszcze Ludomile rozpalic ognisko i poszedł ścinać drzewa, by później skonstruować z nich podstawy domu. Przez pierwsze tygodnie mieszkali w szałasach z liści, jedli ryby i jagody.

Rok 1337

Minął rok od ucieczki Racimira i Ludomiły z Wielkogordu. Młodzi zamieszkali w dolinie obok dużego ciemnego lasu w drewnianej chacie z dala od miast, wiosek i ludzi. Przygarnęli psa, którego nazwali Czosnek. Udomowili dzikie kaczki, które mieszkaly nad pobliską rzeką.

Nadszedł czas i Ludomiła oraz Racimir spodziewali się dziecka.

Od narodzin Chwalisława minęło piętnaście lat. Chłopiec nauczył się zasad, które wpajali mu rodzice. Ojciec starał się przekazywać mu wiedzę związaną z zawodem drwala, jednak syn nie czuł zapału do tej pracy. Uznał, że zostanie rybakiem. Miłość do łowienia ryb wyrosła z obserwacji kaczek. Patrząc na nie, chłopiec myślał, że one są wolne i mogą popłynąć wzdłuż rzeki, a jak będą musiały wracać do swojego domu, to przylecą. Chwalisław nie lubił obecnego trybu życia. Czuł się, jakby był zamknięty w klatce. Mógł chodzić tylko tam, gdzie pozwalali mu rodzice. Największy żal miał do ojca. Uważał go za nadmiernego strażnika wolności. Pewnego razu w trakcie spaceru zatrzymał się i dotknął dębowego drzewa. Pomyślał: „Co może się stać, gdy przejdę trochę dalej?”. Skierował się wolnym krokiem za drzewo, w głąb lasu. „Jeden, drugi, trzeci krok – jestem już tak daleko za granicą a dalej mi nic nie jest?”. Chwalisław zaczął kroczyć coraz pewniej. Był zafascynowany, a jednocześnie nie mógł zrozumieć, dlaczego rodzice zawsze zabraniali mu iść dalej. Nie mówiąc nic rodzicom, chłopiec podczas spacerów badał kolejne tereny. Pewnego razu, krocząc po leśnych terenach, stracił orientację i zgubił się.

 Szukając w popłochu drogi wyjścia, spotkał starszego mężczyznę.

 – Zgubiłeś się, prawda? – powiedział nieznajomy.

 – Tak... A pan kim jest? Czy może mi pan pomóc znaleźć drogę? – drżącym głosem spytał Chwalisław.

 – Powiedz, czy jakbyś był w domu, gdzie jest miód i pewne ciepło, czułbyś się szczęśliwy, wolny?

 – Tak – odpowiedział Chwalisław po dłuższej chwili.

 – Tylko szczerść może cię teraz uwolnić, więc dlaczego kłamiesz? – Leśniczy zaśmiał się i dodał: – Spokojnie. Pomogę ci. Znam twojego ojca, choć dawno się nie widzieliśmy. Kieruj się tam. – Starszy człowiek wskazał ręką kierunek, a z jego dłoni wyleciały motyle pokazujące drogę do domu. Chwalisław zapytał:

 – Dałbyś mi wolną wolę, żebyśmy mogli sam o sobie decydować? Widzę, że znasz się magii i czarach.

 Na te słowa starszy człowiek lekko się uśmiechnął i przytaknął, dodając:

– Dam ci to, czego chcesz, tylko przyprowadź do mnie swojego ojca. Chciałbym mu coś powiedzieć.

Chwalisław przez chwilę się zastanowił i odpowiedział:

– To niemożliwe. Tata nie pozwala mi chodzić tak daleko. Nie wiem, jak cię znajdę ...

– Pies cię zaprowadzi. A teraz, jeżeli chcesz być uwolniony z zakazów, podaj mi lewą rękę.

Syn Racimira wyciągnął dłoń, a leśniczy ukłął go w palec, by wziąć kropelkę krwi. Następnie wypędził chłopca z lasu krzykiem tak głośnym, że Chwalisław stracił przytomność. Ocknął się w swoim łóżku. Spojrzał na rękę, na której nie było śladu po ukłuciu.

„Ale zły sen miałem”, pomyślał chłopiec, wstając z łóżka. Zobaczył wschodzące słońce i wyszedł z chaty. Na podwórku zobaczył Czosnka, który się turlał, siadał i znowu się turlał.

– Psino, ale to się robi na komendy, rozumiesz? Dopiero jak ja powiem – odezwał się wesoło do psa, a ten jakby rozumiał.

Chwalisław zaczął uczyć go innych sztuczek. Z czasem Czosnek zrozumiał, co znaczy „podaj łapę”, „leżeć” i inne komendy.

– Rzucę patyk, a ty przyniesiesz.

Pies z kijkiem w zębach pobiegł w stronę lasu, a Chwalisław za nim. Nagle dało się słyszeć głos Racimira wołającego syna, a młody odkrzyknął:

–Tato, nie męcz się z nogą, już idę! Chciałem nauczyć Czosnka sztuczek.

Następnie ojciec wytłumaczył synowi, że nie mają czasu. Wracając, usłyszeli przeraźliwy dźwięk dochodzący z lasu. Zaczęli rozglądać się za psem i zauważyli, że go nie ma.

Zmartwiony Chwalisław pobiegł w stronę źródła dźwięku. Czuł, że nie może się zatrzymać, i słyszał głos wołającego ojca. Wiedział, że stracił kontrolę nad ciałem. Próbował się zatrzymać, ale zostawiał tylko ślady, jakby ciągnął za sobą tony drewna. Nagle dobiegł do kręgu kamiennych posągów przypominających drzewa. Odzyskał władzę w nogach i zaciekawiony miejscem, zaczął się rozglądać. Jego uwagę zwrócił grzyb i stojąca nieopodal wysoka postać z długimi kończynami, odziana w skórę i mech. Chwalisław został przez nią

uderzony i odrzucony na bok. W tej chwili do syna podbiegł Racimir, został jednak ugodzony własną siekierą przez tajemniczą postać. Złapał za rękojeść i zgiął się z bólu. Próbował coś powiedzieć, ale krew zalewała mu usta.

– Za wszystkie ścięte drzewa – powiedziała postać.

Był to Leszy.

Tylko ty i ja

Odkładając ostatnie pudło, zacząłem lustrować dom, do którego właśnie się wprowadziliśmy. Moim ulubionym miejscem był korytarz. Ściany w kolorze butelkowej zieleni, pokryte przeróżnymi obrazami oraz fotografiami. Sztuka. To jedna z wielu rzeczy, która łączy mnie z moją ukochaną. Czuję, jak spełnia się długo wyczekiwane marzenie. Stoję pośrodku bałaganu we własnym domu, a obok miłość mojego życia. W tamtym momencie wiedziałem, że jestem najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

Marysię poznałem jako ósmiolatek w osiedlowym parku. Jak się później okazało, mieszkaliśmy na tej samej ulicy. Zaczęliśmy spędzać ze sobą każde popołudnie, a nasi rodzice się zaprzyjaźnili. Następnie przyszły lata liceum, a nasze drogi się rozeszły. Dziewczyna zaczęła naukę w szkole średniej w naszym mieście, jednak moim marzeniem było zostanie koszykarzem. Z tego powodu wyjechałem z domu rodzinnego, aby zacząć naukę w liceum sportowym. Zamieszkałem w akademiku, co sprawiło, że czułem się samotny i miałem dużo czasu na przemyślenia. Mimo tego, że nasz kontakt został całkowicie zerwany, dziewczyna pozostała w mojej pamięci.

Gdy wróciłem do domu po napisanych maturach, zamarłem, kiedy mój wzrok przykuła ona. Siedziała na ławce pośród drzew i czytała książkę, a jej kasztanowe włosy tańczyły do rytmu wiatru. Nagle uniosła głowę, a spojrzenie szmaragdowych oczu przeszło moją duszę.

– Witaj w domu! – wykrzyknęła, a następnie wstała z ławki i zrobiła kilka kroków w moją stronę. – Jak życie sportowca?

I w ten oto sposób nasza historia została wznowiona. Od tamtego spotkania jesteśmy razem. Oczywiście nie było łatwo, Marysia studiowała medycynę, a ja pedagogikę. Obydwoje nie mieliśmy wystarczająco czasu i siły,

jednak po wielu długich rozmowach i kłótniach udało nam się przetrwać ten okres. Po ukończeniu nauki poprosiłem ją o rękę. Powiedziała tak!

Obecnie mam trzydzieści lat i pracuję jako nauczyciel, moja dwudziestoosmioletnia żona jest pielęgniarką. Zamieszkaliśmy razem w domu jednorodziennym na obrzeżach miasta. Budynek z białego dębu ma niebieskie okiennice i drewnianą werandę. Wszystko wygląda tak, jak w naszych planach.

Niecały rok po przeprowadzce Maria weszła do sypialni, mówiąc, że ma dobre nowiny. Jej twarz promieniała szczęściem, a oczy były wypełnione łzami.

– Jestem w ciąży! – wykrzyknęła – Tomek, będziesz ojcem!

Poczułem, jak uchodzi ze mnie powietrze. Nogi zaczęły mi się trząść, a w głowie miałem tylko jedną myśl: „Co jeśli sobie nie poradzę?”.

Kobieta, widząc mój strach, usiadła obok mnie i mocno przytuliła.

– Kochanie, będziesz świetnym tatą. Jesteś niesamowitym nauczycielem, dzieci cię kochają, dasz sobie radę! – powiedziała.

Po tych słowach strach zastąpiła czysta radość.

– Dziękuję. Będziemy rodzicami! O, Marysiu, tak się cieszę! – odparłem.

Pierwsze trzy miesiące przebiegły spokojnie. Oboje chodziliśmy do pracy, na weekendy jeździliśmy w góry, a wieczorami wspólnie gotowaliśmy kolację. Jednak wraz z rozpoczęciem drugiego trymestru jej samopoczucie zaczęło się pogarszać. Pojawiły się ciągle mdłości, silny ból kręgosłupa oraz nieustające migreny. Dolegliwości pozostały do końca ciąży. Za każdym razem, gdy na nią spoglądałem, widziałem cierpienie, lecz widok mojej żony podczas porodu to była tortura. Nie potrafię sobie wyobrazić, co czuła tamtego dnia, ale jej krzyk był wystarczający.

Po dwudziestu trudnych godzinach na świat przyszła nasza córeczka, Franciszka. Gdy mała rączka złapała za mój kciuk, świat stanął w miejscu. Ale gdy spojrzałem na Marysię, moje serce pękło na milion kawałków – leżała wykończona, a jej wzrok pusto patrzył w sufit. W tamtym momencie wiedziałem, że nasze życie już nigdy nie będzie takie samo.

– Cześć, kochanie, zrobiłem ci śniadanie – powiedziałem, wchodząc do pokoju.

– Nie jestem głodna – wyszeptała i ponownie zapadła w sen.

Minęły dwa tygodnie od naszego powrotu do domu i wydaje mi się, że jest coraz gorzej. Maria wstaje z łóżka tylko po to, aby skorzystać z toalety, a całe dnie przesypia. Ani razu nie wzięła Frani na ręce. Wszystkie obowiązki spadły na mnie. Staram się być dobrym ojcem, mimo wszystko nie jestem w stanie zastąpić jej matki.

Dziewczynka od pierwszego dnia jest bardzo energiczna. Potrzebuje dużo uwagi, w nocy nie śpi, a uspokaja się tylko na moich rękach. Jej matka udaje, jakby dzieciątko nigdy nie przyszło na świat. Myślę, że ma depresję poporodową. W nocy płacze, a w dzień śpi. Nie wychodzi z pokoju, a gdy próbuję z nią porozmawiać, odpowiada krzykiem lub mnie kompletnie ignoruje. Nie wiem, co mam robić...

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Otwieram oczy i podchodzę do kołyski. Biorąc maluszka na ręce, spoglądam na kobietę leżącą w naszym łóżku, mimo wszystko nie rozpoznaję jej. Wycho-dzę z sypialni i zmierzam do salonu. Po dwudziestu minutach ciągłego płaczu nastaje cisza. Jestem w szoku, ponieważ przez ostatnie tygodnie nie dało się jej uspokoić – przez wiele godzin chodziłem po całym domu, śpiewałem kołysanki, dopiero po kilkunastu próbach zasypiała w moich ramionach, a ja razem z nią. Tak oto spędzaliśmy każdą noc. Na bujanym fotelu, otuleni światłem księżycy.

– Dzień dobry. – Usłyszawszy te słowa, momentalnie oprzytomnia-
łem. – Usmażyłam naleśniki.

Nie wiedziałem, jak mam zareagować. Przez ostatnie dni w ogóle nie rozmawiamy, boję się powiedzieć coś nieodpowiedniego, coś, co ją spłoszy. Takim sposobem wybieram milczenie. Podnoszę dziewczynkę, gdy zaczyna dawać mi do zrozumienia, iż ta czynność nie była najlepszym wyborem.

– No już, słoneczko, musimy cię przebrać – powiedziałem, kierując się ku sypialni.

Gdy wszedłem do pomieszczenia, moją uwagę przykuła książka. Znaj-
dowała się na szafce nocnej, jednak nie należała do mnie. Nagle poczułem,

jakby promienie słońca musnęły moją skórę, a serce krzyczało: „Jej stan się poprawia, Marysia powraca!”. Zarówno ten niewielki przedmiot, jak i jej dzisiejsze zachowanie dały mi nadzieję na powrót do normalności. Byłem tak szczęśliwy, że Franciszka w końcu pozna swoją mamę, doświadczy jej ciepłego dotyku oraz kojącego głosu.

Gdy wszedłem do kuchni, pomieszczenie wypełnił głos, za którym umierałem z tęsknoty:

– Zapisalam się na wizytę u psychiatry – powiedziała. – Potrzebuję pomocy specjalisty.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Nasz dom odżywa. Codziennie jemy wspólnie śniadanie, następnie dziewczyny idą na spacer, a ja do pracy. Po powrocie gotujemy obiad i oglądamy filmy. Nasza córeczka rośnie i zmienia się z każdym dniem. Przesypia całe noce i prawie nie płacze, jest bardzo spokojna. Marysia czuje się coraz lepiej, chociaż wieczorami wydaje się zestresowana. Co wieczór przed pójściem spać schodzi do kuchni i spędza tam dwadzieścia minut. Myślę, że po całym dniu potrzebuje chwili dla siebie, aby pobyc z własnymi myślami.

– Pamiętasz te wakacje, podczas których skończyłeś liceum? – powiedziała pewnego dnia, wchodząc do łóżka. – Ten dzień, kiedy wróciłeś do domu?

– Oczywiście. Jeden z najlepszych dni w moim życiu. Moment, w którym cię zobaczyłem – odpowiedziałem, lekko się uśmiechając – Och, Marysiu, w tamtej chwili czas stanął w miejscu i liczyłaś się tylko ty.

– Nie myślałam, że jeszcze się zobaczymy, a tym bardziej że będziemy rodziną. – Przynęła się bliżej, wtulając głowę w moją klatkę piersiową. – Gdy usłyszałam samochód, podniosłam wzrok i kiedy zobaczyłam twoje ciemne oczy, przepadłam całkowicie. Wiedziałam, że nie mogę zmarnować tej szansy, dlatego zdecydowałam się podejść mimo wielkiego przerażenia.

Niesamowite, ile szczęścia, miłości i poczucia bezpieczeństwa można dostać od jednej osoby. Już chciałem coś odpowiedzieć, gdy Frania zaczęła płakać. Opuściłem pokój z zamiarem uspokojenia dziecka. Gdy wszedłem do

sypialni córki, ogarnął mnie niepokój. Coś było nie tak – na jej twarzyczce pojawił się grymas bólu, a krzyk był inny niż zwykle. Wyjąłem ją z kołyski, jednak płacz nie ustał. Po godzinie nastąpiła cisza. Dziewczynka zasnęła z wycieńczenia. Wróciwszy do sypialni, zastałem moją żonę, która spała na krząwędzi łóżka, a pomieszczenie było pogrążone w ciemności.

Obudziłem się o świcie z powodu silnej burzy. Ku mojemu zdziwieniu miejsce obok mnie było puste. Nerwowo wyskoczyłem z łóżka w poszukiwaniu Marysi. Moja małżonka panicznie boi się burzy. Często reaguje atakami paniki.

– Kochanie! – krzyknąłem, schodząc po schodach. – Gdzie jesteś?

Usłyszałem trzask i wbiegłem do kuchni. Maria stała tam, pochylona nad blatem, w ręce trzymała pomarańczowy słoiczek. Obok leżała szklanka z wodą, a dalej butelka dziecka.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, jednak ona wydawała się nadzwyczaj spokojna.

– To przez leki. – Odetchnęła. – Nie czuję strachu.

– To cudownie! – Zrobiłem krok w jej stronę, składając na jej ustach pocałunek.

Wziąłem butelkę zza pleców Marii, sprawdzając, czy mleko ma odpowiednią temperaturę.

– Nakarmię małą, a ty w tym czasie możesz zrobić kawę. Jak skończę, możemy wspólnie obejrzeć film.

– Nie. – Nachyliła się, zabierając butlę. – Z rana będzie marudna, ty byłeś u niej wieczorem. Daj mi się wykazać. I tak już za dużo czasu straciłyśmy – odparła na jednym wydechu, a następnie ruszyła do naszej córeczki.

Ten dzień spędziliśmy razem. Czulem się jak na początku naszego związku: tylko śmiech, zero kłótni, długie rozmowy i wspólne gotowanie. Było tak spokojnie, aż w pewnym momencie zacząłem się niepokoić. Franciszka ani razu nie dała o sobie znać. Co kilka godzin sprawdzałem, czy wszystko w porządku, a ona cichutko leżała w kołysce.

Wieczorem, gdy szedłem do sypialni, znowu przykuła moją uwagę. Niedbale położona na komodzie. Wydawałoby się, jakby to miejsce było

zaprojektowane specjalnie dla niej. Książka o podniszczonej okładce. Ten widok sprawiał, iż zacząłem odczuwać niepokój. Wynikało to z niewiedzy, ponieważ nigdy nie widziałem, aby ją czytała, i ten wygląd... Jakby miała dekadę.

– W końcu usnęła. – Gdy usłyszałem kobietę, poczułem stres, jakbym nie powinien interesować się jej lekturą. – Chodź, to był długi dzień. – Odciągnęła mnie od komody, zmierzając w stronę łóżka.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

„Nienawidzę poniedziałków”, pomyślałem, wsiadając do auta. Po dwóch dniach spędzonych z rodziną zawsze mi ciężko opuścić dom i pójść do pracy. Kocham to, co robię. Zostanie nauczycielem to był jeden z lepszych wyborów. Satysfakcja oraz spełnienie, jakie mi towarzyszą, gdy na twarzach uczniów powoli zaczyna pojawiać się zrozumienie tłumaczonego przeze mnie tematu, to uczucia nie do opisania. Jednak przez ostatnie dni zacząłem się martwić stanem Frani. Dziewczynka jest senna, cicha oraz nie wymagająca uwagi. Wybiorę się z nią do lekarza po powrocie z pracy.

W czasie przerwy obiadowej udałem się do samochodu, otworzyłem bagażnik, a moim oczom ukazał się przedmiot, który przez ostatni tydzień nie dawał mi spokoju. Przesuwając dłonią po zniszczonej okładce, poczułem, jak moje ciało ogarnia satysfakcja. Schowałem książkę do torby i udałem się do pobliskiego parku. W pełni gotowy do czytania zorientowałem się, iż jest to pamiętnik. Momentalnie zamknąłem lekturę i wzięłem głęboki oddech. Nie! Nie mogę tego zrobić. Długo się namyślałem, ale ciekawość wygrała. Lustrowałem stronę za stroną. Tak – to definitywnie pismo mojej żony. Złapał mnie moment nostalgii, opisywała tutaj wszystko przez wiele lat. Znalazłem tam między innymi opis naszej pierwszej randki. Odetchnąłem z ulgą. Sam nie wiem, czego się spodziewałem. Zacząłem odczuwać poczucie winy, kiedy moją uwagę przykuła data narodzin Franciszki.

13.11.2024 r. tego dnia urodziłam dziecko. Najgorszy ból fizyczny, jaki człowiek może sobie wyobrazić. Cierpienie psychiczne to inna bajka. Po porodzie czułam się okropnie. Nie chciałam żyć. Tomek to jedyny powód, dla którego zdecydowałam inaczej.

Po powrocie do domu nie miałam siły wstać z łóżka. Na Franciszkę nie mogłam patrzeć i czułam się z tym podle. Liczyłam na mojego męża, że mi pomoże, zaopiekuje się swoją żoną, jednak tak się nie stało. Jedynym tematem była ONA. Na początku odpowiadałam krzykiem, nie mogłam tego znieść, jednak z czasem zaczęłam go ignorować. To tak bardzo boli, gdy noce spędza na tym cholernym fotelu, zamiast u mego boku. Kiedyś byliśmy nierozłączni, zajmowaliśmy się sobą nawzajem, dbaliśmy o siebie. Teraz on o mnie zapomniał, jestem tylko matką, która dała mu dziecko. Nie widzi mnie jako swojej miłości. ONA zabrała moje miejsce, zabrała jego serce!!! Muszę coś z tym zrobić.

Dziś udałam się do psychiatry. Dostałam receptę na lek o nazwie Dormicum. Działa uspokajająco i usypiająco. Idealne rozwiązanie mojego problemu. Po powrocie do domu poszłam zagrzać mleko dla malej, wyjęłam jedną tabletkę, którą pokroiłam na trzy części. Dałam najmniejszy odłamek do butelki i wymieszałam. Efekty były widoczne od razu. Z początku zaczęła przesyypiać całe noce, jednak zdarzały się napady płaczu. Postanowiłam zwiększyć dawkę...

Wczorajszy dzień był naprawdę udany – na koniec, leżąc w objęciach Tomka, poczułam się jak dawniej. W momencie, kiedy rozmawialiśmy o naszych początkach, rozległ się płacz. Mężczyzna momentalnie wybiegł, niosąc pomoc swojej księżniczce. Znowu czuję porzucenie, pustkę...

Wydaje mi się, że Tomasz zauważył różnicę w jej płaczu. Nie mogę tego tak zostawić. Tym razem postanowiłam zmieszać lek z tabletkami przeciwbólowymi. Nie dałam rady dłużej czekać, wstałam o świcie (mimo przerażającej burzy), udałam się do kuchni i przystąpiłam do działania. Nagle usłyszałam, jak ktoś mnie woła – szybko zakręciłam butelkę i oparłam się o blat. Chciałam, by zobaczył cudowny efekt prochów, jakimi chciałam mnie faszerować, abym „poczuła się lepiej”. Chciał sam ją nakarmić, jednak nie mogłam mu na to pozwolić. Dziewczynka nie pije mikstury z łatwością, w pewnych momentach trzeba ją zmuszać.

Po śniadaniu obejrzelśmy film, a następnie wybraliśmy się na spacer. Był to najlepszy dzień, jaki przeżyłam od bardzo dawna. Sielanka skończyła się w momencie zorientowania się przez mojego męża, iż dziecko jest zbyt spokojne. Od tamtego momentu nie przestawał nad tym rozmyślać. Codziennie słuchałam jego wywodów na temat zdrowia naszej córki. Czułam się, jakby opowiadał o swojej dziewczynie, jakby mnie zdradzał. Nie mogę tego dłużej znieść. MUSZĘ SIĘ POZBYĆ TEGO DZIECKA!

Czułem, jakby dusza wyszła z mojego ciała i obserwowwała mnie z daleka. Patrząc pusto w słowa napisane na kartce, nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Byłem kompletnie sparaliżowany. Kiedy przeczytałem po raz kolejny ostatnie zdanie, natychmiast zerwałem się z ławki i zacząłem biec w stronę auta. Wsiadłem do pojazdu, zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem. Całe ciało wydawało się ciężkie, a nogi i ręce nie przestawały się trząść. Kierując się do domu, miałem w głowie najgorsze scenariusze. Poczuję się zdradzony i oszukany. Jak mogłem tego nie zauważyć? Z kim mieszkam pod jednym dachem? Dlaczego ja? Dlaczego moja córka? Po piętnastu minutach jazdy w końcu dotarłem na miejsce. Wbiegłem do domu, rozglądając się na wszystkie strony. Oto ona. Siedzi przy stole i pije kawę.

– Gdzie jest Frania?! – zapytałem zdyszany, lecz poważnym głosem.

Kobieta podniosła wzrok znad kubka, spojrzała prosto w moje oczy, po czym odparła z uśmiechem na ustach:

– W końcu możemy być szczęśliwi. Tylko ty i ja.

chaos idealny

Prolog

Tego mroźnego styczniowego wieczora Ziemowit Glinka był nieco spóźniony do pracy, lecz nie omieszkął jeszcze przed wejściem do fabryki zapalić ulubionego papierosa. Cztery minuty później witał się już z najlepszym przyjacielem, z którym zawsze pracował na jednej zmianie. Tym przyjacielem (często określanym bratem, choć nie łączyły ich więzy krwi) był niejaki Kazimierz Wąsowski. Mężczyźni, w zależności od tygodnia, pełnili swoje obowiązki podczas dziennego lub nocnego dyżuru. Jako ochroniarze na co dzień nie mieli skomplikowanych zadań do wykonania – w zasadzie jedyną aktywnością było cogodzinne patrolowanie zakładu i terenu wokół niego. Resztę czasu spędzali w małej przytulnej budce, w której w przeciągu kilku lat wspólnej pracy zdążyli się dobrze zadomowić. Mieli tam między innymi mały telewizor, kilka kaset z filmami, stolik, kanapę i wszystkie akcesoria potrzebne do przygotowania ciepłego posiłku. Większość czasu, poza zachowaniem szczególnej ostrożności i doglądaniem monitoringu, spędzali na długich rozmowach, oglądaniu nowych pozycji filmowych i graniu w karty. Nie inaczej było tego dnia. Ziemowit i Kazimierz odbyli już trzy patrole, a na stole leżały rozłożone karty. Rozpoczęli rozgrywkę, ale ich uwaga w głównej mierze poświęcona była rozmowie.

– Wiesz co, Kaziu...? Naprawdę lubię naszą pracę, nawet bardzo, ale od jakiegoś czasu coś tu ewidentnie nie gra – odezwał się Ziemowit.

– Co masz na myśli? – zapytał Kazimierz lekko spłoszonym głosem.

– Może to tylko moja nadinterpretacja i wyimaginowane postrzeżenie, ale o ile mnie pamięć nie myli (a mam dobrą, choć krótką), to intuicja nigdy wcześniej mnie nie zawiodła – odrzekł Glinka.

Kazimierz spojrzał podejrzliwie na przyjaciela, równocześnie analizując jego słowa. Kilka dni później mężczyźni byli w bliźniaczej sytuacji – grali w pokera późnym wieczorem podczas nocnej warty.

– Ziemek... – mruknął Wąsowski pod nosem.

– Tak, Kazik? – odpowiedział Glinka.

– Pamiętasz, jak kilka dni temu mówiliś o jakichś wzbudających podejrzenia sytuacjach w fabryce? No właśnie... Ostatecznie nie rozwinąłeś tego tematu, a nie ukrywam, że zaintrygował mnie, w końcu fabryka to lwią część naszej codzienności. Mógłbyś powiedzieć, o co dokładnie chodziło? Co miałeś na myśli? – intensywnie dopytywał Kazimierz.

– Sam już nie wiem, Kazik. Ciężko to wszystko ułożyć w głowie. Może innym razem – odrzekł zmieszany Ziemowit.

– Rozumiem – zdeprymowanym głosem powiedział Kazimierz. – Innym razem...

Innego razu nie było. Ciało Ziemowita Glinki znaleziono w jeziorze nieopodal fabryki. Mężczyzna został zamordowany, a okoliczności jego zabójstwa pozostały owiane tajemnicą.

„Boję się rano wstać, boję się dnia... codziennie. Rano boję się otworzyć oczy... ze strachu przed świtem. Zupełnie nie wiem, co zrobić z nadchodzącym dniem”^{*} – z tą myślą pewnego majowego dnia obudził się pięćdziesięciosześcioletni Kazimierz Wąsowski. Z trudem otworzył zmęczone powieki, a jego oczom ukazał się zagrzybiały sufit. Po kilku minutach bezczynnego leżenia i paru życiowych refleksjach mężczyzna wykaraskał się spod rozgrzanej pierzyny i – jak zresztą każdego innego poranka – odruchowo udał się do kuchni... kuchni, z której dobiegała nieprzyjemna woń. Kiedy mężczyzna przekroczył próg pomieszczenia, zerknął tylko na swojego kota o czarnym umaszczeniu – Filemona – i wszystko stało się jasne. Jednakże gdyby okazało się, że to nie sprawka kocura, czy byłaby odczuwalna jakakolwiek różnica? W końcu mieszkanie Kazimierza znajdowało się w starej, zapyziałej kamie-

^{*} Cytat z filmu pt. *Dzień świra* w reżyserii Marka Koterskiego.

nicy, a wyglądem przypominało opuszczone miejsce. Wnętrze tonęło w półmroku niezależnie od pory dnia. Jedynym źródłem jasności były dwa małe okna, przez które światło wpadało do środka, przedzierając się przez pozólkłą firanę. Na podłodze rozlewał się stary dębowy parkiet ułożony w jodełkę, który wydawać by się mogło, że skrzypiał od poddmuchu wiatru. Drewniane drzwi były swego rodzaju wizytówką kwatery głównego bohatera, gdyż trafnie określały całościowy wygląd. Niegdyś pomalowane na koralową czerwień, po latach wyblakłe, brudne i obdrapane. Mimo biedy nie można było zarzucić Kazimierzowi bałaganiarstwa, a wręcz przeciwnie. O swoje cztery kąty dbał z pedantyczną dokładnością. Często sprzątał i konserwował już i tak zniszczone rzeczy, takie jak zabytkowe meble.

Dzień Kazimierza rozpoczął się standardowo: śniadanie, suplementacja, poranna toaleta i chwila z prasą. Na stoliku leżały starannie przygotowane ubiegłego dnia ubrania, rzecz jasna poskładane w kostkę. Po włożeniu znoszonych, lecz napastowanych oxfordów mężczyzna był prawie gotowy do wyjścia... prawie. Ostatnim, najzmudniejszym i zniechęcającym przez Kazimierza etapem poprzedzającym opuszczenie czterech ścian było sprawdzenie całej kawalerki. Założenie brzmiało mniej więcej tak: „Dopóki jakiś wewnętrzny niepokój nie zniknie, dopóty nie wyjdę”. Proces w teorii trwał zaledwie kilka bądź kilkanaście minut, lecz w praktyce dłużył się niemiłosiernie. Czas wtedy płynął jak gdyby wolniej. Główny bohater po kolei obchodził kuchnię, salon i łazienkę, dokładnie doglądając każdy zakamarek. Z czasem zaczynał mówić na głos, mając jednocześnie nadzieję, że pomoże mu to w uświadomieniu sobie myśli: „Tak, wszystko jest dobrze, nic się nie stanie, mogę wychodzić”.

– Gaz: wyłączony, woda: zakręcona, Filemon: na miejscu, miseczka: pełna, świeczki: zgaszone, okna: zamknięte – powtarzał nerwowo Kazimierz. W pewnej chwili mężczyznę oblał zimny pot. W prawdzie nie było to coś nadzwyczajnego, iż na przestrzeni całego życia zdążył już przyzwycząić się do tego stanu, natomiast za każdym razem doskwierał on tak samo intensywnie. Kiedy po kilkunastu minutach walki z samym sobą Kazimierzowi udało się wyjść z mieszkania, przekręcił klucz trzy razy w lewo i odszedł,

ale nie na długo. Wrócił jeszcze kilka razy, aby upewnić się, że odpowiednio mocno pociągnął za klamkę, którą w przeszłości zdołał już w taki sposób wyrwać. Wreszcie niewytłumaczalna siła odpuściła, a Kazimierz pokonywał kolejne stopnie, zmierzając do wyjścia z budynku. Klatka schodowa nie grzeszyła pięknnością, nowością i luksusem. Można powiedzieć, że było proporcjonalnie odwrotnie. Obskurne ściany, brud i szczury przemykające między nogami, jakby się ścigały. Wąsowski szedł w ciszy, do nikogo nie zagadywał, a jego głowa skierowana była ku dołowi. Zastanawiał się: „Mam depresję, jestem straconym człowiekiem, moje życie nie ma sensu... A może to zmora wczorajszej libacji i najzwyczajniej w świecie mam kaca?”. Wokół Kazimierza panował ład i porządek. Podobnie można było sklasyfikować jego życie. Wprawdzie żył skromnie, ale miał mieszkanie, samochód i pracę, którą nawet lubił. Problem tkwił w nim samym. Psychika zszargana niespełnioną miłością i porażką związaną z karierą aktorską była tylko namiastką niepowodzeń Wąsowskiego. Kazimierz wszedł do pobliskiej piekarni, wyciągnął z kieszeni zmietolony banknot i kupił prowiant do pracy.

Kilka godzin później główny bohater ponownie wyszedł z domu (oczywiście powtarzając nieznośną procedurę sprawdzania mieszkania) i wsiadł do auta, którym pojechał do fabryki. Miejsce to jeszcze dekadę wcześniej tętniło życiem, a w zakładzie pracowało ponad pięćdziesiąt osób. Po śmierci najlepszego przyjaciela i zarazem współpracownika Kazimierza – Ziemowita Glinki – coś się zmieniło... na gorsze. Przedsiębiorstwo straciło wigor, firma wpadła w problemy finansowe, a pracownicy zaczęli się masowo zwalniać. Dziesięć lat później placówka zupełnie nie przypominała swojej pierwotnej wersji, wyglądała, jakby była opuszczona: stare maszyny, niewyremontowane wnętrza, stopy śmieci i miejscami powybijane okna. Nic nie wskazywało na to, że ten dyżur będzie dla Wąsowskiego przełomowy. Mężczyzna tradycyjnie spędzał większość czasu w budce; czytał gazety, pił herbatę, oglądał telewizję i pochłaniał kolejne strony książki, przeplatając te czynności z obchodzeniem całego budynku. O trzeciej w nocy ponownie wziął w rękę latarkę i starą pałkę teleskopową, a do kieszeni wrzucił gaz pieprzowy. Kazimierz obchodził wszystkie pomieszczenia. Jego postawa perfekcjonisty w znaczny sposób

przekładała się na pracę. Mężczyzna podchodził do niej bardzo skrupulatnie i dokładnie, tym bardziej że polegała ona na sprawdzaniu. W pewnym momencie, kiedy Wąsowski miał już wracać do stróżówki, coś przykuło jego uwagę. Wówczas znajdował się w zapomnianym składziku. Po chwili jego znużony wzrok zatrzymał się na białym kartonie z kasetami wideo. Kazimierz zaciekawiony zawartością pudełka podszedł bliżej i zaczął szperać w środku, pokładając nadzieję w tym, że znajdzie jakiś ciekawy tytuł filmowy. Takowy znalazł, nawet kilka. Gdy odchodził, jego kurtka przypadkowo zahaczyła o jedną z kaset. Mężczyzna odczepił rzecz i ponownie umieścił ją na swoim miejscu. Po pięciu minutach Wąsowski ciekawym znalezisk chciał wyświetlić produkcje na telewizorze, jednakże nie było to możliwe z powodu uszkodzenia kaset. Zrezygnowany Kazimierz wrócił więc do rozwiązywania krzyżówki w gazecie. Po jakimś czasie zniecierpliwiony pomyślał o sytuacji sprzed kilkudziesięciu minut, gdy jakaś kaseeta z podpisem Z. G. 10 zaczepiła mu się o kurtkę.

– Z. G. 10, co to może oznaczać? Przecież nie jest to tytuł żadnego filmu ani nie było nigdy wcześniej produkcji o takiej nazwie... – szeptał do siebie mężczyzna.

Ostatecznie Kazimierz nie znalazł wystarczającej motywacji, aby wrócić do magazynu tamtego wieczoru. Następnego dnia po inspekcji powtórnie zawitał do enigmatycznego pomieszczenia i tym razem zabrał ze sobą znalezioną dzień wcześniej kasetę z tajemniczym podpisem. Mężczyzna żwawym krokiem udał się do budki, gdzie po chwili wyświetlił zawartość taśmy. Nagranie przedstawiało niewyraźną sylwetkę (prawdopodobnie mężczyzny), która znajdowała się w zaciemnionym miejscu. Postać wydawała się bardzo zdenerwowana i zestresowana.

– Oni wiedzą, że ja wiem. Oni mnie zniszczą! To koniec. Znajdą mnie! Dziesięć lat... Co dziesięć lat! Wracają co dziesięć... – histerycznie szeptala postać z nagrania.

Dalsza część filmu się urwała. Główny bohater był złęczony, a jego serce zaczęło gwałtownie bić. Kazimierz rozejrzał się jeszcze kilkakrotnie wokół siebie i upewnił, że drzwi na pewno są zamknięte.

Przerażająca sytuacja ciągnęła się za Kazimierzem przez kilka kolejnych dni. Mężczyzna był sparaliżowany na samą myśl o tym, że musi zrobić rutynowy obchód. Wąsowski nigdy wcześniej nie zwracał uwagi na rozmaite przedmioty znajdujące się w fabryce, wychodząc z założenia, że to jakieś rzeczy potrzebne w przeszłości do produkcji lub prywatne graty pracowników. Pewien dzień okazał się szczególnie obfity w ciekawe znaleziska, na które Wąsowski wyjątkowo zwracał uwagę podczas przeczesywania kolejnych zaułków zakładu. Po powrocie z jednego patrolu na stole w stróżówce leżały już: świece woskowe, artykuły okultystyczne i białe zniszczone szaty. W mężczyźnie natomiast największe zainteresowanie wzbudzało obejrzone kilka dni wcześniej nagranie. Nie mógł zrozumieć przekazu płynącego ze słów postaci. Kazimierz myślał, starał się dojść do prawdy, aż któregoś dnia doznał olśnienia.

– „Z. G. 10”, przecież to inicjały Ziemowita! No tak: Ziemowit Glinka! Teraz wszystko się zgadza! Tylko co oznacza ta dziesiątka...? – mówił do siebie rozemocjonowany.

Główny bohater postanowił po raz kolejny odtworzyć intrygujące nagranie.

– „Dziesięć lat...” – przytoczył wypowiedź postaci Wąsowski.

Niedługo, bo trzy dni później, przypadała dziesiąta rocznica śmierci Ziemowita Glinki. Kazimierz wciąż łączył kropki, aż z nagłą pomyślał: „Inicjały Ziemka, dziesięć lat, rocznica śmierci i... te przedmioty!”

Trzy dni później bohater standardowo pojawił się w fabryce około dwudziestej. Mimo iż był to rutynowy dzień, powietrze wydawało się cięższe, a atmosfera gęsta. Wyjątkowość tego dnia potęgowały wcześniejsze sytuacje związane ze znaleziskami w zakładzie. Kazimierz czuł czyjąś obecność, zaś myślami nie odchodził od najlepszego przyjaciela, który zmarł dekadę wcześniej. Około trzeciej w nocy dzwonek ustawiony na małym stoliku obok kanapy poinformował Wąsowskiego, że czas na kolejną inspekcję. Mężczyzna jak zawsze zaopatrzył się w potrzebne przedmioty do ewentualnej samoobrony i wyszedł z budki. Kiedy zapuścił się w głąb fabryki i przepatrywał ostatnie pomieszczenia, usłyszał stłumione głosy. Kazimierz zamarł – nigdy nie zdarzyła mu się podobna sytuacja. Mimo braku szczególnych zabezpie-

czeń nikt przedtem nawet nie odważył się wejść do środka fabryki (być może z uwagi na to, że budynek był oddalony od miasta o cztery kilometry). Tak czy inaczej – wcześniej nie było takiej sytuacji. Mężczyzna momentalnie udał się do pobliskiego pomieszczenia i zatrzasnął drzwi. Był w kompletnej rozsypance i nie wiedział, co zrobić. Po kilku minutach grozy uświadomił sobie, że właśnie po to tu jest, że wypędzenie niechcianych gości to jego obowiązek. Kazimierz w tamtym momencie nawet nie pomyślał o tym, aby wrócić do stróżówki i wezwać pomoc. Po chwili namysłu i zdobyciu odrobiny odwagi mężczyzna wyszedł z ukrycia i podązał za słyszczanymi głosami. Doszedł do drzwi pokoju, z którego dobiegały mrozące krew w żyłach odgłosy, przyłożył twarz do klamki i spoglądał przez dziurkę od klucza, mając nadzieję, że dostrzeże coś więcej i szybciej, zanim będzie za późno... W środku na podłodze stały rozpalone świece dające ciepłe delikatne światło, a wokół nich były postacie ubrane w białe szaty. Wszystko wskazywało na jedno – w fabryce odbywało się tajne spotkanie sekty okultystycznej. Kazimierz kompletnie nie wiedział, co zrobić, a jego serce waliło jak oszalałe. W pewnym momencie zdecydował się lekko szturchnąć drzwi, aby je uchylić i zobaczyć ciut więcej. Na jego nieszczęście kurz pokrywający klamkę wywołał niekontrolowane kichnięcie. Od tamtej chwili uczestnicy tajnego spotkania wiedzieli, że nie są w fabryce sami. Wąsowski bez zawahania zaczął uciekać. Przed pierwszym zrywem zdążył dostrzec jeszcze coś, co przypominało ciało, jak gdyby było składane w formie ofiary.

– Stój! I tak jesteś już martwy! – krzyczały postacie, goniąc głównego bohatera.

– Ludzie, uspokójcie się, porozmawiajmy! – zdążył wydukać Kazimierz uciekając najszybciej jak mógł.

Jedynie spryt i znajomość fabryki jak własnej kieszeni umożliwiły Wąsowskiemu sprawne zniknięcie z pola widzenia oprawców.

Mężczyzna naturalnie nie spał tej nocy, niekoniecznie z powodu odbywania nocnej zmiany. Z samego rana udał się na pobliski komisariat milicji. Na miejscu przedłożył niezbędne dowody i opowiedział całą abstrakcyjną historię. Wtedy był już prawie pewny, że kwestia niewyjaśnionej śmierci

Ziemowita Glinki leży po stronie sekty realizującej swoje obrzędy równo co dziesięć lat.

Kilka miesięcy później sprawa obiegła całą Polskę, a podejrzania Kazimierza znalazły potwierdzenie w śledztwie milicji. Tak – Ziemowit Glinka, którego śmierć była nierozwiązaną zagadką, został zamordowany przez bliżej nieznaną grupę członków sekty okultystycznej. Na domiar złego ciało znalezione w jeziorze nie należało do Ziemowita – doszło do pomyłki, a mężczyzna prawdopodobnie został złożony w ofierze podczas spotkania podobnego do tego, jakie na własne oczy zobaczył główny bohater.

Epilog

Kazimierz Wąsowski w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku po przejściu na emeryturę wyjechał w Bieszczady. Sześćdziesięciosześcioletni mężczyzna szukał tam wyciszenia i esencji spokojnej starości. U schyłku życia obudziła się w nim pasja do tworzenia utworów literackich. W zaciszu górskiej natury postanowił rozpocząć pracę nad książką, a inspiracją do napisania fabuły była jego historia związana z tragiczną śmiercią przyjaciela. Wąsowski niestety nigdy nie zbierał środków wystarczających na to, aby wydać dzieło. Główny bohater nieoczekiwanie zmarł na udar, przeżywszy sześćdziesiąt osiem lat. Z upływem czasu dorobek artystyczny został zauważony przez lokalne media, dzięki którym udało się zebrać środki na wydanie lektury. Nietrudno się domyślić, że była ona dopracowana od pierwszej do ostatniej strony, zupełnie tak, jak wszystko, za co zabierał się Wąsowski. Niedługo po premierze książka zyskała popularność w Polsce, a gdy przetłumaczono ją na język angielski, stała się bestsellerem poza granicami kraju. Historia Kazimierza Wąsowskiego pokazuje, jak życie potrafi być nieprzewidywalne, niezależnie od wieku czy sytuacji życiowej.

Dwa miesiące niewoli

Nazywam się Alice Martens. Mam osiemnaście lat, blond włosy i jasnoniebieskie oczy, które przyciągają uwagę. Od zawsze byłam pilną uczennicą, rzadko sprawiałam jakiegokolwiek problemy. Moi rodzice są dobrze wykształceni i mają stabilną pracę, a to dawało mi szansę na rozwój i spełnianie moich pasji.

Mam trójkę rodzeństwa – dwie młodsze siostry i starszego brata. W domu czasami bywało głośno i chaotycznie, ale zawsze czułam, że nasze więzi rodzinne są silne mimo częstych kłótni o drobnostki. W wolnym czasie pracowałam jako opiekunka dla dzieci – lubiłam troszczyć się o innych. Od pewnego czasu zaczęły interesować mnie sprawy kryminalne. Fascynowała mnie ludzka psychika, motywy i to, co popycha ludzi do popełnienia zbrodni. Niewyjaśnione zagadki budziły moją ciekawość i pragnienie odkrywania prawdy. Przyczyniło się to do tego, że mam bardzo dużą wiedzę na temat tego, jak powinno się postąpić w niebezpiecznych sytuacjach. Zawsze starałam się mieć w torebce coś do samoobrony, choć miałam nadzieję, że nie będę musiała tego użyć, ponieważ porwanie było moim największym lękiem. Marzyłam o tym, by pewnego dnia rozwiązać własną zagadkę, nie zdając sobie sprawy, że wkrótce stanie się to moją rzeczywistością.

Była złocista jesień, dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze, przez większość dnia panował mrok. Pewnego piątkowego popołudnia dostałam telefon od Marty – kobiety, której dziećmi regularnie się opiekowałam. Zadzwoiła do mnie z prośbą, czy jutro będę mogła zająć się jej pociechami, podczas gdy ona wraz z mężem wybierze się na firmową imprezę. Od razu się zgodziłam, ponieważ nie był to pierwszy raz, gdy podjęłam się takiej pracy.

Dzień zaczął się jak każdy inny: wstałam rano, zjadłam śniadanie i zostawiłam na lodówce kartkę z informacją dla rodziców o moich planach na dzisiejszy dzień i o tym, że wrócę późno.

Wzięłam auto i o dwudziestej byłam już na miejscu. Przez pierwsze dwie godziny bawiłam się z dziećmi oraz wspólnie oglądaliśmy film. Po kolacji, którą im przygotowałam, poszłam ułożyć je do snu, i tak o północy miałam czas już tylko dla siebie. Spędziłam go na kanapie, oglądając dalszą część filmu. W pewnym momencie dopadło mnie zmęczenie i zasnęłam. O drugiej nad ranem obudził mnie dzwonek do drzwi, zaspana i przestraszona tym dźwiękiem, wstałam i spojrzałam przez judasz. Okazało się, że była to Marta i jej mąż, którzy właśnie wrócili z imprezy. Dostałam od nich zapłatę i ruszyłam do domu.

Droga, którą musiałam jechać, zajmowała mi zawsze około czterdziestu minut i prowadziła przez ciemny las. Po przejechaniu połowy trasy mój samochód zaczął nieoczekiwanie zwalniać, wydając przy tym dziwne dźwięki. Postanowiłam zatrzymać się i od nowa uruchomić pojazd. Niestety mimo wielu prób auto nie odpaliło. Zdecydowałam się jak najszybciej zadzwonić do rodziców, aby sprowadzili dla mnie pomoc. Przez mojego pecha nie udało się to, ponieważ w lesie nie było zasięgu. Od razu w mojej głowie zaczęły pojawiać się najgorsze scenariusze, gdyż znajdowałam się pośród ciemnych drzew. W tamtej chwili wszystko wydawało mi się bardziej straszne: szum spadających liści czy dźwięk mocnego wiatru, który piszczał mi w uszach. Zastanawiałam się, co powinnam zrobić w tej sytuacji. „Aby dotrzeć do cywilizacji, pieszo musiałabym iść ponad dwie godziny”, pomyślałam. Wizja samotnej drogi budziła we mnie niepokój. Pełna przerażenia, postanowiłam siedzieć w zamkniętym aucie i czekać na jakąkolwiek pomoc.

Po niespełna godzinie beczynnego czekania, gdy na zewnątrz nadal panował mrok, w oddali zauważyłam mocne światła zbliżającego się auta. Pojazd bardzo gwałtownie zatrzymał się, wydając przy tym głośny pisk opon. Był to niebieski ford F150, na którego pace znajdowało się pełno grubych lin i ostrych narzędzi – zmartwiło mnie to.

Z auta wyszedł mężczyzna o ciemnych oczach emanujących inteligencją, którego spojrzenie przykuwało uwagę. Jego twarz odzwierciedlała głęboka

mądrość, a jakieś sto osiemdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu nada-
wało mu imponującą prezentację. Zauważyłam, że zmierza w moją stronę.
W tym momencie ucieszyłam się, że w końcu ktoś jest w stanie mi pomóc, ale
jednocześnie naszła mnie przerażająca myśl o byciu samej w ciemnym lesie
z obcym mężczyzną, bez żadnych szans na ucieczkę w niebezpiecznej sytuacji.

– Co się stało? – spytał nieznajomy.

– Popsuło mi się auto, a nie mam zasięgu w telefonie, aby sprowadzić
pomoc – odpowiedziałam.

– Zaraz temu zaradzimy. Masz szczęście, że mnie spotkałaś – odpowied-
ział z uśmiechem i oddalił się, idąc po potrzebne narzędzia.

Gdy grzebał przez dłuższy czas przy silniku mojego samochodu, nieświa-
doma tego, co za chwilę się wydarzy, podeszłam do niego, aby spytać, czy da
się z tym coś zrobić.

Pamiętam dokładnie moment, gdy mężczyzna niespodziewanie się od-
wrócił, gwałtownie łapiąc mnie za nadgarstki i próbując wciągnąć do swojego
auta. Sparalizowana strachem próbowałam się bronić, krzyczałam i wyrywa-
łam się. Niestety jego siła przeważała nad moją, wiedziałam, że nie mam z nim
żadnych szans, mimo to nie poddawałam się. Po kilku minutach szarpania się
zrzuciłam z nogi prawy but i dotykałam każdej możliwej powierzchni w sa-
mochodzie, aby zostawić po sobie jakikolwiek ślad oraz odciski palców. Była
to ostatnia rzecz, którą dobrze pamiętam, ponieważ napastnik przyłożył mi
do nosa materiał nasączony nieznaną mi wtedy chemią – po krótkiej chwili
byłam już nieprzytomna. Od tego momentu zaczęła się moja walka o życie.

Pierwszy dzień w niewoli

Obudziłam się kolejnego dnia w ciemnym pokoju, brudna i w podartym
ubraniu. Pomieszczenie było zimne i pozbawione jakiegokolwiek duszy. Ścia-
ny pokrywała stara, zniszczona tapeta i zacieki wilgoci. Jedyne okno było
zabezpieczone metalową kratą tak gęstą, że szyba nie przepuszczała pro-
mieni światła z zewnątrz. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach
stęchlizny. Półmrok sprawiał, że nie potrafiłam rozpoznać, gdzie kończy się
podłoga, a zaczyna sufit, jakby wszystko miało zlewać się w jedną całość. Cały

pokój był pogrążony w martwej ciszy, zdominowanej przez pustkę, która pochłaniała każdy promień nadziei.

Przerażona, chciałam wstać i znaleźć wyjście, ale w tej chwili zdałam sobie sprawę, że jestem przykuta do ściany masywnymi łańcuchami. To wszystko wydawało się nierealne, całe moje ciało drżało, a myśli były dziwnie puste. Przez wiele godzin krzyczałam i wołałam o pomoc, niestety nie przyniosło to żadnych skutków. Każda chwila spędzona w tym pokoju dłużyła się niemiłosiernie. Byłam strasznie wycieńczona, głód dawał o sobie znać. Przy brudnym materacu stała miska z wodą jak dla psa – gdy tylko się zorientowałam, od razu się z niej napiłam, zostawiając trochę wody na kolejne dni. Wiedziałam, że nie uda mi się szybko stąd wydostać. Bezczylnie czekałam, aż coś się wydarzy.

Dруги dzień niewoli

Minęła pierwsza noc. Czas przestał mieć znaczenie. Nie wiedziałam, czy to wciąż piątek, czy środa. Płacząc, zadawałam sobie pytania, dlaczego coś takiego mi się przytrafiło i czy uda mi się wrócić do domu, do kochającej rodziny. W pewnym momencie usłyszałam, że ktoś się zbliża. Masywne metalowe drzwi były zabezpieczone ogromną liczbą zamków. Dźwięk odbezpieczenia każdego z nich budził grozę. Wzięłam głęboki oddech – wiedziałam, że zaraz zobaczę oprawcę. Przed moimi oczami ukazał się ten sam mężczyzna, który pomagał mi przy naprawie auta. Jego widok sprawił, że przypomniałam sobie wszystko, co się wydarzyło.

– Dlaczego mi to robisz? Wypuść mnie stąd! – krzyknęłam.

– Uspokój się, teraz będziemy żyć szczęśliwie. Jeżeli będziesz grzeczna, nic ci się nie stanie – odpowiedział porywacz.

Wychodząc, zostawił mi gofry z syropem klonowym, które od razu zjadłam. Po chwili przemyśleń wydawało mi się dziwne to, że niczego ode mnie nie chciał. Patrzył tylko na mnie przerażającym wzrokiem.

Kolejne dni niewoli

Dni mijały. Wydrapywałam paznokciami w tapecie kreski oznaczające liczbę dni, które tam spędziłam. Początkowo je liczyłam, ale gdy przekroczyłam

dwadzieścia – przestałam. Thomas, bo tak przedstawił mi się porywacz, codziennie przychodził, głaskał mnie po policzku i mówił, że mnie kocha. Zaczęłam go dokładnie obserwować. Z jego zachowania wywnioskowałam, że jest bardzo samotnym i zaburzonym psychicznie człowiekiem, mającym wiele słabych punktów, które można wykorzystać przeciwko niemu. Był bardzo emocjonalny i nie chciał zrobić mi krzywdy. Wiedziałam, że aby stąd uciec, muszę zdobyć jego zaufanie. Dowiedziałam się, co lubi słyszeć i jak chce być traktowany.

Gdy mnie odwiedzał, starałam się być dla niego miła, grałam z nim w różne gry planszowe i odwzajemniałam jego uczucia wobec mnie, choć w środku czułam do niego obrzydzenie.

Dni spędzone w tym okropnym miejscu dłużyły się. Musiałam zacząć działać, aby pewnego dnia się uwolnić. Dlatego po miesiącu spytałam go, czy może wypuścić mnie z pokoju, abym obejrzała dom, ponieważ zmieniłam zdanie i postanowiłam, że nie chcę wracać do rodziny. Thomas ucieszył się, że jestem chętna prowadzić z nim wspólne życie i zgodził się bez dłuższego zastanowienia. Wszystko zaczęło iść po mojej myśli, gdyż uległ moim manipulacjom. Z czasem zaczęłam dostawać coraz więcej przywilejów i już swobodnie mogłam poruszać się po domu oraz na zewnątrz pod jego nadzorem. A w ten sposób mogłam dokładnie obmyślić plan ucieczki.

Mój pierwszy pomysł zakładał zabicie mężczyzny, ponieważ miałam łatwy dostęp do ostrych noży, ale moje sumienie mimo strasznej sytuacji, w której się znajdowałam, nie pozwalało mi na skrzywdzenie drugiego człowieka. Dlatego musiałam zmienić strategię. Postanowiłam poprosić Thomasa o psa, który miał mi pomóc się uwolnić.

Tydzień później poinformował mnie, że musi coś załatwić i wróci za dwie godziny. Odczekałam trzydzieści minut, aby mieć pewność, że naprawdę pojechał i nie chce tylko sprawdzić mojej lojalności wobec niego. Po tym czasie podjęłam pierwszą próbę uwolnienia się. Wyjście przez okno było niemożliwe, ponieważ było ono zabezpieczone kratami od zewnątrz. Próbowałam wyważyć drzwi wejściowe, niestety nie miałam tyle siły. Zdezorientowana zaczęłam biegać po domu, szukając sama nie wiedząc czego. Nagle w kuchennej

szafce znalazłam telefon – wtedy myślałam, że mój koszmar właśnie się skończył i wystarczyło zadzwonić na policję. Niestety zorientowałam się, że był rozładowany. Nie udało mi się znaleźć ładowarki, bo usłyszałam dźwięk otwierania zamka drzwi. Szybko pobiegłam do salonu, usiadłam na kanapie i włączyłam telewizor jak gdyby nigdy nic. Wtedy wszedł Thomas z zakupami, gdyż nasze zapasy jedzenia skończyły się już jakiś czas temu.

– Zapomniałem o jednej rzeczy. Mam nadzieję, że się ucieszysz – powiedział Thomas i poszedł po coś do auta.

Gdy wrócił, nie mogłam uwierzyć własnym oczom: przywiózł ze sobą małego puchatego pieska. Byłam bardzo szczęśliwa, ponieważ za jakiś czas mogłam podjąć kolejną próbę ucieczki, w której szczeniak miał mi pomóc.

Trzy dni później, gdy Thomas zasnął, napisałam krótki liścik.

Nazywam się Alice Mertens, zostałam porwana dwa miesiące temu. Proszę o pomoc, znajduję się w domu, w którym okna są zabezpieczone kratami, a na podjeździe stoi niebieski ford z paką. Wezwijcie pomoc!

Po drzemce porywacza spytałam go, czy mogę wyjść z Hope na spacer – nazwałam tak szczeniaka, ponieważ stał się on moją jedyną nadzieją. Gdy wyszłam na zewnątrz, wyciągnęłam ostrożnie z kieszeni liścik i szybko przyczepiłam go do obroży pieska. Gdy wyczułam odpowiedni moment, rzuciłam małą piłeczkę przez ogrodzenie domu. Hope od razu pobiegł za nią i już nie wrócił – taki był mój plan. Po odczekaniu kilku minut zapłakana pobiegłam do Thomasa i powiedziałam, że pies uciekł. Zamknął mnie w domu i powiedział, że pójdzie go poszukać. Miałam nadzieję, że go nie znajdzie, a Hope trafi na osobę, która zauważy i przeczyta moją wiadomość.

Minęły dwa dni, a ja zaczęłam mieć wątpliwości, czy dobrze postanowiłam. Gdyby plan się nie powiódł, to by oznaczało, że straciłam jedyne prawdziwego przyjaciela, który umiłował mi życie w niewoli.

Cud wydarzył się kolejnego wieczora. Gdy oglądaliśmy film, niespodziewanie usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Thomas był bardzo tym zdenerwowany, w jego oczach ujrzałam strach. W nerwach nakrzyczał na mnie i kazał mi szybko schować się w szafie, ponieważ bał się, że cała prawda wyjdzie na jaw. Moje serce zaczęło bić mocniej, ale nie ze strachu, a z ulgi. Niespodziewanymi

gośćmi byli funkcjonariusze policji, którzy tego dnia otrzymali zgłoszenie od osoby, która znalazła biegającego po dzielnicy Hope z liścikiem. Thomas nie miał już żadnej drogi ucieczki, dobrowolnie oddał się w ręce policji, został zakuty w kajdanki i zabrany do radiowozu. W pewnej chwili usłyszałam spokojny głos kobiety: „Alice, gdzie jesteś? Pomożemy ci!” – zapewniający, że wszystko będzie w porządku. Od razu wybiegłam z szafy, wiedząc, że mój koszmar właśnie dobiegł końca.

Po powrocie do domu byłam szczęśliwa, że w końcu jestem wolna, ale mimo to nosiłam w sobie ogromną traumę, która nie zniknęła wraz z opuszczeniem miejsca, w którym byłam przetrzymywana. Każdy dźwięk, każdy cień przypominał mi o czasie spędzonym w tym mrocznym miejscu. Wiedziałam, że powrót do normalnego życia oraz zaufanie obcym mężczyznom będzie długim i trudnym procesem. Nadzieję dawała mi obecność bliskich, profesjonalistów oraz Hope, który przyczynił się do ocalenia mi życia.

Podczas procesu skazania Thomasa de Smet dowiedziałam się, że był on osobą o skłonnościach psychopatycznych, który nie mógł poradzić sobie z samotnością po samobójstwie swojej dziewczyny, a ja byłam jego ofiarą, w której widział swoją ukochaną i w ten sposób tworząc ze mną swoją przyszłość, radził sobie z żalobą.

Dziś, dokładnie rok od mojego porwania, nadal odczuwam negatywne skutki tego wydarzenia. Pogrzebanie bolesnych wspomnień nie było łatwe. Mimo to staram się cieszyć z życia i opowiadając swoją historię, wspierać osoby, które mają podobne doświadczenia jak ja, i dawać im nadzieję, że warto walczyć o siebie i nigdy się nie poddawać.

W kręgu narcyzmu

Oliwia Lewandowska jest studentką pierwszego roku Uniwersytetu Warszawskiego. Zaczęła studiować dziennikarstwo ze względu na dużą otwartość do ludzi i chęci poznania świata. Choć miała za sobą bolesne przygody miłosne, nie straciła całkowicie wiary w ludzi. Pozostała osobą życzliwą dla innych, choć w jej sercu kryło się już wiele bolesnych ran. Za każdym razem, gdy związek kończył się rozczarowaniem i wykorzystywaniem ze strony partnerów, dziewczyna zmagala się utratą kontroli nad własnym życiem. Była to prawdziwa szkoła bólu, przez którą musiała przejść, szukając poczucia bezpieczeństwa. Miłość kojarzyła jej się z tragedią, lecz mimo wszystko głęboko w sobie pragnęła znów doświadczać tego magicznego uczucia, mając nadzieję, że może tym razem będzie inaczej. Po rozpoczęciu nauki na uczelni i poznaniu nowego otoczenia obiecała sobie, że wreszcie skupi się wyłącznie na swoim dobru, ponieważ nie chciała przeżywać tego, co miało miejsce w ostatnich latach jej licealnego życia. Nie miała chęci ponownie budować nowej relacji miłosnej, bała się kolejnego zawodu i rozczarowania.

PAŹDZIERNIK

W klubie muzycznym Niebo organizowano imprezę przebieraną z okazji Halloween. Oliwia ze swoimi najlepszymi koleżankami – Klaudią i Anią – wybrały się wspólnie do tego miejsca. Stojąc w kolejce, obiecały sobie, że przez całą noc będą się trzymały razem i dbały o swoje bezpieczeństwo. Powiesiły kurtki w szatni i poszły do baru, żeby kupić drinki z alkoholem. Usiadły na kanapie, wypily napoje i zaczęły tańczyć na parkiecie do swoich ulubionych utworów muzycznych. Nagle Oliwka potknęła się i wpadła na jakiegoś chłopaka. Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Na pierwszy rzut oka

wydawał się bardzo przystojny i przede wszystkim przyjazny. Dziewczyna jednak starała się do niego nie zbliżyć, ponieważ bała się poznawać nowych facetów, w szczególności w klubie. On jednak bardzo nalegał, żeby wyszła z nim przed wejście, bo chciał ją bliżej poznać. Po długim przekomarzaniu się powiedziała koleżankom, z którymi przyszła, że zaraz do nich wróci, tylko odbędzie krótką rozmowę na dworze. Zwykle była nieufna wobec obcych, ale coś w jego spojrzeniu oraz pewności siebie sprawiło, że nie potrafiła po prostu go zostawić i odejść bez słowa. Choć w głowie miała mnóstwo sprzecznych myśli, zgodziła się wyjść z nim na papierosa.

– Teraz możemy porozmawiać na spokojnie. Jak się nazywasz? Ile masz lat? Często przychodzisz do tego miejsca? – zadawał z zaciekawieniem niekończące się pytania.

– Nazywam się Oliwia, mam osiemnaście lat i... tak w sumie dlaczego tak bardzo interesujesz się moją osobą? Kompletnie się nie znamy – odpowiedziała z pretensjami.

– O, widzę, że panienka ma charakterek. Tak serio to bardzo mi się spodobałaś, nigdy nie widziałem piękniejszej dziewczyny. Jestem w tym klubie co tydzień, ale żadna inna nie zwróciła mojej uwagi. Muszę przyznać, że wyróżniasz się w tłumie. Rzadko ktoś mnie tak zaskakuje, ale czuję, że coś jest w tobie niezwykłego. Oj, przepraszam, nie przedstawiłem się. Mam na imię Szymon. Wychodzi na to, że jestem dwa lata starszy od ciebie, zajmuję się sportami walki i zdaję sobie sprawę, że każda chciałaby być teraz na twoim miejscu. Widzisz, jakie cię szczęście spotkało?

– Słucham? – Przerwała mu.

Oliwia spojrzała na niego uważniej, z każdą chwilą czując, jak rośnie jej niepokój. Jego pewność siebie była wręcz przytłaczająca, a słowa o tym, jak każda dziewczyna chciałaby być na jej miejscu, sprawiły, że poczuła się przedmiotowo.

To nie była rozmowa, której się spodziewała, dlatego wstała i wróciła do klubu. Opowiedziała wszystko ze szczegółami Klaudii i Ani. Dziewczyny postanowiły wrócić do domów i zakończyć imprezę. Następnego dnia, jeszcze bardzo zaspana po zabawie, Oliwka zobaczyła, że Szymon

napisał do niej na portalu społecznościowym. Początkowo nie chciała mu odpisywać, ale coś ją podkusiło do podjęcia innej decyzji. Wymieniali wiadomości przez cały dzień i, o dziwo, nie wydawał się już taki arogancki jak wczoraj. Żalowała, że tak pochopnie go oceniła i nagadała przyjaciółkom same złe rzeczy.

LISTOPAD

Pisali ze sobą codziennie, przez całe dni i noce, na wszystkie tematy, jakie tylko przyszły im do głowy, aż w końcu Szymek zaproponował jej randkę. Oliwka, o dziwo, nie protestowała i się zgodziła. Przed spotkaniem bardzo się stresowała, ponieważ chciała wypaść jak najlepiej. Włożyła czarną obcisłą sukienkę i mocno się umalowała. Spotkali się w umówionym miejscu, czyli pod galerią handlową. Przywitali się delikatnym buziakiem, mimo że tak naprawdę się nie znali. Szymon kupił bilety do kina i udali się na film. Gdy chłopak przytulił ją podczas seansu, Oliwia poczuła, jak jej serce bije szybciej. Czuli się z jednej strony wyjątkowo, ale z drugiej niepewnie – przecież nie chciała się z nikim wiązać. Jednak jego obecność była tak intensywna, że nie potrafiła się oprzeć. Oliwia straciła kontrolę nad swoimi emocjami, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Po skończonym filmie poszli na spacer i usiedli na ławce w parku. Wyznali sobie uczucia. Mimo że Szymon traktował ją jak księżniczkę, a każda chwila z nim była jak sen, Oliwia zaczęła się zastanawiać, czy to na pewno miłość. Myślała nad tym, czy naprawdę coś poczuła w tak krótkim czasie, czy może po prostu boi się być sama. Za każdym razem, gdy patrzyła na niego, zapominała o swoich wątpliwościach. Początkowo ukrywała informację o związku przed koleżankami i rodzicami, ponieważ sama nie wiedziała, czy to szczere uczucie. Obawiała się, że bliskie osoby nie zaakceptują tej sytuacji. Relacja pary rozwijała się z dnia na dzień. Chłopak często zaskakiwał ją przepięknymi bukietami kwiatów i bardzo dbał o jej bezpieczeństwo, a ona od samego początku była nim zaślepiona i zapominała o realnym świecie. Wszystko jednak wskazywało na to, że uczucia chłopaka są prawdziwe, a Oliwia w końcu znalazła wymarzoną miłość.

Szymonowi bardzo zależało, żeby jego nowa dziewczyna, Oliwia, przyjechała na święta do jego rodzinnego domu pod Warszawą. Mama organizowała wielką uroczystość wigilijną, na którą zjeżdżała cała rodzina z różnych zakątków Polski. Przez cały tydzień nalegał, żeby Oliwka wszystkich poznała – w końcu chciał, by była częścią jego życia. Zgodziła się i zawitała dwudziestego trzeciego grudnia, gotowa do pomocy w przygotowaniach bożonarodzeniowych. Cały dzień spędzili w kuchni, rozmawiając, śmiejąc się oraz przygotowując wspólnie pierogi z grzybami i barszcz. Oliwia czuła się w tym domu niemal jak we własnym. Wszystko wydawało się idealne.

– Kochana, mówię ci, Szymuś to najwspanialszy chłopak na świecie – mówiła mama Szymona, mieszając zupę. – Cieszę się, że w końcu znalazł sobie taką piękną dziewczynę. Wiesz, ostatnia jego partnerka go zdradzała. Zaczęłam się o niego martwić, bo nie potrafił zbudować stałej relacji. Czasem nawet ze mną nie chciał rozmawiać i zamykał się w sobie.

Oliwia poczuła ciepło na sercu. Była dumna ze swojego chłopaka, który wydawał się naprawdę wyjątkowy w oczach jego mamy. Nic dziwnego – była przekonana, że znalazła kogoś, kto traktuje ją poważnie. Poprosiła ukochanego, żeby przyniósł jej telefon z salonu. Na ekranie wyświetliła się wiadomość od Michała – przyjaciela, z którym studiowała:

„Hej, piękna! Życzę ci wesołych świąt. Szkoda, że nie udało nam się spędzić tego czasu razem, ale baw się dobrze ze swoim chłopem. Buziaki <3”

Szymon przeczytał treść. Jego ciało zaczęło się trząść. Przez chwilę nie mógł uwierzyć, że Michał wysłał taki tekst – zbyt osobisty jak na zwykłego przyjaciela. Był bardzo zazdrosny o tego SMS-a. Oliwia weszła do pokoju, mówiąc do niego:

– Kochanie, dziękuję, że znalazłeś mój telefon.

Szymon jednak zareagował atakiem agresji: zaczął walić pięścią o telewizor, krzyzczeć i wyzywać dziewczynę od najgorszych. Próbowала go uspokoić, on jednak nie potrafił się wyciszyć. Do pokoju wbiegła wystraszona matka, dzięki czemu chłopak trochę ochłonął i zaczął wypytywać, dlaczego ten koleś wysłał takie wiadomości do jego kobiety. Mama zostawiła ich samych,

a dziewczyna wytłumaczyła mu, że Michał to tylko jej kolega, którego poznała na wykładach.

– „Kolega”? – Jego głos podnosił się coraz bardziej. – Oliwia! Przeszłaś kłamać, widzę, co się dzieje. Musisz natychmiast zablokować wszystkich chłopaków, inaczej to koniec! Nie chcę, aby moja dziewczyna miała kontakt z innymi facetami! – krzyczał.

Przeżrana, nie wierzyła, że Szymon wpadł w taki szal. Chciała mu udowodnić, że to właśnie on jest dla niej najważniejszy, dlatego usunęła wszystkie osoby płci męskiej z telefonu. Pogodzili się i następnego dnia zasiedli wspólnie przy wigilijnym stole. Po świątecznej kolacji dziadek Zygmunt, który od dawna trzymał się z dala od alkoholu, razem z wnukiem Szymonem zaczęli otwierać butelki. Nikt oprócz nich nie miał ochoty na picie. Oliwia z przerażeniem patrzyła, jak jej chłopak wypija kolejne kieliszki. Zaczynali już trzecią flaszkę wódki. Kiedy mama Szymona zaczęła mówić o tym, jak jest zachwycona nową dziewczyną syna, młodzieniec ledwo trzymał się na krześle. Nagle wstał, chwiejnym krokiem zbliżył się do stołu i wskazał palcem na matkę. Jego twarz była czerwona od alkoholu.

– Ty jędzo! Zamiast opowiadać takie głupoty, przyniosłabyś kolejną butelkę. Po co mi to wszystko?! Po co mi twoje chwalące słowa o Oliwii?! Dajcie mi wszyscy spokój!

Rodzina spojrzała na niego ze smutkiem, nie wiedząc, co powiedzieć. Chłopak nie mógł zapanować nad sobą, nie potrafił już ukrywać wewnętrznego bólu.

– Zawsze tylko oceniasz każdego, moją poprzednią dziewczynę też uwielbiałaś. Skąd wiesz, czy obecna mnie nie zdradziła? – powiedział pijackim głosem.

Jego złe myśli krążyły przez wczorajszą sytuację z Michałem. Mama nie wiedziała, jak mu pomóc. Oliwia patrzyła na niego ze smutkiem i współczuciem, ale jednocześnie czuła się zagubiona. Przecież nie miała nic wspólnego z lękami, które dręczyły Szymona. Ona naprawdę chciała go wspierać, ale nie umiała dotrzeć do chłopaka. Na drugi dzień Oliwia z nim porozmawiała.

Twierdził, że nic takiego nie powiedział, bo nie pamięta. Osiemnastolatka wróciła do swojego domu, a jej związek trwał, jakby naprawdę nic się nie wydarzyło.

STYCZEŃ

Klaudia przygotowywała się do wymarzonej imprezy z okazji dwudziestych urodzin, dlatego już rozdawała zaproszenia na uniwersytecie. Oliwia i Ania, jako jej najlepsze przyjaciółki, obiecały, że będą przy niej w tym wyjątkowym dniu. Liwia, bo tak mówiły do niej koleżanki, po skończonych wykładach zadzwoniła do Szymona.

– Halo! Skarbie, mamy zaproszenie na urodziny mojej najlepszej koleżanki, które odbędą się za tydzień w sobotę. Potwierdziłam jej naszą obecność. Nie mogę się doczekać, koniecznie musisz poznać moich znajomych! – powiedziała z radością.

– Hej... Niestety będziesz musiała to odwołać – oznajmił Szymon.

– Ha, ha, ha, żartujesz? – Zaśmiała się do słuchawki.

– Nie, widzę się już z kolegą w klubie. Jak chcesz, możesz iść ze mną, ale nie chcę być tam, gdzie mnie nie lubią – odpowiedział z irytacją. Oliwia przez chwilę milczała, próbując ogarnąć sytuację. – Wiem, o co ci chodzi! Będzie Michałek, tak? – Wybuchł nagle, a w jego słowach była wyraźna złość. – No to bądź tam sama. Ja też znajdę sobie towarzystwo u dziewczyn, którym się podobam. Przynajmniej one wolą mnie od swoich koleżanek.

Po tych niemiłych słowach coś w niej pękło. Zaczęła płakać, stojąc na środku korytarza. Rozłączyła się i, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, ruszyła w stronę pobliskiego parku. Zasiadła na ławce, gdzie kiedyś po raz pierwszy wyznała mu swoje uczucia. Chłopak nie mógł się z nią skontaktować, ponieważ nie odbierała telefonu. Intuicja kazała mu pójść w to samo miejsce, w którym obecnie przebywała Oliwia. Zaczęła go przeproszać, że jest taką niedobrą partnerką. On przysunął ją do siebie i objął, mówiąc, że postara się jej wybaczyć. Zdecydowali, że muszą iść na kompromis, żeby uniknąć kolejnych spięć. Dogadali się, że dziewczyna pójdzie na urodziny Klaudii sama, a on spędzi ten wieczór z kolegą w klubie. Szymon przyszedł

w dzień imprezy do domu Oliwki. Przyniósł jej piękne róże i ulubione słodczyce na poprawę humoru. Dziewczyna ucieszyła się z niespodzianki. Cały dzień spędzili wspólnie, śmiejąc się i przytulając. Oliwia zaczęła przygotowywać się na przyjęcie u Klaudii. Miała na sobie krótką czerwoną sukienkę, która doskonale podkreślała jej sylwetkę. Dziewczyna wyglądała jak milion dolarów, choć kreacja mogła się wydawać nieco zbyt odważna jak na taką okazję.

– Możesz zdjąć to i włożyć coś, w czym nie będziesz wyglądać jak prostytutka? – zapytał.

Popatrzyła na niego z poirytowaniem.

– Oj, malutka, nie o to mi chodziło. – Szymon szybko się poprawił, starając się złagodzić swoje słowa. – Po prostu wyglądasz zbyt pięknie, ale jesteś moją dziewczyną i nie chcę, żeby inni chłopcy cię podrywali.

Z jednej strony rozumiała jego obawy, ale z drugiej nie mogła pojąć, dlaczego akurat ona miała być ukarana za to, że czuła się bardzo dobrze.

– Nie, to moja ulubiona sukienka i pójdę w niej. – Odważnie się postawiła.

Zbliżał się wieczór. Taksówka zawiozła Oliwię na salę urodzinową, a Szymona na dyskotekę. Dziewczyna, mimo początkowej ekscytacji, nie mogła się skupić na zabawie. Jej telefon stracił zasięg, a ona nie miała kontaktu z Szymonem. Czuła, że coś jest nie tak. W tym czasie w klubie chłopak po raz kolejny wypił za dużo i nie kontrolował tego, co się działo. Czekając na kolegę, usiadł z obcymi dziewczynami na kanapie i zaczął flirtować. Mówił każdemu, że jest singlem, a tej nocy chce się po prostu dobrze bawić. Zdradził Oliwię z dziewczyną, którą znalazł z widzenia, a która była uważana za dostępną dla każdego faceta. Jego postępowanie było impulsywne, związane z alkoholem i chęcią zaimponowania towarzystwu. Oliwia, nie mogąc skontaktować się z Szymonem, spędziła prawie całą noc, płacząc w toalecie. Czuła, że dzieje się coś złego. Rano wrócili do swoich domów. Szymon zobaczył nieodczytane wiadomości od dziewczyny i zaczął odpisywać. W trakcie przyszło do niego powiadomienie o wiadomości z nieznanego numeru: „Jeśli nie chcesz, żeby to zdjęcie ujrzało światło dzienne, zerwij ze swoją

miłością”. Dołączono również wspomniany obraz, na którym widać, jak całuje się z obcą dziewczyną.

LUTY

Chłopak postanowił, że nigdy się nie przyzna. Skoro tego nie pamiętał, to tak, jakby tego nie było. W końcu czy naprawdę miałby sobie coś przypomnieć, jeśli tego nie chciał? Zaprosił ukochaną do restauracji z okazji walentynek. Spędzili miło czas, jednak gryzło go poczucie winy.

Oliwia po randce pojechała pomóc swojej mamie w zakupach do domu. Chciała napisać do Szymona i zapytać, co słyszał, ponieważ się stęskniła, ale nie mogła, bo zablokował ją na wszystkich portalach społecznościowych. Dziewczyna wpadła w histerię na środku sklepu. Zaczęła panikować, nie wiedziała, dlaczego to zrobił – przecież kilka godzin temu byli na udanym spotkaniu. Próbowwała wszelkimi sposobami skontaktować się z nim, ale bez skutku. Jej przyjaciółki też nie wykazywały chęci pomocy, ponieważ nie akceptowały chłopaka. Kiedy następnego dnia na stronie internetowej klubu pojawiły się zdjęcia z imprezy, na których wyraźnie widać było Szymona z inną dziewczyną, Oliwia poczuła, jakby ziemia znowu się pod nią osunęła. Pojawił się ból i wstyd. Wybuchła płaczem na środku swojego pokoju, a jej dłonie nie mogły przestać drżeć. Bez zastanowienia chwyciła żyletkę z pudełka i przyłożyła ją do skóry. W tym momencie do pokoju weszła mama, niosąc wyprane ubrania. Zauważyła, co się dzieje, i natychmiast doskoczyła do córki, krzycząc z przerażeniem:

– Co ty robisz? – Jej głos pełen był strachu. – Dziecko drogie, zaraz dzwonię po tatę, jedziemy do szpitala. To nie jest normalne!

– Mamo, potrzebuje pomocy. Szymon mnie zdradził, myślałam, że on taki nie jest. Myliłam się! – wypowiedziała te słowa z płaczem.

Wsiadli w samochód i pojechali do szpitala psychiatrycznego. W tym momencie nie było wolnych miejsc. Oliwia sama powiedziała pani w recepcji, że potrzebuje pilnej pomocy specjalisty. Dostała numer do lekarza mającego prywatną praktykę, ale najbliższe terminy były dopiero na marzec. Cały czas płakała i dusiła się z nerwów. Mimo że była zdenerwowana na Szymona, bar-

dzo za nim tęskniła i pragnęła być znowu w jego ramionach, choć wiedziała, że to niemożliwe.

MARZEC

Tego dnia miała się odbyć wizyta u psychiatry. Wychodząc z domu, Oliwia wzięła telefon do ręki i zauważyła powiadomienie o wiadomości na Instagramie: „Hej, wszystko gra?”. Gdy schodziła do auta, przyszła kolejna wiadomość: „Chcesz do mnie wrócić? Błagam. Kocham cię!”. To Szymon ją odblokował i zaczął wysyłać jej wiadomości. Dziewczyna chciała odpisać, ale wiedziała, że to zły pomysł. Postanowiła poradzić się lekarza podczas wizyty. Pojechała tam z mamą, a w poczekalni dostała nową wiadomość, w której Szymon opisał wszystko, co się wydarzyło, oraz uczucia, jakimi ją darzył. Weszła do gabinetu, opisała całą sytuację oraz to, jak postrzegала chłopaka. Pani doktor wyjaśniła, że on choruje na narcyzm – zaburzenie osobowości, które charakteryzuje się nadmiernym poczuciem własnej ważności, pragnieniem stałego podziwu i brakiem empatii wobec innych. W oczach narcyza świat kręci się wokół niego, a relacje traktuje głównie w kategoriach tego, co może z nich wynieść. Gdy zaś spotyka się z krytyką, odrzuceniem lub ignorowaniem jego osoby, może reagować agresją.

– Proszę pani, co mam zrobić? Ja go bardzo kocham i nie chcę go stracić na zawsze – powiedziała Oliwia, wpatrując się w lekarzkę. Pani doktor nie mogła jednoznacznie powiedzieć, jak powinna postąpić w tej sytuacji, ale zapisała jej leki antydepresyjne, mając nadzieję, że pomogą jej dostrzec, iż świat nie jest tylko czarny lub biały. W drodze powrotnej Oliwia, czując wewnętrzny niepokój, odpisała, że chce dać mu drugą szansę. Wiedziała, że Szymon ma poważne zaburzenie, ale nie chciała zostawić go samego z problemem. Po krótkiej przerwie wrócili do siebie. Z czasem dało się zauważyć, że Szymon naprawdę starał się zmienić. Dziewczyna zaczęła wierzyć, że ich związek może znowu być szczęśliwy.

KWIECIEŃ

Na krakowskim stadionie odbywały się zawody karate, w których Szymon brał udział. Oliwia nie mogła jechać z nim, ponieważ miała ciężki tydzień

na uczelni. Chłopak miał do niej pretensje, że nie wspiera go w tak ważnym dniu. Szymon stanął przygotowany do rywalizacji, jednak miał żal do Oliwii i ciężko było mu się skupić na rywalu. Po walce okazało się jednak, że wygrał. W momencie gdy stanął na podium i otrzymał zasłużony puchar, zamiast radości poczuł pustkę.

Mimo że jego ego zostało polectane, coś nie pozwoliło mu czuć euforii. Z każdą chwilą mocniej zdawał sobie sprawę, jak bardzo chciałby, żeby Oliwia była na tym stadionie. Po powrocie do hotelu wysłał do niej wiadomość. „Zdobyłem złoto, ale coś mi tu nie pasuje... Tęsknię”. Zamknął oczy, czekając na odpowiedź, ale wiedział, że nadciąga długa noc pełna wątpliwości. Nagle usłyszał pukanie do drzwi hotelowego pokoju. Podszedł i otworzył je. Ku jego zaskoczeniu w progu stała jego ukochana.

– Oliwia? – zapytał zdziwiony.

– Przepraszam, że cię zawiodłam. Wiem, że ten moment był dla ciebie ważny, ale ten tydzień naprawdę mnie przerósł. Kiedy przeczytałam twoją wiadomość, poczułam się, jakbym cię jeszcze bardziej skrzywdziła.

Jej obecność sprawiła, że coś w nim pękło i się rozpląkał.

– Wygrałem walkę, ale nie czuję się zwycięzcą. Bo to, czego naprawdę chciałem, to żebyś była tam ze mną.

Oliwia uśmiechnęła się lekko. Oboje usiedli obok siebie na łóżku, czując nową bliskość.

– Może te złote medale i puchary nie są wszystkim i warto być po prostu razem – powiedziała.

Szymon pokiwał głową, czując, że w tej chwili, po tym wszystkim, co się wydarzyło, znajdują sposób na to, by wreszcie było dobrze. Choć wciąż nie wszystko było jasne, wiedział jedno – nie był już sam. Chłopak zdał sobie sprawę, że powinien udać się do psychiatry i skorzystać z pomocy. Nie chciał, żeby jego narcystyczne zaburzenie dalej raniło ludzi, których kocha.

Ludzka bezpańskość

Ludzkie życie ma wiele aspektów. Składa się z momentów szczęśliwych, sprzyjających, ale także z następstw tragicznych, smutnych. Droga, którą musimy przebyć, zaczyna się w momencie narodzin, a kończy z lepszą lub gorszą przyczyną śmierci. Duża część społeczeństwa żyje, dorasta w dobrych domach, pełnych kochających się osób – rodziny. Czasami jedna niepotrzebna decyzja kierowana lekkomyślnością jest w stanie doprowadzić do tragicznych skutków. Zastanowić się warto, czy jest sens odrzucenia obecnej sytuacji, stylu życia na poczet czegoś, co pozornie wprowadzi świeżość, poprawę warunków codziennej egzystencji. Niejeden z nas pogrąża się w myślach, rozważając, czy droga, którą podąża, jest słuszna i da to, czego pragniemy. Najbardziej bolesnych doznań w życiu doświadczamy, gdy rozgrywa się rodzinny dramat, dotyczący bezpośrednio nas samych. Najgorsze, co może nas spotkać ze strony osoby, którą kochamy, z którą dzielimy bólączki życia codziennego, to zdrada, kłamstwo, brak szacunku. To tylko niewielki odsetek powodów, przez które życie może rozsypać się na kawałki, a pozbieranie ich i stworzenie od nowa całości zajmie wiele czasu. W celu podania przykładu, znalezienia przypadku takiego upadku wcale nie musimy daleko szukać. Czasami nie jesteśmy nawet świadomi, że taka sytuacja może rozgrywać się obok nas, dwa domy dalej, na tej samej ulicy czy osiedlu. Dzielnice słynące z piękna, miłego sąsiedztwa, nierzadko kryją najwięcej. Doskonale sprawdza się wówczas powiedzenie „Cicha woda brzegi rwie”. Dajmy sobie chwilę, usiądźmy i pomyślimy, czy nasze sąsiedztwo, pożycie i codzienność są takie cudowne.

* * *

Ten dzień, który początkowo miał wyglądać jak każdy inny, okazał się drugoczący. Mariusz nie zdawał sobie sprawy, że to właśnie w tym dniu jego życie diametralnie się zmienia i zapanuje w nim chaos. Wszystko przez jeden błąd, który przekreślił jego dotychczasowe życie.

– Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiliś! – rzuciła z wściekłością w oczach Tatiana. – Zniszczyłeś i zaprzepaścieś te wszystkie lata, które wspólnie przeżyliśmy! Naprawdę to nic dla ciebie nie znaczy? A dzieci? Myślałeś o nich chociaż przez chwilę? Dodatkowo masz mnie za idiotkę, bo byłeś przekonany, że się nie dowiem i będziesz dalej mógł sypiać z nią w naszym łóżku?! Jesteś OBRZYDLIWY.

Mariusz wpatrywał się w żonę wzrokiem przepelnionym obojętnością. Jej słowa nic dla niego nie znaczyły. Zdradzał ją od dawna, ale coraz trudniej było mu się ukrywać. Podejrzenia Tatiany stały się jednak uciążliwe i był świadomy, że pewnego dnia kobieta odkryje prawdę, a jego życie ulegnie zmianie.

– Dobrze wiesz, że zależy mi na dzieciach, kocham je tak samo jak ty.

– Nie waz się mówić o miłości w takiej sytuacji! Zastanawiałeś się, co im powiesz? Że ich tatuś woli zabawiać się z jakąś małą? To dlatego nie było cię na przedstawieniu Zuzi w przedszkolu? Dlatego powiedziałeś Adasiowi, że musisz zostać dłużej w pracy i nie będzie cię na meczu jego drużyny? – krzyknęła sfrustrowana Tatiana. – Nie mogę na ciebie patrzeć! – dodała.

– Wierz mi, że dla mnie to też nie jest łatwa sytuacja, ale myślę, że byłaś i jesteś świadoma tego, że między nami się nie układa – odparł lekceważąco mężczyzna.

– Tak, ale nie sądziłam, że posuniesz się do zdrady. Chciałam, żebyśmy razem poszli na terapię małżeńską. Dla nas, a w szczególności naszych dzieci. Myślałeś o tym, jak one zniosą nasze rozstanie? O tym, że będą dorastać bez obojga rodziców w domu? – Kobieta odpowiadała z żalem, bezsilnie opadając na krzesło.

– Tego już nie da się uratować. Nie kocham cię, ale chcę widywać się z dziećmi i daruj sobie próby ratowania tego, co dawno wygasło. Zamierzam wyprowadzić się do Magdaleny. Planowałem to od dłuższego czasu, dzięki

niej czuję coś, czego nigdy nie czułem, będąc z tobą. Ona sprawia, że jestem spełniony – powiedział mężczyzna z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Nie chcę cię więcej widzieć! Brzydzą się tobą! Wynoś się z tego domu, nie jesteś już mi w żaden sposób bliski – wycedziła Tatiana przez zęby.

– Dobrze, jak sobie życzysz. Zabiorę tylko swoje rzeczy i powiem ci jeszcze jedną rzecz. Nie żałuję tego, co zrobiłem, i mało tego: zrobiłbym to jeszcze raz. Oboje jesteśmy winni temu, że nasze małżeństwo to przeszłość. – Wstał od stołu, szyderczo się uśmiechając, i wyszedł z kuchni.

W tamtym momencie Mariusz nie wiedział, że jego decyzje odcisną piętno nie tylko na jego rodzinie, ale na nim samym. Jak bardzo egoizm i pycha człowieka mogą przyczynić się do samozagłady?

* * *

Mariusz rozpoczął kolejny dzień pracy za biurkiem w firmie, która od dłuższego czasu skłaniała się ku upadkowi. Mężczyzna rozejrzał się po niemal pustym gabinecie, postanowił przejść się korytarzem i dotarło do niego, że zaczyna brakować nie tylko pracowników, ale i środków na opłacanie ich pensji i utrzymanie firmy w rozkwicie.

Chłód wyblakłych błękitnych ścian nie pomagał zachować zimnej krwi w tej sytuacji. Docierało do niego, że jest bliski końca kariery, a co za tym idzie: bankructwa. Szanse na powodzenie malały. Im dłużej zastanawiał się nad swoim losem po upadku działalności, tym większy narastał w nim niepokój. Najbardziej przerażała go wizja rozmowy z Magdaleną i myśl o życiu w ubóstwie, którym gardziła. Do tej pory był oswojony z myślą, że kobieta nie jest skłonna do pracy: mimo że nie zarabiała własnych pieniędzy, uwielbiała je bezmyślnie wydawać. Mariusz był świadomy tego, że musi zapewnić młodej kochance to, czego pragnie, i do tej pory nie przeszkadzało mu posiadanie utrzymanki. Mężczyznę zalewały zimne poty, a ręce zaczęły się trząść. Wizja niezamównego życia nigdy nie była dla niego. Chciał przecież mieć u boku kochankę, a także mieszkać w luksusowym apartamencie kupionym przez jej ojca. Mariusz starał się przygotować psychicznie na rozmowę z Magdaleną. Wstał z fotela i pojechał do domu, gdzie ta już na niego czekała.

– Witaj, kochanie, musimy porozmawiać. Dobrze wiesz, że od jakiegoś czasu moja firma ma się nie najlepiej, więc myślę, że jesteś świadoma, że musimy zacząć rozsawniej dysponować naszym budżetem – zaczął z westchnięciem Mariusz.

– Słucham? Chyba żartujesz! A co z naszymi wakacjami na Hawajach? Przecież wszystko było dobrze, a teraz nagle nie mamy pieniędzy? – powiedziała pretensjonalnym tonem Magdalena.

– Nie możemy dłużej tak żyć, nie będzie nas na to stać. Moja działalność upada, już nie jestem w stanie osiągnąć takich zysków jak dotychczas. Musisz mnie zrozumieć, Madziu, jest nam razem tak dobrze, że to nie może stanąć między nami – rzekł z nadzieją w oczach Mariusz. – Zrezygnowałem ze wszystkiego dla ciebie, odszedłem od żony i jestem przekonany, że dzieci także cię pokochają.

– Ale o czym ty mówisz?! Ja nie mogę tak żyć, nie, ja nie będę tak żyć! Miałam pławić się w luksusie, a nie żyć od wypłaty do wypłaty. Niedoczekanie. Nie możesz tu zostać, jeśli nie spełniasz moich oczekiwań. Nie ma pieniędzy, to nie ma nas! Chyba nie wierzyłeś w jakąś wielką miłość, prawda? Związek z tobą był dla mnie czysto biznesowym układem. Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, lecz bez finansów nie masz już dla mnie żadnej wartości. Przykro mi. – Stała pewnie i bez wyrazu patrzyła na Mariusza.

– Ale jak to!?! Co ty mówisz? Przecież ja cię kocham, góry bym dla ciebie przeniósł, a ty tak mi się odpłacasz? Za to wszystko, co dla nas zrobiłem? Chcesz to zakończyć, ale co ze mną? Dokąd mam pójść? – powiedział zdenerwowany mężczyzna.

– Nie obchodzi mnie to, radź sobie sam! Bankrucie! Szkoda mojego czasu, pakuj się i wynoś! – rzuciła z wściekłością.

Mariusz zamarł. Jak to możliwe, że kolejna kobieta wyrzuca go, a na domiar złego jego firma przestaje istnieć? Mężczyzna nie wiedział, co ma zrobić: właśnie stracił dach nad głową, środki do życia, a w jego głowie kłębiły się jedynie czarne myśli i druzgocące scenariusze. Co począć? Nieustannie w jego świadomości pojawiała się to pytanie. Poczul się wykorzystany, nie był tak naprawdę kochany, nie liczył się on, tylko wartości materialne. Jego

wyidealizowane życie okazało się fikcją. Lekkomysłność połączona z zaspokajaniem wygórowanych pragnień doprowadziła do zguby. Miał zostać bezdomnym? Wieść życie tulacza? Być bezpański jak pies?

* * *

Dwa tygodnie później zgodnie z obawami Mariusza firma upadła. Właśnie wydał w pobliskim sklepie ostatnie oszczędności na artykuły żywnościowe. Przez ten czas mieszkał w hotelu, jednakże z każdym dniem ubywało mu gotówki. Wiedział, że jeżeli prędko nie znajdzie pracy, nie będzie miał za co żyć. Ostatnia noc w hotelu dłużyła się w nieskończoność. Następnego dnia rano mężczyzna wziął swoje rzeczy i ostatni raz wszedł do hotelowej łazienki. Kiedy stanął przed lustrem i zobaczył swoje zaniedbane odbicie, przeraził się. Zmęczenie odmalowało się na jego twarzy. Wyglądał jak bezdomny, a przecież zaraz po opuszczeniu noclegowni właśnie nim się stanie. Ta myśl paraliżowała jego umysł niczym trucizna.

Mariusz ostatni raz spojrzął na pokój, w którym mieszkał przez ostatnie dwa tygodnie, chwycił za klamkę i wyszedł. Tak wiele emocji nim wówczas miotало. Człowiek ze szczytu miał skończyć na dnie jak najgorszy nędzarz. Przeklinał dzień, w którym porzucił rodzinę, choć nie wiedział jeszcze, jak ważna dla niego była i jak bardzo był im potrzebny. Teraz to już nie ma znaczenia i nie jest nikomu potrzebny, nikt o nim nie pamięta i go nie wspomina. Stał się bezpańskim człowiekiem bez wartości.

* * *

Kolejne dni spania na ławce dały się we znaki mężczyźnie, już nie przypominał tego Mariusza, którym był. Minał miesiąc, odkąd stracił dach nad głową, a każdy kolejny dzień egzystencji był gorszy od poprzedniego. Zmarzniętą ręką odgarnął długie, poplątane włosy z czoła i zaczął zastanawiać się, skąd znowu wziąć jedzenie, gdzie skryć się przed zimnem. Był tak bardzo samotny, zmęczony, wygłodzony, że jego jedynym marzeniem był ciepły posiłek i sen w wygodnym łóżku. Te z pozoru naturalne dla większości rzeczy były nieosiągalne dla bezdomnych. Sypianie na ławce, przeszukiwanie okolicznych

koszy na śmieci w celu znalezienia jedzenia i błaganie ludzi o drobne były dla niego poniżającą codziennością. Przechodnie omijali go szerokim łukiem, gardzili nim, brzydzili się jego osobą. Wieczorami wpatrywał się w okna domów. Chociaż przez chwilę chciał żyć codziennością zwykłych, szczęśliwych ludzi. Przez moment zapominał o trudach swojego szarego, przygnębiającego życia. Czasem zdawało się, że przeżywał emocje wraz z mieszkańcami i odczuwał to, co oni: ekscytację, radość, wszystko to, czego mu brakowało, co było nieosiągalne. Wszystkie dni były dla niego praktycznie takie same, nawet nie zmieniał ławki, na której spał. Tak bardzo boleło go to, co zgotował mu los. Nie miał dokąd pójść. Co noc myślał o tym, aby się już nie obudzić. Nie chciał takiego życia z poczuciem beznadziejności. Myśl, że może już nigdy nie zaśnie w łóżku, nie weźmie prysznic, nie ogoli się, nie zje posiłku w kuchni, była nierozzerwalnie przytwierdzona do jego umysłu. Bagatelizował to, jakie konsekwencje mogły mieć jego działania, ale mimo to był przekonany, że podejmuje słuszne decyzje. Nie doceniał tego, co miał, i dopiero teraz, będąc na skraju upadku, dostrzegał swoje wady i błędy. Miał wszystko i został z niczym. Kierowanie się najniższymi instynktami doprowadziło go do zguby. Jego lekceważący stosunek do rodziny, kobiety, która go kochała, pomalował jego świat na ciemne, szare barwy bez iskry ciepła i światła. Mariusz zastanawiał się, jak mógł doprowadzić się do takiego stanu, dlaczego to, co pozornie miało dać mu szczęście, okazało się tak straszliwie zgubne. Nienawidził siebie za to, za swoje poczynania, głupie wyobrażenia. Nie mógł liczyć na niczyją pomoc. Wszyscy się od niego odwrócili. Choć miasto tętniło życiem, a wokół było wielu ludzi, czuł się sam, niewidzialny wśród tłumu.

* * *

Uczucie głodu i bólu było czymś normalnym. Kolejny beznadziejny dzień zgotowany przez los. Grudniowe dni były coraz zimniejsze, padający śnieg i mroźne noce wywierały ogromny wpływ na stan fizyczny i psychiczny mężczyzny. Chęć wypicia i zjedzenia czegoś ciepłego stawała się coraz silniejsza. Jedyna kurtka, którą nosił przez długi czas, nie była w stanie ogrzać zziębniętego człowieka. Ile jeszcze tak będzie cierpieł? Zastanawiał się, czy

nadejście kres tej żalostnej egzystencji. Tak dawno z nikim nie rozmawiał, że nie wiedział, czy jeszcze potrafi mówić. Często miewał halucynacje, zdawało mu się, że widzi swoich bliskich, dzieci, żonę, ale kiedy przyglądał się im bliżej, desperacko szukając znajomych twarzy, tym bardziej uświadamiał sobie, że są to przypadkowi ludzie. Mariusz sam nawet nie pamiętał już, jak wygląda jego rodzina. W takich momentach myślał o tym, jak się mają jego dzieci, czy syn dalej gra w piłkę, a córka nadal bawi się lalkami. Życie było okrutne, choć zdawał sobie sprawę, że tylko on sam jest winien temu, że tak się stało. Niespodziewanie zasypiając na swojej ławce, usłyszał męski głos w pobliżu:

– Przepraszam, czy wszystko w porządku? – powiedział z troską nieznajomy mężczyzna. – Żle pan wygląda.

Mariusz otworzył szeroko oczy z niedowierzaniem, że ktoś nie brzydził się go i postanowił się do niego odezwać. To było tak intensywne przeżycie, że po policzku pociekła mu łza.

– Tak... To znaczy nie... Nic nie jest w porządku i nigdy nie będzie. Mój los jest przesądzony. Straciłem wszystko bezpowrotnie i nie mogę już nic z tym zrobić – odparł z rozpaczą.

– Zawsze jest czas na zmianę i możliwość odwrócenia kolei losu. Powinien pan dać sobie jeszcze jedną szansę i zmienić życie na lepsze. – Starał się motywująco zagaić nieznajomy.

– Nie, to już jest koniec, ale jeżeli pan ma rodzinę, to proszę, aby pan o nią dbał i nie popełnił mojego niewybaczalnego błędu, który przekreśliłby wszystko. Nie doceniałem tego, co miałem, i zostałem bezdomny. Rodzina mnie nienawidzi, i słusznie, wcale jej się nie dziwię, byłem bezduszny. Szkoda, że dopiero teraz to zrozumiałem – szczerze wyznał nieznajomemu.

– To okropne, że już nie da się nic zrobić, ale myślę, że nie powinien pan spać na ławce. Od niedawna tu niedaleko jest noclegownia, w której są ludzie potrzebujący, jak pan. Może warto byłoby się tam udać? Na pewno jest cieplej – odparł z serdecznością mężczyzna.

– Dziękuję, rozważę. To miłe, że ktoś postanowił się do mnie odezwać i porozmawiać, jednak nie zasługuję na taką troskę – powiedział Mariusz.

– Życzę panu wesołych świąt i pojednania z rodziną.

– Wesółych świąt.

Tego wieczoru Mariusz dużo myślał o swoim życiu. Zamknął oczy i głośno wciągnął mroźne powietrze. Poczucie winy sprawiło, że zaczął się modlić o wybaczenie win. Oczami wyobraźni widział swoje dzieci i żonę przy wigilijnym stole, byli szczęśliwi. Zacisnął zmarznięte dłonie i wyszeptał:

– Kocham was i tęsknię, przepraszam...

Nagle poczuł rozlewające się po jego ciele ciepło. Nie był już w stanie odróżnić rzeczywistości od marzeń sennych. Wszystko to oznaczało tylko jedno. Zmarł z wychłodzenia. Cierpienie ustało.

Pogrzeb przeszłości

Krystian siedział w gabinecie lekarskim, wzrok miał wbity w podłogę, ręce drżały mu ze stresu. Serce biło coraz szybciej, oddech przyspieszał. Czekał na wyniki, bo choć miał przecucie, że coś jest nie tak, lękał się, że jego objawy – drżenie rąk, duszności oraz brak koncentracji – były spowodowane jedynie przemęczeniem oraz natłokiem pracy. To była informacja, która miała całkowicie zmienić jego życie.

– Panie Krystianie, niestety mam dla pana złe wieści – powiedział lekarz, jego ton był stanowczy, jednak w jego oczach można było dostrzec współczucie. – Ma pan w głowie guz, to rak czwartego stopnia. Niestety, jest to bardzo agresywny nowotwór, a stopień na tyle zaawansowany, że nie jesteśmy w stanie podjąć skutecznego leczenia...

Po tych słowach twarz Krystiana zbladła. Wpatrywał się w ścianę, a jego wzrok był pusty, jakby do końca do niego nie dotarło, co właśnie usłyszał. Był przerażony, jednak poczuł coś dziwnego. Tym czymś była ulga. Ulga, że w końcu dowiedział się, co było przyczyną jego dolegliwości, dlaczego od kilku miesięcy ledwo wstawał z łóżka oraz zmuszał się do normalnego funkcjonowania.

– Ile mi zostało? Pół roku? Rok? – zapytał po chwili ciszy. Jego głos brzmiał niepewnie, tak jakby miał zaraz zacząć płakać.

– Około trzech miesięcy – powiedział ze współczuciem lekarz.

Krystian wrócił do mieszkania, lecz nie potrafił skupić się na podstawowych czynnościach. Był poddenerwowany, a stres powodował, że krzątał się z jednego końca salonu na drugi. W głowie zadawał sobie pytania: Dlaczego akurat ja? Dlaczego mnie to spotyka? Co mam po sobie zostawić, jeśli nic w życiu nie osiągnąłem?! Nie chciał biernie czekać, aż nastąpi ten dzień.

Po kilkunastu minutach, gdy siedział na kanapie i wpatrywał się w okno, do głowy wpadł mu pewien pomysł, który miał pomóc mu pogodzić się z wyrokiem. „Nie mam nic do stracenia. A gdyby tak zemścić się na wszystkich, którzy spowodowali, że nie osiągnąłem w życiu zamierzonych celów?”, pomyślał, czując przy tym, jakby w jego ciele buzował wulkan, gotowy w każdej chwili wyrwać się na powierzchnię. Ta myśl była dla Krystiana jedynym, co nadawało sens ostatnim chwilom jego życia. Chciał zemścić się na osobach, które go zraniły, ale czy to sprawi, że poczuje ulgę? Czy może do ostatnich chwil swojego życia będzie się tym zdręcząc? Natychmiast sięgnął po notatnik i zaczął zapisywać imiona osób, które chciał ukarać, i co było tego powodem. Zaczynając od dzieciństwa, jego najlepszym przyjacielem był Marcin. Przyjaźnili się od przedszkola, ale w szkole podstawowej Marcin zaczął wyśmiewać Krystiana, robiąc to wspólnie z nowo poznanymi kolegami. Gdy zapisywał imię dawnego przyjaciela, w Krystianie jakby coś pękło. Uświadomił sobie, że to z jego winy przez całe życie boryka się z brakiem pewności siebie oraz akceptacji. Zastanawiając się nad kolejnymi osobami, które powinny znaleźć się na jego liście, Krystian spędził długie godziny na rozważaniach. Wiedział, że nie zdąży zemścić się na wszystkich z uwagi na krótki czas życia. Zdecydował się więc wybrać jedną osobę, która najbardziej wpłynęła na jego postrzeganie świata. Ostatecznie na kartach notatnika zapisał imię swojego pierwszego szefa. Mężczyzny, który nie doceniał jego pracy, nie wynagradzał go stosownie do wysiłku i odpowiedzialności, co przez długi czas wyczerpywało Krystiana psychicznie. Gdy wpisał imiona do notatnika, zaczął rozmyślać o sposobie, miejscu i czasie, w którym zrealizuje swój plan. Tydzień później, siedząc w zatłoczonym barze, oczekiwał na przybycie Marcina. Zanim ten dotarł, Krystian zamówił dwa piwa, jedno z nich subtelnie poddając działaniu śmiertelnej substancji, która miała zadziałać dopiero po upływie godziny. Marcin pojawił się w lokalu z szerokim uśmiechem, wchodząc pewnym krokiem, jakby ich przyjaźń nie ucierpiała przez lata braku kontaktu.

– Krystian, jak dawno cię nie widziałem! – powiedział, wyciągając rękę na przywitanie.

– Rzeczywiście, trochę czasu minęło od naszych wspólnych dni. Zamówiłem nam już piwa, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko – odpowiedział Krystian, starając się brzmieć naturalnie.

Zajęli ostatni wolny stolik, rozmawiając o bieżących sprawach. Dyskutowali o pracy, życiu prywatnym, o tym, co wydarzyło się u nich od czasów młodości. Po chwili rozmowa przerodziła się we wspomnienia z dzieciństwa.

– Pamiętasz, jak bawiliśmy się przed blokiem, jeszcze w przedszkolu? – zapytał Krystian, starając się uchwycić dawną atmosferę.

– Jasne, pamiętam też nasze wspólne wyjazdy na obozy sportowe. Za każdym razem spóźniliśmy się na zbiórkę i musieliśmy biegać dodatkowe okrążenia wokół boiska – odpowiedział Marcin z uśmiechem, popijając piwo.

Krystian spojrzał na swojego rozmówcę nieco nerwowo, starając się ukryć wątpliwości, które narastały w nim od chwili, gdy podał Marcinowi napój.

– Wiesz, pamiętam też, jak odwróciłeś się ode mnie w szkole podstawowej... – zaczął niepewnie.

Marcin spojrzał na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Co masz na myśli? Przecież zawsze się kumpłowaliśmy – odpowiedział, nieświadom tego, co Krystian próbował mu przekazać.

– Bywały momenty, kiedy wyśmiewałeś mnie przy nowych znajomych, robiliście sobie ze mnie żarty... – mówił Krystian, a jego usta lekko drgnęły w gorzkim uśmiechu.

– Ale to były tylko żarty, młodzieńcze wygłupy. Przepraszam, jeśli cię to uraziło, nie zdawałem sobie sprawy, że mogło ci to przeszkadzać – powiedział Marcin z lekkim zdziwieniem.

– Tak, teraz to już nie ma znaczenia. W końcu jesteśmy dorośli – odpowiedział Krystian, choć w jego głosie było wyczuwalne cierpienie.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, poruszając różne tematy, jednak Krystian nie mógł pozbyć się niepokoju. W jego umyśle tliła się tylko jedna myśl: Czy mój plan się powiedzie? Niedługo potem Marcin oznajmił, że musi już iść. Zostały mu do skończenia jeszcze dokumenty w pracy.

– Miło było się spotkać i powspominać. Muszę lecieć, ale dzięki za piwo! – powiedział, podając Krystianowi dłoń.

– Ja również dziękuję za spotkanie. Powodzenia z dokumentami – odpowiedział Krystian, żegnając się.

Kiedy Marcin wyszedł z baru, Krystian pozostał jeszcze chwilę, obserwując go, gdy odchodził w przeciwną stronę. Serce biło mu szybciej, a myśli wciąż kłębiły się wokół jednego pytania: Czy substancja zdążyła zadziałać? Tamtej nocy, leżąc w łóżku, Krystian wciąż nie mógł znaleźć spokoju. Patrzył w sufit, zastanawiając się, czy jego plan się powiódł. Następnego dnia rano otrzymał szokującą wiadomość: Marcin zmarł nagle w trakcie snu.

Nerwowy poranek po śmierci Marcina nie dał Krystianowi spokoju. Czuł dziwną pustkę, ale jednocześnie ulgę – jakby zrzucił z siebie ciężar. Nie miał już żadnych wątpliwości co do skuteczności swojego planu. Przyszedł czas na zemstę na kolejnej, a zarazem ostatniej osobie – byłym szefie lokalu, w którym pracował. Szef Krystiana był właścicielem sieci restauracji znanych i szanowanych w jego rodzinnym mieście. Ich renoma była niemal nienaruszalna – lokalne media chwaliły je za wyjątkowy standard, unikatowe menu i atmosferę. Miał też oddanych klientów, którzy wracali regularnie, przekonani o wysokiej jakości usług i dbałości o każdy najmniejszy szczegół. Krystian wiedział, że jest to jego czuły punkt, w który może uderzyć, by uprzykrzyć mu życie. Planował zrujnować jego reputację, sprawić, by klienci zaczęli podważać jego autentyczność, a jego restauracje stały się symbolem nieuczciwości.

Wiedział, że nie wszystko musiało być idealne w prowadzeniu restauracji przez szefa. Postanowił więc znaleźć dowody, które sugerowałyby, że sieć restauracji nie powinna być oceniana przez ludzi tak dobrze jak dotychczas. Krystian, pracując w jednej z nich, pamiętał, że za każdym razem, gdy przyjeżdżał Sanepid, nie sprawdzał warunków sanitarnych, zamiatając wszystkie niedogodności pod dywan. Krystian wiedział, że gdyby wyjawił te informacje w mediach, odbiłoby się to nie małym echem. Postanowił jednak zburzyć renomę najlepszych restauracji w mieście jeszcze bardziej.

Po kilku dniach udał się na spotkanie z byłymi pracownikami sieci, którzy, chcąc zachować anonimowość, podzielili się traumatycznymi doświadczeniami z pracy. Relacje, które przekazali, okazały się znacznie bardziej

wstrząsające, niż się spodziewał. Niezliczone nadgodziny, zaniżone wynagrodzenia, brak przerw – to tylko część z długiej listy nieprawidłowości, z którymi musieli się mierzyć. Choć początkowo wstrząśnięty, Krystian wiedział, że te historie mogą stać się kluczowym elementem w realizacji jego planu. Zdecydował, że nie będzie czekał. Bez wahania spisał każde słowo, które usłyszał, zdając sobie sprawę, że w odpowiednim momencie te opowieści mogą wywołać burzę, której nikt się nie spodziewa. Jego plan był prosty – wykorzystać media społecznościowe, aby ujawnić to, co przez tyle lat było ukrywane. Publikując relacje, postanowił zachować anonimowość, licząc na to, że wywoła to szerszą dyskusję na temat nieetycznych praktyk, które spotykano w sieci restauracji. Krystian wiedział, że jego decyzja pociągnie za sobą poważne konsekwencje, ale nie obawiał się tego. Był przekonany, że takie działanie może zakończyć nienaruszoną dotąd świetność restauracji i zrujnować wizerunek jego byłego szefa. To jednak był tylko początek jego zemsty...

Postanowił podjąć bardziej radykalne kroki. Skontaktował się z kilkoma influencerami, oferując im wynagrodzenie za krytyczne recenzje, które miały trafić na ich profile. W tym czasie zgromadził również dowody na niewłaściwe przechowywanie składników spożywczych w restauracjach. Udokumentowane przypadki psujących się produktów były wystarczające, by zgłosić ten fakt do organów nadzorujących. Kiedy sprawa trafiła do odpowiednich służb, po kilku tygodniach śledztwa sieć restauracji została zamknięta, a jej właściciel ukarany grzywną.

Krystian poczuł satysfakcję, choć była to inna ulga, niż się spodziewał. Zemsta, jaką planował, wreszcie została zrealizowana. To, czego nie otrzymał wcześniej, teraz odzyskał w sposób, który dawał mu poczucie sprawiedliwości. Zniszczenie kariery byłego szefa, którego nienawidził za niewykorzystane szanse i niedotrzymane obietnice, w końcu pozwoliło mu poczuć, że wszystko, co przeszedł, nie poszło na marne.

Kilka dni po zamknięciu restauracji byłego szefa Krystian udał się na kolejną wizytę u lekarza. Zemsta była już za nim – Marcin i szef zapłacili za swoje przewinienia. Krystian poczuł pewną ulgę, ale także pustkę, która

zaczęła go coraz bardziej przytłaczać. Uświadomił sobie, że wypełnienie tej dziury zemstą nie przyniosło mu poczucia spełnienia. Zamiast tego czuł się jeszcze bardziej zagubiony.

Diagnoza sprzed trzech miesięcy wciąż tkwiła w jego pamięci.

„Zostały mi jeszcze tylko dwa tygodnie życia”, pomyślał.

Zamiast czuć strach, z dnia na dzień Krystian coraz bardziej godził się z losem. Wszystko, co mu jeszcze zostało, to czekanie. Tego dnia jednak, gdy lekarz spojrział na wyniki badań i zaczął mówić, Krystian poczuł, jak jego serce na moment stanęło w miejscu.

– Mamy nowe informacje. Po dalszych badaniach i konsultacjach mogę panu powiedzieć, że stan zdrowia jest bardziej skomplikowany, niż początkowo przypuszczaliśmy – powiedział lekarz, patrząc na niego z powagą, ale i z nutą nadziei w głosie. – Możemy spróbować leczenia. Właśnie pojawiła się nowa metoda, która daje realne szanse na poprawę. Jest to najnowocześniejszy sposób leczenia, który nie należy do najłatwiejszych.

Krystian nie wiedział, jak ma się zachować. Z jednej strony ogarnęła go ulga – może żyć dalej i wciąż dążyć do poczucia spełnienia. Z drugiej jednak, gdyby to było możliwe, dlaczego lekarze nie powiedzieli mu tego wcześniej? Zemsta, którą zaplanował i zrealizował, wydawała się teraz pusta, jakby całe jego życie stało się niepotrzebne. Jakie teraz poniesie konsekwencje swoich czynów?!

– Więc... jest szansa? – wydusił w końcu, starając się opanować emocje.

– Tak – odpowiedział lekarz. – To nie będzie łatwe, ale ma pan przed sobą możliwość leczenia. Chciałbym, żeby pan poważnie rozważył tę propozycję.

W tej chwili Krystian poczuł, jakby ziemia pod jego stopami się zachwiała. Wszystko, co zrobił, zaczęło tracić sens. Co teraz? Czy chciał wrócić do życia, które kiedyś tak bardzo go rozczarowało? Wychodząc z gabinetu, miał jedną myśl, która nie dawała mu spokoju: czy w ogóle jest coś, co może naprawić to, co zrobił, czy teraz życie znów stawia go przed wyborem, z którego nie będzie już mógł się wycofać? Postanowił jednak nie poddawać się leczeniu z uwagi na obawy przed konsekwencjami swoich czynów. Nie chciał, już

zdrowy, spędzić resztę życia w więzieniu. W każdej rozmowie, w każdym kroku, który stawiał na ulicy, czuł nieuchronność kary. Wiedział, że ktoś w końcu połączy fakty. Mógł być ścigany przez władze, mógł zostać zatrzymany. Pojawiły się myśli, które nie dawały mu spokoju. „Co jeśli już wkrótce zapukają do moich drzwi? Co jeśli nie będzie już ucieczki?”

Przez kilka dni Krystian nie spał, nie potrafił myśleć o niczym innym. Czuł, jakby miał na sobie ciężki łańcuch, od którego nie może się uwolnić. Zdecydował się więc na ucieczkę. Mimo że nie miał dokąd pójść, nie miał planu, postanowił wyjechać gdzieś, gdzie nie będzie zasięgu, gdzie będzie mógł przeżyć ostatnie dwa tygodnie bez strachu przed zatrzymaniem. Tym miejscem były malownicze Mazury. Czuł, że zemsta, której dokonał, zamiast przynieść mu upragnione spełnienie, spowodowała strach przed dalszym funkcjonowaniem...

I wtedy, kiedy zdawało się, że nie ma już dla niego ratunku w obliczu tego chaosu i niepokoju, trafił pewnego dnia do kościoła. Gdy wszedł do środka, poczuł jakąś siłę i zrozumiał, że jeśli chce doznać spokoju na ostatnie dni życia, to jedynie dzięki Bogu. Nie wiedział, jak zacząć, nie wiedział, co właściwie powiedzieć, ale poczuł, że to jest jego jedyna droga – modlitwa i rozmowa z Panem.

Przez ostatni tydzień życia codziennie odwiedzał ten sam kościół, do którego trafił kilka dni wcześniej. Z każdym dniem przesiedzianym w jego murach, z każdą chwilą spędzoną na modlitwie czuł, jak jego serce zaczyna się uspokajać. Prosił Boga o wybaczenie. Wciąż nie mógł uwierzyć, że to, co zrobił, jest nieodwracalne, lecz dzięki modlitwie pojawiła się nadzieja, której wcześniej nie znał. Czuł, jak wcześniejszy gniew oraz żal, które go ogarniały, ustępują. Kończył życie, w którym popełnił wiele błędów, lecz całkowicie oddał się Bogu, znajdując przy tym ukojenie.

Marazm duszy (nic szczególnego)

POCZĄTEK...

Zacznę od tego, że to miał być bardzo spokojny okres w moim życiu. Matura zdana na pięć! Dostałam się na wymarzone studia. Idealny czas na odpoczynek i snucie planów na dalszą przyszłość – tak mi się wydawało w tamtym momencie. Nic nie planowałam, chciałam po prostu odpocząć od wszystkiego, od całego zgiełku panującego na zewnątrz i obok mnie. Chciałam zrezygnować, choć na krótki czas, z życiowego biegu, w którym nieustannie byłam przez ostatni czas.

Tak wyglądały moje wakacje – były pełne spokoju. Świetnie się bawiłam na spotkaniach z przyjaciółmi i często odwiedzałam rodziców, jednak znacznie częściej moją mamę, Asię. To z nią mam niesamowicie bliską relację. A już na pewno i w stu procentach nie w głowie mi była miłość. Nie planowałam się zakochać.

Obraz miłości z pewnego względu zawsze był dla mnie zakrzywiony. Myślę, że wszystko wywodziło się od moich rodziców, którzy już od bardzo długiego czasu nie byli ze sobą. Od momentu ich rozstania i ja rozstałam się z ideą pięknej miłości, która panowała w komediach romantycznych. Miłości, którą wpajano dziewczynkom od najmłodszych lat – że pewnego dnia to one wejdą w główną rolę swojej pięknej historii miłosnej.

Ja jednak, Anastazja Szajk, przyrzekłam sobie, że miłości szukać nie będę. Dam życiu płynąć spokojnie. Jednak żyłam z cieniem nadziei, który krył się głęboko we mnie – że pewnego dnia i na mnie przyjdzie czas. Przynajmniej każdego dnia podświadomie tego skrycie pragnęłam. Nie ma w tym nic

dziwnego. Każdy człowiek odczuwa takie potrzeby – tak jesteśmy zaprogramowani. Każdy pragnie miłości, choć nie zawsze się do tego przyznaje.

Dziwne – każdy zna to słowo, a słowami często nie umiemy opisać jej sedna, piękna i czasem przyznać się, że szukamy jej całe życie. Zawsze jednak myślałam, że mam nad wszystkim kontrolę i że to ja decyduję, kogo wypuszczam do swojego życia. W tym jednym aspekcie się jednak myliłam...

Nie spodziewałam się, że miłość uderzy w moją codzienność jak grom z jasnego nieba i odmieni wszystko, co do tej pory znałam. Odwróci bieg historii. Tak to już bywa – pewne rzeczy dzieją się bez przyczyny i pochłaniają nas z czasem coraz bardziej.

STRZAŁA AMORA, NIEZWYKŁY PIĄTEK...

Rozpoczęliśmy drugi miesiąc edukacji na uniwersytecie. W pewien spokojny, jakże zwykły dzień przyjaciółka zadała mi pytanie:

ANNA: Anastazjo, wiem, że razem wykonujemy przydzielone nam zadanie. Nie będę miała możliwości podjechać dzisiaj z tobą po potrzebne nam książki. Czy mogłabyś to załatwić?

JA: Jasne, nie ma problemu. Wybiorę się do biblioteki po południu. I tak nic nie planuję na dzisiaj, oprócz domówki wieczorem.

ANNA: Super! W takim razie widzimy się wieczorem i jesteśmy w kontakcie!

I tak dostałam bojowe zadanie na piątkowe popołudnie. Z Anią i tak miałam się widzieć wieczorem. Byłyśmy w jednej paczce znajomych, a na każdych zajęciach siadałyśmy obok siebie z uwagi na to, że znałyśmy się z czasów licealnych. Byłyśmy sobie bardzo bliskie.

Domówka była planem bardzo spontanicznym. Ania oznajmiła mi parę dni wcześniej, że kolega jej chłopaka robi imprezę i że możemy wpaść obie. Stwierdziłam, że to dobry pomysł na odpoczynek i reset po całym tygodniu.

Po zajęciach byłam szczęśliwa, że zaczął się weekend. Otwierając drzwi auta, przypomniałam sobie o prośbie Anny, czyli bibliotece i konieczności wypożyczenia książek. Zamknęłam więc samochód i ruszyłam w stronę biblioteki, która była nieopodal naszej uczelni.

Ten dzień był wyjątkowo nieprzyjemny – zimny, szary, dżdżysty. Jak to w listopadzie bywa. Drzewa spowiała mgła, a kolorowe liście, które ścieliły się pod nogami jak dywan, dodawały temu wszystkiemu poczucia magii. Tak, listopad jest magiczny, tajemniczy i mroczny.

Zamyślona, odważnie kroczyłam w stronę biblioteki, słuchając na słuchawkach ulubionej playlisty. Muzyka zawsze była ze mną i miała na mnie pozytywny wpływ, nawet w najgorszych sytuacjach życiowych. Była moją terapią przy rozwodzie rodziców. Gdy zatapiałam się w dźwięki ulubionych piosenek, czułam, że cały stres mnie opuszcza, a jego miejsce zastępuje błogi spokój.

Mój spacer w stronę biblioteki dobiegł końca. Doszłam do ogromnego budynku, który zawsze zachwycał mnie gotyckim stylem. Teraz wydawał się jeszcze bardziej nierealny – ozdobiony kolorowymi liśćmi spadającymi z drzew. Budynek i drzewa były ogromnych rozmiarów, co potęgowało wrażenia.

Wchodząc do środka, odczuwałam lekki lęk, czy sobie poradzę, ponieważ był to mój pierwszy raz w tak dużej bibliotece. Musiałam odnaleźć trzy tytuły wśród ogromnej liczby regałów, które wydawały się nie mieć końca. Wyjęłam słuchawki z uszu i ruszyłam schodami na pierwsze piętro, zupełnie zagubiona.

Zdziwiłam się, że nikogo tam nie było. W tej ciszy miałam wrażenie, że jestem zupełnie sama. Sala była ogromna, a w środku panował przyjemny półmrok. Pomiędzy licznymi regałami znajdowała się długa alejka stolików. Cisza, która tam panowała, z jakiegoś powodu mnie przeraziła.

Szłam niepewnie przez kolejne alejki, wciąż nikogo nie widząc. Już miałam wychodzić, gdy nagle wychyliłam się zza kolejnego regału i ujrzałam ciężkie, a zarazem piękne spojrzenie. Głęboko brązowe, świecące w półmroku tęczęwki przeszły mnie na wylot.

Poczułam mieszankę emocji, której nie potrafię opisać – podziw, lęk i adrenalinę w jednym momencie. W tej sekundzie miałam wrażenie, jakby ogarnął mnie mrok. Właśnie w tym momencie Dante zobaczył mnie po raz pierwszy.

Chłopak, którego nie planowałam spotkać ani poznać. Dziwne uczucie – spojrzeć komuś w oczy i wiedzieć, że to najprawdopodobniej twoja bratnia dusza. Mój umysł i serce stoczyły walkę między racjonalnością a tym, co poczułam.

Dante był niezwykle przystojny – bardzo wysoki, z mocno zarysowaną szczęką, kruczoczarnymi włosami i rozbrajającymi dołkami w policzkach. Jednak moją uwagę najbardziej przykuł tatuaż na jego prawej ręce. Był mroczny i przerażający. Miałam wrażenie, że kryje za sobą trudną historię.

Nie mogłam dłużej patrzeć mu w oczy. Odwróciłam wzrok i szybkim krokiem ruszyłam w drugą stronę. Uspokoiliam się, wmawiając sobie, że to nie czas na miłość.

W końcu wpadłam na panią bibliotekarkę, która z ogromną empatią pomogła mi odnaleźć potrzebne książki. Podziękowałam i wybiegłam z biblioteki. Zimne, kłujące powietrze na zewnątrz otrzeźwiło mnie z amoku. Ruszyłam w stronę auta, zakładając słuchawki. Na dworze panował już całkowity mrok.

Światła biblioteki rzucały delikatną lunę na drogę powrotną. Z każdym krokiem i dźwiękiem muzyki uspokajałam się coraz bardziej. Jednak ku mojemu zdziwieniu nie mogłam zapomnieć jego wzroku.

Będąc przy aucie, w pośpiechu wsiadłam i ruszyłam, w krótkim czasie dojechałam do mieszkania. Wiedziałam, że czeka mnie jeszcze impreza. Nim zdążyłam zastanowić się nad całą sytuacją, która wydarzyła się w bibliotece, Anna była już pod moim adresem. Wsiadając do jej auta, zapytałam:

JA: Do kogo my właściwie jedziemy?

ANNA: To nowy kolega mojego chłopaka.

Zmieniając temat, Anna zapytała:

ANNA: Wypożyczyłaś dla nas książki?

JA: Jasne, wszystko załatwione.

ANNA: To znakomicie! Widzę jednak, że coś jest nie tak. Co się stało?

JA: Nie, zupełnie nic, wszystko w porządku, może jestem lekko zmęczona po całym tygodniu.

Nie przyznałam się Ani do sytuacji w bibliotece ani do moich odczuć. Nigdy nie byłam osobą, która uzewnętrznia się przed innymi. Gdy dojeżd-

daliśmy pod wyznaczony adres, Anna oznajmiła, że zabawa trwa już od godziny, więc pośpiesznym krokiem ruszyliśmy w stronę drzwi. Otworzył nam organizator imprezy, którego nie znałam, wraz z chłopakiem Anny. Przywitałam się z nimi i ruszyliśmy w głąb domu.

Dom był niezwykle ładnie urządzony oraz zadbane. Szliśmy z Anną przez tłum ludzi, podążając za jej chłopakiem Filipem, którego znałam od dwóch lat, odkąd zaczęli się spotykać. Nagle skręciliśmy do pokoju, gdzie Filip siedział z obcymi dla mnie chłopakami. Były tam również dziewczyny, które kojarzyłam z uczelni. Przyglądając się wszystkim twarzom, spjrzałam na osobę, która siedziała tyłem do nas. Sylwetka wydawała mi się dziwnie znajoma. Nie wiedziałam, dlaczego poczułam ukłucie w brzuchu spowodowane stresem.

Anna krzyknęła do wszystkich na powitanie. Mój wzrok wciąż tkwił na znajomej sylwetce, jednak nadal nie mogłam zidentyfikować, kim była tajemnicza postać. Na słowa Anny on się odwrócił – i wtedy czas się zatrzymał. Już wiedziałam. Jak mogłam zapomnieć choćby na chwilę? To był Dante z biblioteki, którego widziałam kilka godzin wcześniej. Gdy ponownie spotkaliśmy się wzrokiem, poczułam to samo co za pierwszym razem – silny stres i lekki strach. Byłam w ogromnym szoku, że on tu jest. Jednak z jego twarzy bardzo trudno było wyczytać emocje.

Anna zauważyła, że stałam w bezruchu. Oboje byliśmy w siebie wpatrzeni. Myślę, że w tamtej chwili domyśliła się, o co może chodzić, jednak nie poruszyła tematu, wiedząc, że zapewne nie skomentuję sytuacji. Tym razem to on zerwał kontakt wzrokowy, odwracając się do Filipa, który zadał mu pytanie. Ja z Anią ruszyłam w stronę dziewczyn, które znałam z uczelni.

Staralam się oderwać myśli od niego, ale nie byłam w stanie. Siła przyciągania była zbyt duża. Rozmawiając z dziewczynami, próbowałam zlokalizować go wzrokiem, jednak chłopaków już nie było – wyparowali z pokoju pod naszą nieuwagę, a wraz z nimi on, powód moich skrajnych emocji. Nurtujące myśli nie dawały mi spokoju: Kim on może być? Jaki jest?

Dyskretnie postanowiłam w końcu zadać Ani pytanie, przełamując się z uwagi na ciekawość. Tylko jej ufałam spośród wszystkich koleżanek. Poprosiłam ją na bok i wprost zapytałam:

JA: Ania, czy wiesz, kim może być ten mężczyzna, który siedział obok Filipa? Ten, z którym mieliśmy specyficzny kontakt wzrokowy.

ANNA: Chodzi ci o Dantego? Wiesz, niewiele wiem. Filip mi mówił, że niedawno zaczął studiować z nimi i są w jednej grupie. Ponoć niewiele mówi o sobie, jest trochę zamknięty. Jednak Filip się z nim dogaduje i ma o nim dobre zdanie. Podobno jest z zamożnej rodziny, jednej z ważniejszych w mieście. To wszystko, co wiem. Ale widziałam, jak na ciebie patrzy. I Anastazjo... to nie było zwykle spojrzenie.

Po rozmowie z Anią pojawiło mi się jeszcze więcej pytań. Stwierdziłam jednak, że odłożę sprawę na bok, bo cenię spokój w życiu. Wciąż powtarzałam w myślach, że nie mogę się zakochać – to nie czas, a poza tym cała ta sytuacja to nic szczególnego, zwykły zbieg okoliczności.

Wróciłyśmy więc do znajomych. Mijały godziny, ale nigdzie nie widziałam Dantego. Uznałam, że pewnie już go nie ma. Nagle poczułam, że zaczynam robić się bardzo senna, co nie było dziwne, zważywszy na godzinę, którą wskazywał zegar. Anna świetnie się bawiła, ale ja postanowiłam wracać do mieszkania. Wiedziałam, że Ania nie chce wracać, więc zapewniłam ją, że sobie poradzę i wrócę bezpiecznie.

Ubrałam się, wzięłam torebkę, pożegnałam się z wszystkimi i wychodząc, zaczęłam zamawiać taksówkę. Po chwili jednak zobaczyłam, że pod dom podjeżdża jakieś auto. Był to samochód z górnej półki, a jego mocne światła mnie oślepiły. Nagle zgasły, a z auta wysiadł on.

DANTE: Raczej nie trafiam na kogoś tak często... I za każdym razem robisz na mnie ogromne wrażenie.

Zamarłam. Wypowiedział słowa w moją stronę z manierą w głosie, lekko się uśmiechając.

JA: Też się tego nie spodziewałam... Ale to w sumie nic szczególnego, zwykły przypadek.

DANTE: Może masz rację z tym przypadkiem, jednak nie mieliśmy okazji porozmawiać. Musiałem uciec na chwilę z imprezy – moi rodzice mnie potrzebowali, biznesowe problemy. Ale widzę, że ty już wracasz do domu.

JA: Tak, już późno, zmęczenie mnie dopadło.

DANTE: Mogę cię odwiedzić, jeśli masz taką ochotę. Chciałbym w końcu z tobą porozmawiać, chciałem już wtedy, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy w bibliotece. Jednak uciekłaś. Mimo wszystko nie chcę wracać na imprezę, więc może uratujesz mi wieczór?

Wybuchłam śmiechem. Po jego słowach zrobiło mi się miło, więc zgodziłam się na propozycję. Sama byłam ciekawa, kim był, a to była dobra okazja, by porozmawiać. Wsiadając do auta, napisałam Ani, z kim wracam. W ramach bezpieczeństwa miała dodatkowo moją lokalizację, więc byłam spokojna.

W aucie byłam zestresowana – tak na mnie wpływał – ale jednocześnie zaintrygowana jego osobą. Podczas drogi zwracałam często uwagę na jego tatuaż, jednak zdecydowałam się o niego nie pytać. Rozmowa przebiegała bardzo płynnie. Zaczęliśmy rozmawiać na przeróżne tematy, starając się dowiedzieć czegoś o sobie nawzajem. Nie było to łatwe, ponieważ czułam, że był skryty. Jego wymijające odpowiedzi tylko to potwierdzały.

Potrafił oczarować. Był mroczny, a jednocześnie rozbrajający – niczym zło, które przybrało piękną postać i kusilo bez końca. Staralam się opierać temu uczuciu, ale czułam, że emocje powoli przejmują kontrolę nad moim umysłem i racjonalnością.

W końcu dotarliśmy pod mój blok. Spędziliśmy jeszcze dwie godziny na parkingu, rozmawiając. Wydawało się, jakby czas uciekał niesamowicie szybko, a tematy rozmów nasuwały się i mnożyły bez końca. Nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś podobnego.

Kiedy zaczęło się robić jasno, przypominałam sobie o swoich obowiązkach. Z żalem musiałam zakończyć rozmowę i podziękować mu za podwiezienie, jednak on zatrzymał mnie, prosząc o kontakt.

Gdy wysiadałam z auta, widziałam jego wzrok, który śledził mnie aż do klatki. Gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi mieszkania, odetchnęłam z ulgą. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, ale jednego byłam pewna – przepadłam.

PIERWSZE MIESIĄCE...

Od tamtej nocy byliśmy w nieustannym kontakcie. Było jak z bajki. Dante był mężczyzną idealnym – codziennie mnie gdzieś zabierał, traktował w sposób,

w jaki każda dziewczyna chciałaby być traktowana. W obliczu nieustannych komplementów rozplywałam się, otoczona ogromną troską. Nie sądziłam, że kiedyś doświadczę czegoś takiego. Z dnia na dzień miałam wrażenie, że coraz bardziej się uzależniam. Tylko on mnie rozumiał. Często rozmawialiśmy, a każde jego słowo miało dla mnie ogromne znaczenie.

Dowiadywaliśmy się o sobie coraz więcej. W pewnym momencie to on znalazł mnie najlepiej, a ja jego. Jedną cechą Dantego, której nie pochwalałam, a która bardzo się wybijała, był fakt, że kochał adrenalinę ponad wszystko. To w niej znajdował ukojenie i, co mnie ogromnie dziwiło, wyciszenie. Wszystko, co było szybkie i niebezpieczne, dawało mu pozorny spokój. Gdy miał problem, uciekał od rozmów i nie pozwalał sobie pomóc – szukał wrażeń. Ja jednak starałam się to zrozumieć. Byłam zdania, że należy akceptować pewne cechy i problemy drugiej osoby, bo każdy się z czymś zmagają i szuka swojego „spokoju”.

Czułam się doceniona, zadbana, zaopiekowana. Mój rozum już dawno poległ. Trzeźwe myślenie odeszło, a ja żyłam w bańce. Zawsze starał się informować mnie, gdzie w danym momencie przebywa, a ja codziennie czekałam, by się z nim zobaczyć. Każdy mój dzień był zaprogramowany pod niego. Nauka przestała być dla mnie ważna. Nie zaliczałam egzaminów, ale nie przejmowałam się tym. Spędzałam z nim tyle czasu, że odrzuciłam znajomych – już długo nie rozmawiałam z Anią. Oddaliłam się od wszystkiego, co było mi znane, spychając to na drugi plan.

Moje życie wywróciło się do góry nogami. Czułam, że żyję tylko dla niego. Nie sądziłam, że człowiek może nie widzieć świata poza jedną osobą, ale w moim przypadku właśnie tak się stało. Byłam zakochana. Czasami odczuwałam lęk, jednak bagatelizowałam go. Byłam zapatrzona w codzienne kwiaty, jego zaborczość, zasypywanie pięknymi słowami i fakt, że widział tylko mnie. Byliśmy dla siebie „domem”. Zaczęłam w końcu wierzyć w miłość. Wierzyłam, że nadszedł mój czas i że gram główną rolę w pięknej historii miłosnej.

Sielanka nie trwa wiecznie...

Ta historia jednak byłaby zbyt piękna. Życie to nie bajka. Szybko zaczęłam żałować swoich decyzji i tego, że bagatelizowałam złe znaki w jego

zachowaniu. Nie zdawałam sobie sprawy, na kogo trafiłam. Dante był jak zło w pięknej postaci, a ja byłam zbyt delikatna, by mu pomóc.

Oczarował mnie i potrafił siłą perswazji wprowadzać mnie w różne stany emocjonalne. Z początku przeżywałam najpiękniejsze emocje. Jednak początki zawsze są usłane różami – każdy wkłada maskę i ukrywa swoje prawdziwe „ja”, by być w oczach drugiej osoby idealnym. Po czasie ta maska pęka, wszystko zaczyna się sypać jak najpiękniejsze kwiaty, które czernieją i osypują się płatek po płatku.

Bliskie mi osoby jako pierwsze zaczęły zauważać mój stan. Przechodziłam od euforii do spadków emocjonalnych z powodu jego zachowań, które z czasem zaczęły wychodzić na jaw. Coraz częściej mówił mi o swoich problemach, które próbowałam poruszać. Jednak każda rozmowa kończyła się ogromną kłótnią, po której popadałam w stany emocjonalnego wycieńczenia.

Zamiast uciekać, dawałam się wciągać coraz bardziej. Miłe słowa zniknęły, a na ich miejscu pojawiły się negatywne komentarze o mnie. Brałam je do siebie, bo byłam zakochana i ślepo zapatrzona. Pozwalałam mu na wszystko, bo wiedziałam, że ma problemy. Wierzyłam, że je przepracuje i wszystko wróci do normy.

Najgorsze były momenty, gdy jego relacja z rodzicami się sypała. Wtedy odcinał się ode mnie, urywał kontakt i robił coś niebezpiecznego, o czym dowiadywałam się od jego znajomych. W takich chwilach cierpiałam najbardziej. Nie dawał sobie pomóc, tylko odsuwał mnie na tydzień, czasem dwa. Później wracał, przeproszał i zapewniał, że taka sytuacja się nie powtórzy, bo mnie kocha.

Zawsze się lamalam. Byłam zagubiona, już nie wiedziałam, kim jestem. Odkładał mnie na półkę i brał z niej, kiedy mu pasowało. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Jego toksyczne zachowania raniły mnie i niszczyły, ale nie wydawał się tym przejmować.

Często zamykałam się w swoich czterech ścianach i płakałam, a on nie reagował na mój ból. Po jednej z kolejnych kłótni i tygodniu bez kontaktu czułam się wyczerpana, pozbawiona sił do życia i wygłodzona ze stresu. Wiedziałam jednak, że muszę walczyć.

UPADEK...

Już nie poznawałam siebie. Postanowiłam wybrać się do Dantego i spróbować ostatni raz. Zadzwoiłam do Anny i poprosiłam, by pojechała ze mną. Może wynikało to z mojej podświadomej chęci wyrzucenia z siebie problemów i wszystkiego, co trzymałam w sobie tak długo. Chciałam się wygadać, gdy już sama sobie nie radziłam. Anna przyjechała błyskawicznie, jednak całą drogę przekonywała mnie, bym dała sobie spokój i postawiła na siebie. Twierdziła, że Dante nie potrafi funkcjonować w zdrowej relacji, że jest zimny.

Ja jednak wciąż miałam nadzieję, że wszystko wróci do normy, i nie słuchałam Anny, choć w głębi serca wiedziałam, że ma rację. Podjechałyśmy pod jego mieszkanie, które znajdowało się w luksusowym budynku na czterdziestym piętrze – zasługa jego rodziców. Byli bogatymi ludźmi, jednak nigdy nie zadbali o jego zdrowie psychiczne. Pieniądze były dla nich jedyną wartością. Tak to odbierałam, patrząc na budynek otulony mgłą i mrokiem. Poczulałam smutek, taki sam jak wtedy, gdy opowiadał mi o swojej rodzinie.

Stojąc pod budynkiem, pomyślałam, że rodzice w dużej mierze kształtują człowieka. Mają ogromny wpływ na to, z jakim bagażem będzie kroczyć przez życie. Byłam bardzo wdzięczna swoim rodzicom. Mimo rozvodu i rozpadu ich małżeństwa zawsze potrafili sprawić, że czułam się dobrze – moje dobro było dla nich priorytetem. Dlatego tak ciężko było mi zostawić Dantego. Wierzyłam, że zdołam go „naprawić”, choć próbowałam od początku i niewiele z tego wynikało.

Zamyślona, z ciężkimi emocjami, zmierzałam w stronę budynku. Przekraczając próg klatki schodowej, czułam na sobie wzrok ludzi. Nie wyglądałam zdrowo, ale to było dla mnie nieważne. Idąc w stronę schodów, kątem oka zauważyłam włączony telewizor. Na ekranie informowano o tragicznym wypadku samochodowym w naszym mieście. Spieszyłam się jednak do mieszkania Dantego i w amoku, spragniona jego widoku, biegłam, ile sił.

Na schodach robiło mi się słabo. Czułam ogromny niepokój, jakby coś miało się zaraz wydarzyć. Zapukałam do jego mieszkania i czekałam. Chciałam tylko go zobaczyć. Nikt jednak nie odpowiadał. Zapukałam ponownie, ale bez skutku. Po piętnastu minutach zadzwoniła do mnie Anna.

ANASTAZJA: Aniu, wracam do ciebie. Dantego nie ma w mieszkaniu. Bardzo się martwię, bo jest późno.

ANNA: Anastazjo, ja nie wiem, jak ci to powiedzieć... Dante nie żyje. Zginął w wypadku. Filip do mnie dzwonił przed chwilą. Bardzo mi przykro...

W tamtym momencie wyszłam przed budynek i poczułam ból w klatce piersiowej. Telefon wypadł mi z ręki, upadłam na kolana. Zaczęłam płakać tak mocno, że nie mogłam złapać oddechu, a ból rozerwał mi serce. Obraz zaczął się zamazywać. Ostatnie, co dostrzegłam, to Annę biegnącą w moją stronę. Wszystko zdawało się snem. Każda komórka mojego ciała krzyczała z rozpaczy. Kochałam go tak bardzo. Czułam, że moja dusza umarła razem z nim. Ale ja wciąż żyłam. Byłam tu i wiedziałam, jak ciężko będzie uciec od tego stanu, który paraliżował każdy kolejny krok i oddech.

Wiedziałałam, że mnie kochał. Wszystkie chwile, które razem przeszliśmy, mimo problemów i krzywd, utwierdzały mnie w tym przekonaniu. Ale nie udało mi się mu pomóc. Przy tym samej sobie również.

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ...

Po śmierci Dantego zostałam wyrzucona z uczelni z powodu ogromnych braków. Zamknęłam się w domu, pogrążona w depresji. Pewnego dnia usłyszałam jednak odgłos pukania do drzwi. W tym samym czasie otrzymałam wiadomość od Anny: „Otwórz, mam coś dla ciebie”.

Niechętnie wstałam i otworzyłam drzwi. Ucieszyłam się na widok Anny. Wiele jej zawdzięczam. Weszła, przytuliła mnie i obie zaczęłyśmy płakać. Łzy płynęły strumieniami. W końcu usiadłyśmy na kanapie, a ona wyciągnęła z kieszeni kopertę. Wręczyła mi ją. Na wierzchu widniało: „Dla mojej Anastazji”.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Anna przytuliła mnie i powiedziała, że rodzice Dantego znaleźli ten list w jego mieszkaniu. Łzy napływały jeszcze mocniej. Znow miałam poczucie, że się duszę. Ręce zaczęły mi drżeć, gdy otwierałam list.

Bałam się go czytać. Wiedziałałam, że napisał go Dante. Jednak jakaś część mnie była niezwykle ciekawa jego treści. Najbardziej żalowałam, że nie

mogłam z nim porozmawiać po raz ostatni, powiedzieć mu, jak bardzo mnie zranił, ale go kochałam. Zebrałam resztki odwagi i zaczęłam czytać na głos...

„Nie sądziłem, że będę to pisał dla jakiegokolwiek dziewczyny, jednak żadna tyle dla mnie nie znaczyła. Chcę przelać na papier to, czego nie byłem w stanie ci powiedzieć, przez moje blokady, o których wiesz. Nikt nie był gotowy zostać przy mnie w najtrudniejszych momentach, jednak ty się nigdy nie poddałaś i jako jedyna osoba starałaś się. Moje emocje są dla mnie tak trudne, przez co ciebie raniłem, zawsze uciekałem. Robiłem to od dziecka: uciekałem, zamykałem się w obliczu problemów i emocji. Nikt mnie nie nauczył, jak sobie z nimi radzić, za co chcę cię niezwykle przeprosić. Czasem nie wiem, co się ze mną dzieje, nie potrafię się kontrolować, momentami zamieniam się w diabła, który niszczy wszystko na swojej drodze. Wiedz, że chcę się zmieniać dla ciebie i próbuję, jednak to jest ciężkie, gdy nie doświadczyło się wcześniej bezgranicznej miłości. Jesteś czystą, niewinną istotą, i żałuję, że nie potrafię ci dawać tego, czego potrzebujesz, na co zasługujesz. Starałem się na początku, jednak później moja prawdziwa twarz wyszła na jaw – jak zawsze, gdy emocje biorą górę, nie potrafię tego zatrzymać, dlatego momentami cię opuszczam, bo wierzę, że beze mnie będzie ci lepiej, ale zawsze wracam, bo nie mogę bez ciebie żyć. Wiedziałem to od dnia, kiedy wystraszona pojawiłaś się w bibliotece. Od tamtego momentu cię szukałem. Nie powiedziałem ci, ale przyjechałem na tę domówkę tylko po to, bo wiedziałem, że ty tam będziesz, mimo tego, że później ci powiedziałem, jak bardzo nie znoszę imprez. Anastazjo, powiedziałaś raz, że nasze wpadanie na siebie jest z przypadku – *nic szczególnego*. Jednak ja wiem, że to nie było nic szczególnego, to był najważniejszy, przełomowy moment w moim życiu. Próbowałaś mnie kochać mimo moich ogromnych wad, nieważne, co będzie i co zdecydujesz, ja zawsze będę cię cenił. Twój Dante”.

KONIEC...

I te słowa zniszczyły mnie na zawsze. Rozsypałam się w drobny mak, rzuciłam się w nicość, już nie było mnie. Ktokolwiek sięga w tej chwili po te słowa przelane na papier, niech wie, że ta historia nie jest szczęśliwa. Moje życie

zmieniło się już w momencie, gdy wychodziłam z biblioteki nieświadoma tego, co mnie czeka. Były bardzo złe momenty niszczące mnie – to były jego mankamenty, które na mnie wpływały. Jednak były też dobre momenty, które mnie ukształtowały. To były tylko marne okruchy miłości. Kiedy czytasz te słowa, musisz wiedzieć, że mnie już nie ma. Jestem duchem, energią, która uleciała w przestworza wraz z miłością, która mnie dotknęła i minęła jak błyskawica, pozostawiając mnie na tym leż padole, zniszczoną i odrętwiałą z rozpaczny, tęsknoty. Nicość to było jedyne moje pragnienie.

Dante, dlaczego tak szybko zniknąłeś? Dwadzieścia pięć lat to nie czas na umieranie...

Po co ci była szybkość tego cholernego auta? I chęć adrenaliny, by poczuć ulgę? Dlaczego to nie mogłam być ja, czemu nie mogłam być twoją ucieczką?...

Droga światła i cieni

Kolejne dni wyprawy dłużyły się nam niemilosiernie. Każdy następny dzień wydawał się dłuższy od poprzedniego. Jedyne śpiew Clementine umiała nam czas przeprawy przez lasy Królestwa. Śpiewała pieśni swojego rodu, opowiadające o kobietach żegnających mężów idących na wojnę. To były jedyne pieśni, jakie знаła – przygnębiające, słodko-gorzkie historie o miłości. Mimo wszystko starała się brzmieć jak najbardziej pogodnie, a każdy z nas wsłuchiwał się w jej głos. Czasami jednak, przypadkiem, ztracałem się w myślach, licząc kroki, dni, straty. Do Doliny Burz pozostały nam dwa dni drogi.

Dolina, otoczona niemal całkowicie górami, które od strony naszej kolonii poprzedza Las Cieni, zamieszkiwana w większości przez ludzi i wędrujące dusze, jest miejscem neutralnym. Cesarzowa nie stanęła dotychczas po żadnej ze stron. Dlatego właśnie to nasza jedyna szansa na wyjawienie prawdy i otrzymanie wsparcia od mieszkańców Doliny. Jeszcze nawet nie wiemy, czy uda nam się dostać do Cesarzowej, ale Zimir powtarza nam w chwilach zwątpienia, że prawda obroni się sama, że to kwestia czasu, zanim wszystko się ułoży i wrócimy do naszej kolonii.

Na samą myśl o dotarciu do Doliny Burz narastał we mnie niepokój. Starałem się wskrzesić optymizm, ale tyle pytań nie dawało mi spokoju. Co jeżeli nam się nie uda? Co jeżeli zaklęcia ochronne nie zadziałają? Co jeżeli już nigdy nie zobaczę Clementine? Starałem się nie zadręczać i koncentrować na stawianiu kroków, otoczeniu, śpiewie Clementine. Śnieżnobiałe włosy dziewczyny, tańczące na wietrze, mieniły się w krwawych promieniach zachodzącego słońca, które usilnie próbowało przedrzeć się przez ogromne konary drzew. Szliśmy gęśiego; Zimir prowadził nas, podkreślając przy każdej możliwej okazji, że nie potrzebuje mapy i zna cały Las Cieni na pamięć.

Razem z Jurgenem na zmianę przewracaliśmy oczami, dyskretnie żartując z jego popisów.

W pewnym momencie Jurgen dogonił mnie i powiedział niemal szeptem:

– Porozmawiaj z nią, Sirval. – Po chwili milczenia dodał: – Gdy dotrzemy do Doliny, może być już za późno...

– Nie mów tak nawet, Jurgen – przerwałem. – Wszystko nam się uda. Zanim się obejrzysz, wrócimy wszyscy do kolonii i będziemy wspominać to jak kolejną przygodę.

Nie odpowiedział. Spojrzał na mnie jedynie z politowaniem i smutkiem w oczach. Wiedziałem, co miał na myśli. Oczywiście, że wiedziałem. Ale nie byłem w stanie wyznać Clementine, jak bardzo ryzykowną decyzję podjęła, dołączając do nas. Nawet przed sobą nie chciałem przyznać, jak bezmyślnie postąpiliśmy, pozwalając jej na to. Starając się zignorować mrok, który niosła za sobą rada Jurgena, spojrzałem na niego z wymuszonym spokojem i dodałem:

– Porozmawiam z nią, Jurgen, potrzebuję tylko trochę czasu.

Jurgen kiwnął głową i wyprzedził mnie, wracając do szyku.

O zjawach można powiedzieć wiele złego, ale Jurgen był najszerszą, najbardziej troskliwą i lojalną zjawą, jaką kiedykolwiek poznałem. Jeszcze długo przed zamachem na Króla spotkałem go po raz pierwszy w lesie niedaleko kolonii. Pomógł mi wtedy złapać splotzonego konia, którego kupiłem tego samego dnia w Cinderville, leżącym obok naszej kolonii. Od samego początku było widać, że Jurgen wyraźnie różnił się od przeciętnych zjaw. Większość tych eterycznych potworów nie miała wyraźnych rysów twarzy, a ich ciała, przypominające dym lub gęstą mgłę, unosiły się zawsze kilka cali nad ziemią. Jurgen natomiast zdecydowanie stapał po niej twardo.

Czasami jedynie da się zauważyć, jak w starciu z gałęzią drzewa czy ptakiem rozplywa się delikatnie w powietrzu jak gęsta chmura. Większość zjaw jest bardzo agresywna. Nie widziałem natomiast nigdy Jurgena zirytowanego, a co dopiero podejmującego rękoczyn. Zawsze to w nim podziwiałem, chyba właśnie dlatego tak bardzo chciałem się z nim zaprzyjaźnić. Tamtego dnia spoglądał na mojego konia z takim spokojem i opanowaniem – wydawałoby się, że go zaklina, jednak wiadome jest to, że zjawy nie mają podobnych zdol-

ności. W przerwach od śpiewu Clementine wypytuje Jurgena o przedziwne drobiazgi: czy jego ciało przenika przez pierzynę, czy nie jest mu zimno, czy nie boi się, jak wieje wiatr, czy rozpuszcza się w wodzie. Jurgen za każdym razem z cierpliwością i sympatią odpowiada dziewczynie ze szczegółami. Urzeka mnie w niej właśnie ta dziecięca ciekawość i bezpośredniość. Jakby nigdy się nie zawiodła, nigdy nie rozczarowała. Czasami zauroczenie to doprawione jest zazdrością, której kładę kres za każdym razem, gdy tylko ją w sobie zauważę.

Gdy ściemniło się już tak bardzo, że nie widzieliśmy siebie nawzajem, postanowiliśmy rozbić obóz. Dziś wyjątkowo Clementine nie śpiewała przy ognisku. Od razu po rozłożeniu swojego namiotu położyła się do spania. Clementine nie była przyzwyczajona do kilkudniowych wędrówek. Nie można mieć jej tego za złe. Jako nimfa światła Clementine była niczym iskierka w naszym gronie. Jej ród został zamordowany wiele stuleci temu, a ich zdolności w większości świata były tajemnicą. Gdy znaleźliśmy ją samą, porzuconą w ruinach naszego królestwa po ataku na króla, myśleliśmy, że jest pułapką lub iluzją zostawioną przez samozwańczego księcia, który z nami pogrywa. Jednak ona okazała się niczego nieświadomą młodą i uroczą dziewczyną. Na próżno wypytывaliśmy ją o okoliczności, w jakich się tam znalazła, ponieważ sama nie pamiętała niczego poza własnym imieniem. Jednak bez wahania dołączyła do nas, by pomóc swoim, jak to lubiła powtarzać, wybawicielom. Jurgen od razu rozpoznał w niej nimfę światła, ale nie wiedział nic więcej poza zasłyszczanymi legendami i pieśniami jeszcze z czasów, gdy był żywy.

Zebraliśmy się przy ognisku na posiłek. Dopiero gdy usiadłem, poczułem, jak bardzo bolą mnie nogi. Gdy ciemną nocą siedzieliśmy wokół dogasającego ogniska, cienie drzew wokół nas zdawały się szeptać tajemnice starych lasów. Zimir, jak zwykle pewny siebie, podtrzymywał rozmowę, starając się uspokoić napięcie, które zaczynało oplatać nasze umysły.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się martwicie – powiedział, przesuwając wzrokiem po naszych twarzach. – Clementine to nie jest zwykła dziewczyna. Jest nimfą światła, nieśmiertelną istotą, której moc może okazać się kluczowa. Cesarzowa musi usłyszeć prawdę, a my potrzebujemy każdej możliwej przewagi.

Jurgen, stojący pod drzewem, spojrział na Zimira z łagodnym, ale zmartwionym wyrazem twarzy. Jego głos, chociaż cichy, wybrzmiewał wyraźnie w głuchoj ciszy Lasu Cieni:

– Wiem, że Clementine jest wyjątkowa, Zimirze. Ale boję się, co ją czeka w Dolinie. Cesarzowa może nie zrozumieć, kim ona naprawdę jest. Nie chcę, żeby jej niewinność była bronią, którą ktoś wykorzysta.

Zimir uniósł brew i odwrócił wzrok.

– Każde ryzyko niesie ze sobą potencjalną nagrodę, Jurgen. Jeśli chcemy wyjawic prawdę Cesarzowej, musimy zrobić coś, co wstrząśnie Doliną Burz do samego serca. Clementine jest naszą nadzieją.

Poczułem, jak gardło zaciska mi się na te słowa. Clementine, istota światła o pochodzeniu owianym tajemnicą, zasługiwała na coś więcej niż stawianie jej w roli przynęty czy narzędzia. Przecież ona też żyje i czuje. Staralem się zachować niewzruszony wyraz twarzy, chociaż wewnętrznie płonąłem od gniewu i niepokoju.

– A jeśli coś pójdzie nie tak? – zapytałem cicho, starając się ukryć emocje.

– Clementine może być silniejsza, niż myślimy, ale to, co ją czeka, może być ponad jej siły. – Jurgen skinął głową.

– Właśnie o to się martwię, Sivalu. Chcę wierzyć, że jej światło rozproszy mrok, ale nie mogę przestać myśleć o tym, że jesteśmy za nią odpowiedzialni.

– Strach przed porażką nie może nas zatrzymać. Musimy zaufać, że los dziewczyny nie jest zdefiniowany tylko tym, że wybiera drogę pełną ryzyka – odpowiedział Zimir.

Jurgen zamilkł, a nie najprzyjemniejsza cisza między nami wypełniła się szelestem liści i cichym oddechem nocy.

Obudziłem się, gdy zaczynało już powoli świtać. Przez chwilę nie pamiętałem, gdzie jestem. Spokój ogarniał moje ciało. Dezorientacja była przyjemna. Przez sekundę wszystko grało. Nic nikomu nie groziło, wszyscy spali. Rozejrzałem się dookoła i odzyskałem świadomość. Niewinne wyrazy twarzy moich towarzyszy poruszyły mnie. Dokąd to wszystko zmierza? Czy nie powinniśmy po prostu zawrócić i spróbować przeżyć zamiast „ratować świat”? Paskudne poczucie bezsensu musi być chwilowe, musimy iść da-

lej, dotrzymać słowa. Jeżeli zginiemy, to w imię czegoś. W imię wolności i prawdy.

Gdy składaliśmy obóz wraz z Zimirem, Jurgen przyglądał się Clementine zrywającej kwiaty na malej polance, przy której nocowaliśmy. Zimir, ewidentnie poirytowany brakiem zaangażowania dziewczyny i zjawy, rzucał pod nosem od czasu do czasu niepochlebne komentarze. Oczywiście wiem, że on po prostu taki jest, nie ma w nim szczerzej złości wobec nich, a jego postawa zdeterminowana jest poczuciem obowiązku i presją związaną z wyprawą. Droga była jeszcze trudniejsza niż dotychczas. Las Cieni wydawał się żyć własnym życiem – korzenie wylaniały się spod ziemi, jakby chciały nas zatrzymać, a odgłosy nieustannie nas śledziły. Nagle z ciemności wyłoniły się postacie – półprzejrzyste, o oczach płonących bladym ogniem. Zjawy, zupełnie inne od Jurgena, otoczyły nas. Zimir dobył miecza, a Jurgen stanął między nami a napastnikami, unosząc dłonie.

– Nie walczcie z nimi! – krzyknął. – One nie atakują dla zabawy. One czegoś bronią.

Zjawy zbliżyły się jednak coraz bardziej, a ja zrozumiałem, że nie mamy czasu na pertraktacje. Zimir podał zakłęcie ochronne, które rozbłysło światłem, chwilowo oślepiając napastników. Rzuciliśmy się do ucieczki. Wszystko działo się bardzo szybko. Chwyciłem Clementine za dłonie, by się nie potknęła. Nagle otoczyła nas mgła. Staraliśmy się biec naprzód, nie zważając na dziwne zmiany w otoczeniu. Próbowałem nie stracić Zimira z oczu. To oznaczałoby katastrofę. Jurgen był tuż za nami. Słyszałem tylko szum, lodowaty podmuch goniących nas istot. Nieistotne, czego pilnowały. Najpewniej było to jedno ze starych miejsc bitwy, z którego ich duchy nie mogły już się wydostać. Nie mieliśmy czasu na tłumaczenie, na straty, na rannych. Musieliśmy biec.

Gdy rozjaśniło się przed nami i znów usłyszeliśmy śpiew ptaków, Zimir zatrzymał się. Dogoniliśmy go, puściłem całą czerwoną i obolałą od mojego uścisku dłoni Clementine.

– Jurgen... Co to było? – zapytała. Jednak gdy rozejrzeliśmy się dookoła, Jurgena z nami nie było.

– Jurgen? – zawołałem, ale odpowiedziała mi tylko cisza przerywana szelestem liści. Zimir spojrział na mnie z napiętą miną.

– Zniknął.

– Nie – odparłem stanowczo. – Jurgen nie znika bez powodu. Coś musiało się stać.

– Sivralu. – Zimir uniósł głos, co zdarzało mu się rzadko. – Nie mamy czasu. On wie, dokąd zmierzamy. Poradzi sobie. Jest zjawą! Nie możemy ryzykować całej wyprawy przez jeden błąd.

– To nie błąd! – zaprotestowałem. – Jurgen nigdy nie zostawiłby nas samych. Coś musiało go zatrzymać.

Clementine, która dotąd milczała, zrobiła krok w moją stronę.

– Zgadzam się z Sivralem – powiedziała cicho, ale zdecydowanie. – Jurgen to nasz przyjaciel. Nie możemy go po prostu zostawić.

Zimir spojrział na nas, po czym westchnął i pokręcił głową.

– Nie rozumiecie. Jesteśmy na granicy lasu. Jeszcze tylko kilka godzin i dotrzemy do Doliny Burz. Liczy się każda chwila. Nie możemy tracić czasu na zatrzymywanie się, kiedy mamy tak ważne informacje do przekazania.

– I zostawić Jurgena? – rzuciłem wściekły. – Powiedz mi, Zimirze, czy gdybym to ja zaginął, uczyniłbyś tak samo?

Zimir przez chwilę nie odpowiadał. W jego oczach widziałem mieszankę frustracji i wahania. W końcu wzruszył ramionami i zacisnął dłonie w pięści.

– Macie godzinę. – Westchnął. – Ani chwili dłużej.

Spojrzałem na Clementine, która skinęła głową, a potem ruszyliśmy w stronę lasu. Nie było śladów, za którymi moglibyśmy podążać, więc pozostawała nam tylko intuicja. Clementine ścisnęła w dłoni mały kwiat, który zerwała wcześniej na polanie, jakby szukała w nim pocieszenia.

– Sivralu, co jeśli nie zdążymy? – zapytała.

– Zdążymy – odpowiedziałem, starając się ukryć własne obawy. – Musimy go znaleźć.

Zanurzając się z powrotem w gęstwinę, czułem na plecach ciężar spojrzenia Zimira. Oczywiście poszedł z nami i nawoływał Jurgena. Pomimo wahań uszanował naszą postawę. Clementine nagle krzyknęła w oddali i ruszyła pędem przed

siebie. Pobiegliśmy za nią. Gdy ujrzelśmy Jurgena leżącego na ziemi, zmroziło nas. Clementine kucala już przy nim i ze łzami w oczach trzymała go za dłonie.

– Jurgen... co się stało? – zapytała dziewczyna. Zjawa spojrzała na nią z delikatnym uśmiechem.

– Jestem tylko... trochę zmęczony... – wyszeptał. – Ale musimy iść dalej. Dolina... jest już blisko.

Delikatne światło Jurgena opuszczało jego ciało. Zimir stał jak wryty, nie wiedząc, co robić. Grzebałem w torbie, szukając eliksiru regenerującego, gdy Clementine łkała cicho nad zjawą. Nagle stało się coś, czego żaden z nas się nie spodziewał. Łuna światła otaczająca Clementine objęła również Jurgena, a ten zaczął powoli odzyskiwać blask. Zjawa, wcześniej przywdziewając zrezygnowany uśmiech pełen bólu, rozchmurzyła się i podniosła dłonie Clementine, całując je.

– Piękny dar... Dziękuję ci, Clementine. Bez ciebie... – Próbując dokończyć zdanie, zakaszła lekko, a z jego ust wydostała się mała mgła.

Clementine sama najwidoczniej nie rozumiała, co się właśnie wydarzyło. Podniosła się gwałtownie i zaczęła potrząsać głową, ocierając łzy z twarzy.

– Co się właściwie stało? – zapytała.

– Ty... Ty go chyba uratowałaś – powiedziałem, jękając się.

– Mówiłem wam! Mówiłem, że jest wyjątkowa! – krzyczał zachwycony Zimir, zbierając rzeczy rozrzucone wcześniej w pośpiechu przez Clementine.

Gdy otrząsnęliśmy się z ucieczki przed zjawami i nagłego „cudu”, którym był przejaw umiejętności Clementine, ruszyliśmy dalej, wracając na kurs.

– I naprawdę nie wiedziałaś, że tak potrafisz, Clem? – zapytałem.

– Przysięgam, że nie miałam pojęcia – odpowiedziała mi podekscytowana dziewczyna.

– Słuchaj, gdy już dotrzemy do bram prowadzących do Doliny, zaczekasz przed nimi, dobrze? Zostaniesz z Jurgenem, nic ci nie będzie. My z Zimirem dostaniemy się do Cesarzowej i wszystko jej powiemy.

– Ale jak to? Miałam iść z wami! Przecież nawet Zimir mówił...

– Zimir nie zdaje sobie chyba sprawy, jak bardzo to może być niebezpieczne. Nie może cię prosić o coś tak ryzykownego. – Przerwałem jej. – To

nie twoja wojna, Clem. – Mówiąc to, spojrziałem jej prosto w oczy. Dziewczyna spoważniała, nie wiedząc do końca, co odpowiedzieć na moje słowa. Wiedziałem, że Zimir się wścieknie, ale nie mogłem mu na to pozwolić. Poradzimy sobie i we dwóch przedstawimy wszystko Cesarzowej, tak jak planowaliśmy, zanim znaleźliśmy Clementine.

Ponury wieczór zbliżał się powolnymi krokami, gdy nadszedł moment, w którym dotarliśmy do bramy. Byłem kompletnie spięty, a dłonie trzęsły mi się ze strachu przed tym, co się wydarzy w związku z Cesarzową. Ale w tym momencie przerażała mnie przede wszystkim reakcja Zimira, gdy oznajmimy mu z Jurgenem, że Clem z nami nie idzie. Zanim Zimir podszedł do strażników, pewnym ruchem złapałem go za ramię.

– Clementine zostaje tutaj – oznajmiłem chłodno, spoglądając na Zimira. Ten odwrócił się gwałtownie.

– Co? Nie ma mowy! Idzie z nami, już o tym rozmawialiśmy.

– Nie, nie idzie – warknąłem przez zaciśnięte zęby. – To nie jest jej problem. Nie musi tego robić.

Zimir zmarszczył brwi, a jego głos przeszedł w groźny szept:

– Przecież ją uratowaliśmy. Teraz jest częścią drużyny.

Jurgen westchnął i wszedł między nas, unosząc ręce w uspokajającym geście.

– Zimir, Sivral ma rację. Clementine zostanie tutaj... ze mną.

– Ty też?! – Zimir wybuchnął, patrząc na niego z niedowierzaniem. – Dlaczego? To jej decyzja!

Skrzyżowałem ramiona i wbilem w Zimira zimne spojrzenie.

– Naprawdę chcesz ją narażać na to, co może być po drugiej stronie bramy? Nie mamy pojęcia, co nas czeka. Clementine nie będzie narażać swojego życia dla naszej wojny!

Zimir zgrzytnął zębami.

– Nie jest taka słaba, na jaką wygląda – warknął.

– Może i nie – przyznał Jurgen, podchodząc do Zimira i kładąc mu dłoń na ramieniu. – Ale nie chodzi o to, czy jest silna. Wykorzystywanie jej zdolności dla własnych korzyści nie jest w naszym stylu... Nie jest w twoim stylu, Zimir.

Zimir spojrział na niego, jakby próbował ocenić, czy te słowa były szczerze. W końcu odwrócił wzrok i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Świetnie. Róbcie, co chcecie. Do diabła z waszą pomocą, z waszymi obietnicami. Do diabła...

– W porządku – powiedziałem cicho.

Jurgen uśmiechnął się lekko i spojrział na Clementine, która cały czas się przyglądała, nie wiedząc, co ma robić.

– Clementine – zaczął łagodnie – zostaniesz tutaj ze mną. Wszystko będzie dobrze.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Nie martwcie się o mnie. Powodzenia – dodała, mocno ściskając mnie na pożegnanie.

Zimir rzucił ostatnie gniewne spojrzenie i ruszył w stronę bramy, nie oglądając się za siebie. Skinąłem Jurgenowi głową, a potem podążyłem za Zimirem. Jurgen spojrział na Clementine, jego wyraz twarzy złagodniał.

– Wygląda na to, że mamy trochę czasu, zanim wrócą. Masz ochotę na herbatę?

– Zawsze mam ochotę na herbatę.

Po wejściu przez bramy opanował nas chłód i zapach dymu unoszącego się w powietrzu. Idąc przez miasteczko pod zamkiem, rozglądaliśmy się w poszukiwaniu mieszkańców, których było wyraźnie mniej. Zimir kompletnie pobrał, a ja jeszcze sam nie rozumiałem, co się dzieje. Zauważyłem starszą kobietę w chuście schylającą się po kartofle rozrzucone po przejściu. Sięgnąłem po jednego z nich i podając jej, zapytałem z uprzejmym uśmiechem:

– Dobry wieczór pani. W którym kierunku do zamku? Mamy pilną sprawę do cesarzowej.

– Do cesarzowej? – zapytała oteępiała i dopiero teraz zauważyłem ślady łez na jej twarzy. – Cesarzowa nie żyje, chłopcze. Została zamordowana.

Spięcie

– Dawno nigdzie razem nie byliśmy – zauważył Eliot, opierając brodę na dłoni i spoglądając na mnie znad parującej filiżanki kawy. – Może dziś wieczorem? Mały reset od codzienności, musisz w końcu odpocząć od obowiązków.

Uniosłem wzrok znad laptopa, przez chwilę zastanawiając się, czy znajdę dziś czas na coś więcej niż pracę, ale widząc ten delikatny uśmiech, wiedziałem, że nie mam serca mu odmówić.

– Masz rację, przyda nam się coś innego niż pizza na kanapie. Co proponujesz?

Eliot odchylił się do tyłu, zasłaniając ręką twarz, pomagało mu się to zastanowić.

– Może „Herbs haven”, knajpka, której reklamę widziałem w okolicy tego mostu, obok którego mieliśmy pierwszą randkę.

Tego dnia wiele rzeczy nie poszło po naszej myśli, oboje byliśmy spięci i nie wiedzieliśmy, jak zbliżyć się do siebie. W celu rozluźnienia atmosfery rozmawialiśmy o głupich sytuacjach z dzieciństwa i komentowaliśmy, co działo się na drugim brzegu rzeki. Na to wspomnienie kąciki moich ust się podniosły.

– Brzmi klimatycznie i orzeźwiająco, na pewno lepiej niż znów jeść coś z tekturowego pudełka.

– Błagam, Aiden, jeśli znów miałbym zjeść taniego fast-fooda, chyba przestałbym się do ciebie odzywać – zażartował. – Zarezerwuję stolik na siódmą. – Postanowił, nie tracąc czasu na namysły.

Eliot znał mnie i rozumiał jak nikt inny, prócz niego nie miałem nikogo. Od końca studiów nie utrzymywałem kontaktów z rodziną, a na przyjaźniach

w pracy nigdy mi nie zależało. On jednak wypełniał wszelkie braki, był dla mnie całym światem. Nadrabiał w naszym związku energią i spontanicznością. Moją broszką była odpowiedzialność oraz rzetelność w działaniu. Mogliśmy mówić sobie o wszystkim.

Jedynym tematem, jakiego unikał, była praca. U mnie zwykle było dużo roboty, przez co mogliśmy spędzać ze sobą mniej czasu. Eliot natomiast pracował na drugim końcu miasta, więc wcześniej rano musiał wstawać, by mieć czas na dojazd.

* * *

Po szybkim przyszykowaniu, zdecydowaliśmy się na wcześniejsze wyjście. Wybraliśmy drogę pieszo, zamiast jazdy samochodem. Wieczór był chłodny, a w powietrzu unosił się zapach wilgotnych liści i dymu z kominów. Trzymałem rękę mojego męża, czując pod palcami miękkiego materiału jego rękawiczki. Spacerowaliśmy powoli, nie spiesząc się, chłonąc tę jesienną atmosferę. Uwielbialiśmy uliczne lampy rzucające ciepłe światło na otaczające nas budynki i ten charakterystyczny dźwięk butów stąpających po kamiennym bruku.

Szliśmy w komfortowej ciszy, która była przerywana tylko cichym nucieniem Eliota. Kochał śpiewać, więc w mieszkaniu praktycznie nigdy nie panowała kompletna cisza, ja zaś uwielbiałem go słuchać, choć nieczęsto dołączałem się na drugi głos. Zastanawiałem się, czy znów będzie chciał się zamienić napojem, który podejrzanie to ja zawsze zamawiam bardziej w jego guście, i czy znowu będzie skłonny zjeść, cokolwiek oddam mu ze swojego talerza.

Na szczęście nie zabłądziliśmy i GPS poprowadził nas prosto pod drzwi „Herbs haven”. Po ich otwarciu nie minęła chwila, nim poczuliśmy aromatyczne zioła. Poczulem lekkie zdziwienie na widok schodów w dół, nigdy wcześniej nie byłem w restauracji znajdującej się w piwnicy

– Całe szczęście, że nie pijemy. Życzę powodzenia komuś po kilku lampkach wina, żeby bez problemu wejść po tych stromych schodach – zauważył trafnie Eliot. Pewnie był to zabieg służący zwiększeniu powierzchni sali jadalnej.

Po zejściu z nich weszliśmy w długi korytarz, był wąski, co sprawiało wrażenie tunelu do innego świata. Z każdym krokiem naprzód sceneria stawała się bardziej intrygująca. Sala była oświetlona delikatnym światłem, po drewnianych belkach konstrukcyjnych wspinały się pnącza bluszczu, sufit pokryty był zielonymi materiałami w wielorakich odcieniach i wieloma gatunkami roślin we wzorzystych donicach. Stoliki, między którymi biegali kelnerzy, serwując dania pachnące ziołami i świeżo pieczonym chlebem, wykonane były z jasnego drewna, co kontrastowało z parkietem równie ciemnym co belki. Widać było, że pomieszczenie ma swoje lata, co dodatkowo komponowało się z klimatem dzikiej puszczy. Podeszliśmy do baru po lewej stronie kilka metrów od wejścia. Tuż za nim było widać ogień buchający z kuchni, która była półotwarta. Eliot lekko podskoczył, łapiąc mnie za ramię.

– Przepraszam, odruch – szepnął mi do ucha, gdy kelnerka prowadziła nas do stolika.

– Zawsze ci mówię: nie przepraszaj za to, czego nie możesz kontrolować. Już w porządku? – Mimo wszystko się martwiłem. Odkąd jako dziecko przez przypadek oparzył się na ognisku, panicznie boi się otwartego ognia.

– Tak, bo jesteś obok. – Uśmiechnął się lekko. – Podoba mi się tu, nie pomyślałbym, że takie niepozorne miejsce będzie tak śliczne.

– Jeśli dania będą smakowały tak samo jak pachną, nie mam nic przeciwko wpadaniu tu częściej. – Przeszło mi przez myśl zrobienie z tego cyklicznego wyjścia.

Usiedliśmy przy stoliku blisko tylnej ściany restauracji i po rozplaszczeniu się wzięliśmy w ręce menu. Po wybraniu dań i złożeniu zamówienia informacja o wydłużonym czasie oczekiwania ze względu na większe niż zwykle obłożenie nie zdołała nas. Postanowiliśmy zająć się rozmową. Zaczęło się od błahostek, jednak gdy po kilku minutach temat zszedł na pracę, nastrój się zmienił.

– Dlaczego nie powiesz szefowi, żeby dał ci mniej zadań? Robisz o wiele więcej niż inni na twoim stanowisku! – uniósł się Eliot, gdy powiedziałem, że przyszyły tydzień również spędzę na kończeniu obowiązków w domu.

– Ile razy mam ci powtarzać? On uważa, że najlepiej wykonuję swoje obowiązki, a zbliża się termin rozliczeń w firmie. – To już nie pierwszy raz, kiedy tak było, jednak Eliot nie chciał zrozumieć, że sytuacja nie ulegnie zmianie. – Nie zmieni zdania, bo wszystko szlag trafi! Zresztą jest szansa, że w przyszłym roku dostanę podwyżkę.

– Przyszłym?! Aiden, to już trzeci rok z rzędu, kiedy wszystko spada na twoje barki. Równie dobrze mógłbyś zająć miejsce swojego szefa. Różnicy i tak by nie było. – Wściekł się Eliot. – I tak zawsze siedzisz w laptopie – dodał pod nosem.

Nienawidziłem rozmawiać o mojej pracy. Sytuacja była delikatna i jakbym tak po prostu wypalił do przełożonego, jak sugeruje mój mąż, dużo pewniejsze byłoby to, że stracę posadę.

– Przestań! Ja przynajmniej jestem w domu, nie to, co ty. Wracasz, jak już śpię, kiedy mamy spędzać razem czas?! – oskarżyłem, czując, jak podnosi mi się ciśnienie.

– Po co mam wracać po pracy, jak ty i tak masz czas tylko dla swojego laptopa?! Nie będę siedział beczynnienie i patrzył na ciebie wlepionego w ekran.

– Tak? To może wcale nie wracaj, znajdź sobie kogoś, kto zawsze i wszędzie będzie miał czas robić coś, co ty wymyślisz w pięć sekund! Wcale nie zwracając uwagi na plany innych! – Krew we mnie wezbrała.

– A wiesz co, Aiden?! Może ten ktoś przynajmniej będzie miał inne plany niż wieczna praca! – wykrzyczał, wstając z krzesła. – Idę do łazienki, nie idź za mną – powiedział, oddalając się w stronę baru, pewnie by spytać, gdzie jest toaleta.

Wziąłem głęboki wdech. Nie tak miał potoczyć się ten wieczór. Zacząłem się rozglądać wokół na inne stoliki, gdy usłyszałem ciche trzaskanie. Było ledwo zauważalne przez szum rozmów gości restauracji. Nagle na jednym z materiałów przy suficie zobaczyłem mały płomień. Nim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, i zareagować, ogień, jakby karmiony przez złośliwą siłę, ożył. W kilka sekund rozprzestrzenił się i znalazł drogę do kolejnych materiałów łatwopalnych. Drewniane belki, które wcześniej były ozdobą wnętrza, teraz stawały się paliwem – nie mogłem uwierzyć, że dzieje się to

w tak zatrważającym tempie. Nie było nawet czasu na użycie gaśnicy. Ludzie zaczęli wstawać od stołów, niektórzy w panice biegli w stronę wyjścia, inni próbowali ratować to, co mieli pod ręką – torebki i płaszcze. W mgnieniu oka kuchnia, pełna gorących płyt, otwartego ognia i wonnych przypraw, przestała być miejscem, gdzie tworzono kulinarne cuda, gdy gazociąg wybuchł płomieniem. Pomyślałem, że Eliot musiał uciec na zewnątrz, jak tylko zobaczył, co się dzieje, więc sam czym prędzej udałem się w stronę wyjścia.

Byłem jednym z pierwszych w korytarzu, który prowadził do schodów. Wkrótce jednak w tej wąskiej przestrzeni zrobił się niemiłosierny ścisk, wszyscy chcieli wydostać się jak najszybciej, zwłaszcza że płomienie syciły się coraz to nowymi materiałami, a dym się zagęszczał. Przez brak okien w piwnicy nie było sposobu na wpuszczenie świeżego powietrza do wnętrza restauracji, co spowodowało, że widoczność malała z każdą sekundą. Ludzie w panice nie zważali jednak na to, co dokładnie dzieje się przed nimi, zupełnie jakby władał nimi zwierzęcy instynkt. Przynajmniej mi samemu zależało tylko na tym, by znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Ledwo widziałem czubki swoich butów, gdy nagle zahaczyłem o coś stopą i upadłem, jak się okazało, tuż przed schodami.

Wszystko potem działo się błyskawicznie. Czulem upadających na mnie ludzi, przygniatających mnie do parkietu.

Minął zaledwie moment, a nikt już nie był w stanie się ruszyć, było nas zbyt wielu. Czulem wbijające się w moje plecy kończyny innych. Z boku pewnie wyglądało to jak jedna masa bezradnie próbująca ruszyć się z miejsca. Przez dym z płomieni i ciężar osób nade mną ledwo oddychałem. Czulem narastające ciepło, krzyki strachu zmieniły się w jęki agonii, a w nozdrzach czulem zapach palonych włosów i ludzkiej skóry.

Nietrudno było się domyślić, że wszystkich nade mną pochłania ogień, ja mogłem natomiast tylko bezradnie leżeć i czekać, aż dotrze i do mnie. Wkrótce żywioł zajął mi buty i spodnie, doszło do mnie, że moja skóra się topi. Nie byłem w stanie nawet krzyknąć z bólu – gdybym mógł, pewnie odciąłbym sobie stopy, byle tylko nie czuć tego przeraźliwego gorąca. Czulem się, jakbym położył je na rozgrzanej kuchenkę i nie mógł ich z niej zdjąć. Kiedy

krzyki nade mną powoli cichły, wiedziałem, że ci ludzie umierają. Usłyszałem zagłuszający wszystko przeraźliwy huk, ale z mojej pozycji nie miałem pojęcia, co się stało. Pomyślałem wtedy, że nie ma już dla mnie ratunku.

Opadając z sił i czując, że zaraz stracę przytomność, miałem tylko nadzieję, że Eliotowi udało się uciec z piekła, w jakie zamieniło się „Herbs haven”.

* * *

Ocknąłem się już w szpitalu. Od lekarzy dowiedziałem się, że mam poparzone całe nogi, a moje buty wtopiły się w stopy tak bardzo, że prawie nie było co ratować.

Zakończenia nerwów są spalone, co oznacza prawie brak szans na to, że kiedykolwiek jeszcze stanę na nogi. Przez nawdychanie się takiej ilości czadu nie było na początku wiadomo, czy w ogóle się obudzę. Dowiedziałem się od pielęgniarek, że jestem jedną z niewielu osób, którym udało się ująć z życiem z tamtej tragedii. Ogień został spowodowany spięciem instalacji elektrycznej, której kable znajdowały się na suficie, przykryte dekoracjami. Kilka osób wybiegło, zanim zablokowaliśmy przejście, pewnie klienci z pierwszych stolików i ja, jedyna osoba ocalała, do której ratownicy dostali się już po ugaszeniu pożaru. Nikt z ludzi nade mną nie przeżył. Cała załoga nie zdołała nawet opuścić kuchni, zanim instalacja nie eksplodowała, to tłumaczyło ten dźwięk. Po tym, jak straciłem przytomność, belki konstrukcyjne rozpadły się pod wpływem temperatury, przez co zawalił się sufit. Wszystko zostało doszczętnie zniszczone, a niektórych ciał nie udało się zidentyfikować. Spytałem, co z moim mężem, opisałem, jak wyglądał i gdzie mógł być w czasie pożaru. W odpowiedzi dostałem słowa współczucia i smutne spojrzenia.

Eliot nie przeżył. Zaczadził się uwięziony w łazience na tyłach pomieszczenia. Jego ciało było spalone od pasa w górę, nie wiadomo, czy umarł, zanim płomienie zajęły jego miękkie włosy, blada skóra zaczęła świecić żarem ognia. Nie wiadomo, czy krzyczał, ale na pewno jego wzrok przepętniało przerażenie. Jeśli myślał o mnie, o tym, że go uratuję, przepraszam. Nie mogę żyć z myślą o tym, jak ja sam pobiegłem do wyjścia, kiedy mój ukochany nie mógł zrobić nawet kroku poza drzwi od łazienki. Mimo to

przez pierwsze miesiące nie dochodziło to do mnie do końca. Myślałem, że może jest w innym szpitalu albo nie ma czasu mnie odwiedzić, a pielęgniarki mnie okłamują. Gdy prawie rok po zdarzeniu, późną jesienią, zostałem wypisany ze szpitala i dotarłem do pustego mieszkania, w mojej głowie coś się przestawilo. Wszystko przypominało mi o nim, a raczej o tym, że nie ma go już ze mną. Mimo utykania byłem w stanie pokonywać krótkie dystanse, jednak nie mogłem nawet podnieść się z łóżka. Leżałem, udając, że Eliot już wyszedł do pracy i zobaczę go wieczorem. Przestałem się odzywać, rzuciłem pracę i wychodziłem z domu tylko do supermarketu po coś do jedzenia, za pieniądze, które dostałem z odszkodowania. Nic nie potrafiło wywołać u mnie radości, czułem się, jakbym tylko widział sytuacje dziejące się wokół, a nie był ich uczestnikiem.

* * *

Kiedy znów zmusiłem się do zrobienia zakupów, błądziłem po alejkach, ślepo wrzucając produkty do koszyka. Mijałem sekcję z owocami, kiedy kątem oka zobaczyłem mandarynki – były przecenione, w końcu zbliżały się święta. Eliot zawsze mówił, żebym przekonał się do nich, jednak uważałem obieranie ich za zbyt irytujące. Tym razem wziąłem cały worek. Zapominając o reszcie zakupów, udałem się do kasy ze łzami w oczach. „Nie będę przecież płakać w supermarkecie”, pomyślałem. Zdziwiło mnie to wzruszenie. Tak właściwie to nie czułem na co dzień targających mną emocji, bardziej pustkę. Nie potrafiłem opisać jej mojemu psychiatrze, z którego usług zacząłem korzystać po opuszczeniu szpitala. Nie po to, aby rozmawiać, ale po tabletki nasenne. Od czasu wypadku nie jestem w stanie normalnie spać. Za każdym razem budzę się złany potem, ciężko oddychając. W koszmarach jestem znów w tym miejscu, czuję wszystko prawie identycznie, jedyne, co się różni, to nowe myśli o tym, co teraz z Eliotem, gdzie jest i czy czeka na mnie, by go uratować. Noc w noc przeżywam to na nowo i ani razu nie zdaję sobie sprawy, że śnię, póki się nie obudzę. Jak już zerwę się, wracając na jawę, leżę w łóżku, patrząc w sufit. Wiem, że nie mam po co spoglądać w bok. On nie wróci, a ja nie zmienię tego, co się wydarzyło. Zastanawiałem się, dlaczego

to ja przeżyłem – byłem tylko jednym z wielu klientów tamtego dnia. Nic oprócz jakiegoś okrutnego szczęścia nie sprawiło, że teraz to ja siedzę w łóżku z tępyim bólem w nogach i całkiem sam. W rocznicę tragedii postanowiłem, że dłużej tak nie wytrzymam. Mam dość obcych proszących o wywiad, i słów, że wszystko będzie dobrze. Nie chcę rad od psychiatry ani wsparcia od innych ocalałych. Jedyne, czego pragnę, to znów znaleźć się w objęciach Eliota. Chciałem wreszcie powiedzieć mu, że wszystko będzie w porządku. Nie mogłem sobie wybaczyć, że ostatnie słowa, które do niego powiedziałem, to te, żeby nie wracał.

Wziąłem do ręki opakowanie tabletek, dostałem nową partię, bo z ostatniej prawie nic nie zostało. Zacząłem połykać jedną po drugiej, całą zawartość. Położyłem się do łóżka, układając się tak, jakby mąż był obok. Uśmiechnąłem się na myśl, że znów go zobaczę. Wiedziałem, że nikt nie zjawi się nagle, żeby mnie powstrzymać. Gdy zamykałem oczy, ogarnął mnie wielki spokój, a ból w nogach zanikał, zupełnie jakby moje ciało również zapomniało o zdarzeniu, jakie miało miejsce w „Herbs haven”.

Żółty kanarek

Był ciepły letni wieczór. Jeden z ostatnich w tym roku. Maria i Hubert chcieli go spędzić razem na świeżym powietrzu, oglądając piękne niebo pełne gwiazd. Była to również ostatnia w tym roku okazja na piknik pod gołym niebem.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony Hubert.

– Co? Nie, nic. Wszystko w porządku.

– Szczerze mówiąc, to nie wyglądasz, jakby tak było.

– Nie, wszystko jest dobrze – odpowiedziała ze spokojem Maria.

– Pamiętaj, że jakby coś się działo, to zawsze możesz na mnie liczyć i zawsze ci pomogę.

– Wiem. Dziękuję.

– Wyjedźmy gdzieś na weekend – zaproponował podekscytowany Hubert.

– W ten weekend?

– Tak, teraz.

– Dokąd? – zapytała zaintrygowana Maria.

– Nie wiem. Zaraz coś wymyślimy.

– Podoba mi się taka spontaniczna wycieczka. Świetny pomysł – powiedziała uśmiechnięta Maria.

Resztę wieczoru spędzili na dyskusji odnośnie do spontanicznego wyjazdu i planowaniu go. Ostatecznie zdecydowali się na Kraków, który od dawna marzył się Marii. Hubert wiedział to i świadomie zaproponował akurat to miasto, żeby zrobić dziewczynie niespodziankę.

Oboje byli bardzo podekscytowani i czekali nadejścia piątku: dnia, w którym mieli wyjechać. Zdecydowali się spotkać trochę wcześniej przed odjazdem

pociągu. Chcieli jak najlepiej wykorzystać ten czas i spędzić go ze sobą. Po przyjeździe na dworzec dowiedzieli się, że pociąg, którym mieli jechać, jest opóźniony o kilkadziesiąt minut, co początkowo ich zdenerwowało i zasmuciło, ale po kilku minutach zrozumieli, że mają jeszcze chwilę dla siebie w rodzinnym mieście. Gdy nareszcie nadjechał pociąg, zajęli miejsca obok siebie i zaczęli ponownie rozmawiać. Po kilku godzinach spokojnej drogi dojechali na miejsce i udali się w stronę hotelu, w którym mieli spać przez najbliższe dwie noce. Jako że Hubert był w Krakowie już wiele razy, mógł bez żadnego problemu oprowadzać po tym mieście. Pokazał Marii najważniejsze i najpiękniejsze miejsca. Dziewczyna była zachwycona pięknem Krakowa i bardzo szczęśliwa, że to akurat z Hubertem mogła pierwszy raz przyjechać do tego miasta.

Przez następne kilka dni po powrocie ich myśli biegły w podobną stronę. Każde z nich wracało wspomnieniami do ostatniego weekendu, który zdecydowanie był jednym z najlepszych w roku.

W końcu nastał piątek i mogli się ponownie spotkać. Przez natłok obowiązków i różnych zajęć wcześniej nie mieli takiej możliwości. Nie mogli się doczekać tego spotkania, dzięki czemu towarzyszyło im ogromne szczęście i niesamowita radość. Maria na widok Huberta była niezwykle rozpromieniona i przez cały czas, który mogli spędzić razem, była uśmiechnięta. Hubert podobnie. Był bardzo zadowolony, że udało im się w końcu spotkać. Choć pokazywał to nieco mniej emocjonalnie niż Maria, to każdy wiedział, że to ważne również dla niego.

Ich spotkanie trwało zdecydowanie zbyt krótko, ale zrobiło się dość późno, więc musieli kończyć i wracać do domów. Hubert odprowadził Marię i wracając, miał chwilę na uporządkowanie myśli. Było ich wtedy niesamowicie dużo. Pod koniec drogi miał ochotę już tylko pójść spać, żeby pozbyć się tego chaosu. Po wejściu do mieszkania ściągnął tylko buty i od razu poszedł do łazienki, aby umyć się i jak najszybciej móc położyć się spać.

Następnego dnia, gdy po przebudzeniu zjadł szybkie, lekkie śniadanie, przysłała do niego mama.

– Hubert, babcia Krysia dzwoniła przed chwilą.

– O, fajnie. Co tam u niej? – odpowiedział od razu ucieszony chłopak.

– Pytała o ciebie. Zastanawiała się, czy nie znajdziesz chwili, żeby ją dzisiaj odwiedzić.

– Co jej powiedziałaś?

– Że spytam i oddzwonisz do niej.

– A kiedy miałbym to zrobić?

– Raczej dzisiaj, ewentualnie jutro. Jak zadzwonisz, to się wszystkiego dowiesz – odpowiedziała z ogromnym spokojem mama Huberta.

– Nie będę ukrywał, że miałem już plany na dzisiaj. Ale też dawno u niej nie byłem i wypadaloby to zmienić.

– Zastanów się i zadzwoń do babci. A tak swoją drogą, to zgadzam się z tym, co powiedziałaś.

– Tak sobie myślę, że dam radę przełożyć to, co miałem zaplanowane. Więc zaraz zadzwonię, zbiorę się i pojadę.

Hubert od razu zrobił tak, jak powiedział, i resztę dnia spędził u babci. Gdy dotarł do niej, okazało się, że potrzebna jest jej pomoc. Hubert zrobił wszystko, o co został poproszony. Zrobił zakupy, naprawił telefon oraz ustawił telewizor, tak żeby następnym razem nie było problemu z włączeniem ulubionego kanału jego babci. W międzyczasie zjedli obiad, wypili herbatę i spokojnie porozmawiali. Od początku do końca jego pobytu widać było, że babcia bardzo się cieszyła, że udało mu się przyjść, oraz że się za nim mocno stęskniła. Hubert po wyjściu z jej mieszkania zaplanował sobie, że musi częściej ją odwiedzać. Pomimo stosunkowo małej ilości czasu w ciągu całego tygodnia zrozumiał, że musi go poświęcić zdecydowanie więcej swojej rodzinie.

Kilka dni później, będąc jeszcze w szkole, poczuł wibrujący w prawej kieszeni spodni telefon. To była jego mama, która zadzwoniła do niego, nie pamiętając pełnej rozpiski trwania lekcji i przerw. Wiedziała, że jeśli syn nie odbierze od razu, to oddzwoni na najbliższej przerwie. Hubert zobaczył tylko na lekcji, kto dzwonił, i odezwał się do mamy bezpośrednio po wyjściu z klasy.

– Halo. Hej, dzwoniłaś – powiedział od razu, gdy mama odebrała.

– Hej. Babcia ponownie dzwoniła i chciała, żebyś dzisiaj również do niej przyszedł.

– Byłem u niej kilka dni temu. Coś się stało?

- Babcia źle się poczuła i potrzebuje drobnych zakupów. Dasz radę?
- Oczywiście, że dam. Tak więc wrócę wieczorem.
- Dziękuję i uważaj na siebie – powiedziała na zakończenie mama.
- Dobra, pa – odpowiedział Hubert, po czym się rozłączył.

Po lekcjach udał się do babci. Czekala go około trzydziestominutowa wycieczka, na którą nigdy nie narzekał. Po dziesięciu minutach usłyszał dzwoniący w kieszeni telefon. Była to Maria.

- Cześć, możesz rozmawiać? – zapytała smutnym głosem.
- Hej, pewnie. Wszystko w porządku?
- Nooo, powiedzmy. Chciałbyś się dzisiaj spotkać?
- Chciałbym, ale nie mogę. Idę właśnie do babci, potrzebuje jakichś zakupów, bo źle się czuje. Coś się stało?
- Nie. Wszystko dobrze.
- Nie brzmi to przekonująco. Co jest? – zapytał ponownie Hubert.
- Nic. Po prostu coś się tak trochę jakby dziwnie czuję.
- Dziwnie? To znaczy jak?
- Trochę mi smutno. Jestem jakaś przygnębiona dzisiaj – odpowiedziała spokojnym głosem Maria.
- Też chciałbym się spotkać. Pomóc ci. Niestety nie dam rady.
- Kiedy będziemy mogli się spotkać?
- Myślę, że jutro powinno się udać.
- Dobrze, może być – odpowiedziała trochę bardziej ucieszona Maria. – W takim razie do jutra.
- Do jutra – odpowiedział Hubert, kończąc rozmowę.

Chwilę później dotarł do bloku, w którym mieszkała jego babcia. Od razu gdy wszedł do jej mieszkania, zapytał, co się dzieje i co potrzeba kupić. Babcia odpowiedziała, że po prostu źle się dzisiaj czuje i musi trochę więcej odpocząć, ale wszystko będzie dobrze. Ta odpowiedź tylko w małym stopniu uspokoiła Huberta, który po krótkiej rozmowie wyszedł do sklepu po rzeczy, o które poprosiła go staruszka. Gdy wrócił, babcia czekała już na niego z podgrzany obiadem, żeby mógł zjeść coś ciepłego po całym dniu spędzonym w szkole. Porozmawiali jeszcze chwilę i wrócił do domu.

Następnego dnia po szkole, tak jak obiecał, spotkał się z Marysią. Jedno z pierwszych pytań Huberta dotyczyło jej samopoczucia.

– Jak tam? – zapytał, chcąc poruszyć temat, o którym rozmawiali przez telefon.

– Aaa, może być – odpowiedziała jakby lekko speszona Marysia.

– Czemu tylko może być? – ciągnął temat Hubert.

– Po prostu dalej jestem przygnębiona. Nawet nie wiem czemu.

– Mogę jakoś poprawić ci nastrój?

– Sama nie wiem.

– Dobra, wiem. Chodź ze mną.

Hubert zaprowadził Marysię do jej ulubionej restauracji, a potem wręczył jej fioletowego tulipana. Marysia kompletnie nie spodziewała się prezentu i była zdumiona, skąd chłopak wziął jej ulubiony kwiatek. Gdy się rozstawali na koniec dnia, Marysia była zdecydowanie szczęśliwsza i rozweselona. Na koniec cicho podziękowała. Po tym Hubert wiedział, że faktycznie udało mu się poprawić jej nastrój. Mógł być zdecydowanie spokojniejszy.

Kilka dni później do Huberta ponownie przyszła mama.

– Hubert, rozmawiałam ostatnio z wujkiem, jak ciebie nie było. Pytał o ciebie.

– O mnie? O co dokładnie chodzi?

– Pytał, czy chciałbyś iść z nim na mecz.

– Na mecz? Przecież ja sportu nie oglądam.

– To właśnie mu powiedziałam.

– A co z tym jego kolegą, Sławkiem?

– Miał z nim iść, ale się rozchorował. Jesteś ostatnią osobą, z którą mógłby pójść, a dobrze wiesz, jak on lubi z kimś chodzić na mecze.

– No wiem, wiem. Skoro tak, to mogę pójść.

Wujek Huberta bardzo się ucieszył, że chłopak się zgodził. Wiedział, że młody nie interesuje się sportem, i był nastawiony na to, że się nie zgodzi, ale stało się inaczej, co tylko pokazuje, jaką osobą był Hubert.

W dniu meczu wujek przyjechał po chłopaka kilka godzin przed rozpoczęciem zawodów, żeby móc pojechać jeszcze coś zjeść. Ostatecznie

Hubertowi bardzo się podobało, ale najbardziej był zadowolony z tego, że mógł uszczęśliwić wujka.

Następnego dnia spotkał z Marią. Po krótkim spacerze dziewczyna zaproponowała, żeby poszli do niej. Chciała pokazać Hubertowi, co ostatnio dostała. Po wejściu do pokoju Maria kazała Hubertowi zamknąć oczy.

– Mogę już otworzyć? – pytał niecierpliwie.

– Jeszcze nie. Ja ci powiem, kiedy, a teraz chodź ze mną. – Chwyliła chłopaka za rękę, żeby go poprowadzić.

– Dokąd ty mnie ciągniesz?

– Jeszcze chwila. Jeszcze nie teraz. I teraz możesz spojrzeć – powiedziała w końcu Maria. Gdy otworzył oczy, zobaczył pięknego żółtego kanarka.

– Ale śliczny! Skąd go masz?

– Dostałam. Rodzice mi kupili.

– To jest najpiękniejszy ptak, jakiego widziałem w życiu! – powiedział zachwycony Hubert.

– Nazywa się Emil.

– Bardzo ładnie. I zdecydowanie mu pasuje.

– Tak swoją drogą, to mam do ciebie prośbę. Zadbaj trochę o siebie. Wiem, jak to brzmi, ale nie chodzi o to, o czym mogłeś pomyśleć na początku. Ostatnio bardzo dużo czasu poświęcasz dla innych. Nieważne, czy chcesz, czy nie – robisz to. To jest bardzo miłe i kochane, ale zaczynam się powoli martwić, że się zajedziesz, bo wiem, jak dużo masz jeszcze innych spraw na głowie.

– Dziękuję. To również miłe, ale ja lubię pomagać i uszczęśliwiać innych. Poza tym ostatnio zrozumiałem, że za mało czasu spędzałem z najważniejszymi dla mnie osobami, a nie wiadomo, kiedy możemy spotkać się z nimi ostatni raz.

– Ale proszę cię. Uważaj na siebie.

– Oczywiście, że będę.

Po tym dniu Hubert bardzo polubił Emila i coraz częściej przychodził do domu Marii. Dziewczyna była pod ogromnym wrażeniem tej sympatii. W następnych tygodniach oboje mieli podobne nastroje co wcześniej. Maria

była coraz bardziej przygnębiona i smutna, a Hubert wręcz przeciwnie. Był zadowolony i emanował szczęściem.

Trzy miesiące później wydarzyło się coś, czego nikt nie mógł przewidzieć. Obie rodziny były w ogromnej żałobie i poznały się w sposób, w jaki nikt nie chciałby się zobaczyć po raz pierwszy. Na pogrzebie był również Emil. Bardzo ważne było, żeby piękny żółty kanarek również mógł się tam pojawić. Werdykt policji był jasny – było to samobójstwo. Nikt z obecnych nie chciał się obwiniać w tamtym momencie. Oprócz jednej osoby. Tą osobą była Maria. Nie mogła przestać oskarżać się o to, że niczego nie zauważyła i nie przypuszczała, co się dzieje.

Jak się później okazało, Hubert zostawił list. Krótki list pożegnalny, skierowany głównie do Marii. Zrozpaczona dziewczyna dostała go i chwilę trzymała, tak jakby się zastanawiała, czy na pewno chce to czytać. Po dłuższej chwili zaczęła. Już po przeczytaniu początku rozplakała się jeszcze bardziej niż wcześniej.

– Mamo, pomożesz mi? – poprosiła zapłakana.

– Tak, daj. – Mama przejęła list i przeczytała w ciszy. Na koniec streściła go: – Przede wszystkim poprosił, żeby nikt nie obwinił się za to, co się stało. Napisał, że miał depresję i już nie dawał rady. Miał ją stwierdzoną i nic nie pomogło. Napisał również, że dziękuje każdemu, a szczególnie tym, z którymi mógł spędzić ostatnio czas. Kazał również ucałować Emila – powiedziała łamiącym się głosem.

Nastąpiła głucha cisza i przez kilka minut nikt się nie odzywał. Słychać było tylko płacz Marii, która nie mogła się pogodzić z tym, co się wydarzyło. Po chwili dziewczyna wyszła na dwór, żeby się przewietrzyć, nabrać świeżego powietrza i побыć chwilę sama. Najchętniej zostałaby tak zdecydowanie dłużej. Chciała być sama przez wiele dni, tygodni, miesięcy. Minęło dobre kilkanaście minut, zanim ktoś do niej dołączył. Była to jej mama. Przyszła i usiadła obok niej w ciszy. Po kilku sekundach głowa Marii wylądowała na ramieniu mamy.

– Dlaczego? – zaczęła mówić Maria. – Dlaczego nic nie podejrzewałam?

– Nie obwiniaj się, proszę. Nikt nic nie podejrzewał – odpowiedziała kobieta, próbując pocieszyć córkę.

– Ale dlaczego on? Przecież on zawsze był zadowolony i szczęśliwy. Zawsze miał w sobie dużo energii i zawsze był wesoły. Nigdy nie był smutny. Zawsze to on mnie pocieszał, a nie ja jego. Nigdy nie musiałam. Dlaczego? Mamo, dlaczego? – powiedziała Maria do mamy i ponownie zaczęła płakać.

Nastąpiła cisza. Mama nie wiedziała, co odpowiedzieć. Po chwili jednak rzekła:

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ale pamiętaj, proszę. Nie obwiniaj się. Nikt nie widział jego depresji. Nikt nie zauważył. Nie obwiniaj się, proszę.

– Ale czemu on mi nie powiedział o tym? Czemu nikomu nie powiedział?

– Nie wiem. Może nie chciał. Może było to dla niego bardzo ciężkie.

Po tych słowach kolejny raz nastąpiła cisza. Cisza, która była w pełni zrozumiała i normalna. Siedziały tak jeszcze dobre trzydzieści minut, po czym mama zaproponowała, żeby powoli wracać do domu. Marii to odpowiadało, a czas, który przeznaczyła na samotność tylko z mamą, na razie był wystarczający. Każdy wiedział, że przez najbliższy czas na grobie chłopaka codziennie będzie się pojawiał jeden nowy fioletowy tulipan. Maria starała się przychodzić na cmentarz codziennie. Chciała choć w małym stopniu ponownie spotkać się z Hubertem. Starła się, żeby jej odwiedziny odwzorowywały ich spotkania. Spotkania, które tak bardzo ceniła i cały czas tęskniła za nimi.

Minęło kilka miesięcy od pogrzebu. Maria nadal nie może się pogodzić z ogromną stratą. Ale nie tylko ona. Emil również tęsknił. Widać było po zachowaniu ptaka, że przejął nastrój Marii i również mocno cierpiał po stracie. Czasami zachowywał się tak, jakby chciał wylecieć z klatki i odwiedzić Huberta, ale nie wiedział, gdzie on jest.

Zatracona w milczeniu

Dla tych, którzy każdego dnia stawiają czoła swoim lękom

Sophia obudziła się tego dnia jak każdego innego, choć jej umysł czuł ciężar, który stawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Otworzyła oczy, ale nie poczuła ulgi, jaką powinna dawać świadomość nowego dnia. Zamiast tego poczuła tę samą duszącą obecność – lęk, który wkradał się w każdy jej ruch, każdą myśl. Nagle w jej głowie pojawiła się pewna myśl. „Znowu to samo. Kolejny dzień, a ja czuję, jakbym już przegrała”. Zadrzała, choć nie było zimno. Strach towarzyszył jej w każdej chwili, nawet w tych pozornie spokojnych, gdy siedziała w ciszy własnego mieszkania w sercu Nowego Jorku, patrząc w okno, za którym niebo było pochmurne, a miasto tętniło życiem. Nie potrafiła go zignorować i zatrzymać. Był częścią niej, nieznośnym cieniem, który nigdy nie pozwalał zapomnieć o swojej obecności.

Każdy dzień stawał się bitwą. Sophia nie wiedziała, kiedy to wszystko się zaczęło. Nie pamiętała dokładnego momentu, kiedy lęk stał się jej codziennością. Czuła tylko, że to trwało już zbyt długo. Że to nie jest tylko stan przejściowy, chwilowy kryzys. To był stan, w którym utknęła. Od lat zmagала się z niepokojem, który rósł w siłę. Jej umysł, pełen niepewności i nadmiernych obaw, nie potrafił znaleźć spokoju.

Kiedyś, gdy życie było proste, istniała nadzieja, że może się zmienić. Dziś była tylko cieniem samej siebie, zamknięta w czterech ścianach własnego mieszkania. Czuła się jak w klatce, której nie potrafiła otworzyć. Czuła się jak obca osoba w swoim własnym życiu.

W pracy, wśród ludzi, stawała się coraz bardziej niewidoczna. Unikała spojrzeń, czuła, jak jej serce bije szybciej za każdym razem, gdy ktoś zbliżał

się do niej, by zadać pytanie. Proste interakcje stawały się zbyt trudne do zniesienia. Każde słowo, które padało z ust innych, miało w sobie ukrytą ocenę, wyrok, który brzmiał: „Nie jesteś wystarczająco dobra”. I choć nikt nie mówił tego wprost, Sophia czuła to w każdym uśmiechu, w każdym spojrzeniu, które trwało o sekundę za długo. Bardzo pragnęła zniknąć, ale wiedziała, że nie ma dokąd pójść. W tej rzeczywistości nie było dla niej miejsca.

Wieczorami wracała do pustego mieszkania, które już dawno straciło ciepły, przytulny charakter. Ulice za oknem były ciche, spokojne, jakby nie zauważały jej obecności, tak jak ona nie zauważała siebie. Czasami Sophia zastanawiała się, co czuje, ale odpowiedzi nigdy nie było.

Nawet jej najbliżsi zauważyli, że coś się zmienia. Z ich strony pojawiały się pytania, drobne sugestie, jakby próbowali dotrzeć do niej, ale dziewczyna czuła, że nie potrafi już wyjaśnić, co się dzieje. Słowa, które wypowiadała, brzmiały obco, jakby nie należały do niej. „Czuję się źle”, „Jestem po prostu zmęczona” – mówiła, ale nie miała odwagi powiedzieć nic więcej ani poprosić o pomoc. Czuła, że to nie wystarczy, że nie potrafi wyjaśnić tego, co dręczy ją od tak dawna.

Każdego dnia czuła, jak siły powoli ją opuszczają, jakby lęk, który ją ogarniał, był w stanie pochłonąć wszystko, co jeszcze kiedyś miało jakąkolwiek wartość. Czuła się jak pusta skorupa, jak zewnętrzna powłoka, której nie potrafiła naprawić. Na zewnątrz starała się być tym, kim powinna – normalną osobą, która ma wszystko pod kontrolą i cieszy się z każdego dnia. W środku była jak rozsypujący się domek z kart, który lada moment miał się zawalić. A jej myśli były jak porozrzucone kawałki puzzli, które nigdy nie znajdują swojego właściwego miejsca. Czuła się jak oszustka, która każdego dnia udaje, że ma wszystko pod kontrolą, ale z każdą chwilą jej maska stawała się coraz bardziej krucha.

Pewnego dnia obudziła się z uczuciem, że nie potrafi wstać. Po prostu nie miała siły. Marzyła o tym, aby pozostać już na zawsze w pokoju, jednak obowiązki nie pozwalały jej na to. Wstała i zeszła na dół na śniadanie, gdzie czekała na nią Marta – przyjaciółka, którą znała od czasów liceum. Marta usiadła z nią przy stole w malutkiej kuchni. Na blacie stała ulubiona karme-

lowa kawa Sophii, tost z dżemem i owoce. Było cicho, tylko odgłosy ulicy Nowego Jorku o poranku dochodziły z zewnątrz.

Sophia wydawała się zamyślona, a Marta zauważyła, że coś jest nie tak.

Patrzyła na Sophię przez chwilę, a potem odezwała się łagodnie: „Sophia, coś się dzieje? Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie miała siły. To śniadanie ma być chwilą relaksu, a ty cały czas patrzysz w jeden punkt...”

Sophia, unosząc wzrok, próbowała się uśmiechnąć, ale nie wypadło to zbyt przekonująco: „Ach, nic wielkiego, Marto. Po prostu zmęczenie... Dużo pracy, wiesz, jak to jest. Czasami czuję, że nie mam siły na nic”.

Marta przechyliła głowę wyraźnie zaniepokojona: „Zmęczenie to jedno, ale ty wyglądasz na... przytłoczoną. Coś się wydarzyło? Możesz mi powiedzieć”.

Sophia spoglądała na nią przez chwilę, jakby nie wiedziała, czy powinna odpowiedzieć, a potem spuściła wzrok, bawiąc się sztuccami: „Nie wiem, po prostu... wszystko na raz. Chciałabym, żeby było łatwiej, ale nie wiem, jak sobie z tym poradzić”.

Marta usiadła obok niej, patrząc na nią z troską: „Chcesz powiedzieć, że... to wszystko cię przytłacza? Czasami musisz dać sobie chwilę wytchnienia. Nie możesz przecież być silna przez cały czas”.

Sophia zamilkła przez chwilę, a potem powiedziała cicho: „Boję się, że jeśli przestanę udawać, że wszystko jest w porządku, to... wszystko się zawali. Nie chcę zawieść ludzi wokół siebie”.

Marta delikatnie położyła dłoń na rękę przyjaciółki: „Ale Sophia, nie musisz tego robić. Jesteś człowiekiem, a nie maszyną. Jeśli potrzebujesz pomocy, ja tu jestem. Zawsze możesz na mnie liczyć, rozumiesz?”

Sophia westchnęła, spojrzała na przyjaciółkę, a potem uśmiechnęła się trochę szerzej: „Dziękuję ci, naprawdę. Wiesz, że cenię to, że zawsze jesteś obok. Ale czasami trudno jest pozwolić sobie na to, żeby być... słabą”.

Dziewczyna tylko udawała, że wszystko jest dla niej zrozumiałe, lecz czuła, jakby jej ciało ważyło sto razy więcej niż zwykle. Uczucie to było obce, a jednak znajome – jakby po prostu nie miała już sił na nic, nawet na to, by wstać i spróbować przeżyć kolejny dzień. W jej głowie pojawiła się myśl,

że może to jest koniec – koniec nieustannej walki, która toczyła się w jej wnętrzu przez tyle lat. Zaraz potem przyszła inna myśl: „A co, jeśli to tylko kolejny dzień, który muszę przetrwać?”. Sophia nie miała odpowiedzi na żadne z tych pytań. Czula się jak w martwym punkcie, w miejscu, z którego nie było drogi wyjścia.

Każdy dzień dla Sophii zaczynał się od wczesnego wstawania, choć nie była pewna, czy życie, które toczyło się wokół niej, należało do niej. Wstawała z łóżka w północy, jakby jej ciało wykonywało ruchy automatycznie, bez udziału jej woli. Myśli były ciężkie, zamglone, a mimo to przerażająco obecne. Zwykle zaczynała od sprawdzenia telefonu, jakby to, co zobaczy na ekranie, mogło dać jej jakiekolwiek poczucie, że coś się zmienia, że jest coś, na czym można się skupić. Wiadomości – puste, bez emocji, przytłaczające. Od dawna czuła się nieobecna, a teraz już nawet technologie nie były w stanie jej oderwać od tego mrocznego stanu.

Przygotowywanie porannej karmelowej kawy i rozmowy przy śniadaniu z przyjaciółką stały się zwykłą rutyną – ale nie taką, która dawała jej poczucie komfortu i organizacji. To była rutyna, którą wykonywała, żeby jakoś przeżyć ten moment, żeby czuć, że jeszcze jest część jej dnia, której może się trzymać. Jednak sama kawa nie była w stanie zmienić jej wewnętrznego chaosu. Smak słodkiego napoju nie mógł zagłuszyć niepokoju. Każdy łyk był jak przypomnienie o tym, że nic nie jest w stanie przywrócić normalności. Czula, jak te chwile pełne lęku wkradają się w każdy aspekt jej życia.

W pracy, mimo że próbowała udawać, że wszystko jest w porządku, czuła się jak w pułapce. Zmusiła się, by wyjść z mieszkania, ale to był tylko kolejny etap, który miała do przejścia. W biurze ludzie kręcili się wokół niej pełni energii, jakby ich życie nie było obciążone lękami tak jak jej. Sophia patrzyła na nich, próbując zrozumieć, jak to możliwe, że oni potrafią normalnie funkcjonować, czuć się pewnie wśród innych. Gdy ktoś przechodził obok niej, na jej twarzy pojawiał się uśmiech, ale to był tylko fałszywy gest – nie jej, nieprawdziwy.

Dziewczyna, idąc korytarzem, napotkała szefa, który zadał jej pytanie: „Sophia, zauważyłem, że ostatnio jesteś trochę... rozproszona. Wszystko w porządku? Może potrzebujesz jakiejś przerwy?”

Sophia, nerwowo gładząc dłonie, odpowiedziała: „Nie, wszystko w porządku. Tylko trochę dużo się nabierało, to wszystko. Potrzebuję tylko paru godzin, żeby to nadrobić”.

Szef, patrząc jej w oczy, zapytał: „Jeśli będziesz potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Nie musisz wszystkiego brać na siebie”.

Sophia przytaknęła i oddaliła się, jednak w jej głowie pojawiła się myśl: „Pomoc? Jak mogłabym o nią poprosić? Przecież sama muszę sobie poradzić...”.

Serce biło jej szybko, a rozmowa i kontakt wzrokowy były jak przeszkoda, którą musiała pokonać. Czowała, że wszyscy ją obserwują, że dostrzegają jej niepewność, jej kruchość. Każde spojrzenie było jak ciężar, który nie dawał jej spokoju.

Siedząc przy biurku, starała się skoncentrować na pracy, ale nie potrafiła się z tym uporać. Czowała, jak jej myśli wymykają się spod kontroli, jak jej koncentracja rozpada się na kawałki. Nagle zza rogu biurka koleżanka zadała jej pytanie: „Sophia, co tam u ciebie? Długo się nie widziałyśmy. Jak minął weekend?”.

Sophia, zmieszana, próbowała ukryć emocje: „Ah, tak... weekend, w porządku... nic szczególnego”.

Koleżanka odpowiedziała z niepewnością: „Jasne, ale wyglądasz na trochę zmęczoną. Wszystko w porządku?”.

Sophia z trudem uśmiechnęła się: „Tak, po prostu dużo pracy... nic poważnego”.

Koleżanka z lekkim zmartwieniem zapytała: „No to może zrobisz przerwę? Zdrowie najważniejsze”.

Sophia przytaknęła i zajęła się pracą. Zaczęła mówić do siebie w myślach: „Nie potrafię teraz o niczym rozmawiać. Muszę to wytrzymać. Mam nadzieję, że nie zauważyła, jak bardzo się zmieniłam...”.

Każdy dźwięk w tle, każdy ruch w pomieszczeniu, wszystko to było jak przeszkody w drodze do jakiegokolwiek spokoju, a rozmowy z szefem czy koleżanką sprawiały, że lęk stawał się nieustannym towarzyszem. W jej umyśle krążyły te same myśli: „Co się ze mną dzieje? Dlaczego nie potrafię być

jak oni?”. Inni wokół niej zdawali się nie dostrzegać tego, co działo się w jej wnętrzu. Dla nich Sophia była tylko kolejną osobą, która przechodzi przez życie, ale w jej głowie było zupełnie inaczej. Czuła się, jakby nie miała prawa być częścią tego świata, jakby każde jej działanie, każde jej słowo były nie na miejscu. Strach, który nieustannie ją ogarniał, stał się jej definicją.

Po pracy wracała do domu, ale to też nie było miejsce, gdzie mogła odpocząć. Siedząc na kanapie, czuła, jakby jej ciało nie było w stanie się zrelaksować, jakby napięcie w jej mięśniach nie miało końca. Wciąż myślała o wszystkim, co mogło pójść źle, o tym, co mogła zrobić lepiej, co mogła zrobić inaczej.

Wieczory były najtrudniejsze. Gdy tylko Sophia zamykała oczy, nie mogła pozbyć się uczucia, że zaraz wydarzy się coś złego. Myśli o przyszłości, o kolejnych dniach, były jak ciemne chmury, które zbierały się w jej umyśle. Chciała uciec, znaleźć jakąkolwiek drogę wyjścia, ale nie wiedziała, dokąd mogłaby pójść. Każdy scenariusz, który sobie wyobrażała, prowadził do tego samego miejsca – do tej samej pustki, której nie potrafiła wypełnić. Próbowana zasnąć, ale sen nie przynosił ulgi. Zadała sobie pytanie: „Dlaczego czuję się tak, jakbym nie miała żadnej kontroli nad swoim życiem? Dlaczego nie potrafię nic zmienić, nawet jeśli chcę?”. Te myśli nie dawały jej spokoju. Dziewczyna zaczęła rozmawiać sama ze sobą: „Co ze mną nie tak? Kiedy to się skończy? Kiedy przestanę się bać?”.

Ta konwersacja nie pomogła jej ani trochę, zamiast tego budziła się w środku nocy potwornie zmęczona, z atakami paniki, nie potrafiła zasnąć ponownie.

I choć miała momenty, w których próbowała uwierzyć, że może jeszcze coś się zmienić, to wiedziała, że te chwile były tylko złudzeniem. Nic się nie zmieniał. To, co się działo w jej wnętrzu, nie miało końca. I mimo że wiedziała, że nikt nie rozumie jej prawdziwego cierpienia, wydawało jej się, że to lęk był jedynym, który ją naprawę znał. Sophia miała wrażenie, jakby miał imię – nie był już tylko niewidzialnym, obezwładniającym uczuciem. Był czymś namacalnym, czymś, co siedziało w jej brzuchu, rozciągało się w piersiach, a czasem – niczym ołów – przygniatało ją do ziemi.

Czasami, patrząc na ludzi, których spotykała w pracy, w sklepie, na ulicy, miała wrażenie, że żyją w zupełnie innym świecie. Ich twarze, pełne zaangażowania, radości, jakby życie było wciąż pełne możliwości, wydawały się obce. Patrzyła na nich jak na postacie z jakiejś nieznannej opowieści. Z zazdrością spoglądała na te osoby, które mogły uśmiechać się szczerze, które potrafiły wchodzić w interakcje, nie czując, że w każdej chwili mogą się załamać. Czula się obco we własnym ciele, jakby nie pasowała do świata, który ją otaczał. Każde spojrzenie innych wydawało się pełne oceny. Może nie dostrzegali jej w pełni, ale Sophia czuła, że wszyscy ją widzą. Każdy zły gest, każde niedopowiedzenie, każda chwila ciszy były jak niewidzialne wyrokowanie jej istnienia.

W rozmowach z innymi potrafiła udawać, że wszystko jest w porządku. Rozmawiała z nimi, jakby nie miała w sobie ciężaru. Zawsze starała się uśmiechać, zadając pytania, ale nigdy nie potrafiła czuć się naturalnie. Podczas rozmowy z matką próbowała zachować pozory normalności, choć w głębi serca nie wiedziała, jak sobie poradzić z tym, co dzieje się w jej życiu. Matka zaczęła zauważać, że coś jest nie tak, i chciała się dowiedzieć, co się dzieje. Zapytała z troską: „Cześć, kochanie, jak się czujesz? Ostatnio nie dzwoniłaś, martwię się o ciebie”.

Sophia odpowiedziała spokojnie, ale z napięciem w głosie: „Jest w porządku, mam. Tylko... mam teraz sporo pracy”.

Matka zapytała zaniepokojona: „To nie tylko praca, prawda? Co się dzieje? Mówiłaś, że nie jesteś sobą od kilku tygodni...”.

Nastąpiła cisza. Po chwili dziewczyna odpowiedziała: „Nie wiem, co się dzieje... po prostu czuję się... zmęczona”.

Matka odpowiedziała: „Kochanie, może powinnaś odpocząć? Przyjedź do mnie na weekend, porozmawiamy. Coś się musi dziać, ja to czuję”.

Sophia z cichym smutkiem w głosie odparła: „Dziękuję, ale naprawdę nic się nie dzieje. Może innym razem”.

„Dlaczego nie mogę jej powiedzieć prawdy? Boję się, że mnie nie zrozumie...” – taka myśl towarzyszyła jej po rozmowie z matką.

Czuła, jakby coś ciągle ją zniekształcało – jakby każda jej reakcja, nawet na najbardziej prozaiczne pytania, była teatralną grą, w którą musiała zagrać,

by ukryć to, co naprawdę czuła. Nie tylko w rozmowie z przyjaciółką czy matką.

Każdej kolejnej nocy czuła się coraz bardziej samotna, mimo że za jej ścianą spała przyjaciółka. Dźwięki, które jeszcze za dnia były neutralne – dzwoniący telefon, szum samochodów za oknem – teraz nabierały nowego, niepokojącego charakteru. Czasami, gdy nie mogła zasnąć, leżała w łóżku, wpatrując się w ciemność. Lęk nie pozwalał jej odpocząć. Nawet sen nie dawał ukojenia – był niespokojny, pełen niejasnych, mrocznych obrazów, które miały zaledwie odzwierciedlać jej wewnętrzny chaos.

Często zaczynała rozmyślać o tym, co zrobiłaby, gdyby mogła sięgnąć po pomoc. Czuła, że nie powinna być sama z tym wszystkim. Jednak mimo tego, że wiedziała, że są ludzie, którzy mogliby ją wspierać, nie potrafiła wyciągnąć ręki. Myśl o otwarciu się na innych przerażała ją jeszcze bardziej niż samotność, którą знаła na wylot. Bała się, że zostanie niezrozumiana, że jej lęk zostanie zignorowany, że ludzie pomyślą, że jest „dziwna” lub „przesadza”. Strach przed odrzuceniem, przed brakiem akceptacji, paraliżował ją bardziej niż cokolwiek innego. Wiedziała, że to, co czuła, było czymś, czego nie da się tak łatwo wyjaśnić. Nikt, kto nigdy tego nie doświadczył, nie mógłby zrozumieć, czym tak naprawdę jest ten nieustanny, niewidoczny ból.

I tak Sophia żyła w ciągłym rozdarciu – między światem, który wydawał się odległy i obcy, a jej własnym umysłem, który stawał się coraz bardziej mroczny i zamknięty. Z dnia na dzień wydawało się, że to wszystko staje się coraz bardziej nie do zniesienia. Jej siły powoli się wyczerpywały. Czuła, że wkrótce nie będzie już w stanie udawać, że wszystko jest w porządku. Pytania o jej samopoczucie, które czasami padały ze strony bliskich, stawały się niczym strzały, które przebijały jej pancerz. Wiedziała, że nie ma sensu odpowiadać, bo nie potrafiła znaleźć słów, które wyjaśniłyby to, co było w jej sercu. I tak z każdym dniem, z każdą chwilą, Sophia straciła nadzieję, że kiedykolwiek poczuje się dobrze.

Dziewczyna zaczęła zdawać sobie sprawę, że nie ma już niczego, na czym mogłaby się oprzeć. Strach stał się jej stałym towarzyszem – nieodłącznym, rozległym cieniem, który nie pozwalał jej ruszyć do przodu. Nocami, gdy nie potrafiła zasnąć, jej myśli stawały się jeszcze gęstsze i cięższe, jakby całe jej

ciało nie miało już siły unieść tego, co miało w sobie. W ciągu dnia starała się jeszcze walczyć, starała się trzymać kontrolę, ale wieczorem, kiedy zapadała w ciszę, nie było już żadnej obrony przed myślami, które nie pozwalały jej odpocząć. Każdy oddech stawał się jak wyrok, a serce biło tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Nadszedł moment, kiedy Sophia nie potrafiła już udawać, że wszystko jest w porządku. Kiedyś starała się wypełniać pustkę pracą, spotkaniami, rozmowami, ale teraz każda z tych rzeczy wydawała się tylko kolejnym wyczerpującym obowiązkiem. Myśli o przyszłości stawały się coraz mroczniejsze, a przeszłość, zamiast stać się lekcją, była jedynie coraz cięższym bagażem. Czuła, że życie po prostu ją przesładuje, jakby nic, co robi, nie mogło jej wyzwolić. Zaczęła unikać wszystkiego, co przypominało o ludziach, o relacjach.

Pewnego dnia, tuż przed zaśnięciem, Sophia miała poczucie, jakby w jej ciele coś pękło. To było subtelne, niepozorne, ale wiedziała, że już nie wróci do poprzedniego stanu. Zniknęła reszta drobnej nadziei, która jeszcze ją trzymała w całości. Właśnie wtedy zdała sobie sprawę, że jej życie stało się jak opustoszały pokój, w którym nie ma już nic – ani światła, ani ciepła, ani dźwięków. Czuła się martwa w środku. Z każdym dniem coraz bardziej oddalała się od świata, w którym nie potrafiła znaleźć miejsca dla siebie. Lęk pochłonął wszystko, co jeszcze miało dla niej jakąkolwiek wartość.

W tej samotności Sophia przestała walczyć. Jej życie stało się cichą rezygnacją. Choć wiedziała, że może być inaczej, że mogłaby poprosić o pomoc, zdawała sobie również sprawę, że nie ma już sił, by podjąć ten wysiłek. Jej zmagania stały się jak niekończący się proces, z którego nie było już wyjścia. I tak w ciszy, pozostając tylko ze sobą, stała się cieniem, który stracił wszelką obecność. Czuła, jak wszystko, czego pragnęła, odeszło na zawsze.

Ostatni raz spojrzała w lustro. Jej odbicie, blada twarz, niebieskie oczy – nie poznawała już siebie. Nie potrafiła zrozumieć, jak doszła do tego punktu, ale nie miała siły sięgnąć po żadną odpowiedź. Nie było już nic do odkrycia, żadnych nadziei, żadnych marzeń, które mogłyby ją uratować. W końcu zupełnie cicho zatonała w świecie, który zbudowała w swojej głowie – świecie pełnym ciszy, lęku i zapomnienia.

Mroczna historia

„Poniedziałek. Błędne koło zaczyna się od nowa. Najchętniej palnąłbym sobie w łeb”, pomyślał Jakub, wyłączając budzik o czwartej trzydzieści rano.

– Latem byłoby już widno... – mruknął pod nosem, zwlekając się powoli z łóżka. Mężczyzna włożył sfatygowane robocze spodnie i porwaną przy kołnierzu czarną bluzę.

Ziewnął przy tym dwa razy, po czym zszedł na dół do kuchni. Trzeba było szybciej iść spać, a nie oglądać *Supernatural*. Otworzył lodówkę i wyjął z niej dwie puszki piwa. „Śniadanie to najważniejszy posiłek dnia” – tak zawsze mówiła mama. Jakub podszedł do okna, rozejrzał się po sennie, prawie martwej okolicy, i lekko je uchylił. Chłodne listopadowe powietrze wpadło do pomieszczenia, mężczyzna wzdrygnął się, po czym zasiadł do „spożywania” posiłku.

„Kiedy to wszystko się tak spieprzyło?”, pomyślał, otwierając pierwsze piwo, a następnie zawiesił wzrok na jednej z latarni palących się na jego osiedlu. Kiedy skończył, schował drugą puszkę do kieszeni, po czym wstał i udał się do przedpokoju. Włożył buty, ściągnął z wieszaka nadgryzioną zębem czasu czapkę i wyszedł z domu. Zamykając drzwi, zamyślił się na krótką chwilę, a następnie poszedł do samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, auto zakrzusnęło się parę razy, ale nie odpaliło.

– No dawaj! – powiedział podirytowany.

Powtórzył czynność jeszcze dwa razy, ale nie przyniosło to rezultatów. Po serii wyzwick Kuba usiadł na pace samochodu i otworzył drugie piwo.

– Cholerne poniedziałki...

Dochodziło już wpół do szóstej. Zrezygnowany wyciągnął telefon i zadzwonił do swojego kolegi z pracy, Kamila.

– Hej, jesteś jeszcze w domu?
– Właśnie wyjeżdżam, o co chodzi?
– Dasz radę po mnie zajechać? Auto mi padło, złośliwość rzeczy martwych... sam rozumiesz.

– Dobra, nie ma problemu. Będę za jakieś dziesięć minut.

– Dzięki, życie mi ratujesz.

– Mhm... Nie pierwszy raz. – Po tym Kamil się rozłączył.

Chwilę później jechali już razem w kierunku huty szkła – ich miejsca pracy.

– Jak się masz? – zapytał Kamil.

– Jeszcze żyję...

– Tyle to widzę, a może powiesz coś więcej?

– Jest okej.

– Serio? To wszystko? Jak dzwoniłeś, żeby poprosić o podwózkę, to potrafiłeś wydusić z siebie więcej.

– Wybacz, miałem ciężki poranek... Wszystko u mnie w porządku, nic specjalnego się nie dzieje.

– Skoro tak mówisz...

Kuba rzeczywiście miał ciężki poranek – od ponad roku. Po dotarciu na miejsce mężczyźni weszli do zakładu i udali się w kierunku swojego stanowiska pracy. Z daleka było widać czekające na nich metalowe skrzynie załadowane szybami w ilości czterdziestu dwóch sztuk każda.

– Na widok tego szkła chce mi się rzygać – mruknął Kamil.

– To zaraz się posrasz, bo idzie Agnieszka.

– O, Jezu... Ciekawe, czego ta stara torba tu chce od samego rana.

– Chłopcy! W piątek nie wypełniliście raportów! Potrzebujecie do tego specjalnego zaproszenia, czy może oczekujecie, że zrobię to za was?!

– Widocznie zapomnieliśmy, ale zaraz się tym zajmimy. Przepraszamy, sama pani wie, jaki młyn był w piątek z tym ostatnim zamówieniem – tłumaczył się Kuba.

– Nie zaraz, tylko teraz. Raport ma być na moim biurku za góra dziesięć minut! – Po tym jakże krzepiącym komentarzu pani Agnieszka udała się z cynicznym uśmiechem do swojego biura.

– Cóż, Kubaś... Przynajmniej nie musimy pić porannej kawy: wiedźma skutecznie podniosła nam ciśnienie – zaśmiał się Kamil.

– Niewątpliwie. Zaczynj odpakowywać szyby, a ja zajmę się tym raportem – odpowiedział Kuba.

Po starannym wypełnieniu dokumentu chłopak zaniósł go do leża bestii nazywanej też Agnieszką, a tam oprócz mało przyjemnej kobiety – wyraźnie w okresie menopauzy – czekała go kolejna niespodzianka.

– Wypełniłem ten zaległy raport, proszę pani.

– No nareszcie, ile można czekać? Z tak długim stażem powinieneś wypełniać te raporty obudzony w środku nocy, chłopcze!

– Ma pani rację, jeszcze raz przepraszam... – Te słowa niechętnie wyszły z ust Kuby, ponieważ od widoku szyb i pani Agnieszki bardziej nie lubił tylko, kiedy ktoś robił z niego idiotę. – Czy czegoś jeszcze pani ode mnie potrzebuje?

– Właściwie to tak! – powiedziała, uśmiechając się szeroko. To mogło oznaczać tylko jedno: Kuba miał przechłapano.

– W zeszłym tygodniu wielu pracowników skarżyło mi się na twoje podejście do pracy.

– To znaczy?

– Podobno nie przykładasz wagi do kontroli jakości produktu. Mówiąć wprost: nie sprawdzasz towaru, a co za tym idzie, nie wypełniasz swojego fundamentalnego obowiązku. Pewnie zainteresuje cię fakt, iż powiadomiłam o tym incydencie kierownika zakładu.

Kuba stał jak wryty. Cisnęło mu się na usta wiele słów, głównie tych powszechnie uznawanych za niecenzuralne, jednak postanowił milczeć.

– Cz... Czy mogę już wracać do pracy? – wymamrotał.

– Oczywiście! Nikt ci nie płaci za stanie w moim biurze, chociaż po tych skargach zastanawiam się, za co w ogóle ci tu płacą.

Po tych słowach Jakub opuścił jaskinię bazyliuszka i udał się z powrotem na swoje stanowisko, po drodze rzucając solidną liczbą wyzwisk pod adresem jakże uroczej kobiety.

– No i jak? Wiedźma rzuciła na ciebie urok? – zapytał z przekąsem Kamil.

– No... tak jakby.

– Co się stało?

– Powiedziała, że w zeszłym tygodniu ktoś mnie podkablował, że niby nie pracuję. Teraz pewnie Napoleon będzie patrzył mi na ręce...

Kierownik zakładu, nazywany „Napoleonem” tudzież „zabojądem”, zawdzięczał owe przydomki francuskiemu pochodzeniu. Zakład, w którym pracowali chłopcy, był firmą wywodzącą się właśnie z kraju pleśniejącego sera, a dzięki decyzjom z góry głównym kierownikiem został wspomniany Francuz.

– No to jesteś w dupie... – westchnął Kamil.

– Wow, cóż za trafne spostrzeżenie, Sherlocku, jak na to wpadłeś?

– Widzisz, mój drogi Watsonie, jestem, jak to się mówi, „jednostką wybitną”.

– Mhm... wybitnie głupią.

– Dobra, dosyć tych uprzejmości, bierz się do pracy. Nie chcę, żeby Agnieszka patrzyła na ręce też mi.

Pierwsza połowa dnia roboczego zleciała dosyć szybko, a kiedy na zegarku wybiła godzina dziesiąta trzydzieści, młodzi mężczyźni udali się do stołówki na przerwę. Szybko zjedli kanapki, aby nie marnować czasu, który mogliby spędzić na palarni za zakładem. Pomimo chłodu większość pracowników zdecydowała się na wyjście za halę nawet niekoniecznie po to, by zapalić, ale po to, żeby chociaż chwilę spędzić poza oczami i uszami brygadzystów i kierowników zakładu. Dawało im to złudne poczucie jedności i koleżeństwa z innymi towarzyszami niedoli w obozie pracy imienia Charlesa de Gaulle’a. Większość stała w ciszy z papierosami w ustach, a ci, którzy nie palili, najczęściej przeglądali telefon lub starali się zainicjować rozmowę z kolegami. Jakub zazwyczaj stawał z boku z jedną słuchawką w uchu. Spoglądał w kierunku horyzontu, słuchał muzyki i rozmyślał. Jednak wszystko, co dobre, szybko się kończy. Przerwa mijala w mgnieniu oka i trzeba było powrócić do dźwigania szyb ku chwale francuskiego giganta.

– W takim tempie za rok wysiądzie mi kręgosłup.

– A co ja mam powiedzieć? Jestem od ciebie starszy, Kuba. Masz jakieś plany na piątek?

– Od ponad dwóch lat zadajesz mi to samo pytanie. Tydzień w tydzień co poniedziałek pytasz mnie, czy mam jakieś plany na piątek, a ja za każdym razem odpowiadam, że nie i koniec końców kończymy w barze.

– To masz plany czy nie?

– Eh... Nie, nie mam.

– Czyli tradycyjnie zapraszam na osiemnąstą do „Trójki”.

– Może gdybym w szkole miał lepsze oceny niż trójki, to nie musiałbym tu z tobą siedzieć...

– Bardzo śmieszne, Kubuś.

Tydzień minął bardzo szybko, ale tak już jest, kiedy ma się co robić, a tak się składa, że w hucie zajęcia nigdy nie brakowało. Kiedy nastał piątkowy wieczór, Kuba udał się do ulubionego lokalu. Przed wejściem czekał już na niego Kamil.

– Jest jakieś miejsce? – spytał Jakub.

– Z tego, co widzę, to przy barze są wolne dwa stolki.

Mężczyźni weszli do baru, odwiesili kurtki na wieszak i usiedli przy kontuarze.

– Cześć, chłopcy. Co dla was będzie? – spytał barman.

– Hej, Jarek, na razie dwa razy whisky z colą.

– Już podaję.

Po chwili właściciel baru, Jarek, przyniósł dwie szklanki i postawił je przed Kubą i Kamilem.

– Dzięki, dobry człowieku. Ile się należy?

– Dzisiaj na koszt firmy...

– A z jakiej to okazji? – spytał Kamil.

– A z takiej, że zamykamy.

– O której?

– Nie, o której... Tylko w ogóle. To ostatni weekend.

– O czym ty mówisz?!

– Interes się już nie kręci. To małe miasto, więcej wydatków niż zysków. Myślałem, że się odbijemy, ale nic z tego nie będzie, od paru miesięcy dokładam do interesu.

- Szlag... słyszysz to, Kubuś?
- Słyszę, ale nie chce mi się wierzyć. Gdzie ja teraz będę przepuszczał swoje ciężko zarobione tygodniówki?
- No właśnie! Jeszcze nam odbije od dobrobytu!
- Przykro mi chłopcy, ale nie mam już siły na walkę z wiatrakami. Bawcie się dobrze... póki możecie.

„To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy” – śpiewał Mieczysław Fogg niemal sto lat temu. Teraz, gdyby chłopcy tylko mogli i umieli, śpiewaliby o ostatnim piątku, chociaż słuchanie tej piosenki w ich wykonaniu pewnie przepędziłyby klientów.

W barze nie brakowało znajomych twarzy: stali bywalcy, starzy i młodzi, ci, którzy przyszli tu kiedyś po raz pierwszy (może przez przypadek lub z braku laku) i już zostali. Ten szczególny dzień nie wyglądał jak typowy piątek w „Trójce”, bliżej mu było do stypy po zmarłym przyjacielu, kompanie czy członku rodziny. Klienci dzielili się historiami i opowieściami, których bar był świadkiem i poniekąd uczestnikiem. W powietrzu czuć było melancholię połączoną z wyraźną nutą dymu z papierosów i przetrawionego alkoholu wydobywającą się z ust gości.

Dla Jakuba wieść o tym, że za chwilę straci swój ulubiony bar – jedyne miejsce na Ziemi, w którym nikt go nie oceniał niezależnie od tego, czy był trzeźwy i elokwentny, czy wyglądał, jakby w dzieciństwie wpadł do kadzi z denaturatem – była druzgocąca. Kolejna strata, jakby dotychczas w życiu niewiele mu odebrano. Powiedzieć, że przez ostatnie parę lat życie kopało go po dupie, to jak nic nie powiedzieć. Po skończeniu liceum Kuba dostał się na wymarzone studia, jednak od samego początku nie miał lekko. Zanim jeszcze rok akademicki się zaczął, chłopak mocno zachorował, cudem uniknął szpitala. Na zwolnieniu lekarskim spędził ponad trzy tygodnie, przez co już na starcie miał duże zaległości, co nie jest wskazane na inżynierskim kierunku.

Liczył na wyrozumiałość profesorów, ale bardzo szybko zrozumiał, że prędzej śnieg spadnie w lipcu, niż kogokolwiek przejmie jego los. Po trzech semestrach, które przypominały bardziej walkę o życie w Gułagu niż naukę, uczelnia stwierdziła, że Kuba jest elementem niewygodnym i postanowiła się

go pozbyć. Życie chłopaka legło w gruzach, ale jak się miało niedługo okazać, to był jedynie zwiastun tego, co miało nadejść.

Krótko po tym wydarzeniu u dziadka Jakuba zdiagnozowano nowotwór złośliwy.

Ofiarą choroby padł najważniejszy organ w ciele – mózg. Młody mężczyzna poza oglądaniem cierpienia ukochanego członka rodziny obserwował również zmiany w zachowaniu i charakterze, które postępowały w zastraszającym tempie. Można więc powiedzieć, że dziadek Jakuba umarł, zanim jeszcze wydał ostatnie tchnienie. W tamtym okresie Kuba był bezrobotny, więc kiedy jego rodzice pracowali, on zajmował się dziadkiem. Opieka nad osobą, która traci zmysły, przypominała robotę saperską – pomylić można się było tylko raz. Przebieranie zużytych pieluch, pranie pościeli i ubrań brudnych od różnego rodzaju płynów i wydzielin czy karmienie to tylko nieliczne z rzeczy, które robił Jakub, a w tamtym czasie nie miał jeszcze nawet dwudziestu lat. Jak się o tym opowiada, to przypomina to opiekę nad małym dzieckiem, w praktyce jednak różnica jest znacząca i mowa nie o tym, że dziecko produkuje mniej ekskrementów. Kiedy wszystkie te czynności dotyczą dziecka, mamy świadomość, że to minie i za jakiś czas szkrab stanie się samodzielny. Wiemy, że to przejściowy etap, który otwiera cykl życia nowo narodzonego człowieka. W przypadku osoby starszej etap ten oznacza najczęściej, że cykl zaczyna się zamykać i człowiek zaczyna gasnąć. Tak też było w tym przypadku. Po pięciu miesiącach walki z wyniszczającą chorobą dziadek Kuby zmarł. Chłopak nie czuł jednak smutku po stracie bliskiej osoby, czuł ulgę, że nie musi już babrać się w ludzkich fekaljach, nawet nie płakał na pogrzebie. Miał z tego powodu poczucie winy, które nigdy nie przestało go prześladować.

– Halo, Kuba? Hej, jesteś tam?! – wykrzyknął Kamil, pstrykając palcami przed twarzą Kuby.

– Co? Tak, tak jestem.

– Coś się tak zamyslił?

– Nie, nic... nieważne.

– Pewien jesteś? Bo przez chwilę wyglądałeś, jakbyś co najmniej zobaczył ducha – drążył Kamil.

– No... można tak powiedzieć.
– O co chodzi?
– O nic... to ten bar, no wiesz... – wykręcił się Kuba.
– No, szkoda, że go zamykają, ale spoko, znajdziemy inne miejsce.
– Taaa... pewnie masz rację.
– Idziemy zagrać w bilard? To twoja ostatnia szansa, żeby ze mną wygrać.
– No, możemy zagrać, chociaż pewnie i tak znowu zloisz mi dupę. –
Mężczyźni wstali i podeszli do baru. Kamil wyjął z kieszeni monetę pięcioletową – tyle kosztował żeton na jedną grę. Następnie obaj podeszli do ściany, na której wisiały kije do bilarda.

Po raz ostatni wzięli do rąk swoje ulubione kije i natarli je dokładnie kredą – jakby to miało sprawić, że ich gra stanie się bardziej profesjonalna. Stanęli przy stole, wrzucili do środka żeton i wyciągnęli bile. Kamil z chirurgiczną precyzją zaczął ustawiać kule do gry w środku szablonu, zamieniając je co rusz miejscami – pewnie chciał wyglądać profesjonalnie, tak jakby wiedział, co robi. Jego mina mówiła wyraźnie, że jest skupiony, chociaż gdyby spytać Kuby, to pewnie powiedziałaby, że jego towarzysz wygląda jak srający kot cierpiący z powodu zatwardzenia.

Po piętnastu minutach rozgrywka dobiegła końca, a Kamil po raz kolejny zwyciężył. Cóż – niektóre rzeczy się nie zmieniają.

– Ehh... Kubuś, myślałem, że chociaż dzisiaj ci się uda. No, ale co mogę powiedzieć, jestem mistrzem!

Kuba milczał. Uśmiechnął się lekko, spoglądając na przyjaciela, i po chwili namysłu odrzekł:

- Dzięki za grę... Późno już, będę leciał.
- Zamówić ci taksówkę? Masz kawałek do domu.
- Dzięki, nie trzeba. Chętnie się przejdę.
- Jak chcesz.

Jakub rozejrzył się ostatni raz po barze, uśmiechnął się pod nosem i wyszedł na zewnątrz. Obrął kurs w stronę osiedla, na którym mieszkał. Po niemal czterdziestu minutach był pod swoim domem. Przekręcił klucz w zamku, po czym wszedł do mieszkania. Zazwyczaj włączał jeszcze jakiś thriller czy inną

strzelankę, żeby po przyjściu z „Trójki” przetrzeźwieć trochę przed snaniem, ale dziś nie miał na to ochoty. Wyjął z lodówki butelkę do połowy wypełnioną amerykańską whisky, po czym wszedł schodami na górę. Westchnął głęboko i otworzył drzwi tarasowe, wiodły one na balkon, a właściwie na dach garażu. Jakub podniósł rozkładany plażowy leżak, który tkwił w kącie pokoju, i wystawił go na dach. Po jego rozłożeniu legł na nim, otwierając butelkę, i pociągnął solidny łyk. Spojrzał na latarnię palącą się przed domem i pomyślał: „Gdzieś to już widziałem...”. Jakub wyciągnął telefon i odpalił Facebooka. „Asia Kowalska ma dzisiaj urodziny” – przeczytał i ponownie spojrzał w nicłość.

„Asia...” – pomyślał. Ta jedna dziewczyna, której zawsze się podobał. Pół roku temu prawie mu się udało stworzyć z nią coś stałego, ale nagle urwała kontakt. Była w wieku Kuby. Śliczna, niska blondynka o wielkim sercu. Spotykali się prawie trzy miesiące, ale potem dziewczyna zniknęła bez śladu. Jak się później okazało, wróciła do swojego byłego faceta, który zostawił ją, żeby zabawiać się z inną. Taki jego kurewski fart: nawet w obliczu takiego frajera Kuba był gorszą opcją... Jakub od dziecięcych lat miał o sobie niskie mniemanie, rówieśnicy często go dręczyli, czy to z powodu dziecięcej otyłości, czy wrażliwości, która była zbyt rozwinięta jak na jego wiek. Lecz to właśnie sytuacja z Asią sprawiła, że pała goryczy w końcu się przegięła. Wiele dziewczyn puściło Jakuba kantem, ale ta jedna sytuacja pokazała mu zupełnie nowy wymiar beznadziei. Tej nocy mężczyzna nie zamierzał spać. Siedział pod chmurką i rozmyślał. Co robił nie tak? Co sprawiło, że żadna kobieta nie chce go pokochać, co stanowi o jego gównianym losie? Nie wymyślił nic. Około czwartej nad ranem zwlókł się z leżaka i poszedł do sypialni. Dokończył butelkę i wpełzł pod koldrę. Otumaniony przez alkohol zszedł na dół, usiadł na kanapie i urwał mu się film. Obudził się po ośmiu godzinach o dwunastej w sobotę.

„Jezu... Jeśli następnym razem postanowię wlać w siebie taką ilość alkoholu, niech ktoś rzuci mi w głowę mikrofalówką”, pomyślał chłopak.

Skacowany Jakub spędził sobotę i niedzielę przed telewizorem, nadrabiając seriale. Kiedy nastąpił niedzielny wieczór, chłopak postanowił czym prędzej pójść spać, aby wstać wypoczętym następnego dnia o wpół do piątej.

Tak też zrobił. Kiedy z samego rana obudził go alarm telefonu, Jakub poderał się z łóżka.

„Poniedziałek. Błędne koło zaczyna się od nowa. Najchętniej palnąłbym sobie w łeb...”, pomyślał. Mężczyzna wziął dwa głębokie wdechy, po czym wstał i poszedł się ubrać. Włożył sfatygowane robocze spodnie i porwaną przy kołnierzu czarną bluzę. Zszedł na dół i zjadł śniadanie, tym razem składające się z podpieczonej na patelni kromki czerstwego chleba, na którą położył plasterek sera, oraz z kawy zbożowej zaparzonej w półlitrowym kubku z podobizną wilka. Jakub włożył swoje robocze buty, po czym ściągnął z wieszaka nadgryzioną zębem czasu czapkę i wyszedł z domu. Zamykając drzwi, jak zwykle się zamyslił, po czym poszedł do samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, auto zakrzusiło się parę razy i ku uciesze Jakuba odpaliło. „To chyba świąteczny cud!”, pomyślał. Chłopak wyjechał z podjazdu, po czym obrał kurs na hutę szkła. Po około dwudziestu minutach parkował już na pracowniczym parkingu, wymieniając spojrzenia z innymi towarzyszami niedoli.

Kiedy wyszedł z auta, udał się od razu na swoje stanowisko pracy. Na miejscu czekała na niego pani Agnieszka wraz z kierownikiem zakładu. Kuba poczuł głęboki niepokój, ale nie zatrzymał się na ani sekundę. Dobrnął do stanowiska i niepewnie wycedził przez zęby:

– Dzień dobry.

– No nie wiem, czy taki dobry – odparł bazyliszek.

– Coś się stało? – wydusił z siebie Jakub.

– Tak, Kubo, stało się.

– Pane Kubo – kontynuował kierownik z wyraźnym francuskim akcentem. – Do mnie dużo skarg psiszło, pan ne pracujeś tak jak pan pofinieniesz.

– Słucham? Co to znaczy? – zapytał drżącym głosem Jakub.

– To znaczy, że z dniem dzisiejszym zostaje pan zwolniony z obowiązków – powiedziała tryumfalnie Agnieszka.

– Pane Jakube, prosie śpakować swoje rzeczy – wydusił słabą polszczyzną kierownik zakładu. Chłopak stał oniemiały. Poczuł, jakby ktoś włożył mu rozżarzony sztylet prosto w pierś.

– Ja... ja nie rozumiem... Dlaczego?

– Cały czas pojawiały się nowe skargi na pana. Jako kierownictwo nie możemy ignorować tak alarmujących wiadomości. Stąd decyzja o pańskim zwolnieniu.

– Ale... ale jakie macie dowody?! To tylko słowo przeciw słowu!

– Panie Jakubie. – Agnieszka przeszła w oficjalny ton. – Oskarżenia wnieśli pracownicy, którzy z naszym zakładem są związani więcej lat, niż pan żyje... Jak pan myśli? Komu ufamy bardziej? Lojalnym pracownikom czy pierwszemu lepszemu gówniarzowi?

Po tych słowach Kuba zrobił się błąd jak ściana. Choćby nie wiadomo, jak się starał, nie był w stanie wymyślić żadnej riposty na pożeganie.

– Panie Kubo, proszę o zabranie swoich rzeczy, zdanie klucza do szafki i oddalenie się z zakładu. Jest pan zwolniony.

Kuba poszedł do szatni, aby opróżnić swoją szafkę. W środku przebierał się Kamil.

– Co tam, Kubuś? Gotowy na nowy tydzień?

Jakub nic nie odpowiedział, nawet nie spojrzął na przyjaciela. Otworzył szafkę i spakował do plecaka swoje rzeczy.

– Trzymaj się, stary – szepnął łamiącym się głosem w kierunku Kamila.

Następnie otworzył drzwi i wyszedł. Wdrapał się schodami na pierwsze piętro, tam gdzie mieściły się kadry, i zdał klucze do szafki, potem podpisał wszystkie wymagane papiery i wyszedł. Wypelzając na parking, spojrzął po raz ostatni na swój kołchoz, po czym wsiadł do samochodu i po prostu odjechał. Nim się obejrzał, siedział w aucie zaparkowanym przed swoim domem. Nie pamiętał, ile zajęła mu droga powrotna ani którędy pojechał. Zupełnie, jakby wyłączył myślenie i dostał się na swój podjazd na autopilocie. Zmarnowany wtoczył się do mieszkania. Nie wiedział, co ze sobą zrobić, nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio w poniedziałek był tak wcześnie w domu. Wyjął z kieszeni telefon, po czym go wyłączył i odłożył na komodę. Wyjrzał za okno, rozglądając się po okolicy.

„Co ja mam, do cholery, teraz zrobić? Oglądać telewizję?”, pomyślał. Kuba usiadł na tej samej kanapie, na której dwa dni temu niemalże wyzionął ducha i wgapiając się w sufit, zaczął myśleć.

„Co ja teraz zrobię... zaraz przyjdzie zapłacić rachunki, z czego, kurwa, z czego?”

Praca zabierała mu większość czasu, więc poza nią tak naprawdę nie miał nic: ani hobby, ani rodziny, nie miał nawet gdzie pójść, gdyby nie udało mu się znaleźć nowego zatrudnienia i nie byłoby go stać na własne utrzymanie. Jakub siedział na kanapie do późnego wieczora, nic nie jadł, nic nie pił, nawet na chwilę nie podniósł tyłka z mebla. Około godziny dwudziestej drugiej wstał i poszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę wódki i polazł na górę do sypialni. Usiadł na łóżku i zaczął opróżniać zawartość butelki w rekordowym tempie. Kiedy skończył, zaczął płakać, poderwał się z łóżka i energicznym ruchem cisnął butelką w okno, rozbijając szybę. Z kieszeni wyciągnął paczkę papierosów, wyjął jednego i zapalił, nadal głośno płacząc. Położył się na łóżku, wszystko wokół wirowało. Chłopak zgasił papierosa o ścianę i zasnął. Śnił o wszystkich swoich niepowodzeniach, widział Asię, swojego dziadka, hutę i zabite deskami drzwi baru.

Następnego dnia obudził się przed południem z kacem stulecia. Nim zdążył dobrze wstać z łóżka, zwymiotował na podłogę. Poszedł do łazienki po mopa i wiadro. Wracając, przejrzał się w lustrze.

– Kurwa... – wyszeptał pod nosem. – Czym ja sobie na to wszystko zasłużyłem...

Pomyślał, że nie trzeba mu thrillerów, seryjnych morderców i nadprzyrodzonego gówna. Miał swoją mroczną historię.

Ciepło-zimno

Gdy byłam małą dziewczynką, rodzice wpajali mi różne wartości. Najważniejsze dla nich było posiadanie przy sobie drugiej osoby, takiej, która obdarzy nas bezwarunkową miłością i będzie przy nas niezależnie od tego, co by się w naszym życiu nie działo. Kogoś, z kim można byłoby założyć rodzinę i przeżyć spokojną, szczęśliwą starość oraz czuć się bezpiecznie. Ja jednak nigdy nie rozumiałam tego, dlaczego jest to dla nich takie ważne. Od zawsze byłam typem indywidualistki. Wszystko wolałam robić samodzielnie, nie potrzebowałam nigdy pomocy drugiej osoby. Myśląc o przyszłości, miałam przed oczami bardziej widok mnie realizującej się w pracy, stawiającej na karierę i rozwój osobisty niż spełniającej się w roli żony, matki i gospodyni domowej. Czułam, że nie byłabym szczęśliwa, nie realizując się zawodowo, tylko stojąc „przy garach”. Dodatkowo nie odczuwałam potrzeby posiadania drugiej połówki. Takie myśli towarzyszyły mi już od najmłodszych lat. Podczas gdy większość moich koleżanek wchodziła w pierwsze związki, ja patrzyłam na to z niezrozumieniem. Zastanawiałam się, po co im to, zwłaszcza w tak młodym wieku. Przez moje odmienne podejście często odstawałam od rówieśniczek i czułam się wykluczana. Gdy one rozmawiały o tym, który chłopak się komu podoba, ja nie miałam nic do powiedzenia i zazwyczaj zmieniałam temat. Przez jakiś czas zadawałam sobie pytanie: „Czy to ze mną jest coś nie tak?”, jednak zdałam sobie sprawę z tego, że każdy jest inny i ma inny światopogląd.

Wszystko zmieniło się jednak, gdy w wieku dziewiętnastu lat zaczęłam studia. Razem z moją przyjaciółką z liceum, Laurą, postanowiłyśmy, że pójdziemy na ten sam kierunek – psychologię – na wrocławskim uniwersytecie. Obydwie miałyśmy dobre oceny i jeszcze lepsze wyniki z matur, więc

dostałyśmy się na wymarzoną uczelnię razem w pierwszym naborze. Gdy poznałyśmy wyniki rekrutacji, byłyśmy bardzo szczęśliwe. Od razu zaczęłyśmy szukać jakiegoś mieszkania, od dawna chciałyśmy zamieszkać razem. Po kilku tygodniach poszukiwań znalazłyśmy piękne, przytulne mieszkanie niedaleko naszej szkoły. Był tylko mały minus – miałyśmy mieć współlokatorkę. Uznałyśmy, że w sumie nie będzie nam to przeszkadzać, a z racji tego, że miałyśmy zaraz zacząć biedne życie studenta, to będzie dla nas jeszcze lepsza opcja, gdyż cena wynajmu mieszkania na osobę będzie mniejsza.

Pod koniec września przeprowadziłyśmy się do mieszkania i ku naszemu zdziwieniu współlokatorka okazała się... współlokatorem.

Chłopak podszedł do nas niepewnym krokiem.

– Hej, jestem Szymon – przywitał się.

Moje nastawienie do niego było raczej pesymistyczne, nie podobała mi się postawa jego ciała. Trzymał ręce w kieszeni, co mogło świadczyć o braku szacunku lub złym wychowaniu.

– Magda – odpowiedziałam z obojętnością.

– A twoja koleżanka to? – zapytał Szymon.

– Jestem Laura.

– Słuchajcie, dziewczyny, może chcecie iść ze mną i moimi kolegami na imprezę, by się lepiej poznać, skoro mamy razem mieszkać? – zaproponował.

Na początku uznałam to za zły pomysł, jednak po naradzie z Laurą obydwie stwierdziłyśmy, że pójdziemy.

W piątkowy wieczór udałyśmy się razem z Szymonem do jednego z wrocławskich barów. Tam przedstawił nam swoich kolegów.

– Kuba, Kacper, poznajcie moje współlokatorki. – Młodzi mężczyźni podali nam rękę, uśmiechając się.

Gdy zobaczyłam Kacpra, po raz pierwszy poczułam coś, czego nie czułam nigdy wcześniej. Nie umiałam tego opisać, wiedziałam tylko, że chyba mi się spodobał, ale nie mogłam przyjąć tego faktu do siebie. Impreza była udana, każdy dobrze się bawił. Miło spędziłyśmy czas.

Następnego dnia rano, gdy wstałam na kacu, w mojej głowie był tylko Kacper... Nie wiedziałam, czy był to jeszcze wpływ alkoholu w moim orga-

nizmie, czy czegoś innego. Uspakajałam samą siebie tym, że jeszcze mogę nie myśleć trzeźwo. Minęło kilka dni, a ja ciągle miałam w głowie jego twarz. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić, bo było to męczące i nowe dla mnie. Pomyślałam, że za jakiś czas mi przejdzie. Postanowiłam zająć głowę czymś innym. Na szczęście tydzień po imprezie rozpoczął się rok akademicki. Mogłam teraz skupić się na czymś pożytecznym, czym była dla mnie nauka.

Razem z Laurą poszliśmy na rozpoczęcie roku akademickiego, a tam spotkałyśmy... Kacpra. W pierwszej chwili myślałam, że mi się przewidziało albo że jest to ktoś bardzo podobny, jednak to był on. Z daleka poznałam jego brązowe loki. Poczulałam, jak coś się we mnie gotuje, a nogi zrobiły się jak z waty. Zadawałam sobie tylko jedno pytanie: „Co się ze mną dzieje?”. Kacper nas zauważył i pomachał, następnie podszedł do nas. Nie byłam nawet w stanie się z nim przywitać, bo zabrakło mi tchu. Bałam się, co mógł o mnie pomyśleć, ale przestałam mieć wątpliwości, gdy zaproponował mi wyjście na piwo. W głowie miałam wiele pytań: „Czy to jest randka? Czemu zaprosił tylko mnie? Co ja mam zrobić?”. Długo zastanawiałam się nad tym, czy przyjąć propozycję ze względu na ogromny stres, jaki mi towarzyszył na samą myśl o tym chłopaku. Nigdy nie odczuwałam takich emocji, było to dla mnie dość dziwne i sama dokładnie nie byłam pewna, co czuję. Postanowiłam poradzić się w tej sprawie Laury.

– Powinnaś pójść i zobaczyć, jak będzie. Myślę, że miło spędzicie ze sobą czas – odparła,

Posłuchałam się przyjaciółki i mimo dość sporego stresu poszłam na spotkanie z nim.

Nie żałowałam tej decyzji. Tak, jak Laura powiedziała, bardzo miło spędzało mi się z nim czas. Była tylko jedna sprawa, która mnie zaniepokoiła – opowiedział mi o swojej traumie z dzieciństwa. Rodzice nigdy nie poświęcili mu wystarczającej ilości uwagi. Obydwoje postawili na karierę, a Kacper od najmłodszych lat zostawał pod opieką niani, która była dla niego tak naprawdę obcą kobietą. Nikt nigdy nie obdarzył go taką ilością uwagi, jakiej potrzebował, przez co nie potrafił rozmawiać o uczuciach. Miał również inne problemy, takie jak za częste picie alkoholu. Pił, by uciec od życia

codziennego, które nie było zbyt ciekawe z powodu trudnego dzieciństwa, a pijąc, dokładał sobie kolejnych problemów. Kacper w towarzystwie zachowywał się jednak tak, jakby wszystko było u niego w porządku, nie martwiąc przy tym swoich kolegów.

Moje spotkanie z nim okazało się jednorazowe, niestety nie zaproponował kolejnego. Byłam załamana tym faktem i przez długi czas zastanawiałam się, o co chodzi. Na zajęciach w ogóle nie rozmawialiśmy, nie licząc zwykłego „hej” na przywitanie. Nie mogłam przestać myśleć o tym wszystkim.

Kilka tygodni później, gdy wróciłam z Laurą z wykładów, nasz współlokator poinformował, że zaprasza do mieszkania swoich kolegów i zapytał, czy mamy coś przeciwko.

– Nie, niech sobie przyjdą – powiedziałam z obojętnością, a tak naprawdę cieszyłam się na samą myśl, że go zobaczę.

Gdy przyszli, zamieniłam z Kacprem tylko jedno słowo, potem znowu zastanawiałam się nad tym, czy mu czegoś nie zrobiłam. Zachowywał się jakoś inaczej, jakby był inną osobą. Myślałam, że to przez towarzystwo, ale to chyba nie było to. Poszłam z Laurą do innego pokoju, bo nie chciałam przebywać w jego towarzystwie i słuchać aroganckich tekstów. W tamtej chwili zaczęłam się zastanawiać, co się z nim stało i dlaczego z takiego sympatycznego, uśmiechniętego chłopaka stał się egoistą, z którym nie chce się rozmawiać. Zdałam sobie sprawę, że nawet myśleniem o nim marnuje swój czas i zdrowie. Wiedziałam, że muszę wziąć się w garść. Tak bardzo chciałam zostać psychologiem, miałam motywację. Byłam zła na siebie, że poczułam cokolwiek do jakiegokolwiek chłopaka, to było sprzeczne z moimi wartościami, których tak bardzo chciałam się trzymać. Jak postanowiłam, tak zrobiłam. Od tamtego momentu nie liczyło się dla mnie nic oprócz nauki.

Kilka dobrych tygodni spędziłam przy książkach, próbując się skupić tylko na tym. Nie wychodziłam ze swojego pokoju, bo byłam tak pochłonięta nauką. W pewnym momencie Laura zaczęła się o mnie martwić, odpowiadałam jej tylko, że jest wszystko w porządku i że chcę mieć jak najlepsze wyniki na studiach. Faktycznie tak było: od momentu, w którym wzięłam się za siebie, moją najgorszą oceną była czwórka z filozofii. Zajęcie sobie głowy czymś

innym było dobrym rozwiązaniem mojego problemu. W końcu przestałam myśleć o nim i byłam z tego powodu niewiarygodnie szczęśliwa. Obiecałam sobie, że już nigdy nie będę czuła nic do żadnego chłopaka.

Któregoś dnia, po wykładzie z filologii, podszedł do mnie... Kacper. Zapytał o notatki, co okazało się potem zwyczajną wymówką. Za bardzo nie chciałam z nim rozmawiać ze względu na moje postanowienie, którego chciałam się trzymać. Nie mogłam przecież znowu przeżywać natłoków myśli. Z czystej życzliwości uznałam, że dam mu te notatki, ale nie chciałam wchodzić w dalszą interakcję. On jednak nalegał. zaproponował spotkanie po zajęciach pod pretekstem wspólnej nauki. Zapytał, czy nie chciałabym mu pomóc. Wiedziałam, że miał kiepską sytuację na studiach, a zbliżało się kolokwium, więc zgodziłam się. Spędziłam z nim dobre trzy godziny. Podczas tego zachowywał się tak jak na początku, był miły, sympatyczny, taki, jakiego go poznałam i polubiłam. To nie był ten arogancki, egoistyczny Kacper, jakiego widziałam ostatnio. Zastanawiałam się, dlaczego tak jest: zachowywał się tak, jakby miał dwie osobowości. Może to przez jego trudne dzieciństwo? Przez to, że rodzice nie dawali mu wystarczającej ilości uwagi? Chciałam mu pomóc, ale niespecjalnie wiedziałam jak.

Po kilku dniach znowu zaproponował wspólną naukę, nie odmówiłam, bo było mi go szkoda. Zaczynałam stawiać się w jego sytuacji, ale nie potrafiłam. Przecież moi rodzice darzyli mnie miłością i od zawsze poświęcali mi dużo czasu. Byłam ich oczkiem w głowie, więc nie do końca potrafiłam zrozumieć jego myśli. Nigdy nie miałam takich problemów. Długo zastanawiałam się nad jego zmiennym zachowaniem i niestety przez to zaniedbałam studia. Znowu byłam zła na siebie, bo zrobiłam coś, do czego nie chciałam dopuścić. W mojej głowie znowu był tylko Kacper, bardzo się o niego martwiłam, wiedziałam, że coś jest nie tak. Mogłam mu pomóc tylko przez wspólną naukę. Chciałam, żeby miał mniej problemów i żeby chociaż nie musiał się martwić o to, czy zaliczy rok.

Nasza wspólna nauka trwała przez kilka miesięcy. Podczas tego czasu zbliżyliśmy się do siebie, a Kacper zdecydowanie miał lepsze oceny. Byłam dumna z niego, jak również z samej siebie, bo była w tym moja zasługa.

Zaczął mi się zwierzać, rozmawialiśmy o jego problemach i o tym, jak się czuje. Oczywiście też mu opowiadałam o swoich trudach życia codziennego, które w porównaniu do jego były zdecydowanie mniejsze. Zaczynałam rozumieć, co siedzi mu w głowie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak duży wpływ to, co się dzieje w naszym dzieciństwie, ma na nasze przyszłe życie. Było widać, że ma niewyleczone traumy z przeszłości, które powinno się przerobić, żeby normalnie funkcjonować. Bardzo chciałam mu pomóc również z tym, ale przecież nie zasugeruję mu, że powinien iść na terapię. Pomyślałby, że mam go za nienormalną osobę. Mężczyźni nie lubią rozmawiać o uczuciach, wolą udawać, że nic się nie dzieje, i zamknąć się w sobie. Dlatego tak bardzo się zdziwiłam, gdy zaczął mi się zwierzać. Nikt inny nie wiedział tego, jak naprawdę się czuje. Nawet jego najlepsi koledzy: Kuba i Szymon myśleli, że wszystko jest w porządku. Przez to, że tylko ja wiedziałam o jego problemach, poczułam się naprawdę wyjątkowo. Przecież gdybym była dla niego przypadkową osobą, nie zwierzałby mi się. Moje myśli znów koncentrowały się wyłącznie na Kacprze. Czułam, że z każdym dniem stajemy się sobie coraz bliżsi. Cieszyłam się z tego faktu, ale czułam, że coś jest nie tak. Miałam wrażenie, że powoli zaczynam mieć na jego punkcie obsesję. Jeszcze parę lat temu nie pomyślałabym, że kiedykolwiek doprowadzę się do takiego stanu, w którym będę zasypiać i budzić się z myślą o tym jednym chłopaku. Nie wiedziałam, co tak naprawdę czuję, wiedziałam tylko, że jest to dla mnie niezdrowe. Spędzałam z nim każdą wolną chwilę. Nie szanowałam tego, że czasami chciałby spędzić czas z kolegami. Chciałam zabraniać mu tego, tak żeby mógł się widzieć tylko ze mną. Czułabym zazdrość, nawet gdyby miał spotykać się w męskim towarzystwie. Nie powiedziałam mu o tym, nie chciałam być toksyczna i dawać mu zakazów, zwłaszcza że wydawało mi się, że traktuje naszą znajomość na stopie koleżeńskej. Mimo tego bardzo chciałam mieć z nim kontakt, czułam, że jakby go nie było, nie potrafiłabym normalnie funkcjonować. Byłam w niego zapatrzona do takiego stopnia, że gdy spotykał się ze swoimi koleżankami z liceum, gotowało się we mnie. Przeżywałam wtedy ataki paniki, o których on nawet nie wiedział. Czułam, że to wszystko mnie przerasta. Dlaczego ciągle myślę o chłopaku, który naj-

prawdopodobniej nie myśli o mnie w ten sam sposób? Dlaczego tak bardzo uzależniłam się od kontaktu z nim?

Ta relacja była pełna wzlotów i upadków. Przez długi czas żyłam na huśtawce emocjonalnej. Był okres, gdzie Kacper dawał mi bardzo dużo uwagi, proponował spotkania (nie tylko w celach naukowych). Komplementował mnie i czułam wtedy, że jestem dla niego naprawdę ważna. Był to mój najszczęśliwszy okres w życiu. Bywał też czas, gdzie kompletnie się do mnie nie odzywał. Na zajęciach udawał, że się nie znamy, gdy przechodziliśmy obok siebie na uczelni, nie usłyszałam od niego nawet zwykłego „hej”. Byłam przez niego kompletnie ignorowana. Takie różnice w jego zachowaniu mogłam zauważyć w przeciągu kilku dni: jednego dnia było wszystko w porządku, poświęcał mi dużo uwagi, potem nie odzywał się przez tydzień i tak w kółko. Jego zachowanie niszczyło mnie od środka. Czułam, że gramy w grę. Tak jakby stosował na mnie jakieś techniki manipulacji. Przez to, że raz traktował mnie tak, jak bym chciała, a raz udawał, że się nie znamy, uzależniłam się od kontaktu z nim, a moja obsesja na jego punkcie była coraz większa. Powoli traciłam zmysły. Przestałam jeść, nie wychodziłam z łóżka. Z domu ruszałam się tylko, jak już byłam zmuszona. Zaczęłam opuszczać wykłady, na które wcześniej tak chętnie uczęszczałam. Wolałam widzieć go jak najmniej, czułam, że tak będzie dla mnie lepiej. Zastanawiałam się, co tak naprawdę ma teraz w głowie. Czasami sprawiał pozory, jakby coś do mnie czuł. Jednak gdy po kilku dniach stawałam się dla niego obojętna, przestawałam tak myśleć. Może tylko bawił się moimi uczuciami? Może powinnam dać sobie spokój? W mojej głowie panował taki natłok myśli, że nie potrafiłam sobie sama z tym wszystkim poradzić.

Taka gra w ciepło-zimno trwała przez pięć lat, do ukończenia magistra. Po tych latach byłam wykończona psychicznie. Mimo uzyskania tytułu psychologa nie potrafiłam pomóc sama sobie z moimi problemami, a co dopiero komuś innemu. Po skończeniu studiów obiecałam sobie, że zacznę nowe życie. Pierwszą zmianą była przeprowadzka – z ciasnego pokoju na obrzeżu miasta przenieśliśmy się do przytulnej kawalerki w centrum. Oczywiście finansowo pomogli mi rodzice, którzy byli niezmiernie dumni, że ukończyłam edukację. Postanowiłam mieszkać sama. Laura również się wyprowadziła, tylko że

ze swoim chłopakiem, którego poznała na studiach. Od tego momentu nie miałyśmy już kontaktu. Kolejną zmianą było podjęcie pracy w zawodzie – mimo wątpliwości była to dobra decyzja. Świetnie się tam odnalazłam, cieszyłam się, że mogę pomagać ludziom, którzy mierzą się z różnymi traumami. Mimo że do końca sama nie mogłam sobie poradzić z pewnymi rzeczami, sprawiało mi satysfakcję, że pomagam rozwiązywać problemy innych ludzi. I w końcu – zmiana, która miała największy wpływ na moje życie i zdrowie psychiczne – całkowicie odciąłam się od Kacpra.

Gdy dzwonił, nie odbierałam, gdy pisał, nie odpisywałam. Zablokowałam jego numer. Stwierdziłam, że tak będzie najlepiej dla mojego komfortu psychicznego. Dla niego zresztą też. Ta relacja była niszcząca dla naszej dwójki. Zostanie w tak toksycznej znajomości byłoby destrukcyjne. Na początku bardzo ciężko było mi się od niego całkowicie odciąć, gdyż tak jak wspomniałam wcześniej, byłam uzależniona od kontaktu z nim. Ciężko mi było przeżyć dzień bez zwykłej rozmowy, dlatego gdy się do mnie nie odzywał, tak bardzo to przeżywałam. Po tylu latach męczenia się w relacji, w której nie wiedziałam nawet, na czym konkretnie stoję, podjęłam odpowiednią decyzję. Skończenie studiów tylko pomogło mi w tym wyborze, od dawna chciałam to zrobić, ale fakt, że chodziliśmy razem na każde zajęcia, mi to uniemożliwiał. Chcąc nie chcąc, i tak byśmy się codziennie widzieli. Życie zaczynało mi się układać – odnosiłam sukcesy w pracy, poznałam nowych znajomych, a z czasem coraz mniej myślałam o mojej dawnej nieudanej miłości. Powoli mogłam powiedzieć, że zaczynałam być zadowolona z tego, co dzieje się w moim życiu. Odcięcie się od niezdrowej relacji wpłynęło na mnie pozytywnie. W wieku dwudziestu pięciu lat poznałam mężczyznę, przy którym nie czułam huśtawki emocjonalnej: był stały w uczuciach, bez żadnych traum z przeszłości. Z pozoru wydawało się, że jestem przy nim szczęśliwa, jednak w głębi czułam, że to nie jest to, czego tak naprawdę bym chciała. Czułam, że nudzę się w tym związku. Potrzebowałam więcej adrenaliny. Może to przez to, że byłam przyzwyczajona do czegoś innego? Może tak naprawdę lubiłam tkwić w jakiegokolwiek relacji z niedojrzałym emocjonalnie mężczyzną? Może powinnam być w relacji ciepło-zimno? Zadawałam

sobie mnóstwo pytań. Zastanawiałam się, co jest ze mną nie tak. Wiedziałam przecież, że mój obecny partner – Michał, jest dla mnie naprawdę dobry. Nie powinnam mieć do niego żadnych zastrzeżeń. Bardzo starał się o naszą relację, wiedziałam, że mu na mnie zależy. Tkwiał w tym związku, bo tak mi było wygodnie. Lubiłam jego towarzystwo, ale nie byłam pewna, czy to faktycznie jest to, czego oczekuję. Miałam też wątpliwości co do moich uczuć wobec niego. Wiedziałam, że coś czuję, jednak to uczucie nie było na tyle silne, żebym mogła przeżyć z nim resztę życia. Może to właściwa osoba, a zły czas? A może ja już jestem zdolna do jakichkolwiek uczuć?

Trzy lata później, gdy wróciłam do domu po pracy, zobaczyłam, że Michał przygotował kolację przy świecach. Zdziwił mnie ten widok, bo zazwyczaj to ja gotowałam wszystkie posiłki. Nie ukrywam, była to miła niespodzianka. Usiadłam do stołu, Michał ciągle stał. Nagle uklęknął.

– Magda, wyjdiesz za mnie? – zapytał.

W tamtym momencie mnie zamurowało.

– Tak! – odpowiedziałam, za bardzo nie przemyślając swojej decyzji.

Tamtej nocy nie mogłam spać, myśląc o tym, co zrobiłam. Czułam, że nie do końca odnajduję się w tej relacji, dodatkowo zgodziłam się zostać jego żoną. Mam spędzić resztę życia z mężczyzną, którego nie kocham? Może mogę jeszcze zrezygnować? Czułam, że z tamtym marnuję czas. Nie chciałam tkwić dłużej w tym, ale nie chciałam też zostać całkowicie sama. Zresztą było już chyba za późno na wycofanie się, przecież powiedziałam „tak”. Po raz kolejny towarzyszył mi natłok myśli, którego nie potrafiłam opanować. Mimo wszystko postanowiłam tkwić w tej relacji. Znowu przestałam być szczęśliwa. Przez trzy lata przyzwyczaiłam się do jego towarzystwa i byłoby jakiś smutno bez niego. Może kiedyś pokocham go tak, jak on mnie?

Minęło kilka miesięcy od zaręczyn. Wmawiałam sobie, że jestem zadowolona z tego, co dzieje się obecnie w moim życiu. Któregoś lipcowego dnia wybraliśmy się do pobliskiego sklepu na zakupy. Gdy wybierałam, który rodzaj makaronu będzie najlepszy na obiad, moim oczom ukazał się... Kacper. Na dodatek nie był sam, towarzyszyła mu jakaś kobieta, która okazała się jego żoną. Myślałam, że mi się przywidziało. Znowu poczułam się tak jak

wtedy, gdy zobaczyłam go pierwszy raz. Zabrakło mi tchu, a nogi zrobiły się jak z waty. Poczułam, że wszystkie uczucia do niego wróciły...

– O, Magda, tyle lat się nie widzieliśmy! – przywitał się.

– Hej – odpowiedziałam mu łamiącym się głosem.

Gdy obydwoje poszli, Michał wydawał się nieco zmieszany. Przez jakiś czas się do mnie nie odzywał. Po godzinie, gdy byliśmy już w domu, pierwszy raz od tamtego momentu postanowił zadać pytanie.

– Kto to był?

– W sklepie? To tylko kolega ze studiów. Spokojnie, nie musisz się o nic martwić – odpowiedziałam, wiedząc, jaka była prawda.

Wydawało mi się, że ta odpowiedź uspokoiła mojego narzeczonego. Zaczął zachowywać się normalnie, jakby nic się nie stało, zapomniał o całej sytuacji.

Tamtej nocy znowu miałam problem z zaśnięciem. Myślałam o sytuacji ze sklepu. Zaczynałam przypominać sobie studenckie czasy i moją relację z Kacprem. Nie wiedziałam, dlaczego, ale tęskniłam za nim. Pod wpływem impulsu, gdy Michał już spał, postanowiłam, że odblokuję Kacpra, który był zablokowany od momentu skończenia studiów. Nie wiedziałam, po co to zrobiłam, bo czułam, że żadne z nas się do siebie nie odezwie. Postanowiłam już dawno, że nigdy więcej nie chcę utrzymywać z nim kontaktu, jednak podświadomie bardzo bym chciała. Znowu doszłam do takiego momentu w swoim życiu, że miałam dużo sprzecznych myśli w głowie. Z jednej strony bardzo mnie do niego ciągnęło, z drugiej zaś wiedziałam, że obydwoje mamy teraz nowe życie z kimś innym. Wiedziałam też, że nasza relacja była niszcząca. Jednak może to było to, czego tak bardzo mi brakowało w teraźniejszym życiu? Długo walczyłam, żeby do niego nie napisać, tak naprawdę chciałam po prostu wiedzieć, co u niego słychać, jak mu się życie układa i czy jest szczęśliwy. Powstrzymałam się, coś mnie zahamowało, wiedziałam, że gdybym to zrobiła, mogłabym ponieść różne konsekwencje. Nie chciałam się przecież narażać jego żonie. Nie chciałam też, żeby Michał się dowiedział, mógłby różnie zareagować, a mimo wszystko związek z nim był mi na rękę. Po długich nocnych rozmyślaniach w końcu zasnęłam.

Następnego dnia rano wzięłam telefon do ręki. Nie mogłam uwierzyć... Moim oczom ukazała się wiadomość od Kacpra:

„Tęsknię za tobą”.

Nie wiedziałam, co mam zrobić. Nie spodziewałam się tego. W tamtej chwili byłam bardzo szczęśliwa. Nie liczyło się dla mnie nic poza tą wiadomością. Nie odpisałam mu, ponieważ zastanawiałam się, co odpisać i czy w ogóle cokolwiek odpisywać. Wiedziałam, że zaczęłam nowe życie. Zdawałam sobie sprawę również z tego, że gdybym odpisała, moja relacja z Michałem najprawdopodobniej by się skończyła, a jednak nie chciałam tego. Wiedziałam jednak, że tak naprawdę nie czuję nic do mojego narzeczonego. Byłam z nim z przyzwyczajenia i wygody. To chyba Kacper był moją prawdziwą miłością... Miałam sprzeczne myśli, z którymi postanowiłam się przespać.

Po kilku dniach od dostania wiadomości, gdy Michała nie było w domu, wzięłam telefon do ręki i nie zastanawiając się długo, po prostu zadzwoniłam do Kacpra. Chciałam mu powiedzieć, że również za nim tęsknię.

– Hej, nie odpisywałam parę dni, myślałam długo nad tym, co ci odpisać, uznałam, że najlepiej będzie, jak zadzwonię...

– Dzień dobry, z tej strony Julia, żona Kacpra. Przykro mi to mówić, ale niestety mój mąż wczoraj miał wypadek samochodowy, którego nie przeżył.

W tamtej chwili mnie zamurowało. Nie wiedziałam, co powiedzieć, czułam tylko, jak łzy napływają mi do oczu, a kolana się uginają.

– Ale jak to?... – zapytałam.

– Ciężarówka w niego wjechała. Ciężko mi o tym mówić. Widziałam, że parę dni temu pisał do pani. Często też wspominał o czasach studenckich. Pojawiało się tam często pani imię. Wydaje mi się, że tak naprawdę nigdy mnie nie kochał, byłam tylko plasterkiem na rany. Utwierdziło mnie w przekonaniu zobaczenie tej wiadomości.

Po tym, co usłyszałam, od razu się rozłączyłam. Zamknęłam się w pokoju, dusiłam się własnymi łzami. Wpadłam w atak paniki i nie mogłam się uspokoić. W tamtej chwili Michał wrócił do domu. Gdy zobaczył mnie w takim stanie, wystraszył się i zaczął zadawać masę pytań. Na żadne mu nie odpowiedziałam, bo nawet gdybym chciała, to nie byłam w stanie. Wziął

mnie na ręce i zabrał do szpitala. Tam podali mi leki uspokajające. Żadne nie działały. Czułam, że nie chce mi się żyć.

Spędziłam kilka tygodni w szpitalu psychiatrycznym, ponieważ mój stan ciągle się pogarszał. Nie jadłam, nie piłam. Najprostsze czynności życiowe sprawiały mi trudność. Ciągle myślałam o rozmowie z Julią, o tym, co się stało i o tym, co mi zasugerowała. Jeżeli też coś do mnie czuł, dlaczego nigdy mi o tym nie powiedział? Dlaczego nigdy nie byliśmy razem? Dlaczego mimo toksycznej relacji zawsze miałam go z tyłu głowy? Zostałam sama z tymi myślami, wiedziałam, że teraz spędzę resztę życia z mężczyzną, którego tak naprawdę nie kocham. Kacper, którego kochałam, już nie żyje. Dlaczego nigdy nie przyznaliśmy się do tego, co do siebie czujemy? Obwinałam się, że nie odpisałam mu od razu. Może moje życie wyglądałoby teraz inaczej? Wiedziałam, że przez długi czas najprawdopodobniej nie będę szczęśliwa i w końcu zrozumiałam moich rodziców...

Nie wszystko jest dobrze

Już leżysz w łóżku, światło zgasło, telefon, choć kusi, to obok na podłodze tylko brzęczy od powiadomień, a ty próbujesz zasnąć. Jutro musisz wstać rano, bo trzeba się pojawić w szkole, w pracy. Bo trzeba stawić czoła wszystkim zmartwieniom i strachom.

Świadomość tego wszystkiego jednak nie pomaga zasnąć, zaczyna się spirala niekończących się myśli.

„Czy podjąłem dzisiaj dobre decyzje?”

„Co by było, gdyby coś poszło inaczej?”

„Czy na pewno zdążę z tym wszystkim, co mam do zrobienia?”

„Co inni o mnie myślą?”

„Czy poradzę sobie z przyszłymi wyzwaniem?”

„Co jeśli coś złego przydarzy się moim bliskim?”

Nagle błyska za oknem i rozprasza na chwilę myśli. Słyszysz syrenę karetki pogotowia i to wszystko, o czym wcześniej myślałeś, znika i pojawiają się nowe zmartwienia. Nie dają nawet chwili spokoju. Teraz jeszcze w dodatku ten strach, po kogo tym razem przyszedł Kosiarz, a może coś się dzieje w budynku i wszyscy powinni się ewakuować?

Są to pytania umysłu zmęczonego, pełnego zmartwień, który nawet wypocząć już nie potrafi. Dzisiaj już prawie każdy taki ma: skupieni na wszystkim, tylko nie na samych sobie. Pozwalamy, by nas wszystko zalało i przytłoczyło. Jest to cicha tragedia naszych czasów, ale nikt o niej nie wie, bo nie chce się przyznać.

Wracając do siebie, gdy już nie wiadomo, czy to policja, karetka, a może kosmici, wiesz, że musisz odpocząć, zasnąć w końcu i pozwolić umysłowi zająć się czymś innym, jednak sen nie przychodzi. Więc tak właściwie co to

za różnica, czy będzie się dalej próbowało zasnąć czy nie? Bierzesz telefon z powrotem do ręki i, leżąc w łóżku, starasz się zapomnieć o wszystkim, co cię dręczy.

Tu śmieszny kot właśnie nie wie, jak wyjść z kartonu. Tu niesamowita historia o tygrysie, który po dwudziestu latach znowu spotyka swojego przyjaciela człowieka. Tu coś się dzieje za granicą, ale nic nie możesz zrozumieć. Tu ktoś po raz kolejny spada ze schodów i nic mu nie jest. Tu papuga umie mówić w siedmiu językach, tu jakiś klip z filmu, którego nie widziałeś. I to się tak ciągnie... Powieki zaczynają piec i głowa boli tak bardzo, że nie chcesz nic innego, tylko spać. Jest dawno po północy i wiesz, że za kilka godzin musisz wstać gotowy na kolejny dzień, ale na razie o tym nie myślisz. Odkładasz telefon, zamykasz oczy i teraz umysł jest zbyt zmęczony strasznymi scenariuszami i zmartwieniami – zapadasz w krótki i niespokojny sen, który nie przynosi ulgi ani odpoczynku.

Resztą można się przecież pomartwić jutro...

Tylko co, jeśli jutro trwa od co najmniej roku? Jeśli te same zmory nękają cię już tyle czasu i nie widzisz ich już jako wrogów, a jedynie jako znajomych lub przyjaciół. Mogą cię oni nękać bez trudu, są zawsze z tobą, a ty już ich nawet nie wyganiaasz. Nic więc dziwnego, że twoje życie jawi się teraz jako dramat, tragedia. Żyjesz wbrew życiu, spoufalając się z wrogiem. Potrzebujesz snu, ale nie możesz zasnąć, potrzebujesz odpoczynku, ale już nie wiesz, jak się odpoczywa. Chcesz z tym wszystkim skończyć, ale nie masz siły. Pojawiają się więc co rusz nowi, fałszywi przyjaciele.

* * *

Następnego dnia wstajesz i przeklinasz siebie za to, że nie poszedłeś spać wcześniej. Wszyscy dobrze wiemy, że to jedno wielkie oszustwo, bo powróciwszy do domu, każdy robi dokładnie to samo co dzień wcześniej. To, że jesteśmy zli na samych siebie, nie zmienia faktu, że wciąż popełniamy ten sam błąd. Ale jaki w tym sens, jeśli zmiana wymaga tak wiele samozaparcia i wysiłku?

Wychodzisz z domu, zachwycony świeżym powietrzem, nowymi możliwościami, kolejną szansą. Postanawiasz coś zmienić, może coś osiągnąć, by

poczuć się lepiej, przerwać monotonię smutku. Bierzesz wdech i wydech, oto nowy dzień, wszystko może się stać. Pełen nadziei, ruszasz przed siebie, by stawić czoła temu, co jest ci jeszcze nieznanne, co przed tobą. Mijasz ludzi spieszących do pracy, uczniów na wagarach, babcię z wnukami na wycieczce do sklepu. Powietrze jest mroźne, mimo że wiosna już dawno zawitała w kalendarzu na ścianie. Wydychasz powietrze i towarzyszy mu chmura pary wodnej. Jednak czy aby tylko pary? Oczywiście, że nie, twoje życie nie jest tak proste i nieskomplikowane, jak chciałbyś.

W kieszeni ściskasz papieros będący jednocześnie kotwicą do rzeczywistości i skutecznym rozproszeniem dla twoich myśli. Kiedy się nim zaciągasz i pozwalasz, by trucizna powoli, ale z determinacją pochłaniała cię coraz bardziej, masz wrażenie, że wszystko jest w porządku. Stajesz się jak wszyscy, nie masz żadnych problemów, nic cię nie obchodzi, nic nie ma znaczenia. Jak bardzo ironicznie by to nie zabrzmiało, to mimo wszystko czujesz, że możesz w końcu wziąć oddech, który nie dławi cię w gardle niczym kwas i nie ciśnie w piersi niczym ogromny ciężar.

Znowu szczęście zawita w twoich progach. Widzisz świat w innym świetle i pozwalasz sobie na odrobinę nadziei. Zauważasz, że akurat dzisiaj świeci słońce, że niebo jest bez chmur, że tak właściwie to jest to naprawdę ładny i miły dzień. Ruszasz więc dalej spokojnym spacerem przez ulice miasta, a za tobą wciąż podąża dym papierosa – jedyny przyjaciel w niedoli. Dookoła toczy się dalej życie, nic się nie zmienia z wyjątkiem twojego podejścia. Idąc, zauważasz więcej niż wcześniej. Rozglądasz się i widzisz, że mimo twoich obaw nikt właściwie nie zwraca na ciebie uwagi. Każdy zajęty swoimi problemami albo z głową w telefonie, albo śpieszy się gdzieś i nie obchodzi go reszta. Dlaczego więc tak bardzo zależy ci, by wyglądać jak najlepiej, by nie dać poznać po sobie, jakie myśli kłębią się w twojej głowie? Zamiast być w domu, jesteś z samym sobą wśród innych i otacza cię skrzętnie konstruowany latami doświadczeń mur obronny. Nie możesz pozwolić, by ktoś cię skrzywdził, by ktoś dowiedział się o tobie tego, czego ujawniać nie chcesz. Dlatego, żeby nie odstawać od pozostałych, również wyciągasz telefon i poświęcasz mu uwagę. Jednak cała fałszywa pewność siebie znika, kiedy dociera

do ciebie, że miałeś gdzieś być i zdążyłeś się zgubić. Nie wiesz, dokąd dalej iść i co teraz ze sobą zrobić.

Zapytać kogoś o pomoc, czy może udawać, że wszystko jest w porządku? Pytanie, które zdecydowanie zbyt często pojawia się w twojej głowie. Piszesz do kogoś, by ci pomógł, bo przecież nie zapytasz nikogo na ulicy o kierunek – nie wiadomo, co mogą sobie o tobie pomyśleć. I chociaż twój przyjaciel z chęcią ci pomoże dotrzeć na miejsce spotkania, zadaje proste, ale trudne pytanie:

„Hej, chyba pomyliłem miejsce, pomożesz mi się odnaleźć?”

„Nie ma problemu :) tylko powiedz mi: gdzie jesteś?”

I to daje do myślenia, bo gdzie właściwie jesteś? W końcu odwracasz wzrok od małego świecącego ekranu przed tobą i po raz kolejny rozglądasz się dookoła. Wiesz, że jesteś na rynku, otoczonym starymi i ładnymi kamienicami. Wszystkie są zadbane i zachowane w starym stylu. Na środku, gdzie brak położnej schludnie kostki brukowej, rośnie drzewo, zdaje się, że wiekowy dąb. U jego podnóża jest tłum pełen gołębi, rozpraszany jedynie przechodniami i dziećmi, które je gonią, dopóki ptaki nie odlecą. Jest to miłe miejsce. Jednak nic dalej nie wskazuje na to, co mogłoby pomóc w lokalizacji tego miejsca. Odpisujesz:

„Nie wiem, widzę same gołębie”.

I jakimś cudem to zdaje się wystarczające dla twojego przyjaciela, by poprowadził cię wąskimi uliczkami do miejsca, które jest ci już bardziej znane. Stamtąd bez problemu idziesz, mając w myślach swoje plany. Jednak wciąż w twojej głowie kołata pytanie: Czy faktycznie jestem tam, gdzie chcę być? Może coś powinno się zmienić, jednak nie wiesz co. Czujesz, że zalewa cię fala podobnych pytań i niepewności. Zaczyna się niekończąca spirala przemyśleń, które zaczynają przyspieszać. Czujesz, jakby świat się rozmywał. Ręką szukasz w kieszeni czegoś, co pomoże ci wrócić do rzeczywistości, uratować przed niechybnym końcem. Palcami dotykasz po kolei rękawiczek, zabłąkanej też już od jakiegoś czasu chusteczki do nosa i nareszcie trafiasz na jedyną deskę ratunku. Z trudem przykładasz papierosa do ust i zaciągasz ten trujący, ale jednocześnie wybawiający oddech. Wydech przychodzi już

łatwiej, bardziej komfortowy niż wcześniej, i pozwala na nowo uporządkować porozrzucane myśli.

Wiesz, że to niezdrowe, znasz wszystkie formułki na pamięć, odtwarzasz słowa bliskich krytykując twoje zachowanie i nalegające do rzucenia nałogu. Jednak w obliczu tego, co teraz czujesz, po raz kolejny zbywasz głos rozsądku i pozostawiasz tę kwestię nierozwiązaną do następnego razu.

* * *

Wieczór już nastał, mrok ogarnął cały świat, światło sączyło się tylko z okien mieszkań i migających sztucznie w pomarańczowym kolorze ulicznych lamp. Wszyscy z wyjątkiem ciebie spieszyli do ich destynacji z zamiarem jak najszybszego ucieknięcia przed zimnem. Ty też chcesz już znaleźć się w domu, ale nie masz na to siły. Dzień był trudny i bardzo wymagający. Całą energię zużyłeś na przetrwanie wszystkich wydarzeń. W plecaku niesiesz butelkę ulubionego alkoholu i zamierzasz spędzić wieczór w samotności, ale przynajmniej trochę radośniej niż zwykle.

Kiedy nareszcie drzwi domu się za tobą zamykają, oddychasz z ulgą. Teraz już nie ma znaczenia, kto i co sobie myśli, czy chcesz, czy nie chcesz czegoś robić. To jest bezpieczna przestrzeń, twoje miejsce i tutaj możesz przestać udawać. Jednak przytłaczają cię wydarzenia z całego dnia i niemal zwalają z nóg. Dopada cię beznadzieja, mimo że przecież nie wszystko jest jeszcze stracone. Jednak mur obronny upada w obliczu komfortu, na jaki pozwala ci bezpieczne miejsce i chwila spokoju.

Zniechęcenie do świata od razu odbiera ci apetyt. Bez głębszych analiz po prostu otwierasz butelkę i zamykasz się w swoim świecie. Pierwszy łyk przyjemnie pali gardło, pozwala na rozluźnienie spiętych mięśni, a galopujące myśli odchodzą na dalszy plan. Świat staje się znośniejszy i dochodzisz do wniosku, że wszystko, co dzisiaj się wydarzyło, było w jakiś pokręcony sposób bardzo śmieszne. Pozwalasz więc sobie na delektowanie się tym uczuciem, tak jakby wszystko było dobrze, a ty jakbyś wcale nie uciekał w alkohol, by o tym zapomnieć. Wraz z kolejnymi procentami twoja głowa coraz mocniej czuje, że świat jest tak naprawdę rozmazany i cały czas się kręci. Kiedy butelka

jest już pusta, a wszystko dookoła nie takie smutne, z radością kładziesz się do łóżka, wiedząc, że chociaż dzisiaj sny nie będą takie koszmarnie jak zazwyczaj. Z uśmiechem na ustach odpływasz w objęciu Morfeusza.

Właśnie w tym momencie nic innego się nie liczy, tylko ta świadomość błogości i możliwości ucieczki przed rzeczywistością. I tak jak zwykle – nie obchodzi cię to, że jutro też jest dzień i wszystkie twoje problemy zaczną się od nowa i jeszcze pewnie się podwoją. To się teraz nie liczy, nic się nie liczy, zwłaszcza w perspektywie czasu, więc dla odmiany nie zaprzątasz sobie tym głowy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu jest po prostu spokój, resztą można się zająć kiedy indziej. Jutro jest kolejny dzień i znowu będzie źle, prawda?

Używką czy lekarstwem?

Wszystko, co się liczy przypadnie w mroku nocy.
Powiedźcie mi, jak to zrobić bez odrobiny pomocy?

Kiedy alkohol uderza do głowy i czas się na chwilę zatrzyma,
Ty bierzesz oddech, myśli nie są już tak natrętne,
sny nie mieszają się już z rzeczywistością, przestając cię w końcu przerażać,
nareszcie masz odrobinę odwagi, by stanąć przed światem,
zanim znowu dopadnie cię nicość.

Chwila relaksu, zapomnienia
o bólach twojego i mojego istnienia.

Kiedy tytoń przenika do krwi i zaczyna działać
w końcu możesz odetchnąć – co wydaje się głupie
jednak... pomaga, zalewając ulgą i wytchnieniem,
zamykasz oczy, oddając się beztrosce
zanim znowu wszystko w ogniu stanie.

To nigdy nie jest dobre rozwiązanie i wiem,
że niczego to nie zmieni, cokolwiek wam powiem.

Kiedy uśmiechasz się do telefonu i odpowiada ci cisza,
bo nikogo tu nie ma, mimo wielu starań
zaczynasz się staczać w otchłań rozpacz,
ale światełko w tunelu się świeci i miga pełne nadziei,
więc znowu zaglądasz do telefonu,
mrok cofa się z powrotem pod łóżko.
Możesz się uspokoić, rozprostować zdrętwiałe palce.

Na nowo udajesz, że wszystko się kręci
tak, jak powinno na karuzeli,
jednak wiesz, że mimo twoich chęci
jest to prawda, którą wszyscy przemilczeli.

Codziennie zdumienie

Schody w blokowym korytarzu pod wpływem nacisku zaczynają skrzypieć. Jest to dość naturalne i często spotykane zjawisko, gdyż same stopnie są zrobione z drewna, na którym widać już ilość wydeptanych lat przez braki w ubarwieniu czy ich lekką wklęsłość. Często nie potrzeba nawet człowieka nachodzącego na stopień, by same zaczynały grać muzykę, jaką często spotyka się w starych domach czy kamienicach. Z racji tego, że ta składała się głównie z desek, naturalne było to, że pod wpływem zwykłego wiatru cały budynek pracował, budząc przy tym ludzi, którzy niechętnie chcieli wstać ze swoich ciepłych, wygodnych łóżek. Kamienica była bogato zdobiona. Ornamenty na ścianach z popiersiami słynnych herosów i mozaikami wręcz wylewały się na znudzonych przechodniów. Każde mieszkanie miało balkon, a sama barierka była pomalowana na zielono, lecz farba pod wpływem lat odpadła od metalu. Cały budynek pomimo bogatego zdobienia ogólnie cechował się jednak szarością, brudem i przeciętnością, a niebieski kolor elewacji został poszarpany przez wiatr i inne warunki atmosferyczne. Dom stał się jednym z wielu, które stoją w mieście pełnym innych tak samo mizernych gmachów. Pomimo iż była to kamienica dość stara, a do tego zabytkowa, nie została poddana żadnej renowacji. Leżała na uboczu wielkiego zgielku śródmiejskiego, więc zainteresowanie jej odnowieniem pozostało niezauważalne dla władz miejskich, które bardziej inwestowały w nowoczesność, a stare luksusowe wille i kamienice zostawiali odlogiem, aby godnie zakończyły swój żywot. Budynek był wysoki na pięć pięter. Każde mieszkanie miało niskie sklepienia, a także małe okna.

Te pomimo swojej niewielkości dostarczały odpowiedniej ilości światła, która wystarczyła, by obudzić mężczyznę mieszkającego na trzecim piętrze

pod numerem szóstym. On również, jak wielu innych mieszkańców, nie marzył o opuszczeniu swojego legowiska. Raczej pragnął w nim zostać, gdyż dziś czekał go nieprzyjemny, zimny i męczący dzień w pracy. Pomimo swojej niechęci zbudził się jednak.

Jego mieszkanie było niewielkie, wręcz znikomych rozmiarów, starczało jedynie dla niego, gdyż każda osoba więcej sprawiałaby ogromny dyskomfort w codziennym funkcjonowaniu. Przy samym wejściu wszystkich odwiedzających witał napis „Welcome”, który widniał na startej już wycieraczce. Zaraz przy drzwiach po lewej stronie znajdowała się ogromna stara szafa z lustrem na środku. Mieściła ona w sobie różnorakie płaszcze, buty czy artykuły domowe mężczyzny. Obok niej stał wieszak z wiszącą na nim parasolką oraz neseserem, a także podstawka na buty, gdzie znajdowała się jedna para obuwia. Ta niewielka sienć połączona była bezpośrednio z salonem, gdzie w prawym rogu na pierwszy rzut oka dostrzec można było ogromny stojący zegar, który pomimo swojego wieku i archaiczności działał bez zarzutów i wcale nie zamierzał się zatrzymywać, zamiast tego wybijał godzinę, jeszcze bardziej rozbudzając mężczyznę. Obok na starej półce stał telewizor. Swoim rozmiarem idealnie wpasowywał się w układ całego mieszkania, wręcz kąpiąc skromnością i niewielkością. Naprzeciwko niego rozłożona była wersalka, na której w poszarpanej pościeli leżał mężczyzna. Przed sobą na szklanym kawiarnianym stoliku miał wczorajszy kubek z kawą, paczkę otwartych papierosów i okulary.

Gdy wreszcie się przebudził, wstał i zaczął zmierzać w stronę toalety. Ta znajdowała się zaraz w przedsiönku. Mijając wieszak, lekko zaspany niemal potknął się o próg dzielący łazienkę i salon. Przemył twarz nad ogromną umywalką, a następnie przejrzał się w ukruszonym w prawym górnym rogu lustrze i zaczął się golić. Światło do tego pomieszczenia dostarczane było przez niewielkie okrągłe okno niemal przy suficie, któremu brakowało już brązowej farby na ramie. W narożniku znajdował się prysznic, widać, że nieczyszczony od wielu dni, gdyż miał smugi na szybach. Tak samo wyglądała toaleta, zaniedbana i również opuszczona przez jakiegokolwiek środki do dezynfekcji.

Po porannej pielęgnacji mężczyzna wyszedł na wprost do niewielkiej kuchni. Po lewej stronie znajdowały się blaty kuchenne, na których dostrzec można

było kawałki pokruszonego chleba, a także słoik z dżemem truskawkowym, ogromna liczba szafek, z których z jednej mężczyzna wyciągnął kawę oraz herbatę, zlewozmywak, który był aż po sam kran wypełniony brudnymi naczyniami. Widać, że niemytymi przez kilka dni. Niewielka lodówka z mnóstwem magnesów z różnych części świata, Kuchenka gazowa wraz z okapem, a na niej czajnik, niewielka mikrofalówka, a także chlebak, w którym leżały już szczerstwiałe kromki pieczywa. Mężczyzna zaczął starannie smarować jedną z nich dżemem truskawkowym. Zrobił takie dwie i wsadził do papierowej torby na śniadanie. W międzyczasie wyciągnął toster i zaczął przygotowywać swoje podstawowe śniadanie, wkładając chleb do maszyny, a następnie nakładając na niego masło, ser, sałatę, pomidor i tanią wędlinę. Włączył gaz, rozpoczął przygotowywanie wody i zalał nią herbatę, a także kawę w niewielkim termosie. Na jego twarzy można było dostrzec zmęczenie, wielką niechęć i smutek spowodowany jesienią porą, a także znienawidzoną pracą. W zasadzie cały bałagan w mieszkaniu idealnie oddawał samopoczucie mężczyzny, który nie zauważył, że pozostało mu niewiele czasu do odjazdu jego autobusu.

Usiadł na pościeli i szybko pochłonął wcześniej przygotowane grzanki, łączywie popijając je herbatą. Następnie zerwał się z legowiska i podszedł do szafy. Wyciągnął z niej wieszak, na którym wisiały kremowe spodnie, brązowy krawat, a także biała koszula wraz z brązową marynarką w kratkę. Następnie udał się do łazienki i przeszedł niesamowitą metamorfozę – z człowieka zaniedbanego, opuszczonego przez szafiarkę i fryzjera, w wysokiego, przystojnego dżentelmena. Jego brązowe, miejscami siwiejące włosy ułożone do góry w prawy bok idealnie komponowały się z całym ciemnym zestawem, który miał na sobie. Miał też z lekka opaloną cerę, chociaż widać, że to nie przez przesiadywanie na plaży, lecz przypadkowe złapanie słońca podczas przemierzania ulic miasta. Oczy miał piwne, a całości dopełniały delikatne piegę w okolicach nosa. Włożył czarne lakierki, a następnie zaczął poprawiać i przeglądać się w lustrze, jakby chciał wyeliminować wszystkie negatywne aspekty ubioru. Zgarnął nesesor, do którego wpakował śniadanie wraz z kawą, a także okulary ze stolika, i opuścił mieszkanie, zostawiając je całkowicie zaniedbane, jakby był przekonany, że nikt po pracy go nie odwiedzi.

Schodząc po wspomnianych schodach, wyszedł przez bramę w uliczny gwar. Mimo iż był to budynek na obrzeżach, wielkość całej aglomeracji sprawiała, że miejsce posadowienia kamienicy można by uznać za centrum miasta. Zaraz po przeciwnej stronie ulicy znajdował się przystanek autobusowy, do którego mężczyzna dostał się, przekraczając ulicę na pasach z sygnalizacją świetlną zaraz koło bramy. Na wysepce spotkał równie zmęczonych ludzi. Stały tam młode osoby, uwagę zwracały ich uszy, do których dobijała się muzyka ze słuchawek, osoby w średnim wieku, tak jak mężczyzna jadące zapewne do pracy gdzieś w centrum miasta, ale także starcy, zapewne zmierzający na targ w celu kupienia warzyw i owoców. Wszyscy bez wyjątku czekali na ten sam autobus jadący w stronę centrum, gdyż więcej nie zatrzymywało się na tym przystanku. Gdy tak stali, główny bohater zwrócił uwagę na wszystkich ludzi na przystanku, myśląc sobie: „Niestety takie jest nasze społeczeństwo, taki jest nasz świat, pełen goryczy, smutku, niechęci do siebie samego i ludzi obok. Zawieszeni wzrokiem na lampach, chodnikach czy niczym lalka stojący i wsłuchujący się w monotonną muzykę wpływającą godzinami do uszu. Wszystko poszło do przodu, ale mimo tego człowiek nie nauczył się, by ułatwiać sobie życie, pomagać i wspierać, i jak ta kukła prowadzona przez tłum zmierza w kierunku monotonii i starych zwyczajów. Tylko ci, którzy opamiętali się bądź zostali opamiętani przez kogoś, wyszli z tej rzeki i stanęli obok, idąc własnym chodnikiem, by teraz nie stać na tym zimnym powietrzu wraz z nami”.

Po chwili od tych słów nadjechał autobus z numerem zero w górnej części. Jak zostało to wspomniane, wszyscy ludzie na przystanku wsiadli do niego, upychając się wśród osób już tam stojących bądź siedzących. Zmierzając w stronę centrum, musieli minąć dziesięć przystanków. Ludzie co chwilę się wymieniali: niektórzy wychodząc do szkoły, na uczelnie czy na targ. Główny bohater natomiast wytrwale czekał na dojazd do ostatniej stacji „Śródmieście”, co chwilę spoglądając na osoby wsiadające i wysiadające, które wymieniały się niczym zmiany w siatkówce. Cały czas miał w głowie nieco zmodyfikowane już wcześniej myśli mówiące o społeczeństwie z jego perspektywy. Dojeżdżając do przystanku, wysiadł na stacji i zmierzał w stronę

biura, do którego wraz z nim szła cała kolumna ludzi. Budynek był ogromny, cały przeszklony, bardzo nowoczesny. Wręcz przyciągał uwagę postronnych ludzi, z których perspektywy był raczej przyjaznym miejscem niż ponurą pracą przyporządkowaną o ogromną niechęć. Wchodząc, można było wyczuć zapach dwudziestego pierwszego wieku, nowości, dobrobytu i dostatku. Mężczyzna otworzył drzwi pobocznej windy, z której wysiedli pracownicy owego budynku. Wszedł pewnym krokiem i wybrał trzecie piętro. Po wyjściu z windy jako pierwsze w oczy rzucały się rzędy odgrodzonych stoisk. Każde z nich miało identyczny fotel, biurko, a także monitor wraz z komputerem.

Zasiadając do swojego stanowiska, mężczyzna powiesił marynarkę na fotelu, a następnie przystąpił do pracy. Na krawędzi ekranu miał porozwieszane kartki przypominające mu o czynnościach, które miał wykonać, przystępując następnego dnia do pracy. Były to krótkie wstawki, na przykład: „spisać raport”, „zrobić przelew” w celu naprowadzenia na konkretny tor dnia następnego. Mężczyzna czym prędzej przystąpił do odrobienia tego pierwszego, jednak z każdą kolejną minutą wykonywania zadania jego zapał malał. Przyzwyczajenie do miejsca, brak ruchu i nowych wrażeń znużył go strasznie, pomimo iż był to początek dnia pracy. Nie mogąc się skupić, przeskoczył szybko w nowo otwartą kartę na komputerze w celu wyszukania czegoś, co sprawi, że ponownie odzyska chęć do pracy. Bez chwili zastanowienia otworzył okienko ze sklepem muzycznym i natychmiast zaczął przeglądać wszystkie znajdujące się tam artykuły. Był tym tak zaaferowany, że stracił rachubę czasu i w chwilę minęło pół godziny. Mężczyzna od dziecka marzył o występowaniu na scenie i profesjonalnym graniu w jakimś zespole. Kręciły go tłumy ludzi stojące tuż pod sceną, wielkość konstrukcji, światła, a przede wszystkim muzyka. Jak na razie jego jedynym osiągnięciem było stanie nie na scenie, a tuż pod nią jako fan rockowego zespołu. Największym hamulcem w jego pasji byli rodzice, ciągle niezadowoleni z postawy syna, który całe dnie spędzał na nauce gry na instrumencie. W ich opinii chłopiec wówczas powinien skupić się na rzeczach ważnych, a więc na ciągłej nauce i wkuwaniu nowych pojęć. Ich zdaniem powinien mieć pewny zawód, jak lekarz, prawnik czy architekt, dlatego uwagę kazali mu kierować na matematykę

i przedmioty ściśle. Uważali, że kierunek ten jest kluczem do dobrze płatnej i przyszłościowej pracy. Cały wysiłek spełził jednak na niczym. Mężczyzna trafił do fachu, który właśnie wykonywał. Mimo że wymagał on umiejętności dobrego liczenia, to nie spełniał żadnego z warunków postawionych przez rodziców i jego samego, czyli dobrych zarobków i przyjemności z wykonywanego zawodu. Podczas tego całego zamyślenia nad wymarzoną pracą, przeglądając coraz to nowsze przedmioty, mężczyzna został zbudzony przez niesamowity krzyk szefa zaraz nad uchem.

– Panie Kowalski! Ma pan wykonywać swoją pracę, a nie zabierać się do jakichś głupot! Jeszcze chwila i potrącę panu to z pensji!

Kowalski, widząc, że przestraszony, z przerażoną miną spojrzął na wysokiego mężczyznę w granatowym garniturze, białej koszuli i z czerwonym krawatem. Ledwo co udało mu się odpowiedzieć i niepewnie wydukał:

– Tak jest, przepraszam, to się więcej nie powtórzy.

Powiedział to tak sztywno i szybko, jak szeregowy w wojsku do dowódcy, który właśnie wywarł na nim ogromną presję. Po tych słowach szef odszedł z grymasem na twarzy, a Kowalski obrócił się do monitora, wyłączył niepotrzebne zakładki i zabrał do pracy.

Na biurku leżała sterta kartek, które mężczyzna musiał wypełnić do końca dnia. Z każdą godziną ich liczba malała, natomiast mililitry wypitej kawy ciągle się zwiększały. Za oknem zaczął zapadać zmrok, a biurka po kolei pustoszały. Tylko pan Kowalski dalej siedział i kończył swoją pracę, mając poczucie winy za to, co stało się rano, i bojąc się ewentualnego zwolnienia. Wreszcie udało się skończyć cały plik papieru, który wymęczył mężczyznę niemiłosiernie. Gdy wychodził, w biurze nie było już nikogo, gdzieniegdzie paliło się światło, a blask ulicznych lamp wpadał przez okna.

Ulica była zatłoczona przez auta, autobusy i tramwaje, które wypełnione były ludźmi wracającymi ze swoich etatów. Mężczyzna zdecydował się jednak na powrót piechotą, by spokojnie w ciągu godziny podróży móc zresetować organizm po wyczerpującej pracy. Przemierzając coraz to kolejną alejkę czy ulicę, przygarbiony, z nosem czerwonym od zimna i rękami schowanymi w kieszeniach płaszcza, myślał już tylko o dotarciu do swojego ciepłego

mieszkania. Wchodząc do klatki, napotkał czarny, równie zimny korytarz, który był oświetlany jedynie światłami z ulicy. Nie miał nawet siły nacisnąć włącznika i po omacku przemierzał kolejne stopnie, opierając ciało o poręcz i końcówkami palców sprawdzając, gdzie są schody. Zmierzał do mieszkania. Gdy wszedł, jak najszybciej zdjął płaszcz i niezdarnie buty, nawet nie sięgając rękami do kostek. Niewygodne obcisłe spodnie, koszulę i krawat rzucił byle jak na wersalkę, przebrał się w luźną koszulkę, długie podarte spodnie oraz czarną katanę. Z szafy natomiast wyjął adidasy. Nawet się nie zastanawiając i nie pamiętając już o zmęczeniu, pewnym krokiem wyszedł z mieszkania. Mimo że korytarz wyglądał tak samo jak przed chwilą to, tym razem opierając się o barierkę, a wręcz po niej zjeżdżając, mężczyzna dotarł na sam dół. Wyszedł przez bramę i poszedł w lewo pewnym krokiem, jakby wcale nie odczuwał zimnego wiatru dmuchającego wprost w jego twarz.

Przeciwnie do stanu sprzed godziny kolejne alejki mijał bardzo szybko, zmierzając na wielki plac i scenę na środku. Podchodząc do bramki, napotkał ochroniarza. Szybko z kieszeni katany wydobyl bilet wstępu, a mężczyzna wpuścił go na teren imprezy. Na pociemniałym polu stłoczona była ogromna liczba fanów, którzy czekali na występ gwiazdy wieczoru. Nagle ze sceny błysnęło mocne światło oślepiające ludzi stojących przed konstrukcją. Pojawili się muzycy, a tłum zaczął głośno wiwatować na cześć stojących na scenie. Wtedy po raz drugi tego dnia na twarzy pana Kowalskiego można było dostrzec uśmiech, który towarzyszył mu niezwykle rzadko. Nagle dźwięk wszystkich instrumentów spowodował huk, wprowadzając publiczność w płasający taniec i bujanie do rytmu muzyki. Po całym dniu pracy ludzie z wielką chęcią przyszli pomimo chłodu na plac, by posłuchać czegoś, co naprawdę ich kręciło i sprawiało, że mogli choć na chwile odciąć się od codzienności.

– Jak się bawicie!? – zapytał, krzycząc, wokalista.

Tlum zareagował głośnymi okrzykami, a próbując słowa muzyka. Mężczyzna przysłuchiwał się otoczeniu i pomyślał: „Dokładnie tak, jak przypuszczałem, wszystko składa się na to, by wykonywać w życiu rzeczy, które sprawiają nam radość. Nie liczą się pieniądze, kariera czy nawet sława. Nie trzeba być prawnikiem, informatykiem czy lekarzem. Należy wykonywać

wszystko to, co jest zgodne z samym sobą, i starać się robić tak, aby dążyć do najwyższych tytułów w tej dziedzinie. Człowiek jest zmarnowany wtedy, gdy jego życie nie jest codziennym zdumieniem”.

Pan Kowalski był zachwycony tym, co działo się dokoła niego. Czuł się jak dziecko, którym był jeszcze niedawno, jakby to on był po tej drugiej stronie. Wyobrażał sobie siebie na miejscu płaszących na scenie artystów i był przekonany, że jak wykona jeszcze trochę pracy, to w końcu ktoś go zauważy i wreszcie otworzą się przed nim bramy jego ukochanej muzyki. Nie będzie już patrzył jedynie z perspektywy słuchacza i przeciętnego niedzielnego grajka, lecz człowieka, który tę muzykę tworzy i która jest słuchana przez wielu: tysiące, a nawet miliony. Będzie mógł powiedzieć, że to on gra w tym kawałku z tej płyty, a jego nazwisko już na zawsze zapisze się w kanonie krajowej, a nawet światowej popkultury.

Po półtoragodzinnym występie dzień, który był do tej pory ponury przez krzyk szefa, wczesne wstawanie i zimną pogodę, stał się piękny. Mężczyzna, wracając z koncertu, nie myślał o tym, że za niedługo będzie musiał wstać po raz kolejny i jechać do tego samego zatłoczonego biura. Występ znowu wciągnął go do świata muzyki, magii i tańca, które tak uwielbiał. Był elementem odbicia się do kolejnej motywacji i ciągłego samodoskonalenia w branży. I mimo że był w średnim wieku, wrócił do mieszkania, wyciągnął z szafy instrument przykryty chustami i zaczął grać.

Pora na sen

Ciepłe poranne promienie słońca zaczęły wpadać przez wielkie okiennice dziecięcego pokoju. Jako młodzietki, dziesięcioletni chłopak nawet nie pomyślałem, żeby unieść powieki, błogi sen wręcz mi na to nie pozwalał. Jednak drzwi otworzyły się z hukiem, a do pokoju z wielką werwą wbiegła moja siostra Kasia.

– Mateusz, rusz się, dzisiaj ważny dzień! – krzyknęła i zaczęła nucić ulubioną piosenkę.

Był weekend, a dzisiejszy dzień miał nam przynieść niemałą atrakcję. Mieliśmy go spędzić na urodzinach u kolegi z równoległej klasy, syna słynnego Fryderyka Marsa, wokalisty zespołu King. Lekko już rozbudzony, usiadłem na skraju łóżka i zacząłem powoli wkładać spodnie, a następnie koszulkę.

– Berek! – rzuciłem niespodziewanie w kierunku siostry i klepnąłem ją w bark. Ile sił zacząłem biec po schodach w kierunku miłego zapachu jajeczniczy z boczkiem i świeżo upieczonego chleba.

– Przygotowałaś czarną sukienkę, Kasiu? – zapytała mama. – Mateusz, a ty wiesz może, gdzie znajdę twoją skórzaną kurtkę?! – Lekko zdenerwowana zadała kolejne pytanie.

Razem z siostrą szybko skończyliśmy śniadanie i skierowaliśmy się w stronę swoich pokoi w ramach przygotowań. Impreza urodzinowa miała odbyć się w stylu Halloween. Przebierałem się za śmierć, a Kasia – za gnijącą pannę młodą. Nie mogłem przekonać taty, aby ten zgodził się, żebym mógł zabrać jako rekwizyt do charakteryzacji ostry sierp z jego garażu. Oczywiście nie chciałem dać za wygraną i nie rozumiałem, gdy ojciec mówił: „sierp nie przyda ci się podczas zabawy, będziesz mógł się tylko skaleczyć”. Gdy rodzice z siostrą byli zajęci pakowaniem rzeczy do samochodu, ja niczym pełen

profesjonalizmu agent zero zero siedem czmychnąłem do garażu, wziąłem sierp i schowałem do plecaka.

– Dlaczego to zrobiliś? – pyta mnie starszy lekarz, a jego głos odbija się echem w mojej głowie. Siedziałem teraz przed nim w małym pokoju bez okien, już jako dwudziestosześcioletni mężczyzna, zadając sobie to samo pytanie. Podawali mi masę leków, benzodiazepiny działały na stany lękowe. Jednak moja otumaniona przez leki głowa nie była w stanie sobie przypomnieć, dlaczego podjąłem taką decyzję.

– Nie mogę sobie przypomnieć – odrzekłem.

Podjechaliśmy pod wielki dom na przedmieściach Gdańska. Od frontu wyglądał okazale: piękny marmurowy chodnik, wzorzyste zdobienia wokół okien i drzwi. Nie zdążyliśmy podejść do wejścia, a drzwi już były otwarte. Lokaj pana Fryderyka zaprowadził nas do jubilata. Kasia objęła go i zaczęła śpiewać „sto lat”. Niechętnie dołączyłem. Jakoś zawsze krępowała mnie ta sytuacja. Rodzice wyszli z jego tatą do ogrodu, bo tam trwała impreza dla dorosłych. Z kolei nas zaprowadzono do prywatnej sali zabaw. Była chyba lepsza niż ta, do której chodziliśmy z mamą. Pełna zabawek, gier i dziwnych zakamarków.

– Dobrze, Mateuszu, na dzisiaj starczy. Dziękuję ci, że chociaż starasz się z nami współpracować – powiedział lekarz.

– Panie doktorze, miałbym tylko jedną prośbę. Czy byłaby możliwość przepisania czegoś, co pozwoliłoby mi nie zasnąć? Proszę, on nie daje mi spokoju... – odrzekłem zrezygnowany.

– Do zobaczenia. Widzimy się za trzy dni – powiedział stanowczo lekarz.

Znowu założyli mi kaftan bezpieczeństwa. Pokonałem ciemne korytarze szpitala wieziony na wózku. Byłem spokojny. Nie można tego powiedzieć o reszcie pacjentów, którzy krzyczeli, stękali i uderzali rękoma w drzwi. Może była to ich ucieczka od problemów. Dotarłem do swojej strefy izolacji. Był to pokój sto trzystaście. To w nim nieprzerwanie od szesnastu lat prowadzę walkę sam nie wiem z kim, a może z czym. Leżałem już w łóżku, pielęgniarka cichutko, jakby na paluszkach, wyszła z pomieszczenia. Znowu zostałem sam – to najgorsze uczucie, którego muszę doświadczać

i przez które muszę przejść. Usłyszałem pukanie, podniosłem się i usiadłem na łóżku. Rozejrzałem się po pokoju, jednak nic nie zobaczyłem. Wstałem, żeby podejść do drzwi i zaglądnąć w judasza. Idąc, pod stopami nie czułem podłogi, jedynie zimną, otaczającą mnie pustkę. Zacząłem w nią spadać, co chwila odbijałem się, sam nie wiem od czego. Nagle go zobaczyłem! Uśmiechał się do mnie, dobrze wiedział, że jestem zależny wyłącznie od niego. Wszystko, co wydarzyło się w moim życiu, to jego plan. Z jego obrzydliwego, długiego do pasa języka ściekała krew. Jakby przyszedł do mnie prosto od swojej poprzedniej ofiary. Miotalem się na wszystkie strony, próbując uwolnić się z tej sytuacji. Krzychałem, ale nikt mnie nie słyszał. On przybliżał się coraz bardziej, wytrzeszczając ślepią w moją stronę. Zaczął mnie szarpać, a ja z całych sił spróbowałem go odepchnąć. Ku mojemu zaskoczeniu udało się. Uśmiech, który pojawił się na mojej twarzy, tak samo szybko z niej znikł.

– POMOCY, SZYBKO POMOCY!

Zobaczyłem leżącą pielęgniarkę, próbowała wstać. Chciałem jej pomóc, ale do pokoju wbiegli strażnicy, którzy mnie obezwładnili. Zostałem przypięty do łóżka pasami i teraz ja byłem jednym z krzykaczy. Jak to mogło się stać? Nie chciałem przecież jej zrobić krzywdy. Ton był moim celem. Ukartował to wszystko. Wiedział, że tak to się skończy. W tym momencie pielęgniarka wbiła mi ogromną igłę w szyję. W końcu zasnąłem. Nie jestem w stanie powiedzieć, ile czasu trwał mój sen. Czas w takim miejscu płynie szybko i wolno jednocześnie. Raz mi się wydaje, że siedzę w pokoju sam od kilku dni, a czasami czuję się co chwilę wyrwany na badania. Kończyłem właśnie obiad, obrzydliwą warzywną papkę. Drzwi mojej sali otworzyły się.

– Wstań! Wstawaj! – krzyknął strażnik.

Od momentu ostatniego incydentu pielęgniarki same do mnie nie przychodziły. Zawsze obok stał choć jeden strażnik. Oznajmiono mi, że doktor wzywa mnie na wizytę. Ogarnęła mnie lekka frustracja, czy przypomnę sobie dalszą część feralnego dnia. Liczyłem na to, że tak. Według lekarza było to kluczowe w dalszym leczeniu. Wszedłem do gabinetu. Lekarz miał wyjątkowo dobry humor. Usiadłem na fotelu i zaczęliśmy rozmowę.

– Wiesz, że jeśli ostatnia sytuacja się powtórzy, będziemy musieli przenieść cię na oddział o zaostrzonym rygorze? Zdasz sobie sprawę z powagi sytuacji? – oznajmił mi doktor.

Rozumiałem go, jednak nie mogłem skupić się na tym, co mówi. Gapiłem się na obraz nad jego głową. Poczulem przerażenie i fascynację. Nie wiedziałem tylko dlaczego. Na obrazie stała ogromna czerwona stodoła, z czerwonym dachem i białymi okiennicami. Obok był mały drewniany domek, a z komina unosił się dym. Wyobraziłem sobie, że starsza osoba robi ciepłe pączki, pełne marmolady. Miałem wrażenie, że już widziałem to miejsce.

– Skąd pan ma ten obraz? – zapytałem.

– Kupiłem w galerii handlowej. Dlaczego pytasz?

– To jest jakiś medyczny trik? Ma wpływać na emocje pacjentów? – zastanawiałem się.

– To najzwyczajniejszy obraz. Chciałem, żeby pasował do gabinetu.

– Dlaczego stodoła ma uchylone drzwi!? Zaprasza mnie do środka, ktoś tam na mnie czeka? – Denerwowałem się.

Doktor próbował mnie uspokajać, ale bezskutecznie. Nie wiedziałem, skąd biorą się te emocje. Kolejna wizyta zakończona niepowodzeniem. Kolejny raz wracam do samotni, nie dowiedziawszy się niczego o samym sobie. Lekarz kazał pielęgniarce podać mi leki nasenne, podobno dla mojego dobra. Tylko czy ja chcę spać? Czeka mnie kolejne spotkanie z oprawcą. Czuję, że leki powoli zaczynają działać, czuję się spokojny, ale wiem, że jeszcze chwila i zostanę przeniesiony w swój odrealniony, a może jak najbardziej rzeczywisty świat. Widzę stodołę, którą zobaczyłem w gabinecie lekarza, drzwi tak samo jak tam są uchylone. Czy to jakiś podstęp? Postanowiłem wejść do środka. Było bardzo ciemno. Musiałem otworzyć wrota stodoły na całą szerokość, aby światło słoneczne mogło wpaść do środka. Ujrzałem leżącą na ziemi tabliczkę. Podeszedłem bliżej, żeby spojrzeć dokładniej. Była to drewniana tabliczka z numerami i alfabetem. Wyglądała mrocznie. Przypomniałem sobie, że już widziałem kiedyś coś takiego. Nie pamiętam tylko kiedy. Wydaje mi się, że to była jakaś gra. Możliwe, że grałem w nią z siostrą. Zacząłem rozglądać się dookoła. Momentami przed oczami pojawiały mi się obrazy stodoły, obrazy

pełne krwi, a wokół biegały roztrzęsione dzieci. Co tu się dzieje? Byłem bardzo niepewny tego, co widzę, zdębiałem. Niepostrzeżenie stodoła zniknęła. Znalazłem się w swoim dziecięcym pokoju. Dookoła na przemian można było usłyszeć ponury śmiech i lament. Chowałem się pod koldrą jak małe dziecko. Obrzydliwie się bałem, bo dźwięki co chwilę wybrzmiewały intensywniej. Już były za ścianą mojego pokoju, miały właśnie przekraczać próg. Wtem się obudziłem. To był czas porannych obchodów lekarzy, jedzenia śniadania i przyjmowania leków. Cieszyłem się, że znowu otumanią mnie na resztę dnia.

Kilka następnych dni i tygodni było spokojnych. Koszmary mi nie doskwierały, a demon, który odwiedzał mnie w snach, mówił do mnie, żebym się przyznał do tego, co zrobiłem. Mówił, że mam współpracować z lekarzem, a jeśli zechcę, to on mi pomoże stąd wyjść. Ostatnia z wypowiedzi mnie bardzo zaciekawiła. Czekałem, aż przyjdzie do mnie znowu. Postanowiłem spróbować z nim porozmawiać, zaryzykować. Minęło trochę czasu, zanim pojawiły się ponowne urojenia związane z obecnością demona. Leki przepisane przez doktora działały wyśmienicie.

Pewnego zimowego wieczoru dowiedziałem się od pielęgniarki, że spadło półtora metra śniegu. Miasto zostało sparaliżowane, ale to nie jest ważne. Leżałem jak zwykle zwrócony do ściany, gapiąc się w stary, obłupujący się beton. Poczulem wokół siebie zbierające się ciepłe powietrze, w głowie czułem pulsowanie, a z bólu nie słyszałem swoich myśli. Na ścianie zobaczyłem swoje odbicie.

– Pomóż mi, powiedziałeś, że mi pomożesz – ledwo wydukałem.

– Co chcesz, żebym dla ciebie zrobił? – odezwał się.

Teraz rozmawiałem z własnym odbiciem. Czułem się jak w obłędzie.

– Wyciągnij mnie stąd, potrafisz? Co mam dla ciebie zrobić?

– Wszystko, co mogłeś, już dla mnie uczyniłeś. Jestem do twoich usług – odpowiedział. – Pójdiesz do doktora. Przyznasz się do zabicia swojej siostry. Zrzucisz winę na dzieci. Powiesz, że podjudzały cię do tego czynu. Nie kontrolowałeś się.

– Ale ja tego nie zrobiłem! Nie mogę tak powiedzieć...!

– Musisz, to jedyne wyjście – powiedział i zniknął.

Jestem roztrzęsiony. Czy to naprawdę jedyne rozwiązanie?

Wróciła mi świadomość. Zlany potem zastanawiałem się nad sensem naszej rozmowy. Czy on ze mną pogrywa? Czekala mnie kolejna wizyta u doktora. Nie miałem pojęcia, co mu powiem. Szczerze, nie chciałem mu nic mówić. Na wózku zostałem przywieziony do gabinetu lekarza. Moje ręce zostały oswobodzone. Mogłem wygodnie usiąść.

– Przypomniałeś coś sobie? – powiedział lekarz.

– Tak! Już opowiadam...

Gramy z siostrą w pinballa. To taka gra, w której odbija się łapkami metalową kulkę na planszy pełnej przeszkód. Byłem mistrzem, biłem rekordy na każdej maszynie. Każdy z kolegów zazdrościł mi refleksu. Wokół biegały bawiące się dzieci. Zabawa zapowiadała się znakomicie. Kuba, bo tak miał na imię solenizant, zwołał niektóre dzieci do siebie, między innymi mnie i Kasię. Zaczął mówić, że zaraz przyjdzie jego starszy brat, który przygotował dla nas niesamowitą grę. Musieliśmy tylko znaleźć miejsce, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał. Padło na starą stodołę, która stała w okolicy domu Kuby. Podobno przeprowadzili się tu niedawno i jego tata nie zdążył jej jeszcze wyburzyć. Zabraliśmy świeczki i weszliśmy do środka. Usiedliśmy w kręgu i zapaliliśmy świece. Zrobiła się atmosfera jak z horroru. W przebraniach wyglądaliśmy przerażająco. W oczekiwaniu na brata Kasia zaczęła opowiadać straszną historię, gdy zjawił się brat Kuby.

– Nie boicie się? – zapytał.

Chórem odpowiedzieliśmy, że nie. Myślę, że w tym momencie żadne z nas nawet by się nie przyznało. Wyciągnął coś z plecaka i położył przed nami, była to jakaś tabliczka z alfabetem. Chyba ta sama, którą widziałem w swoim śnie.

– To tablica Ouija – powiedział.

Zastanawiałem się, co to jest. Pierwszy raz o czymś takim usłyszałem.

– Tym się wywołuje duchy! – krzyknął jeden z kolegów.

– Duchy? Przecież to jakaś ściema – powiedziała Kasia.

Wpatrywaliśmy się w Szymona, brata Kuby, który zaczął mówić:

– Uspokójcie się. Jest kilka zasad, które musicie znać przed rozpoczęciem gry. Do rozgrywki trzeba podejść z szacunkiem i powagą. Wokół nas aktu-

alnie przebywa wiele dusz zmarłych. Jeśli ktoś nie czuje się pewnie lub ma zamiar zadawać pytania, to proszę wyjść – powiedział.

– Wychodzimy, Kasia? – zapytałem. Byłem przerażony, czułem, że nie chcę w to grać.

– Masz cykora? Zostajemy! – wyśmiała mnie.

Szymon wyciągnął z kieszeni wskaźnik i położył na środku planszy.

– Niech każdy położy palec na planszecie. Będziemy po kolei zadawać pytania – powiedział.

Oczywiście pierwsze pytanie należało do solenizanta.

– Czy ktoś tu z nami jest? – wyszeptał Kuba

Wskaźnik się poruszył, przeleciał przez kilka liter i wskazał „TAK”. Wśród innych zobaczyłem poruszenie. Nikt się nie spodziewał, że to zadziała. Kasia była bardzo zdziwiona, wyraz jej twarzy wskazywał, że nie dowierza temu, co widzi i słyszy.

– Kim jesteś? – spytał Szymon.

Nasze palce znowu błędziły po tablicy, teraz byłem przerażony. Duch napisał „MORDERCA”.

– To ty pewnie przesuwasz ten wskaźnik, Szymon... – powiedziała Kasia.

– Teraz twoja kolej. – Spojrzał na nią spod byka.

– Czy chcesz zabić kogoś z nas? – zapytała.

Planszeta znowu się poruszyła. Zniecierpliwieni czekaliśmy na to, co chce nam przekazać duch. Po chwili wskaźnik na tablicy pokazał „TAK”.

Nie chciałem już w to grać, patrząc po minach innych uczestników, zwłaszcza Kubę. Stwierdziłem, że oni też stracili ochotę. Solenizant jasno dał do zrozumienia, że nie chce się już bawić. W odpowiedzi usłyszał, że zadamy ostatecznie pytanie. Teraz miała być moja kolej. Pomyślałem, że muszę zapytać.

– Kogo? – zadałem pytanie.

Wskaźnik zaczął się poruszać. To była ostatnia rzecz, którą zapamiętałem.

– Przepraszam, panie doktorze, ale nie pamiętam, co było dalej.

– Jesteśmy już przy samym końcu, cieszę się. W końcu robimy postępy. Wierzę, że na kolejnej wizycie będziesz pamiętał już wszystko – zakończył.

Z ulgą wróciłem do pokoju. Mętnik w głowie nie dawał mi spokoju. Wiem, że moja siostra Kasia nie żyje. Ale nie mogłem tego zrobić, nie mogłam jej zabić, to jest niemożliwe... To na pewno był jakiś wypadek, przecież to moja siostra... Miałem tylko dziesięć lat. Kochałem ją.

Pielęgniarka przysłała podać codzienną dawkę leków. Zaczekała, aż pokłonałem, i wyszła. Nadszedł wieczór. Poczulem się senny. Leki działały. Ogarnęło mnie uczucie błogości. Zamknąłem oczy. We śnie przeniosłem się do gabinetu lekarza. Ktoś siedział na jego fotelu, jednak nie był to doktor. Pokój wyglądał tak jak zawsze – poza jednym szczegółem. Na biurku leżał sierp. Wyglądał jak ten, który zabrałem z garażu ojca. Fotel naprzeciwko mnie się obrócił, a ja zobaczyłem demona. Znowu grał ze mną w swoje gierki, chwycił sierp i przyłożył mi do szyi.

– Przyznaj się w końcu, co zrobiłeś! Ile jeszcze będziesz z tym zwlekał? – wykrzyczał przeraźliwie. – Na kolejnej wizycie powiesz mu wszystko, całą prawdę! Tylko tak będziesz mógł stąd wyjść! – dodał.

Chwycił mnie za koszulkę i rzucił o ścianę. Zrobił to kolejny raz. Odczuwałem ból, jakby działo się to naprawdę. Obudziłem się otumaniony, zastanawiając się, co jest prawdą, a co fikcją. Przypomniała mi się moja siostra. Piękna szatynka z zielonymi oczami. Zawsze pełna uśmiechu i skora do zabawy. Uwielbialiśmy się. Byłem jej najlepszym przyjacielem, a ona moją przyjaciółką. Jeśli coś robiliśmy, to zawsze razem. Mama i tata myśleli, że jesteśmy nierozłączni. Zostałem wyrwany z nostalgii przez dwóch strażników trzymających kaftan bezpieczeństwa. Znowu ciągną mnie do lekarza. W trakcie drogi do gabinetu zastanawiałem się nad słowami demona. Może to czas, żeby wejść w jego plan. Przed samym wejściem wiedziałem już, co zrobić.

– Pana obraz bardzo mi pomógł, wszystko sobie przypomniałem – zacząłem pospiesznie mówić.

– Więc opowiadaj. Poukładajmy tę historię do końca – odrzekł.

– Zapytałem ducha, kogo chce zabić. Wskaźnik zaczął przesuwac się po tablicy i kolejno wskazywać litery. Było to imię Kasia. Gracze spojrzeli na siebie, na mnie i na moją siostrę. Wszyscy byliśmy przerażeni. Nikt nie wiedział, czy to głupie żarty Szymona, czy wśród nas rzeczywiście jest duch. Brat

Kuby powiedział, że koniec żartów. Kończymy grę. Przesunęliśmy planszetę na pole zakończ i głośno wypowiedzieliśmy to słowo. Rozgrywka została zakończona. Przerażeni wstaliśmy, by wrócić do sali zabaw. Podniosłem się z kręgu jako ostatni. Cała grupa była już przede mną. Kasia została w tyle, żeby na mnie poczekać. Poczulem, jakby coś we mnie wstąpiło. Wściekłem się, że gra skończyła się w taki sposób. Dlaczego Kasia?

Sięgnąłem ręką do plecaka i wyciągnąłem sierp. Zamachnąłem się w stronę siostry, a srebrne ostrze przebiło jej pierś. Spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem, ale nie była w stanie wypowiedzieć żadnego słowa. Pociągnąłem broń do siebie, a krew z jej piersi zaczęła tryskać na wszystkie strony. Reszta grupy zaczęła biec w naszą stronę, by pomóc Kasi. Przyłożyłem sierp do jej szyi i z impetem przejechałem po tchawicy. Siostra nie miała możliwości, by przeżyć. Szymon rzucił się na mnie, a ja straciłem przytomność. Obudziłem się w szpitalu, nic nie pamiętając.

– Mateuszu, jest to dla nas wielki krok, duży przełom w sprawie. W ostatnim czasie poczyniliśmy większe postępy niż przez cały okres twojego pobytu w szpitalu – powiedział lekarz. – Dzięki tobie będziemy mogli wdrożyć dalszy plan naszego leczenia. Nie poddawaj się – dodał.

Podziękowałem mu, a strażnicy zabrali mnie do mojej sali. Byłem w rozszypce. Czy rzeczywiście to się wydarzyło? Przecież powiedział mi o tym demon i na pewno to sobie wymyślił. Czekałem, żeby przyjąć wieczorną porcję leków. Głowa nie dawała mi spokoju. Wziąłem wszystko, co podała pielęgniarka, bez żadnego namysłu. Położyłem się i zamknąłem oczy.

We śnie ujrzałem obraz stodoły. Serce zaczęło mi bić mocniej. Drzwi były uchylone, ale ja nie chciałem tam wchodzić. Wiedziałem, co czeka na mnie w środku. Wszedłem, poczułem chłód, który przenikał mnie do szpiku kości. Usłyszałem głos, z początku nie rozumiałem, co mówi. Po chwili usłyszałem słowa: „Zrobiłeś to, nie możesz się tego wyprzeć. Jesteś odpowiedzialny za jej śmierć. Wiesz, co się stało”. Poczulem, jak wszystko w moim wnętrzu się kurczy – ból, strach, poczucie winy. Oparłem się o zimną ścianę stodoły, ale w tym momencie drzwi zamknęły się z hukiem. Zostałem w ciemności, zupełnie sam.

Gdy otworzyłem oczy, poczułem, że znowu jestem w swoim szpitalnym łóżku. Czułem, jak puls bije mi w skroniach, a w głowie ciągle brzmiały słowa, które usłyszałem. Na moment myślałem, że to tylko sen, że to tylko kolejny koszmar. Ale kiedy spojrzałem na pielęgniarkę, jej twarz zbladła. W jej oczach dostrzegłem coś, czego nie mogłem zrozumieć.

– Mateusz... – Zaczęła mówić, ale nie dokończyła. Wtedy do pokoju wszedł lekarz, patrząc na mnie tym samym spokojnym, bezwzględny wzrokiem.

– Jestem tu, żeby pomóc przywołać fakty – powiedział. – Ale wiesz, że kiedy to zrobisz, nie będzie już odwrotu – dodał.

Patrzyłem na niego, a w moim umyśle pojawiła się jedna myśl, która nie dawała mi spokoju. Jeśli uda mi się przypomnieć, co się stało, czy wtedy naprawdę uwolnię się od tej ciemności, czy tylko stanie się ona moim nieodwracalnym losem?

Zrozumiałem w tym momencie, że moja walka nie toczy się tylko w szpitalu, ale w mojej głowie: między tym, co pamiętam, a tym, czego nie chcę pamiętać.

Czy po tych wszystkich latach, kiedy prawda o mojej przeszłości zostanie ujawniona, będę w stanie żyć z tą wiedzą?

Kobaltowa kula

Wyobraźmy sobie surrealistyczny krajobraz, niczym scena w teatrze, na której rekwizyty tańczą między snem a koszmarem. Gdzie przestrzeń świeci czernią, a cień promienieje, kwiaty i drzewa zdają się wyrastać z płótna i farby, a pagórki z puchatego dywanu o kolorze dorodnych szparagów. Słońce zdaje się świecić z kilku stron naraz, a i chmury mimo bycia wszechobecnymi nie zasłaniają nieba o kolorze i smaku przypalonej pomarańczy.

Ten świat, choć całkowicie nieprawdziwy, stanowił dla Lydii więzienie. Każdej nocy zamykała oczy, a gdy je otwierała, znajdowała się dokładnie w tym miejscu, otoczona trzema rzekami, jedną z miodem, jedną z wodą i jedną ze świeżym owczym mlekiem, którego szczerze nienawidziła.

Lydia ponownie czekała na koniec, siedząc na jednym z pagórków, kiedy ziemia zaczęła drżeć. Najpierw tylko lekko, niemal niezauważalnie. Potem – silniej. Cały krajobraz wokół niej zdawał się pękać i rozchodzić na kawałki. Nad horyzontem rozległ się głuchy huk. Przypalony pomarańcz nieba rozstąpił się, jakby rozpruty przez coś monstrualnego.

Maszt. Gigantyczny maszt wylaniał się z głębi rzeki – przerazający, nie-naturalnie wysoki. Ziemia eksplodowała, a konstrukcja wyrwała się, rozrywając wszystko na swojej drodze. Lydia głucho krzyknęła, gdy ziemia pod jej stopami osunęła się, wciągając ją w otchłań.

Przez kilka długich chwil spadała, aż czyjaś ręka chwyciła ją za ramię i pociągnęła na pokład chwiejącego się, zgrzytającego statku.

– Lord Borys, do usług! – Usłyszała dźwięczny głos i zanim zdołała złapać równowagę, zobaczyła przed sobą postać w zdobnym niebieskim płaszczu i z majestatycznym siwym wąsem, stojącą na pokładzie tego szalonego, krzyżującego w mroku statku.

– Miło poznać – wymamrotała, rozglądając się w panice.

Z każdym kolejnym obiciem statku o grunt jej ciało osuwało się w kierunku przeciwnym do poprzedniego, jej kruczoczarne włosy haczyły o kolejne i kolejne wystające gwoździe, a nogi spinały się, jakby miały zaraz odpaść. Łapiąc się jednej z belek, udało jej się zatrzymać, choć mogła przysiąc, że jeszcze moment wcześniej pokład był całkowicie pusty. Przed twarzą przeleciało jej krzyżące kobaltowe światelko, które instynktownie chwyciła.

– Uciszyć się już! – wyszczała, a to dziwne, stosunkowo ciepłe światelko w końcu przestało wydawać ten nieprawdopodobnie ludzki dźwięk.

Wszystko umilkło.

Po chwili odważyła się rozejrzeć. Statek unosił się na gładkiej, niemal lustrzanej wodzie, a krajobraz wokół nich całkowicie się zmienił. Odsłonił się przed nią spokojny, rozległy horyzont, na którym rozciągały się pola i wzgórza, pokryte miękkim, złotym blaskiem słońca, które już nie zdawało się płonąć zewsząd, lecz łagodnie oświetlało ich drogę. Chmury ustąpiły miejsca przejrzystemu niebu, delikatnie przesyconemu różem i bursztynem, niczym poranek, za którym tak tęskniła. Statek płynął bezszelestnie, sunąc między lekkimi falami, które delikatnie marszczyły taflę wody.

– Proszę wybaczyć bezpośredniość, szanowna pani, lecz czy mógłbym prosić o zwrot tej niebieskiej kulki? – odezwał się Lord Borys, który opierał się nonszalancko o balustradę. Spojrzał na nią z krzywym uśmiechem, unosząc podkreślony wąs, jakby nic się nie stało. – Tej no, co tak wrzeszczy wniebogłosy, ma pani ją uwięzioną i... w ogóle!

Lydia spojrzała na „kulę”, którą wciąż ścisnęła w dłoni, niemal zapominając o jej istnieniu w całym tym zamieszaniu. Kulka kobaltowego światła pulsowała cicho, jakby też chwilowo zmęczona.

– Ah... to... – zaczęła, patrząc z lekkim zmieszaniem to na dziwny „obiekt”, to na Lorda Borysa. – Przepraszam, nie zamierzałam... to chyba przez ten hałas. – Wręczyła mu ją niepewnie.

Lord Borys ujął kobaltowe światło w dwa palce, przyglądając mu się z szelmowskim uśmiechem.

– Ach, to nic, droga pani – odparł z uśmiechem, który mógłby sugerować zarówno pobłażliwość, jak i czystą rozbawioną ironię. – Nasza mała „duszycka” jest dość krzykliwa, ale... niektóre światła po prostu takie są.

Lydia zerknęła na pulsującą kulkę, która zdawała się rozjaśniać i gasnąć niczym żyjąca i oddychająca istota.

– Czym... to właściwie jest? Znaczy, to naprawdę jest... dusza? – spytała nieco śmieiej.

– Dusza w rzeczy samej, a i zagubiona, że hej! Błądzimy już tak z pięć cykli, szukając jej grobu.

Lord Borys przechylił się do przodu, patrząc na kulkę, która pulsowała teraz trochę słabiej.

– Pięć cykli? – powtórzyła Lydia, próbując nadać swojemu pytaniu lekki, luźny ton, choć każda jej komórka mózgowa zdawała się przepalać coraz bardziej z każdym usłyszonym zdaniem.

– Owszem, pięć. Zresztą cykle to najlepszy sposób, by to jakoś zmierzyć. – Westchnął mężczyzna, wzruszając ramionami. – Mamy tu na pokładzie zagubione dusze, które wciąż szukają swojego miejsca spoczynku. Jedne wrzeszczą, inne lamentują, ale nasza mała kobaltowa znajdka... no cóż, ona najgłośniej nie umie zamilknąć.

Lydia spojrzała na statek, czując, jak cały ten niezwykle, spokojny krajobraz wokół niej nabierał posmaku dziwnego, choć niepokojąco znajomego smutku. Coś w powietrzu mówiło jej, że to miejsce było przejściem – tajemniczym, surrealistycznym tunelem między światami.

– Szukacie jej grobu? – zapytała cicho, a Lord Borys zerknął na nią spod byka, znów z tym błyskiem w oku, jakby oceniając, czy warto jej powiedzieć więcej.

– Tak, moja droga, dokładnie tak. Zagubione dusze nie mają spokoju, a więc i nam go nie dają. To tak jakby dzień w dzień umierały z głodu i pragnienia. Nie jest łatwo odnaleźć grób, a już w tym wymiarze? – Lord Borys teatralnie wzruszył ramionami. – Prawdziwa droga przez mękę.

– Powodzenia – westchnęła Lydia i odwróciła się na pięcie, gdy nagle coś mocno uderzyło ją w głowę. – Auć!

– Oj, oj! Chyba musi już szanowna pani iść z nami. Wybrała panią!

– Brednie! Nic nie muszę, będę czekać do rana jak zawsze i tyle mnie widzieliście! – Zmarszczyła brwi i już miała odejść, kiedy deski pod nią zaczęły pękać.

Kobaltowa kulka znów zaczęła krzyżeć i wrzeszczeć, i... płakać? Lydia z trudem łapała równowagę. Statek powoli zmieniał się pod jej stopami, jego zrujnowany pokład porastał soczystym, miękkim mchem, z którego w cieniu wylaniały się dziwne, wijące się korzenie i lśniące jagody, emitujące błądy, srebrzysty blask. Wokół nich wyrastały wysokie drzewa o skręconych konarach, splatając się na wysokości i tworząc nad nimi baldachim z cienkich, miękko połyskujących liści.

Otaczał ich teraz gęsty, wilgotny las, w którym każda gałąź zdawała się tętnić dziwną, wewnętrzną energią, ożywiającą w miarowych pulsach. Światło przenikające przez liście przybrało odcień głębokiej purpury i szafiru, odbijając się w małych oczkach rozrzuconych pośród mchów i czarnych kwiatów, które delikatnie kołysały się, jakby kłaniając się przed nimi.

– No to co? Idziemy, czyż nie? – zwrócił się do niej finalnie Lord Borys, wskazując szlak, na którego końcu majaczyły błękitne światła unoszące się nad ziemią niczym mikroskopijne gwiazdy. Chwycił swoją szablę i uciał coś na wzór gałęzi. – Przyda się na podpalkę, nasza duszyczka sama nie trafi przecież do swojego domku!

– Nie są zbyt bystre, co? – wyszeptwała, drżącą ręką sięgając po jedną z jagód.

Wnet czarna chmura wyparowała z za drzewa z przeraźliwym sykiem.

– Intruz! Kolejny intruz! Zachciało się fajerować? – zawyla istota.

– Cóż to za fanaberie! Fajfusie, przestań fandzolić! – wyjąkał Lord Borys.

– Co to za dialekt? – spytała w końcu Lydia, drapiąc się po głowie.

– Jaki, jaki, przecież widać, że Fajfusowy! – wykrzyczał mężczyzna, sięgając po szablę. – Tylko Fajfusy się nim posługują. Wredne bestie... znają nasze najskrytsze sekrety!

Wnet Fajfus przybliżył się, a z czerni jego postaci wydobyło się nieprzyjemne buczenie.

– Lydka, Lydka... twe więzienie... dla Fajfusa oczu lśnienie! – zawył.

– Nie... nie rozumiem.

– Nie są zbyt inteligentne. – Wzruszył ramionami Lord Borys. – Nie ma co tracić czasu, grób powinien być niedaleko!

A więc ruszyli, zdawałoby się, że mijali wciąż tę samą sosnę, lecz mężczyzna uparł się, że jest to jedyna dobra droga i to nie tak, że zabłądzili, tylko to wszystko wina Fajfusów.

– Lydka, Lydka! Grobu szuka, a jak siostra zmarła...

– Zamknij się! – krzyknęła, zapewne próbując brzmieć pewnie, choć kolana miała jak z waty. Czuła, jak jej palce kurczowo zaciskają się na pobliskiej jagodzie, którą zerwała z rosnącego nieopodal drzewa.

– To uśmiech od ucha do ucha – wyszeptwała istota.

Lydia patrzyła na wijącą się czarną postać, która zdawała się rosnąć z każdą sekundą. Powietrze wokół stało się ciężkie i puste. Czerni Fajfusa przypominała smołę, błyszczącą i nieustanną w ruchu, a z otchłani jego sylwetki wylaniał się pusty, prześmiewczy szeroki uśmiech.

– Co? O czym ty...? – Zaczęła, ale w tej samej chwili Fajfus uniósł się, rozciągając swoje nieludzkie trzy ramiona w stronę dziewczyny. Z jego ust dobył się kolejny syk, tym razem przechodzący w przeciągły, szyderczy śmiech.

Nagle kobaltowa kulka, którą wcześniej oddała Lordowi Borysowi, wyrywała się z jego dłoni i wzbija w powietrze. Jej pulsujące światło zmieniło barwę – najpierw przybrało głębszy odcień błękitu, potem zaczęło czerwienić, aż w końcu eksplodowało jasnym szkarłatem. Kulka rozpadła się w powietrzu, a jej fragmenty zawirowały wokół Lydii, która poczuła, jak coś uderza ją w pierś.

– Lydka, Lydka... Na znicz żałuje, niech cię siostra pokatuje! – ryknął Fajfus, teraz niemal nad nią. Jego ramiona rozciągnęły się tak, że zdawały się otaczać ją z każdej strony.

Ból w piersi narastał, a Lydia instynktownie złapała się za miejsce, w które trafił świetlisty odłamek. Spojrzała na swoją dłoń i zobaczyła, że trzyma teraz szkarłatny kryształ, pulsujący jak serce. Jego ciepło przenikało przez jej skórę,

ale wraz z nim pojawiło się coś jeszcze – przeraźliwe uczucie żalu, smutku i winy, które uderzyło w nią niczym fala.

Zanim Lydia mogła zareagować, Fajfus rzucił się na nią. Jego otchłań pochłonęła wszystko – światło, dźwięk, nawet zapach otaczającego ich lasu. Dziewczyna poczuła, jak ziemia osuwa się pod jej stopami. W jej uszach brzmiały krzyki, których nie mogła zidentyfikować.

Lekko rozwarła oczy, próbując złapać oddech, ale coś ją przygniatało. Czula ciężar – nieruchomy, solidny, nieco przytłaczający. Jej ciało było obezwładnione, a w nozdrza uderzył ją znajomy zapach – ciepła sierść i delikatna woń mokrego psa.

– Borys... – wymamrotała niemal bezwiednie, kiedy zwierzę poruszyło się leniwie i zsunęło z jej nóg.

– Nie chciał dać spokoju, musiałem go wpuścić. – Męski, głęboki głos wyrwał ją z zadumy. – Isla nie chciałaby, żebyś się tak dołowała.

– Co ty możesz wiedzieć? Nie było cię tam.

– Obie jesteście moimi córkami, oczywiście, że to wiem.

– Jesteście? – syknęła, a mężczyzna tylko westchnął, powoli opuszczając pokój. – Dla ciebie to tak jakby nic się nie zmieniło! Nie widzisz tego? Jej już nie ma, zapomniałeś już, jak ją wyciągali z dna tego jeziora?!

Usłyszała tylko zamknięcie drzwi i cicho załkała. Ironiczny uśmiech pojawił się na jej twarzy, kiedy w końcu zrozumiała, dlaczego Borys był mokry.

– On myśli inaczej niż ja – wyszeptała psu w ucho. – Tacy jak on sądzą, że można tuszować przemijanie. Sądzą, że to jak zaszpachlowanie pęknięcia w ścianie, wymiana wadliwej żarówki, czyszczenie zabrudzonych podłóg... Jakie to ma znaczenie? Ściana i tak pęknie, żarówka znów będzie gasnąć, a podłogi i tak będą brudne.

Lydia wzięła głęboki oddech, oswajając się z ciszą, która zdawała się teraz pulsować w rytm jej myśli. Sięgnęła po znicz kurzący się od tygodni na parapecie, jego szklane ścianki lśniły delikatnie w mdłym świetle wpadającym przez okno. Zatrzymała się na moment, powolnie przymykając oczy, jakby ten prosty gest wymagał od niej nadludzkiego wysiłku.

– Nie jestem wariatką, po prostu gadam z psem i nie wychodzę z domu od miesiąca – wymamrotała, próbując zdjąć z siebie wyżej wymienionego.

Wzięła Borysa na smycz i razem wyruszyli na pobliski cmentarz. Płyta była pełniejsza, niż pamiętała, zdobiona stosem różnych kolorowych zniczy i przynajmniej trzech bukietów goździków, które lekko wychylały się spod warstwy śniegu. Wyciągnęła spod ławeczki zapalniczkę i odpaliła swój pierwszy znicz.

Świat jest dziwnie cichy i jednocześnie za głośny, kiedy naprawdę zrozumiesz, że kogoś już nie ma. To nie ten rodzaj ciszy, który koi. To cisza pełna wszystkiego, czego nigdy już nie usłyszysz, i hałas pełny pustki. Brak dźwięku kroków, szelestu oddechu, śmiechu – tego najgłośniejszego rodzaju milczenia, które dusi cię od środka.

Nie da się wierzyć w życie po śmierci. Nie da się wierzyć w anioły, w duchy, w teorie o tym, że gdzieś tam jest lepiej. Nie ma „gdzieś tam”. Jest tylko „tu”. I kiedy „tu” się kończy, wszystko kończy się razem z nim.

Żaloba to nie jest coś, co możesz udźwignąć, tak jak dźwigasz siatki z zakupami – coś ciężkiego, ale wykonalnego. Ten stan nie ma formy. Nie da się go uchwycić, nie da się go zrozumieć, dopóki się go nie doświadczy. To coś płynnego, rozlewa się w człowieku, aż nie zostaje miejsce na nic innego. Zalewa cię jak morze, którego nie sposób osuszyć. I na koniec dnia każdy żałuje inaczej. Czemu wszystko musi się zmieniać?

Głęboki wdech

*Dla tych, którzy wciąż walczą ze swoimi cieniami,
w nadziei, że pewnego dnia odnajdą światło.*

Przyspieszone tętno. Szybki i płytki oddech. Niepokój. Gorąc.

– Siedem... – Wdech. – Osiem... – Wydech.

Przyjaciółka. Korytarz. Uczelnia.

– Dziewięć... – Wdech. – Dziesięć... – Wydech.

Powrót. Głęboki wdech. Niepokój.

– Nina? – Blondynka dotknęła mojego ramienia. – Słyszysz mnie?

– Ja... tak, tak. – Staralam się zabrzmieć najpewniej, jak potrafiłam.

W środku jednak palił mnie wstyd. – To nic takiego.

Rozejrzałam się dookoła. Stałyśmy pod drzwiami sali, z której chwilę temu wybiegłam.

– Jesteś pewna? – Nie uwierzyła. – Zmartwiłaś mnie.

– Tak. – Uczucie wstydu paliło jeszcze mocniej, poczułam je na policzkach.

– Tylko tyle mi powiesz? – Dziewczyna przeczesала dłońmi swoje ciemne długie włosy. – Proszę, daj mi pomóc.

Do oczu napłynęły mi łzy, serce przyspieszyło. Jak ja mam jej to wytłumaczyć? Było mi tak okropnie wstyd. Przed nią i przed wszystkimi, którzy siedzieli na sali.

– Jest okej – wydusiłam i obróciłam się na pięcie.

Szłam w stronę drzwi, słyszałam, jak Łucja krzyczy, żebym się wróciła. Nie zrobiłam tego. Po prostu wyszłam, nie oglądając się za siebie.

Na dworze panował chłód. Wiatr wiał mi prosto w twarz mokrą od łez. Otarłam ją szybko i udałam się na autobus do domu. Nie mogę się doczekać,

aż tam wrócę, w końcu będę mogła się zamknąć i wyprzeć to wszystko z pamięci. Przynajmniej spróbować.

Droga do domu minęła szybko, skupiając się na tym, do którego autobusu muszę wsiąść, zapomniałam na chwilę o tym okropnym zdarzeniu. Łucja oczywiście bombardowała mnie SMS-ami. Źle ją potraktowałam i zdawałam sobie z tego sprawę. Tak jednak jest mi łatwiej. Czy to egoistyczne? Tak. Ale inaczej nie potrafię, nie radzę sobie z tym. Powiedzenie jej jest za dużym wyzwaniem.

W domu zastałam mamę siedzącą na jej ulubionym fotelu. Było przyjemnie ciepło, paliło się w kominku, paląca się na stoliku świeczka pachniała na cały salon.

– Cześć, kwiatuszku – przywitała się mama.

– Hej. – Usiadłam naprzeciwko niej. – Co haftujesz?

Mama kupowała sobie obręcze i wyszywała na nich wzory. Wyszyte, zdobyły nasze pokoje albo były podarkami dla bliskich.

– To albatros. – Mama odwróciła obręcz w moją stronę. – Już kończę, zostały tylko skrzydła.

– Piękny...

Zapatrzyłam się w czarną nić przechodzącą przez materiał, w tle słyszałam strzelające w kominku drewno. Przymknęłam na chwilę oczy i westchnęłam. Jak ciężko było udawać...

Zaszyłam się w swoim pokoju, w końcu mogłam odetchnąć. Związałam blond włosy w kok na czubku głowy i spojrzałam w swoje odbicie, ciężko wzdychając. Czułam niepokój, towarzyszyło mi uczucie, które dobrze znałam. Ciężko jednak je opisać. „Dlaczego akurat ja?” – to pytanie zadawałam sobie już od trzech lat, tyle już trwa to, z czym się męczę. Właściwie moim problemem jestem ja sama. To ja jestem swoim wrogiem, działam po cichu, sama się wykańczam. Czuję, że coś jest ze mną nie tak. Jestem tylko ja i mój problem. Myślałam wiele razy o zaczerpnięciu pomocy, po atakach wydaje mi się, że potrzebuję jej jak najszybciej, ale gdy życie wraca do normalności, czuję się zupełnie zdrowa. Ostatni atak miałam pięć miesięcy temu, gdy cofając z miejsca parkingowego, wjechałam w auto jakiegoś mężczyzny. Emocje okropnie mnie przytłoczyły. Nie jechałam swoim samochodem. Był

to dla mnie ogromnie stresujący dzień. Stało się. Ataki czasami wywołują najbardziej prozaiczne rzeczy. Czasami są to sytuacje, które innym ludziom nie przynoszą żadnych trudności.

Przez pięć miesięcy żyłam sobie w spokoju, mimo stresu związanego z nadchodzącym rokiem akademickim całkiem dobrze udawało mi się przetrwać. Tak można to właśnie nazwać. Staram się unikać napiętych sytuacji, nie wychodzę ze swojej strefy komfortu, bo jestem przerażona tym, co może się wydarzyć. Moi najbliżsi nic nie wiedzą, nigdy nie widzieli ataku, nie mają pojęcia, z czym mierzę się na co dzień. Dlaczego? Ponieważ martwię się, że zaczęliby się obwiniać. Nie chcę przysparzać im kłopotów, obydwoje mają już wiele na głowie. Pracują na wysokich stanowiskach i ostatnie, czego im potrzeba, to dziecko, z którym coś jest nie tak.

Resztę dnia spędziłam w łóżku. Powinnam była się uczyć, ale to dziwne uczucie dalej kłuło mnie w klatce piersiowej. Włączyłam film, który oglądałam zawsze, gdy źle się czułam, i napisałam SMS-a do Łucji.

16:31

Łucja: Nina, proszę, porozmawiajmy.

17:10

Łucja: Halo?

Łucja: Jeśli potrzebujesz czasu, okej, ale daj mi znać, że żyjesz.

19:50

Ja: Przepraszam, żyję.

Ja: Pogadamy jutro.

Przez resztę dnia nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca. W mojej głowie przewijały się różne myśli. Nie dawały mi spać. Przechodziły dynamicznie jedna w drugą, męcząc mnie na zmianę. Nie znały litości. Mój pokój, moje łóżko, była to przestrzeń bezpieczna, tylko moja. Tym razem jednak czegoś brakowało. Dalej czułam dyskomfort. Nie chciałam się zdręzczać, a ta cała sytuacja nie dawała mi żyć. Odtwarzała się w mojej głowie jeszcze raz, jeszcze raz i jeszcze raz.

W nocy kręciłam się z boku na bok. Gdy udało mi się usnąć, trwało to zaledwie godzinę. Potem znowu się kręciłam i zasypiałam.

* * *

Biegłam przed siebie. Czulałam moje napięte mięśnie w nogach, które zaczynały już boleć. Czulałam przerażenie, oddychałam szybko, płuca mnie paliły. Ktoś mnie gonił, był to mężczyzna. Biegłam leśną drożką, wokół mnie szalała burza. Pioruny były tak ogromne, że rozświetlały momentalnie całe niebo. Obróciłam się za siebie, mężczyzny już nie było. Przystanąłam i rozejrzałam się dookoła. Ciemność wokół mnie była tak gęsta, że nie mogłam nic dojrzeć. Ruszyłam dalej i znalazłam się na skraju lasu, przede mną rozlegało się ogromne pole, które oddzielone było starym drewnianym płotem. Chciałam podejść bliżej, by się podeprzeć, jednak na ogrodzeniu przede mną usiadł kruk.

Potem przyleciało ich jeszcze kilka, siadały wzdłuż płotu, jakby chciały zagrozić mi drogę. Było ich coraz więcej i więcej. Zaniepokojona odwróciłam się w stronę lasu, by wrócić. Gdy to zrobiłam, stanęłam twarzą twarz z goniącym mnie mężczyzną.

– To się nigdy nie skończy – powiedział.

* * *

Doszłam do wniosku, że spotkam się z Łucją, by wszystko jej wytłumaczyć. Było to dla mnie ogromne wyjście ze strefy komfortu. Wyrzuty sumienia okropnie mnie męczyły. Upiekłam na weekend jej ulubione ciastka i zaprosiłam do siebie. Nie wiedziałam jeszcze, czy jej powiem, czy jestem tego pewna. Wiedziałam jednak, że muszę jej to wynagrodzić. Gdy dziewczyna weszła do mojego domu, nie poczułam żadnego napięcia między nami. Jak zawsze była od niej niesamowita aura ciepła, czułam, że nie mam się o co martwić, jeśli chodzi o ataki paniki. Podjęłam decyzję.

– Jak się czujesz? – zapytała Łucja, gdy tylko zamknęłam drzwi od pokoju. – Bardzo się martwiłam.

– Wiem... – Usiadłam obok niej na łóżku. – Chciałabym cię przeprosić, źle się zachowałam.

– Przyznam, że było mi przykro. – Westchnęła. – Ale bardziej przejęłam się tobą. Miałam trochę czasu, żeby to przemyśleć. Mam nadzieję, że mi wytłumaczysz, co się wydarzyło.

Zaczęłam opowiadać. Opowiedziałam o tym, jak zaczęłam miewać ataki od drugiej klasy liceum. Mówiłam o problemach ze stresem i o tym, że tak

w zasadzie to od dziecka chodziłam zestresowana. Stres odgrywał niestety dużą i negatywną rolę w moim życiu. Łucja siedziała cicho i słuchała ze zrozumieniem. Widziałam w jej oczach pewnego rodzaju ulgę, ale też zaniepokojenie. Wytłumaczyłam jej, w miarę możliwości, jak to wygląda z mojej perspektywy, jak się wtedy czuję.

– Czasami się zastanawiam... – Do oczu napłynęły mi łzy. – Gdy tak się stresuję i serce mi wali tak mocno. Tak mocno, jakby chciało się przebić przez klatkę piersiową. Czy można od tego umrzeć? – Spojrzałam jej w oczy. – To jest takie przerażające... Bardzo się boję.

– Nina... – Łucja wzięła mnie w ramiona. – Boże, tak mi przykro. Gdybym wiedziała wcześniej...

– Nie mogłaś. Nikt nie wie.

– Powinnaś powiedzieć rodzicom, pójść do psychologa, cokolwiek. Musisz zasięgnąć pomocy. – Przyjaciółka ścisnęła moje dłonie.

– Nie wiem, czy jestem gotowa. – Pociągnęłam nosem. – Boję się, czego się dowiem o sobie. Jednocześnie boję się, że nic z tym nie zrobię i to nigdy się nie skończy.

– Spokojnie, poradzimy sobie.

Po naszych policzkach zaczęły płynąć łzy. Siedziałyśmy w ciszy wtulone w siebie. Na biurku stała herbata, która stygła, ciastka również nie zostały ruszone. Poczulałam ulgę. Cieszę się, że Łucja mnie zrozumiała, że mnie nie ocenia. Tego bałam się najbardziej. W końcu mogłam z czystym sumieniem spojrzeć jej w oczy. Czas spędzony z przyjaciółką dodał mi otuchy i spokoju, którego bardzo potrzebowałam.

* * *

Stałam w ogromnym tłumie ludzi, nie byłam w stanie dojrzeć nic przed ani za sobą. Ludzie byli ściśnięci, zaczęło się robić duszno i gorąco. Dodatkowo mocno świecące słońce zdawało się nie mieć litości. Rozglądałam się dookoła w poszukiwaniu wyjścia, robiło się coraz bardziej parno, zrobiło mi się niedobrze. Z daleka ujrzałam mężczyznę, którego dobrze już znałam. Stał dwa metry ode mnie, cały ubrany na czarno, z kapturem na głowie. Zwrócony był w moją stronę, ale twarz miał rozma-

zaną. Gdy go ujrzałam, poczułam niepokój. Zaczęłam przeciskać się między ludźmi, starając się uciec. Zaczęło mi się kręcić w głowie, świat zaczął wirować. Odwróciłam się, żeby spojrzeć za siebie. Mężczyzna ze spokojem poruszał się między ludźmi, jakby nie sprawiała mu to problemu. Zaczęłam mocniej się przepychać, ludzie na mnie krzyczeli, w końcu ktoś mnie popchnął i przewróciłam się na ziemię. Upadłam na kolana, poczułam w nich rażący ból. Starłam się uspokoić, złapać oddech. Gdy podniosłam głowę, on stał przede mną. „To nie koniec” – jego słowa odbijały się echem w mojej głowie.

* * *

Wstałam złana potem, sny bardzo mieszały mi w głowie, wprawiały mnie w niepokój. Wyplątałam się spod kołdry i poszłam do kuchni.

– Dzień dobry. – Tata odezwał się za moimi plecami, gdy nalewałam sobie wody do picia.

– Hej – odpowiedziałam zachrypniętym głosem i zwróciłam się w jego stronę.

– Wszystko w porządku? – zapytał i poklepał miejsce na kanapie obok siebie.

– Tak.

Tata mi nie wierzył. Widziałam to w jego wzroku.

– Nina... – Westchnął. – Widzę, że coś cię męczy. To nie pierwszy raz, jak wychodzisz rano w takim stanie z pokoju. Jesteś chora? – Zaczął głaskać mnie po plecach.

– Ninka chora? – Do kuchni wpadła mama, umalowana i gotowa na wyjście do pracy.

– Nie... Ja... – Nie wytrzymałam, rozplakałam się.

Rodzice spojrzeli tylko po sobie, mama klęknęła obok mnie i objęła dłońmi moje kolana. Powiedziałam im. Powiedziałam wszystko. Wszystkie moje uczucia nagromadzone przez trzy lata ich niewiedzy wyszły w końcu na wierzch. Pod wpływem tego, jak się czułam teraz, i pod wpływem męczących mnie snów nie myślałam o tym, czy to dobre posunięcie. Nie myślałam, czy na pewno tego chcę. Byłam już po prostu zmęczona i w głębi duszy nie chcia-

łam już być z tym sama, dlatego powiedziałam o tym Łucji. To też przełamałam w mojej głowie jakąś barierę.

– Przepraszam... – Załkałam. – Nie chcę, żebyście czuli się winni...

– Kochanie... – Mama mocno mnie przytuliła. W jej oczach pojawiły się łzy. – Jesteśmy winni.

– Tak – potwierdził tata. – Jesteśmy winni teraz za to, że nie zauważyliśmy, z czym się mierzysz, i jesteśmy winni za to, co się wydarzyło, gdy byłaś malutka.

– Jak to? – Pociągnęłam nosem.

– Widzisz, Ninko... – Mama podniosła się z podłogi i usiadła na fotelu obok. – Gdy byłaś dzieckiem, tata prowadził sprawę w sądzie i odebrał jednemu panu prawo do opieki nad dziećmi. Ten mężczyzna miał ze sobą ogromne problemy, gdyby dzieci z nimi zostały, źle by się to skończyło.

– Jakiś czas po rozprawie – tata kontynuował – ten mężczyzna włamał nam się do domu. Wiesz, że w rodzinie pieniędzy nie brakuje. Wtedy też nie mieszkaliśmy na strzeżonym osiedlu. Ja położyłem cię spać, mama kręciła się po domu. Człowiek, któremu odebrałem dzieci, wybił szybę i wszedł do środka. Groził mamie nożem, zabierał wszystkie cenne rzeczy, które leżały pod ręką.

– Okropnie się bałam. – Mama wzdrygnęła się na to wspomnienie.

– Schodziłem z góry po schodach i zauważyłem intruza, pierwszą moją reakcją było zadzwonienie na policję. Nie mogłem jednak zostawić mamy z tym psychopata.

– Podczas tego wszystkiego nie zauważyliśmy, że poszłaś za tatą i przyglądałaś się wszystkiemu zza barierki schodów. Tak mi przykro. – Po policzkach mamy zaczęły spływać łzy. – Przestałaś się czuć bezpiecznie we własnym domu. My jako rodzice powinniśmy byli ci to zapewnić.

– Po tym wydarzeniu budziłaś się w nocy, byłaś bardzo wystraszona, cały czas zestresowana, a byłaś taka malutka... Miałaś tylko pięć lat. – Tata spuścił głowę. – Po tej sytuacji chodziliśmy z tobą do psychologa, z czasem poczułaś się lepiej i chyba wyrzuciłaś to wydarzenie ze swojej głowy...

– Jak był ubrany? Ten włamywacz?

Rodzice byli wyraźnie zszokowani moim pytaniem.

– Na czarno – odpowiedział tata. – Miał bluzę z kapturem.

– To on! – Podniosłam się z kanapy. – To on jest w moich snach.

W mojej głowie wszystko połączyło się w całość. Moje bezpieczeństwo zostało naruszone w miejscu, które właśnie takie miało być. Stąd się to wszystko wzięło, zostało we mnie przez tyle lat. Ataki towarzyszyły mi naprawdę długo. Najbardziej na świecie bałam się, że to nigdy się nie skończy. Czułam się w tym wszystkim sama, jednocześnie nie dając nikomu możliwości zbliżenia się do siebie na tyle, by się tym podzielić. Mimo wsparcia, które otrzymałam od rodziców i przyjaciółki, dalej jestem w tym poniekąd sama. Ja i moja głowa, w której toczy się nieustanna walka.

* * *

Wokół mnie nie ma nic. Pustka. Ciemna i straszna. Zimna. Stoję w korytarzu, który zdaje się nie mieć końca. Nie dociera tu światło ani życie. Robię dwa kroki przed siebie, które roznoszą się echem po tunelu.

– Halo? – Tyle udaje mi się z siebie wykrztusić.

Nie odpowiada mi nikt. Tylko echo.

Ruszam do biegu. Biegnę przed siebie, aż przede mną pojawia się małe światełko. Motywuje mnie to, by ruszać dalej, by mimo bólu w nogach dotrzeć w to miejsce. Zbliżam się do światełka, a w nim widzę dwie znajome mi sylwetki. Mama i tata. Biegnę jeszcze szybciej, czuję, jak napinają mi się mięśnie w nogach. Jestem już coraz bliżej. Nagle coś mną szarpnęło. Nie mogę ruszyć dalej. Próbuję się wyswobodzić, ale bezskutecznie. Odwracam się, by zobaczyć, co mnie hamuje.

To on.

Widzę jego twarz. Bardzo wyraźnie.

Spis treści

Non omnis moriar (Julia Adamus)	5
Wiadomość (Maciej Barańczak)	17
Nie jej zbrodnia (Aleksandra Bartkowiak)	23
Tonąc w ciszy (Magdalena Bełza)	33
Głos (Dawid Bieliński)	43
Katastrofalne skutki (Zofia Biernat)	53
Nadzieja matką głupich (Oliwia Chomiak)	61
Apokalipsa (Maja Ciszewska)	79
Wyrok losu (Adam Drożdżyński)	85
Ja, ty i oni. Nasz świat (Michał Gozik)	101
Cisza po pierwszym płaczu (Zuzanna Janiczek)	109
Kaplica śmierci (Kacper Janik)	117
Ułomny mikroświat (Jan Jantos)	129
Wilk z Grape Street (Aleksander Konieczny)	139
Czarna róża (Oliwia Konopka)	145
Szept w mchu (Karol Kowalczyk)	153
Tylko ty i ja (Maja Kulczyńska)	163
chaos idealny (Piotr Linkiewicz)	171

Dwa miesiące niewoli (Sara Mróz)	179
W kręgu narcyzmu (Nikola Muszyńska)	187
Ludzka bezpańskość (Emilia Nowak)	197
Pogrzeb przeszłości (Roksana Nowak)	205
Marazm duszy (nic szczególnego) (Iga Pawełczak)	213
Droga światła i cieni (Mateusz Radczuk)	227
Spięcie (Katarzyna Reluga)	237
Żółty kanarek (Tomasz Sadulak)	245
Zatracona w milczeniu (Hanna Seleszczuk)	253
Mroczna historia (Kacper Stachura)	263
Ciepło-zimno (Aleksandra Surowiec)	275
Nie wszystko jest dobrze (Małgorzata Szymańska)	287
Codziennie zdumienie (Tymoteusz Wiącek)	295
Pora na sen (Miłosz Zajma)	303
Kobaltowa kula (Weronika Zakrzewska)	313
Głęboki wdech (Martyna Żmijowska)	321

Wspólnym mianownikiem tekstów, wyłaniającym się już z tytułu zbioru, jest refleksja nad kondycją ludzką, wyzwania związane z emocjami, moralnością, a także zmagania z trudnymi sytuacjami życiowymi. Wiele z opowiadań koncentruje się na temacie poszukiwania tożsamości, co jest szczególnie istotne dla młodych autorów u progu dorosłości. Bohaterowie mierzą się z pytaniami o swoją wartość, miejsce w świecie i relacje z innymi. Często-kroć stają przed trudnymi wyborami, które testują ich etykę i przekonania. W kilku opowiadaniach pojawiają się również motywy straty i żałoby. Najczęściej podejmowanym tematem są skomplikowane relacje międzyludzkie. Autorzy eksplorują różne aspekty miłości – od młodzieńczych zauroczeń po toksyczne związki i uczucia nieodwzajemnione.

Bez nadziei to wartościowa publikacja, która zasługuje na uwagę. Pokazuje, że Młodzi mają coś do powiedzenia, a ich perspektywa jest ważna i potrzebna. To świetny przykład na to, jak potrafią wyrazić siebie poprzez literaturę. Każde opowiadanie w zbiorze jest świadectwem bogactwa tematycznego i emocjonalnego, jakie młodzi Autorzy potrafią wnieść do literatury. Ich prace nie tylko angażują czytelnika, ale także prowokują do refleksji nad współczesnymi problemami i wyzwaniami.

[fragment recenzji dr Katarzyny Grabias-Banaszewskiej]

ISBN 978-83-7842-576-2